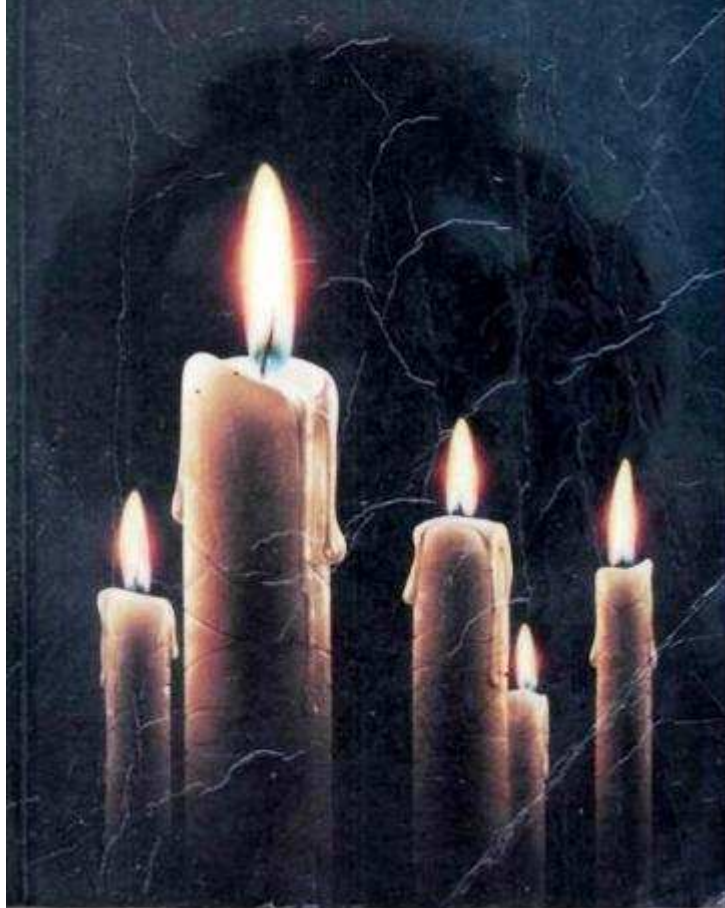


R. L. STINE

# PRZESĄDNY



Liam O'Connor, Irlandczyk z pochodzenia,  
profesor folklorystyki w niewielkim  
pensylwańskim college'u,  
wyróżnia się urokiem i inteligencją,  
którą w osobliwy sposób godzi z dziwną wiarą  
w przesady i złe uroki.

Sara Morgan jest nim zafascynowana  
i początkowo nie zwraca uwagi na pogłoski  
o serii potwornych morderstw, wstrząsających niewielkim  
miasteczkiem uniwersyteckim.

Jednakże niepokojące oznaki mnożą się...  
aż do koszmarne go finału.



Nr 2261

R. L. STINE

# PRZESĄDNY

Z angielskiego przełożył

*Jan Kraśko*



ŚWIAT KSIĄŻKI

Tytuł oryginału SUPERSTITIOUS

Ilustracja na okładce

*Jacek Kopalski*

Redakcja

*Halina Ruszkiewicz*

Redakcja techniczna

*Lidia Lamparska*

Korekta

*Irena Kulczycka*

Copyright © 1995 by Parachute Press, Inc.

Copyright for the Polish translation by *Jan Krasko*, 1997

Bertelsmann Media Sp, z o.o.

Warszawa 1999

Druk i oprawa:

Finidr, Czechy

ISBN 83-7227-252-2

Nr 2261

*Brandonowi, Robertowi i Joan  
z podziękowaniami,  
Jane i Matty'emu  
z wyrazami miłości.*

# PROLOG

Charlotte Wilson patrzy na sufit. Przez żaluzje sączy się bladeżółte światło z ulicy, malując na nim długie, cieniste linie.

Jak kraty, myśli Charlotte. Jak więzienne kraty.

Leżący obok mężczyzna porusza się, tłumi beknięcie.

Odbija mu się, myśli z goryczą Charlotte. Pewnie po kolacji. To ja byłam jego kolacją.

Żaluzje grzechoczą, silny podmuch owiewa łóżko. Rzeński i chłodny. Charlotte wzdycha. Tak tu cuchnie. Czymś stęchłym, kwaskowatym. Smażoną cebulą. Papierosowym dymem.

Zimne powietrze muska jej wilgotną skórę.

- Palisz? - pyta nie odrywając wzroku od cienistych krat na suficie.

- Nie. Chodzi ci o ten dym? To tylko para. Puszczałem uszami parę. - To taki żart. - Byłaś wspaniała.

W przeciwieństwie do ciebie, myśli Charlotte.

Bo ty byłaś ciężki. Myślałam, że mnie zmiażdżysz. I komiczny. Kwiczałeś pod koniec jak mors.

Mężczyzna powoli przesuwając ręką po jej nagim brzuchu. Charlotte zerka w dół i na jego palcu widzi białawy pasek skóry po ślubnej obrączce.

Żonaty? Czemu nie? Zdziwiona? Nie.

Jak mu na imię? Naprawdę powiedział, że ma na imię John?

Sunie ręką coraz niżej.

- Z czego się śmiejesz? - pyta.

- Pomyślałam o czymś.

Charlotte podnosi kolano. Drapie się w udo. Uświadamia sobie, że cała się lepi. Kąpiel, myśli. Wezmę długą, gorącą kąpiel. W kłębach pary. Jak za zasłoną.

Omiata wzrokiem małą sypialnię, widzi marynarkę i spodnie. Cisnął je na podłogę koło komody przy ścianie. Z otwartej szuflady zwisa biała, zmiętoszona koszula.

Jej ubranie leży na krześle koło drzwi. Pedantycznie złożona spódnica, sweter starannie zawieszony na oparciu, rajstopy zwinięte w finezyjny waleczek.

Takie to wyrachowane. Takie beznamiętne.

Dlaczego tu jestem?!

- Kilka dni temu podjęłam nową pracę.

Co go to obchodzi? Po co mu to mówię?

Pieści ją czubkami palców.

- Naprawdę?

Nie mógłby chociaż udawać, że to go interesuje?

Żaluzje grzechoczą. Kraty na suficie falują.

- Pracujesz w college'u?

Mężczyzna zabiera rękę, wbija łokieć w poduszkę, podpieira brodę. Spotykają się wzrokiem. Ma ciemne, sondujące oczy. Na czoło spada mu kosmyk mokrych włosów.

Ile może mieć lat? - myśli Charlotte. Pewnie jest dwa razy starszy ode mnie.

Kiedy się uśmiecha, tworzą mu się kurze łapki. Tak, jest nawet dość przystojny. Jeszcze nie zwariowałam. Po prostu mi odbiło.

- U takiego jednego profesora. Jestem jego sekretarką. Całkiem niezła robota. Facet jest chyba sławny. Wszyscy się nim zachwycają.

Profesor Liam O'Connor. Powtarza w myśli jego nazwisko. Liam O'Connor. Ładnie brzmi. Liam. Dziwne imię. Takie oryginalne. Takie interesujące.

Liam. Wie, że nigdy się do niego nie zwróci po imieniu. Nie, będzie go tytułować: profesorze O'Connor, doktorze

O'Connor. Też dobrze. Ma ciemnobrązowe oczy. I wyrazistą, inteligentną twarz.

Czy John przypomina jej Liama? Czy dlatego znalazła się w jego sypialni?

Nie, chyba nie.

- Podajesz mu kawę i przepisujesz na maszynie jego listy? - sztydzi kochanek. - I to ma być ciekawa praca?

Strąca dłoń Johna ze swojej piersi. Wstrząsa nią dreszcz. Jest zimno. Żaluzje tańczą, grzechoczą coraz głośniejsze.

- To bardzo interesujący mężczyzna. Irlandczyk.

Beznadziejnie to brzmi. Idiotycznie. Już nie chce z nim gadać, choć w barze „Pod Kuflem” tematów do rozmowy im nie brakowało. „Pod Kuflem”? A może to było „U Mike'a”?

Po jakie licha tam łąkę? Po jakie licha przesiaduję w tych studenckich knajpach? Dlaczego dają się tym facetom podrywać?

Dobre pytanie, Charlotte, bardzo dobre. A teraz usiądź, otwórz notatnik i napisz esej na góra trzysta słów. Temat: „Poczucie godności własnej”.

Nie. Nie będę pisała żadnych esejów. I przestanę robić sobie wyrzuty. Powinnam wziąć się w garść, powinnam się pozbierać. Mam nową pracę. Mam nowe mieszkanie po drugiej stronie kampusu. I nową współspaczkę.

Tak, muszę wracać do domu.

Z jękiem sprężyn siada na łóżku. Opuszcza nogi i muska stopami podłogę. Na wypłowiały dywan we wschodnie wzory padają cienie. Pod ścianą przy komodzie leży czarna aktówka.

- A ty? - pyta. - Co robisz? - Pamięta, że pytała go o to w barze, ale nie odpowiedział.

- Gdzie pracujesz?

- No właśnie, gdzie pracujesz.

- Trochę tu, trochę tam.

Zdradza go czarna aktówka.

- Sprzedajesz coś? Jesteś komiwojażerem?

- Czasami sprzedaję, czasami kupuję. Różnie.

Jakie to enigmatyczne, jakie tajemnicze. Tak jest, John, trzymaj język za zębami, grunt to pełna anonimowość. Dotyka jej bioder. Rękę ma szorstką i gorącą.



- Chodź tu, jeszcze wcześniej.

Charlotte wstaje.

- Muszę iść. Było wspaniale. Naprawdę. - Rozgarnia jasne, wilgotne włosy, odrzuca je na plecy, pochyla się, podnosi z dywanu jego krawat, przesuwa po nim ręką, uważnie ogląda ciemne pasy. - Konserwatywny. Bardzo konserwatywny - stwierdza.

Mężczyzna parska śmiechem. Śmiech jest suchy i skrzekliwy, przypomina kaszel.

- Garnitur. Krawat. To tylko ubranie, strój. Trzeba w czymś chodzić, nie?

Nie. Ja jestem naga, myśli Charlotte, upuszczając krawat na podłogę.

Przecina mroczny pokój, staje przy krześle z ubraniami. Kusi ją, żeby otworzyć szafę i zobaczyć, jakie ciuchy nosi jego żona.

Majteczki. Dziś rano włożyła czarne jedwabne majteczki. Dlaczego? Wiedziała, że wieczorem będzie miała ochotę wskoczyć komuś do łóżka? Nago? Bez ubrania? Bez stroju?

Podnosi nogę, nakłada majtki, podciąga je wyżej. Czuje na sobie jego wzrok. Śmiało, John, patrz, popatrz sobie. Chyba tylko po to tu przyszedłem.

- Eee... Charlotte?

Poprawia gumkę i sięga po czarne rajstopy zwinięte w mi-sterny waleczek obok krótkiej spódnicy.

- Charlotte?

Odwraca się. John leży wsparty na poduszkach. Ręce pod głową, łokcie wysunięte na zewnątrz. Uśmiecha się.

Nawet ładnie, myśli Charlotte. Ale to tylko uśmiech komi-wojażera.

No cóż, ostatecznie miał mnie.

- Eee... Charlotte? Zanim wyjdiesz...

Opuszcza rajstopy.

- Tak?

- Zanim wyjdiesz... Może byś mi tak... no wiesz... zrobiła małego loda?

A ja myślałam, że pokochał mnie za moją inteligencję!

- Chyba nie, John. Mam spierzchnięte wargi.

Oboje wybuchają śmiechem. Ha, ha! Jakie to zabawne!  
Jest już ubrana, chwilę później wychodzi. Czuje się brudna. Drżą jej nogi. Ma gorącą twarz.

Nieoczekiwanie poczuła głód. Wpaść gdzieś na kanapkę?  
Nie. Do domu, muszę wziąć kąpiel. ,

Nagle przypomina sobie, że w lodówce jest jeszcze trochę chińszczyzny. Odgrzeje ją w kuchence mikrofalowej i urządzi sobie prawdziwą ucztę! A Kelli? Jest w domu czy ma dzisiaj korki z tym uczniakiem na drugim końcu miasta?

W gałęziach drzew hula wiatr. Liście szeleszczą, fruują, wirują, tańczą na chodniku swój jesienny taniec.

W oknach domu, z którego wyszła, mrugają światła. To stara kamienica, ciągnie się od ulicy do ulicy. Wielka markiza nad drzwiami trzepocze na wietrze. Charlotte zerka do góry. Które to piętro? Drugie czy trzecie? I na drugim, i na trzecim okna są ciemne.

Dale Street. Przechodzi na drugą stronę ulicy, zmierzając w stronę High Street. High Street - przedmiot głupich studentkich żarcików. „John był wczoraj na haju. Jak to gdzie? Na High Street”. I kretyńskich dowcipów o rogu Merry i High.

Skręca w High Street. Wraz z nią skręca wiatr. Charlotte przekłada płócienną torbę do lewej ręki i, pochylona, zmagając się z gwałtownymi podmuchami, zaczyna biec.

Nagle słyszy rytmiczne szur-turr, szur-turr, szur-turr. Odgłos dochodzi z tyłu, wyraźnie się zbliża. Charlotte zwalnia, zerka przez ramię i widzi dwóch chłopców na łyżworolkach. Długie wymachy ramion, poważne twarze, czerwono-szare swetry z napisem MOORE STATE wypuszczone na luźne dzinsy, ciemne czapki baseballowe daszkiem do tyłu. Pełny szpan.

Szur-turr, szur-turr, szur-turr.

Przejeżdżają obok, nawet jej nie widzą. Pewnie spieszą im do akademika.

Ma dwadzieścia sześć lat i nagle czuje się bardzo staro. Powinnam pojeździć na łyżworolkach, myśli. Dlaczego nie nauczyłam się jeździć na łyżworolkach? Może odmieniłyby moje życie?

Przystaje na rogu i czeka, aż jezdnią przetoczy się z warkotem ciemne kombi. Jakiś pies, chyba owczarek, wystawia łeb przez tylne okno i głośno na nią szczeka. Trzy urwane, wściekle szczeknięcia. Zadowolony, że dał jej do zrozumienia, co o niej myśli, milknie i wsuwa łeb do środka.

Następna przecznica to Yale Avenue. Tuż za nią rozpościera się kampus college'u Moore State. Wspaniały pomysł - wybudować podrzędny college przy ulicy o takiej nazwie. Moore State i Yale. Pasują do siebie jak pięść do nosa.

Strąca z włosów gruby brązowy liść, przekłada torbę do prawej ręki i omiata wzrokiem znajome budynki kampusu. Przysadzisty, biało-granitowy gmach administracji tonie w księżycowej poświacie. Kopuła jego bladozielonkawego dachu lśni w ciemności srebrzystym blaskiem.

Stare drzewa wyciągają do niej sękaty ramiona i cicho szepczą. Za głównym parkingiem wznosi się olbrzymi, porośnięty dzikim winem gmach Instytutu Językoznawstwa i Kulturoznawstwa, jego strzelista ceglana wieżycza czernieje na tle purpurowego nieba.

Gdy jako siedemnastoletnia studentka pierwszego roku zobaczyła ten gmach po raz pierwszy, wzięła go za kościół; wkrótce potem dowiedziała się, że niegdyś rzeczywiście była tu kaplica. W college'u spędziła w sumie cztery lata, a w ciasnych, poprzedzielanych spękanyymi ze starości ścianami pomieszczeniach instytutu zaliczyła wiele zajęć.

A teraz tu pracuje. Tam, prawie na samej górze, tuż pod pustą wieżycą.

Praca. Myśl o pracy kieruje jej wzrok w dół ulicy. Za najbliższym skrzyżowaniem, skryty za dwiema poskręcanyymi starczym artretyzmem wierzbami, stoi niski dom, do którego wprowadził się jej nowy szef.

Liam.

Te jego oczy - Charlotte znowu je widzi. Są takie duże, takie ciepłe. I ten dołeczek w brodzie. I te białe, idealnie ukształtowane zęby odsłonięte w uśmiechu. I rytmiczny irlandzki zaśpiew, gdy mówi: „Dzień dobry, Charlotte”.

Proszę, proszę. Dlaczego myślę o nim w ten sposób? Czyżbym do reszty zgłupiała?

Staje na środku jezdni i mruży oczy, próbując przesyć wzrokiem ciemność. Ciekawe, czy jest teraz w domu?

Nic z tego, drzewa zasłaniają widok.

Mieszka sam? Jest żonaty? A może to pedał?

Uświadamia sobie, że nic o nim nie wie. Człowiek-enigma. Nie szkodzi, poczekamy, zobaczymy. Przecież pracuję dopiero od kilku dni.

Z zamyślenia wyrывa ją blask świateł nadjeżdżającego samochodu. Charlotte przebiega szybko na drugą stronę ulicy. Samochód mija ją niespiesznie, z otwartego okna wylewa się muzyka country.

Charlotte idzie wzdłuż krawężnika brukowanego podjazdu. Podjazd prowadzi do gmachu administracji, przecinając po drodze okrągły, wysadzany drzewami trawnik zwany przez studentów Kręgiem. Pośrodku Kręgu stoi wysoki maszt, a na jego szczycie łopocze uczelniana flaga: na szarym tle czerwona, lekko pochylona litera „M”. Nie licząc stukotu jej butów na brukowanym podjeździe, furkot spętanego sznurem porościa jest jedynym odgłosem, jaki Charlotte słyszy.

Idzie dalej, myśląc o resztkach chińszczyzny w lodówce i o gorącej kąpieli.

Podjazd i stojące wzdłuż niego niskie latarnie meandrują między drzewami. Jedna latarnia się nie świeci.

Jak tu ciemno, myśli Charlotte. Jak tu... Nagle wyrasta przed nią jakaś postać.

Szkarłatna plama sylwetki. Głowa. I ręce.

- He? - Ni to krzyk, ni to pytanie wydobywa się z rozwarzonych ust przestraszonej Charlotte.

Płócienna torba wypada jej z rąk. Ciemnoszkarłatna plama chwytając dziewczynę za włosy i wlecze ją między drzewa.

- Puszczaj! Puść mnie!

Co to za dziwny odgłos? Jakby coś się puło, jakby coś pękało.

Ramiona i kark przesywa upiorny ból. Nogi nie wytrzymują. Charlotte osuwa się na kolana.

Już wie, że została żywcem oskalpowana. Że zdarto jej skórę z głowy. Nie tylko włosy, ale i skórę. Ot tak, bez żadnego wysiłku. Jednym szarpnięciem.

Nie!

Widzi palce wycelowane w jej oczy.

Sparaliżowana bólem, nie może się ruszać. Chce krzyknąć, lecz miast krzyku dobywa z siebie cichutkie: „Unch unch unch”.

Palce wbijają się w oczodoły, mocno i głęboko.

Plop-plop - wyłuskują gałki oczne.

- Unch unch unch.

Charlotte widzi tylko czerwoną plamę. Charlotte tę czerwień czuje.

Dotyka rękami głowy. Kość. Naga. Mokra od krwi. Wierzch głowy jest dziwnie miękki i papkowaty, jak zużyty papierowy ręcznik. Gdzie się podziały włosy? Twarz zalewa gorąca krew.

- Unch unch unch.

Czy to ja? To ja tak jęczę?

Słyszy gardłowe stęknięcie, czuje, że ktoś ją dźwiga. Dźwiga i wygina do tyłu niczym łuk.

Coraz mocniej. Coraz mocniej. Jeszcze mocniej.

- Unch unch.

Ostatnim odgłosem, jaki Charlotte słyszy, jest trzask pękającego kręgosłupa. Jej własnego kręgosłupa.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## 1.

Sara Morgan zmiażdżyła palcami opancerzoną nogę kraba i wyciągnęła z niej kawałek białego mięsa.

- Ładnie tu - powiedziała lustrując wzrokiem zatłoczoną restaurację.

Miła knajpka, bardzo przytulna. Skromne, nawet surowe wnętrze. Ściany z czerwonej cegły. Drewniane stoły. Na stołach białe papierowe maty. Jadłospis wypisany kredą na czarnej tablicy nad oknem do kuchni. Kelnerki w białych fartuszkach ozdobionych z przodu wizerunkiem wielkiego czerwonego raka.

I odręczny napis nad barem: Pod Korkociągiem - to nazwa lokalu.

Sara zanurzyła mięso w porcelanowej sosjerce wypełnionej topionym masłem, po czym ostrożnie wsunęła je do ust.

Mary Beth Logan wbiła widelec w miecznika z rusztu.

- Kiedy byłam mała, nigdy tych rzeczy nie jadłam - powiedziała. - W Ohio nie mieliśmy frutti di mare, nikt nie wiedział, co to za dziwo. Wiesz, co jadaliśmy? Mrożone filety rybne. To były nasze owoce morza. Egzotyczne, co?

Sara parsknęła śmiechem. Wytarła ociekające masłem usta, rozłożyła serwetkę na kolanach.

- Pierwszą krewetkę zobaczyłam w wieku dwunastu lat - kontynuowała Mary Beth. - Nie wiedziałam, z której strony toto się je!

Sara spróbowała sałatki z kapusty. Wyśmienita.

- Nie wiedziałaś, jak się je krewetki? Mary Beth, ja pochodzę z Indiany. Nawet my wiedzieliśmy, jak się jada krewetki!

Mary Beth błysnęła oczyma.

- Wychowałam się na kompletnym zadupiu.

- Co? - Sara odłożyła widelec. - Shaker Heights? Odkąd to Shaker Heights jest kompletnym zadupiem?

Mary Beth odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. Jak kiedyś, jak dawniej. Ileż to razy tak się przy niej

śmiała.

Znam na pamięć jej wszystkie miny, każdy wyraz twarzy, wszystko, pomyślała Sara. Jeśli nie liczyć kilku platynowych pasemek włosów w nowej, nieco krótszej fryzurze, Mary Beth nie zmieniła się ani trochę. Tak, czuję się jak studentka pierwszego roku. Siedzimy w taniej knajpce, żłapiemy hektolitry cienkiej kawy i gadamy, plotkujemy o chłopcach, o chłopcach i jeszcze raz o chłopcach.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jestem - mruknęła. - Nie mogę uwierzyć, że ty i ja...

Mary Beth wycelowała w nią palec.

- Poplamiałś sobie sweter.

Sara spojrzała w dół, zanurzyła serwetkę w szklance z wodą i zaczęła wycierać tłustą plamę. Mary Beth przełknęła kęs ryby.

- Jaki to kolor? - spytała. - Bardzo ci w nim do twarzy.

- Żurawinowy.

Sara poprawiła gruby kołnierz. Lubiła swetry długie i luźne, takie, w których można się schować. Ten sięgał jej prawie do kolan. Nosiła go na czarne legginsy.

- Skąd go wytrzasnąłś?

- Zamówiłam z katalogu.

Mary Beth zmrużyła oczy, machnęła widelcem i posłała Sarze oskarżycielskie spojrzenie.

- Mieszkałaś w Nowym Jorku i zamawiałaś ciuchy z katalogu?

Sara wzruszyła ramionami.

- Tak było łatwiej. Wiesz, jak lubię zakupy.

Nienawidziła kupowania ubrań. Jakichkolwiek ubrań. Wydawało się jej, że to objaw próżności. Samouwielbienia. Nie cierpiała przeglądania się w wysokich lustrach, wypytywania sprzedawczyń, czy do twarzy jej w tej czy w tamtej bluzeczce.

Zwracania na siebie uwagi.

Nie, nie należała do osób nieśmiałych. Miała świadomość, że jest dziewczyną atrakcyjną. Po prostu nie widziała sensu w przyciąganiu uwagi innych.



Szybko odbiła piłeczkę.

- Podoba mi się twoja sukienka. Powiadają, że strój jest miarą sukcesu. To kaszmir, prawda?

Mary Beth pociągnęła za długi, szary rękaw sukienki.

- Kaszmir? Przy moich zarobkach? To bawełna, kochanie, zwykła bawełna. - Westchnęła. - Noszenie sukienek na co dzień jest trochę dziwaczne, ale mój szef nie pozwala przychodzić do biura w džinsach.

- Twój szef? Myślałam, że jesteś kierowniczką wydziału mediów.

Mary Beth machnęła widelcem.

- Nie wiesz, jak to u nas jest? W college'u każdy ma swojego szefa. Jeśli istnieje ktoś taki jak kierownik wydziału mediów, to musi istnieć dyrektor kierowników wydziału mediów. I dziekan dyrektorów kierowników wydziału mediów.

Znowu wybuchnęły śmiechem. Jak kiedyś, jak za starych, dobrych czasów. Sara zaczęła się odprężać.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz kupować ciuchów we Freewood. - Mary Beth posmarowała śmietanką pieczonego ziemniaka. - Tu można kupić tylko workowate levisy i swetry z wielkim czerwonym „M” na biuście.

- Chętnie bym taki ponosiła - odrzekła Sara. - Odmładniałabym. - Ciężko westchnęła. - Chryste, czuję się jak stara baba!

Mary Beth kiwnęła głową.

- Fakt, dwadzieścia cztery lata to na kampusie wiek podszły. Ale ty wciąż wyglądasz na osiemnastkę. Powinnaś była zostać modelką, Saro. Z twoją twarzą, z tymi policzkami, z tymi idealnymi ustami podbiłabyś cały świat. No, ale dwadzieścia cztery lata to dzisiaj trochę za dużo, żeby zaczynać karierę na wybiegu. Spójrzmy prawdzie w oczy: nam już to nie grozi.

Szybko omiotły wzrokiem salę. Studenci, prawie sami studenci. Dwie pary w średnim wieku w niszy przy barze. Pan profesor, pani profesorowa, pan doktor, pani doktorowa. A pozostali? Pozostali mają jeszcze mleko pod nosem, pomyślała Sara.

- Czasami jestem tutaj najstarsza - jęknęła Mary Beth.

Nagle posłała Sarze promienny uśmiech. - Dajmy temu

spokój. Przyjechałaś! Jesteś tu! To takie podniecające! Jak tam mieszkanie?

Sara zmiażdżyła palcami nóżkę kraba.

- Przytulne.

- Co znaczy przytulne? Za małe? Koszmarne?

Sara parsknęła śmiechem.

- Nie, to znaczy przytulne.

Odgarnęła na ramiona czarne, proste włosy i poprawiła rozdzieloną równym przedziałkiem grzywkę, która prawie zupełnie zasłaniała jej ciemne brwi.

- Jeśli ci się nie podoba, poszukamy czegoś innego. A może chciałabyś pomieszkać ze mną? Po prostu myślałam, że wolisz mieć własny kąt. W Nowym Jorku na pewno...

- Nie, Mary Beth, mieszkanie jest świetne, naprawdę - przerwała jej Sara. - Przepraszam za to „przytulne”. Chciałam powiedzieć, że jest znakomite, bardzo wygodne, w sam raz dla mnie.

Mary Beth pokręciła głową i w jej poprzecinanych srebrzystymi pasemkami włosach zagrały świetliste refleksy.

- Jest okropne, wiem - mruknęła. - Przepraszam. - Dziobnęła widelcem ziemniak. - Ale przynajmniej lokalizacja jest niezła, bo ledwie dwie ulice dalej masz kampus. Dlatego się na nie zdecydowałam. Ale powinnam była wiedzieć, że zechcesz zamieszkać w czymś większym. Żeby przyjmować gości, zabawiać przyjaciół...

Sara przewróciła oczami.

- Przyjaciół? Mary Beth, przecież jesteś jedyną osobą, jaką tutaj znam! To ty jesteś moją przyjaciółką. Moją jedyną przyjaciółką.

Sara spostrzegła, że siedzący przy sąsiednich stolikach goście zaczynają odwracać głowy. Zdała sobie sprawę, że mówi za głośno, i spiekła raka. Spuściła oczy i wbiła wzrok w talerz, czekając, aż ludzie przestaną na nią patrzeć i powrócą do przerwanych rozmów.

Mary Beth przyglądała się jej uważnie.

- Ale chyba jesteś zadowolona, że przyjechałaś, co?

- Oczywiście, że tak - odrzekła szybko Sara. - Dobrze wiesz, że uratowałam mi życie.

- Niewiele mówisz. Prawie nic mi o sobie nie opowiedziałś. - Mary Beth przygryzła dolną wargę. Odsunęła talerz. Sięgnęła po torebkę. Zaczęła w niej szperać.

Sara zerknęła w stronę drzwi na troje nowych gości, którzy przystanęli w progu. Przystojny, ciemnowłosy mężczyzna w beżowym swetrze i sportowej marynarce z latami na łokciach. Typ wykładowcy albo uczonego. Tak, na pewno. Do jego ramienia przywarła sympatycznie wyglądająca kobieta w ciemnym prochowcu. Towarzyszył im przysadzisty olbrzym o zaczerwienionej twarzy, mężczyzna wielki i krępy, z gęstwiną białych włosów tak dziko wzburzonych, jakby na dworze szalał huragan.

Kiedy odwróciła wzrok, Mary Beth przypalała sobie papieroś. Sara wykrzywiła z niesmakiem usta.

- Ciągle palisz?

Mary Beth machnęła ręką, gasząc zapalną.

- Nie. Rzucam. - Zaciągnęła się głęboko i powoli wypuściła dym.

- Jak to?

- Zwyczajnie.

- Przecież palisz.

- Wiem, ale rzucam. Naprawdę. - Znowu się zaciągnęła i ostrożnie ułożyła papieros na brzegu talerza. - Te restauracje... Już nie wiedzą, co to jest popielniczka.

Sara przewróciła oczami.

- Jesteś chyba ostatnią palaczką w Ameryce.

- Akurat - zaprotestowała Mary Beth. - Rozejrzyj się tylko. Widzisz tych szczeniaków z college'u? Wszyscy palą. Ba! W akademikach pozakładali nawet kluby zwolenników cameli. Naprawdę. Myślą, że są nieśmiertelni.

Twarz Sary pojaśniała.

- Hej, przecież wróciłam, znowu jestem słuchaczką college'u. Może ja też jestem nieśmiertelna.

Mary Beth pokręciła głową i wypuściła nosem dwie długie strużki dymu.

- Ci z roku dyplomowego są skazani. Oni zguby nie unikną.

- Dziwaczką byłaś, jesteś i będziesz.

- W przeciwieństwie do ciebie. Ty jesteś... Ty jesteś anty-dziwaczką. - Zgasiła na wpół wypalonego papierosa na krawędzi talerza. - Widzisz? Mówiłam, że rzucam palenie.

Kelnerka zebrała talerze. Zamówiły kawę. Z końca sali dobiegł ich głośny wybuch śmiechu. Czterech siedzących tam studentów wzniosło butelki piwa i stuknęło się nimi w hałaśliwym toaście.

- Jak w Nowym Jorku, co? - zażartowała Mary Beth. Wyprostowała się i podciągnęła długie rękawy szarej sukienki. - A teraz opowiadaj. Roztocz przede mną wizję wspaniałego świata redaktorów i wydawców, opisz nocne życie wielkiego miasta, powspominaj tych bystrych, dziarskich młodzieńców, których tam spotykałaś, opowiedz o Chipie i o...

- A co u ciebie, Mary Beth? - przerwała jej Sara, kurczowo ściskając serwetkę na kolanach. - Co się stało z Donnym? Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, byliście...

Mary Beth podniosła rękę.

- Wiem, wiem, szalałam za nim. Był dla mnie wszystkim, był dla mnie bogiem. On też za mną szalał. Czasami kłóciłyśmy się, które z nas oszalało bardziej.

- No i?

Mary Beth gorzko westchnęła.

- Musiałam z nim zerwać. Musiałam złamać mu serce.

Palcami prawej ręki zabębniła w stół. Sara spostrzegła, że przyjaciółka obgryza paznokcie.

- Ale dlaczego? Mów, wyduś to z siebie.

Mary Beth zawahała się. W końcu przysunęła twarz do twarzy Sary i teatralnym szeptem wyznała:

- Miał fiucika jak chomik.

- Fiucika jak... Co?!

- Miał takiego maluszka. - Mary Beth wyprostowała palce wskazujące i zbliżyła je do siebie na odległość nie większą niż centymetr.

Sara nie mogła powstrzymać śmiechu i szybko zasłoniła ręką usta.

- To wcale nie było śmieszne - mruknęła Mary Beth z wyrzutem w głosie. - Bywały takie noce, kiedy musieliśmy szukać tego z latarką.

Sara pokręciła głową, dygocząc ze śmiechu. Mary Beth chwyciła ją za ramię.

- Widziałas tych ekspertów w telewizji, którzy twierdzą, że wielkość nie ma znaczenia? To wariaci, nie wiedzą, co mówią. Wielkość ma znaczenie, i to wielkie, baaaardzo duże. Powinni byli spytać mnie.

- Ale... Przecież... - Sara nie mogła wykrztusić z siebie nic więcej. Bez względu na wagę i znaczenie spraw, o jakich rozmawiały, Mary Beth zawsze umiała rozśmieszyć ją do łez, jak choćby teraz. - Przecież byłaś w nim zakochana!

Mary Beth zabrała rękę i wzruszyła ramionami.

- Miłość jest tylko dla twardzieli.

Kelnerka przyniosła kawę. Sara dołała sobie mleka. Mary Beth piła czarną.

Sara opłotła palcami białą filiżankę, wdychając aromatyczną parę.

- I co? Z nikim się teraz nie spotykasz?

Przyjaciółka pogardliwie odeła wargi.

Skąd ja tę minkę znam? - pomyślała Sara. Upiła łyk kawy. Była wciąż zbyt gorąca. Sięgnęła po aluminiowy dzbanuszek z mlekiem.

- Twoja kolej - oznajmiła Mary Beth. - Opowiadaj wszystko po kolei. Masz u mnie dług. Uratowałam ci życie.

- Niewiele mam do opowiadania - odrzekła Sara wbijając wzrok w filiżankę. - A właściwie jest tego aż za dużo.

- Opowiedz o Nowym Jorku - nalegała Mary Beth. - O twoim wspaniałym apartamencie na dachu luksusowego wieżowca. O twoim wydawnictwie, o Concord Publishing, o tych słynnych autorach i pisarzach, których tam spotykałaś.

Sara westchnęła.

- To już historia. - Odrzuciła włosy na ramiona, poprawiła grzywkę.

Mary Beth niecierpliwie zabębniła palcami w stół.

- No to opowiedz przynajmniej o Chipie. Kiedy zadzwoniłam do ciebie na wiosnę, traktowałaś faceta bardzo poważnie. Co się stało? Dlaczego z nim zerwałaś?

Sara przekrzywiła głowę na bok. Robiła tak zawsze, ilekroć intensywnie myślała.

- No? Dlaczego? - nalegała Mary Beth.

Sara westchnęła, nabrała powietrza, otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili na jej włosy, ramiona i długi sweter trysnął słony prysznic.

Sól? Skąd tu sól?!

Odwróciła się błyskawicznie, by spojrzeć prosto w oczy przystojnemu mężczyźnie siedzącemu przy sąsiednim stoliku. Bo on też się odwrócił, on też na nią patrzył, ściskając w rękę restauracyjną solniczkę.

Sara strzepnęła ze swetra białe kryształki.

- Czy to pan rzucił przez ramię solą? - spytała.

Mężczyzna zaczerwienił się.

- Strasznie panią przepraszam. To jeden z moich niewinnych przesądów.

## 2.

- Rzuciłem przez ramię solą na szczęście, proszę mi wierzyć. Nie wiedziałem, że pani tu siedzi. Jeszcze raz bardzo panią przepraszam. Powinienem był najpierw obejrzeć się.

Mówił z lekkim akcentem. Anglik? Nie, nie Anglik. Irlandczyk. Tak. Na pewno Irlandczyk.

Patrzyła w jego orzechowe oczy. Oczy hipnotyzujące, z kurzymi łapkami w kącikach. Spoglądały na nią spod brązowych krzaczastych brwi.

- Nic nie szkodzi. Jestem... Byłam trochę zaskoczona i... - Chryste, dlaczego się tak jąkam?

Nim zdążyła dokończyć zdanie, mężczyzna wstał. Był dużo wyższy, niż myślała. Szybko odgarnął z czoła brązowe falujące włosy, odsunął krzesło, wyciągnął ku niej rękę i...

Hmm... Co on wyprawia?!

Wsunął dłoń w jej włosy. Łagodnie. Delikatnie. Ostrożnie. Zaczął wytrząsać z nich kryształki soli.

- Tak mi przykro. Proszę mi wybaczyć.

Wełnisty rękaw sportowej marynarki musnął jej czoło.

- To głupstwo, naprawdę...

Serce waliło jej jak młotem. Od dotyku jego ręki dostała gęsiej skórki na karku. Spotkali się wzrokiem. Wciąż skoncentrowany na włosach, zbliżył głowę do jej głowy. Był tak blisko, że czuła gorąco bijące z jego twarzy.

Odwróciła się lekko i zerknęła na dwoje towarzyszących mu ludzi. Tak, widziała, jak wchodzili do restauracji. Kobieta trzydziesto-, najwyżej trzydziestopięcioletnia o sympatycznej twarzy, miłym uśmiechu i krótkich blond włosach z ciemniejszymi odrostami. I przysadzisty olbrzym z zaczerwienioną twarzą i gęstwiną wzburzonych włosów na głowie. Dopijał piwo, spoglądając na Sarę znad kufła, którego uchwyt ginął w dłoni wielkiej jak bochen wiejskiego chleba.

Ten w tweedowej marynarce cofnął się o krok i nie spuszczaając oczu z włosów Sary, oznajmił:

- Już. Chyba już. Przepraszam, że zburzyłem tak piękną fryzurę. - I uśmiechnął się. Pierwszy raz od chwili, gdy na nią spojrział.

Ma ciepły uśmiech, skostatowała Sara.

Podniósł rękę.

- Proszę spojrzeć, to pani włos. - Podał go Sarze. - Niech go pani weźmie, szybko. Proszę poślinić kciuk i palec wskazujący.

Sara zawahała się. O czym on mówi? Czego od niej chce?

- Liam... - To kobieta, która mu towarzyszyła. - Liam - powtórzyła łagodnie - usiądź, proszę.

Wydawało się, że jej nie słyszy.

- Niech pani poślini kciuk i palec wskazujący - powtórzył. - Proszę. - Wcisnął jej do ręki czarny włos.

Nie wiedzieć czemu, posłuchała go.

- Teraz proszę przeciągnąć go między palcami. Jeśli się skreśli, będzie pani bogata. Jeśli pozostanie prosty, będzie pani biedna.

Sara parsknęła śmiechem.

- Chyba znam odpowiedź na to pytanie.

I rzeczywiście: włos pozostał prosty.

Liam pochylił się nad nią.

- Szkoda. - Powiedział to ze szczerym współczuciem, jakby naprawdę wierzył w prawdziwość wróżby.

- Liam, jak pragnę zdrowia. Daj dziewczynie spokój! - wychrypiał gardłowo przysadzisty wielkolud.

- Dobrze, już dobrze. - Jeszcze raz spojrzął na Sarę, wzruszył ramionami, zaczął się odwracać i nagle zastygł bez ruchu. Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Liam patrzył teraz na Mary Beth. - Przecież ja panią znam! - wykrzyknął.

Mary Beth posłała mu uśmiech.

- Dzień dobry, panie profesorze.

On też się do niej uśmiechnął.

- Dziewczyna z kamerą. - Spojrzął na przyjaciół przy sąsiednim stoliku. - W zeszłym tygodniu kręciła o mnie film. Musiałem chodzić po całym kampusie. Chodzić i mówić. „Potrafi pan mówić chodząc?” Niesamowite. Nikt mnie o to nigdy nie pytał.

Olbrzym i kobieta wybuchnęli śmiechem. Liam odwrócił się do Mary Beth.

- To wcale nie takie łatwe - dodał. - Dwa razy się potknąłem.

- Był pan znakomity - odrzekła Mary Beth.

- Film o tobie? - zachrypiał olbrzym. - Pod jakim tytułem? „Dziwacy na kampusie”? „Typy, których należy unikać”?

Roześmiali się. Kobieta poklepała olbrzyma po ramieniu. Poufale, familiarnie.

- To był film dla słuchaczy pierwszego roku - wyjaśniła Mary Beth patrząc na Sarę. - Pokazywaliśmy go na zajęciach zapoznawczych. Takie sławy jak profesor O'Connor niezbyt często goszczą w Moore State.

- Chciała pani powiedzieć: „tacy sławni dziwacy” - zażartował olbrzym. Podniósł kufel, przytknął go do ust i nagle zdał sobie sprawę, że naczynie jest puste. - Panienko! - krzyknął do kelnerki. - Hej, panienko!

Czując jeszcze ciepło jego dłoni, Sara spojrzała na O'Connora z nowym zainteresowaniem. Na pierwszej stronie jednego z ostatnich numerów gazety wydawanej na kampusie widziała artykuł poświęcony znanemu profesorowi folklorystyki,



autorowi kilkunastu książek, częstemu gościowi popularnych programów telewizyjnych, który miał prowadzić seminarium dla słuchaczy ostatniego roku Moore State. Przeczytała tylko dwa pierwsze akapity, i to niezbyt uważnie, bo nigdy nie interesowała się folklorem.

Jest przystojny, pomyślała. Nawet bardzo. Z przyjemnością patrzyła, jak przeczesuje ręką swoje ciemne, gęste włosy, które ciągle opadały mu na czoło, choć je z uporem odrzucał. Była ciekawa, jakie są w dotyku, miała ochotę zanurzyć w nie dłonie, jak on zanurzył dłonie w jej włosy.

Nagle usłyszała, że Mary Beth wypowiada jej nazwisko, że mu ją przedstawia. Wyciągnęła rękę - ujął ją łagodnie i dwa razy potrząsnął. Ma taką ciepłą dłoń, pomyślała. Chryste, a moja jest lodowata! Dlaczego?!

- Miło mi pana poznać, panie profesorze. - To mój głos? Dlaczego jestem taka sztywna, taka zdenerwowana?

Nie puszczał jej ręki.

- Liam. Proszę mi mówić Liam. - Uśmiechnął się do niej brązowymi oczyma.

Ile może mieć lat? Trzydzieści? Trzydzieści pięć? Trudno powiedzieć. Mówi z zaśpiewem, lekko zaciąga, z irlandzka. To takie miłe. Takie czarujące. Wyobraziła sobie maleńkie karzełki płaszące pod muchomorem w szmaragdowozielonej trawie.

Puścił jej rękę i wskazał stół, przy którym siedzieli jego znajomi.

- Saro, pozwól, to moja siostra Margaret.

Margaret skinęła głową jej i Mary Beth.

- A to jest Milton Cohn, mój nowy przyjaciel i kolega po fachu.

Cohn wzniosł pusty kufel jak do toastu i wykrzywił twarz w lekkim uśmiechu. Jego białe włosy przypominały spienioną śmietankę na wiśniowej galaretkie.

Kolega? - pomyślała Sara. Facet wygląda bardziej na zapasnika niż na profesora college'u. Zerknęła na jego dłoń - była tak wielka, że kufel prawie w niej nikał.

- Chyba niosą nam jedzenie - skostatował Liam, widząc kelnerkę dźwigającą na ramieniu długą srebrzystą tacę

zastawioną talerzami i talerzykami. Odsunął krzesło i spojrzal na Sarę. - Jak smakowały krabie nóżki?

Zauważył, co jadłam? Zaczzerwieniła się jak podłotek.

- Były bardzo dobre - odrzekła i natychmiast uznała, że to odpowiedź niewystarczająca. Ani wymowna, ani interesująca.

- Wspaniale, znakomite - dodała.

Uśmiechnął się. Kelnerka musiała go obejść, żeby postawić tacę na stole. Wyrzwał zza jej ramienia i powiedział:

- Na północ od Samoa leży maleńka wysepka, której mieszkańcy zagrzebują skorupy krabów głęboko w piasku. Wie pani, dlaczego to robią? Żeby palające chęcią zemsty kraby nie zmartwychwstały i nie przyszły po nich nocą.

- To bardzo ciekawe - odrzekła niezręcznie Sara.

- Bzdura - burknął głośno Milton Cohn, obficie posypując stek pieprzem. - Niech mu pani nie wierzy, on prawie wszystko zmyśla.

- Milton - wtrąciła Margaret z udawaną naganą w głosie. - Liam jest naukowcem.

- Liam jest kapitalnym łgarzem. - Milton skupił się na jedzeniu i zaatakował stek gwałtownym cięciem ostrego noża.

- Podają tu znakomite krabie nóżki - stwierdziła Sara. - To dla mnie prawdziwa uczta. Niezbyt często mogę sobie na nie pozwolić. - Nagle zdała sobie sprawę, że próbuje przeciągnąć rozmowę, że nie chce, by Liam odwrócił się i usiadł przy swoim stoliku.

- Chwileczkę. - Milton podniósł wzrok znad talerza i nie przestając poruszać potężną szczęką, wycelował w Sarę nóż. - Szuka pani pracy?

- Słucham? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Milton przełknął kęs mięsa. Gulk-gulk - jabłko Adama na jego grubej szyi podskoczyło i opadło.

Ma kark futbolisty, pomyślała Sara. I szyję Frankensteina.

- Szuka pani pracy na pół etatu?

- Eee... tak - odpowiedziała niepewnie. Jezus Maria, wyglądam na taką, co to nie ma centa przy duszy? To dlatego pyta?

- Ona nie ma centa przy duszy - wtrąciła szybko Mary Beth.

Wielkie dzięki, kochanie. Może puścimy wokoło ostatni wyciąg z mojego konta bankowego, żeby wszyscy mogli go sobie obejrzeć, co? Doszła do wniosku, że przyjaciółka próbuje jej pomóc.

Cohn wychylił się zza Liama.

- Moja asystentka jest w ciąży i wykorzystuje każdą nadarzającą się okazję, żeby nie przychodzić do pracy. - Podniósł grubą rękę i zasłonił usta, tłumiąc beknięcie.

Jakim cudem uwalną sobie wierzch dłoni? - pomyślała Sara.

- Bywa u mnie tylko dwa razy tygodniowo - kontynuował Milton. - Przydałby mi się ktoś na pozostałe trzy.

- Hmm... To by mnie nawet interesowało — odrzekła z wahaniem Sara. Gapi się na mój biust. Dlaczego gapi się na mój biust? - Jeśli godziny pracy nie będą kolidowały z moim planem zajęć - dodała szybko. - Robię dyplom z psychologii.

Liam odwrócił się do niej.

- Z psychologii? To interesujące. Poznałaś już Geraldine Foyer?

Sara zastanawiała się przez chwilę i pokręciła głową.

- Nie. Zajęcia rozpoczęły się w zeszłym tygodniu. Poznałam ledwie kilku wykładowców.

- Będę musiał cię jej przedstawić.

Sara spostrzegła, że Margaret posyła bratu pytające spojrzenie. Przeniosła wzrok na Milтона.

- Jakich umiejętności wymagałaby ta praca?

Cohn wykrzywił twarz w uśmiechu i zerknął na Mary Beth.

- Umie pani mówić chodząc? Jeśli tak, nie ma sprawy. Praca polega głównie na sortowaniu fiszek i odbieraniu telefonów. Gówniane zajęcia za gówniane pieniądze.

- Milton, nie przy jedzeniu! - zaprotestowała Margaret z afektowaną stanowczością.

Sara parsknęła śmiechem.

- Tego właśnie szukam. - I niewiele myśląc wypaliła: - A pan? Czym się pan zajmuje?

Wyglądało na to, że pytanie go zaskoczyło, bo nagle przestał żuć.

- Jestem dziekanem do spraw studenckich.

Nigdy bym się nie domyśliła! Trener uczelnianej drużyny futbolowej albo szef ochrony - owszem, czemu nie. Ale dziekan do spraw studenckich?!

Już miała zamiar powiedzieć coś na ten temat, gdy Milton wstał. Otarł usta serwetką, cisnął ją na krzesło, wyszedł zza stołu i ruszył w jej stronę.

- Powiniennem przedstawić się, jak na dziekana przystało.

Postąpił krok do przodu.

Zabrzmiały dwa wystrzały.

Milton wydał z siebie zduszony jęk, chwycił się za pierś, przewrócił oczami i zaczął powoli osuwać się na podłogę.

### 3.

Liam wykonał szybki półobrót i podtrzymał olbrzymą, zanim ten upadł.

- Milton, ty naprawdę masz poczucie humoru studenta pierwszego roku.

Cohn otworzył oczy, błyskawicznie odzyskał równowagę i wybuchnął donośnym śmiechem.

- Właśnie dlatego ciągle jestem w college'u. - Spojrzał na Sarę. - Chyba panią nabrałem.

Sara z trudem przełknęła ślinę.

- Chyba tak.

Milton wskazał ręką w stronę baru i w tej samej chwili znowu zabrzmiały dwie głośnie salwy, zagłuszając restauracyjny gwar.

- Nasze „strzelbawki” - wyjaśniła Mary Beth. - Ta knajpa z nich słynie.

Sara wyciągnęła szyję. Barman napełnił wódką dwa wąskie kieliszki i trrach-trrach! - postawił je z trzaskiem na marmurowej płycie kontuaru. Dwaj młodzi mężczyźni w wypłowiałych

dżinsach i swetrach przytknęli je do ust, gwałtownie odchyliłi głowy i wypili alkohol jednym haustem.

Sara spojrzała na Milтона. Stał tuż przy niej, ścisnął ją za ramię.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem. Mam chore poczucie humoru.

- Owszem, i to śmiertelnie - zażartował Liam nie odwracając głowy.

Sara poruszyła się. Czowała się nieswojo. Ciężka łapa Milтона wciąż spoczywała na jej ramieniu. Co jest? Przepraszam mnie czy obmacuje?

Chyba czytał w jej myślach, bo powoli zabrał rękę.

- Jeśli praca asystentki panią interesuje, proszę do mnie spaść jutro po południu, będę w administracji. Zechce pani powtórzyć swoje nazwisko?

- Sara Morgan.

Skinął poważnie głową na znak, że je zapamiętał, po czym wrócił na swoje miejsce.

Bolało ją ramię. Chryste, facet nie zdaje sobie sprawy ze swojej siły, pomyślała.

Margaret pochyliła się nad stołem i zaczęła mówić coś do Liama. Sara spojrzała na Mary Beth, która szukała pieniędzy w swoim brązowym portfelu.

- Płacimy pół na pół - oświadczyła Sara sięgając po torebkę.

Mary Beth podniosła rękę w kategorię proteście.

- Wykluczone. Dzisiaj ja stawiam. - Odliczyła trzy dwudziestki. - Zafundujesz mi obiad po pierwszej wypłacie. - Nachyliła się ku przyjaciółce i szepnęła: - Ale fart, co?

- Piekielny - odszepnęła Sara myśląc o Liamie, nie o Miltonie.

- Wygląda na płatnego mordercę - dodała cicho Mary Beth - ale słyszałam o nim same dobre rzeczy. Został dziekanem pod koniec zeszłego roku. Poprzedniego dziekana przyłapali na golasa w furgonetce z dwiema studentkami. Nie z jedną, lecz z dwiema, wyobrażasz sobie? Dokładnie je policzyli. - Odęła wargi, wzruszyła ramionami. - Nie ma to jak

zażyłość w stosunkach międzyludzkich. Pewnie myślał, że dobrze na tym wyjdzie.

- Milton by się w furgonetce nie zmieścił! - szepnęła Sara zerkając przez ramię, by się upewnić, że Cohn jej nie słyszy. Nie, pochłonięty masakrowaniem resztek steku na pewno nic nie słyszał. - Jest żonaty?

- Milton? Chyba nie. - Mary Beth zmrużyła oczy i przeszyła ją badawczym spojrzeniem. - Dlaczego cię to interesuje?

Sara przewróciła oczami.

- Nie Milton. Liam.

Mary Beth parsknęła śmiechem.

- Nie, jest wolny.

- To pedał?

- Skąd mam wiedzieć? Wywiad trwał ledwie pół godziny. Mieszka z siostrą, tylko tyle z niego wyciągnęłam. Przydzielono im uczelniany dom gościnnie. No wiesz, tę białą chałupę na końcu Yale.

Sara zagryzła dolną wargę.

- Tak, chyba wiem. Za naszych czasów mieszkała tam Jessica Goldblatt. Jessica Goldblatt i ta wysoka ruda dziewczyna.

Mary Beth zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam. Czarus z niego, co? - rzuciła, gdy kelnerka zabrała talerze i pieniądze.

- Czarus?! - wykrzyknęła Sara. - Wiesz, kogo mi przypomina? Daniela Day-Lewisa. Kilka tygodni temu wypożyczyłam „Wiek niewinności”. Widziałam ten film ze dwadzieścia razy, a „Ostatniego Mohikanina” nawet kupiłam.

- Jesteś chora - mruknęła Mary Beth. Wstała i zarzuciła torebkę na ramię. - Nie. Jesteś po prostu niepoprawną romantyczką, kochanie. To gorsze niż choroba.

- Nie uważasz, że jest do niego podobny? - upierała się Sara.

Mary Beth pokręciła głową i poprawiła sukienkę.

- Do Daniela Day-Lewisa? Chyba ci się przyśniło!

Sara wzięła torebkę. Wstała. Kichnęła.

Liam odwrócił się błyskawicznie.

- Na zdrowie.

- Dziękuję. - Sara poczuła, że znowu ma wypieki.  
- Jaki dziś dzień? - spytał Liam świdrując ją roziskrzonymi oczami.

Sara szperała w torebce w poszukiwaniu chustki.

- Dlaczego?

- Jest taka stara rymowanka z Lancashire. - Wbił wzrok w sufit, próbując ją sobie przypomnieć. - „Kichniesz w poniedziałek, śmierć ci niechybnie pisana. Kichniesz we wtorek, obcego pocałujesz z rana”. Dzisiaj jest wtorek, prawda? - stwierdził z uśmiechem, zbliżając twarz do jej twarzy.

Flirtuje ze mną, skonstatowała Sara. Najnormalniej w świecie ze mną flirtuje.

- A jak jest w pozostałe dni tygodnia, panie profesorze? - spytała.

- Liam. Mów mi Liam.

- Niech go pani nie zachęca - mruknął chrapliwie Milton.

- Jak zacznie cytować te angielskie wierszyki, wyjdziemy stąd o północy.

Liam puścił tę uwagę mimo uszu. Nie spuszczał oczu z Sary.

- Hmm, niech no pomyślę - szepnął. - „Kichniesz w środę, list wkrótce dostaniesz. Kichniesz w czwartek, mocniej na nogach staniesz”. - Wstrzymał oddech, próbując przypomnieć sobie zakończenie rymowanki. - „Kichniesz w piątek, biada ci, ach, biada. Kichniesz w sobotę, podróż czeka cię nie lada. Kichniesz w niedzielę, ratunku szukaj co dnia, bo diabeł cię opęta na resztę tygodnia”.

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, Sarę przeszedł zimny dreszcz.

- Liam - spytała żartobliwie - czy wszystkie stare rymowanki mają takie okropne zakończenia?

Profesor O'Connor natychmiast spowaźniał.

- Tak. Obawiam się, że tak.

## 4.

- Jak tam twój kotlet, detektywie Montgomery?

Poczuł, że Angel staje za nim, że go obejmuje i delikatnie przytula. Pachniała pomarańczami i cebulą.

- Mój jest znakomity. A twój? - Przywarł policzkiem do jej rękawa.

- Jeszcze nie próbowałam.

Odsunęła się od niego, obeszła stół i stanęła przy dziecku. Martin bujał się na wysokim krzeselku i mrucząc z wyraźnym ukontentowaniem, gmerał paluszkami w misce z makaronem, który z lubością pakował do buzi. Według obliczeń Garretta średnia udanych prób wynosiła pięćdziesiąt procent. Nieźle jak na rocznego dzieciaka.

Detektyw Garrett Montgomery uwielbiał wyszukiwać coraz to nowe powody do dumy z synka. Przy porannej kawie Angel stwierdziła, że jest ojcem kompletnie zaślepionym, że nigdy się tego po nim nie spodziewała. „Jesteś dumny nawet z tego, że Martin tyle gaworzy!” - tak powiedziała.

Garrett musiał przyznać, że jego samego też to zaskoczyło. To Angel wpadła na pomysł, żeby mieć dziecko akurat teraz. On chciał trochę odczekać, aż będą mogli sobie na to pozwolić, aż staną mocniej na nogach, aż wyklaruje się ich przyszłość.

A teraz zrywał się każdego ranka i na złamanie karku pędził do kołyski Martina, ciekawy, jakie niespodzianki malec im wyszykował. Po służbie natychmiast spieszył do domu, żeby sprawdzić, ile milimetrów wzrostu przybyło chłopakowi - jego chłopakowi! - od chwili, gdy widział go po raz ostatni. Dziecko w domu, myślał. To naprawdę interesujące. O wiele bardziej interesujące niż gapienie się na Waltera, który siedział w drugim końcu pokoju i cały czas dłuwał spinaczem w swoich krzywych zębiskach.

Angel krzątała się wokół Martina, podnosząc z blatu upuszczone kluski i wkładając mu je do buzi. Bobas chwycił



jedną z nich, rozgniół ją swymi brązowymi paluszkami i cisnął na podłogę.

Ma niezły wymach, skonstatował Garrett. Będzie sportowcem, jak ja. On sam w szkole średniej dobrze biegał, ba! był gwiazdorem bieżni, dopóki nie upadł i nie uszkodził sobie kolana. Próbował grać w kosza, ale miał kiepskie oko. Jednak najgorsze było dryblowanie - przeżywał prawdziwe katusze, gdy musiał odbijać piłkę w biegu. Cóż, nie z każdego wysokiego Murzyna wyrośnie następcą Michaela Jordana.

Mimo to co rano intensywnie ćwiczył. Chociaż trochę przytył - ważył prawie osiemdziesiąt dwa kilo - nadal szybko biegał. Nie to, żeby musiał tę umiejętność wykorzystywać. Nie, nie tutaj, nie w tym mieście.

Ale przynajmniej wiedział, że nigdy nie będzie wyglądał jak Walter, który miał ledwie dwadzieścia pięć lat, a już napierał na biurko pokaznym brzuszkiem.

Oczywiście wyobraźni zobaczył pączki z kremem na biurku Waltera. I samego Waltera w granatowym mundurze uwalonym cukrem pudrem. Parsknął śmiechem. Boże, toż to karykatura policjanta!

Spojrzał na żonę stojącą za stołem. Ubrudziła sobie sweter. Ubrudziła? Nie, to Martin go ubrudził.

- Nie usiądziesz? Zjedz coś.

Przykucnęła, żeby pozbierać z podłogi porozrzucane kluski.

- Najpierw dam mu jeszcze jedną miseczkę makaronu. Twój syn ma niezły spust.

Garrett kiwnął głową.

- No pewnie. - Przełknął gulę tłuczonych ziemniaków, odkroił kawałek schaboszczaka, spojrzał na długi ogórek na talerzu. - Ogórki - wymamrotał. - Ogórasy jak...

- Co mówisz? - spytała Angel idąc w stronę kuchenki. - Nie smakuje ci?

- Nie, przypomniała mi się reklama ogórków w telewizji. Próbują wmówić ludziom, że długie ogórki są najsmaczniejsze.

Angel zdjęła pokrywkę z garnka, nałożyła klusek do miseczki Martina i pokręciła głową.

- Tylko mi nie mów o długich ogórkach.

Garrett błysnął zębami w lubieżnym uśmiešku.

- Masz brudne myśli.

Angel też się uśmiechnęła.

- A ty to uwielbiasz. Kochanie, czy to twój rewolwer, czy po prostu cieszysz się na mój widok?

To jeden z ich ulubionych żarcików. Małżeństwo, pomyślał rozanielony Garrett. Ulubione żarciki...

Martin grzmotnął w blat obiema piąstkami.

- Daaa! Daaa!

Garrett zaczął go naśladować. Uderzył w stół i zawtórował synkowi:

- Daaa! Daaa!

Martin roześmiał się.

- Dwoje dzieci - mruknęła Angel. - Mam dwoje dzieci. - Postawiła miseczkę przed Martinem, a gdy brzdąc chwycił naczynie obiema rączkami, usiadła naprzeciwko męża.

Jest taka beztroska, ma tyle wdzięku, obserwując ją pomyślał Garrett. W tym obszernym swetrze wygląda jak mała dziewczynka. Odkąd się poznaliśmy, ani trochę się nie zmieniła. Ile to mieliśmy wtedy lat? Chyba po szesnaście.

Nabiła na widelec kawałek kotleta i odeła wargi.

- Musisz iść? Może dałbyś im dzisiaj spokój?

- Komu?

- Jak to komu? Przestępcom.

Przestępcom! Świetny żart. Telefon w malutkim parterowym posterunku za pocztą dzwonił najwyżej raz w miesiącu. Przełknął ziemniaki.

- Muszę dotrzymać towarzystwa Walterowi.

- Przecież w tym miesiącu masz dzienną służbę. Walter nie da sobie rady?

- Ten bęcwał? Trzeba go niańczyć jak Martina!

- A gdzie Harvey?

- Zabrał żonę do teatru, do Harper Falls. Jej kuzyn jest dyrektorem czy może reżyserem.

Angel zmarszczyła czoło.

- Harvey zabrał żonę do teatru?

- Na pewno prześpi całe przedstawienie.

- A dokąd ty mnie zabierasz? Kiedy ostatni raz zabrałeś mnie do teatru albo do kina? - Nie, nie robiła mu wyrzutów, tylko się z nim droczyła.

- Martin dostarcza nam więcej uciechy niż najlepsze przedstawienie.

Angel uśmiechnęła się do dziecka.

- To prawda.

Wzięła serwetkę i wytarła synkowi buzię. Martin odepchnął jej dłoń, podniósł ręce, zsunął się z krzeselka i wyładował na pupie.

- A to cwaniak! Nie wiedziałem, że umie z tego schodzić! - wykrzyknął z dumą Garrett.

- Bystry z niego dzieciak.

Martin próbował wstać. Rączka zaplątała mu się w śliniaczek. Garrett przeczytał naszywkę na jego czerwonym kaftaniku: „OshKosh B'Gosh”.

- Masz mokro? - zawołała Angel do synka. - Zmienić ci pieluszkę?

Martin wstał i zrobił kilka niezdatnych kroków w stronę kuchni. Angel zerwała się na równe nogi, ale Garrett uspokoił ją gestem ręki.

- Jedz, jedz. Nie spuszczam go z oka.

- Nie pozwól mu podejść do kuchenki, jest jeszcze gorąca.

Nabrała na widelec trochę ziemniaków i szybko je przełknęła. Ruchliwy berbecę przyzwyczaił ich do jedzenia w biegu.

Garrett powiódł wzrokiem po małej, zagraconej kuchni w poszukiwaniu niebezpiecznych dla dziecka miejsc. Kapiący kran. Fiknięty blat lady. Tylko dwa działające palniki.

Jest za mała, skonstatował w duchu. Nie wygląda źle, ale jest po prostu za mała. Wszędzie coś stoi, wszystkie półki są zapchane. Nie ma miejsca na choćby jeden dodatkowy garnek albo filiżankę.

Ojciec Angel był lekarzem, dzięki czemu do ślubu wiodła dostatnie życie typowej przedstawicielki klasy średniej. Garrett lustrował kuchnię i czuł, że robi mu się gorąco: ilekroć wracał z pracy, ogarniało go paskudne uczucie, że zawiódł żonę.

Oboje pracowali, mimo to nie potrafili urządzić domu w taki sposób, żeby choć trochę przypominał dom, w którym się wychowała. Może gdyby go odmalował, gdyby miał więcej czasu na drobne naprawy...

- Dużo myślałem o tym, co powiedział mój brat.

Wytarła chlebem tłuszcz z talerza. Jej ręka zawisła w polowie drogi do ust.

- Daj spokój. Naprawdę nie chcę przeprowadzać się do Atlanty. Tu mi się podoba.

- Gdybym przyjął pracę, którą mi zaproponował, moglibyśmy pozwolić sobie na ładniejszy dom. Taki z podwórzem. No wiesz, z miejscem, gdzie Martin mógłby się bawić.

Odłożyła chleb na talerz.

- Detektywie Montgomery, wiem, co to jest podwórze.

Roześmiał się. Nie wiedzieć czemu, lubił, kiedy zwracała się do niego per „detektywie Montgomery”.

- Mówię poważnie, Angel. Lepiej by nam się żyło. Mieszkalibyśmy w wygodniejszym domu. Może nawet odłożylibyśmy trochę pieniędzy. Na college Martina.

Spojrzała na niego swymi kocimi, zielonymi oczami i znowu maznęła chlebem po talerzu.

- Czyżbyś o czymś zapomniał?

- Ja? O czym?

- O tym, że podoba ci się praca w policji. Że nie cierpiałbyś sprzedawania mebli. Zapomniałeś już, co myślisz o swoim bracie? Przecież twierdzisz, że to ostatni palant.

- Długo tych mebli bym nie sprzedawał. Zostałbym kierownikiem sklepu. Albo znalazłbym sobie jakąś inną robotę. Tutaj nic nie zarobię. Nie jestem nawet prawdziwym gliniarzem. Bo co to za miasto? Kilka ulic na krzyż, parę sklepów i college. Gliniarz z kampusu, oto kim naprawdę jestem. Przeprowadzam dzieci przez ulicę. Powinienem jeździć rowerem, nie radiowozem. Posterunek. To zapyziała nora, nie posterunek. Sześciu ludzi, których jedynym zadaniem jest pilnowanie, żeby któryś z tych gówniarzy nie wpadł pod samochód albo nie przyćpał po wygranym meczu.

Angel posłała mu krzywy uśmiech.

- Gdzie ja już to słyszałam?

- Będę to powtarzał bez końca - zagroził Garrett. - Chyba że zgodzisz się na przeprowadzkę do Atlanty.

Podrapała się w czoło. W swoje wysokie czoło. Uwielbiał jej czoło. I jej kocie oczy.

- Sęk w tym, że ja lubię swoją pracę, Garrett. I nie zapominaj, że niedługo czeka mnie awans. No i mamy tu przyjaciół, których też bardzo lubię. Dobrze, zgoda: pałac to nie jest. Ale jakoś dajemy sobie radę, prawda?

- Twój ojciec zawsze uważał, że się dla ciebie nie nadaję. Jestem przekonany, że nadal tak uważa.

Co go, do cholery, napadło?!

Wcale tak nie myślał, więc dlaczego z tym wyskoczył? Czyżby słowa te cały czas czaiły się w najgłębszych zakamarkach mózgu, czekając na odpowiednią chwilę, żeby z nich nagle wychynąć?

Angel otworzyła usta, zmrużyła oczy, przeszła go spojrzeniem.

- Idź do pracy, Garrett. Uważam, że nieźle sobie radzimy. I nie mieszaj do tego mojego ojca. Nigdy o tym nie myślę. Ty też nie powinieś.

Garrett sięgnął po kurtkę od munduru.

- Przepraszam, nie chciałem...

Jej twarz złagodniała. Angel wzięła na ręce Martina i odwróciła go do męża.

- Powiedz tatusiowi pa, pa.

Martin pomachał mu swoją pulchną brązową rączką. Garrett odpowiedział mu tym samym i spojrzał na żonę.

- Zadzwoń później. - Z kurtką na ramieniu ruszył do drzwi.

Szybko zabięła mu drogę, przytuliła dziecko do ramienia, stanęła na palcach i cmoknęła męża w policzek.

- Wiesz, czego ci potrzeba? Wielkiej fali przestępstw. Poprawiłaby ci samopoczucie.

Garrett parskał śmiechem.

- Będę trzymał kciuki.

- Reba! Zaczekaj, Reba!

- Nie. Przyspiesz kroku. Nie zatrzymuj się!

Yale Avenue truchtały dwie dziewczyny. Ich ciemne włosy powiewały na wietrze niczym proporce, niebieskie plecaki objęły się ciężko o plecy.

- Nie mogę, dostałam kolki.

Reba Graham przystanąła, odwróciła się i ciężko dysząc, oparła ręce na kolanach.

- Nie zdążymy, nie wpuszczą nas do akademika. Już pewnie po capstrzyku.

Suzanne Schwartz trzymała się za bok, boleśnie wykrzywiając twarz.

- Chryste, dlaczego posłuchałyśmy tych chłopaków?

- Chłopaków? - prychnęła Reba. - Oni nie mają z tym nic wspólnego. To trawka, to przez trawkę. Jeszcze teraz we łbie mi się kręci.

- Jared był miły.

- Jak na mój gust za bardzo się naćpał. Ciągłe miętosił rękaw mego swetra. Jakby nigdy w życiu nie dotykał wełny. Jestem przekonana, że był już na haju, zanim przyszłyśmy. - Pociągnęła Rebę za rękaw kurtki. - Chodź. Nie zamierzam spać na dworze.

Suzanne posłała przyjaciółce diabelski uśmiezek. W jej ciemnych oczach zabłysły refleksy światła z pobliskiej latarni.

- Zawsze możemy do nich wrócić.

Reba pokręciła głową.

- Jesteś zepsuta, Suzanne. Chodź. Biegnij.

Suzanne poprawiła plecak, odgarnęła włosy ze spoconego czoła i ruszyła za przyjaciółką. Było jej wesoło, miała ochotę zaśpiewać tytułową piosenkę z musicalu „Oklahoma!” Na wiosnę zeszłego roku wystawiali go w szkole średniej i ciągle jeszcze pamiętała słowa.

Skręciły na kampus. Przecięły Krąg. Księżyc przesłoniły czarne, wystrzępione obłoki. Reba wyprzedzała Suzanne o kilka metrów.

- Zaczekaj!

Reba była sportsmenką. Była sportsmenką nawet po trawce. Suzanne zawsze należała do słabeuszy.

- Reba! Zaczekaj! Nie mogę biec tak szybko!

Ku zdziwieniu Suzanne Reba gwałtownie przystanąła. Podniosła prawą nogę.

- Niech to licho! - krzyknęła głośno.

Suzanne zmrużyła oczy w żółtawym świetle latarni.

- Co się stało? Nadwerężyłaś mięsień?

- Nie, wdepnęłam w coś. Ohyda.

Pierwsza zauważyła ją Suzanne. Początkowo myślała, że to manekin albo kukła, bo ręce, nogi i głowa dziewczyny były nienaturalnie powykręcane.

Ale zaraz potem zobaczyła czarną krew, nagą kość w miejscach, gdzie obdarto ją ze skóry, wnętrzności wywleczone z rozprutego brzucha.

I już wiedziała, co to jest.

Patrzyła na powyginane, horrendalnie okaleczone ciało.

Reba zdjęła coś z buta.

- Co to? Jakaś... parówka? O mój Boże!

Zobaczyła powyginane, horrendalnie okaleczone ciało.

To nie była parówka. To był fragment jelita martwej dziewczyny.

Trzymam jej flaki...

Jęknęła, rozwarła dłoń, upuściła jelito na ziemię. Upadło na chodnik z miękkim młaśnięciem.

Żołądek podjechał jej do gardła, dławiąc przeraźliwy krzyk.

W przebłysku świadomości pomyślała, że jeśli będzie krzyczeć wystarczająco głośno, upiorny widok zniknie jak niedobry sen.

## 5.

Liam wychylił się za parapet i zamknął obie połowy okna. Spojrzał na ulicę. Zamglony półksiężyc przesłoniły długie, poskręcane niczym węże chmury i po ziemi pełzały oliwkowo-szare cienie.

Odwrócił się. Margaret zdjęła prochowiec i przewiesiła go sobie przez ramię.

- Napijesz się herbaty? A może masz ochotę na coś mocniejszego? Whisky z wodą sodową? Szklaneczkę Bailey's?

Margaret skrzywiła się.

- Dobrze wiesz, że tego nie cierpię. Smakuje jak czekoladowe mleko.

Syknął, zacmokał, pokręcił głową.

- Nigdy nie obrażaj dobrej irlandzkiej whisky.

Margaret westchnęła.

- Czy to jeden z twoich przesądów?

- Nie, to złota zasada!

Nie zawtórowała mu śmiechem. Starannie ułożyła płaszcz na wysokim oparciu fotela i rozejrzała się wokół. Wciąż nie była pewna, gdzie co jest. Czy w tym starym, pełnym przeciągów budynku kiedykolwiek poczują się jak w prawdziwym domu? Przynajmniej jej mieszkanie na górze było ciepłe i przytulne.

Liam westchnął.

- To przez tę kolację, prawda? Wiem, że nie lubisz siedzieć tak długo bez ruchu.

Pstryknął włącznikiem lampy. Trzeba zmienić ten czerwony abażur, pomyślał. Światło pada tylko na podłogę, pokój jest ciemny.

Margaret ziewnęła i poczochrąla włosy.

- Co myślisz o Miltonie? - Nie oczekiwała odpowiedzi. Tak naprawdę pytanie wcale nie było pytaniem. - Wygląda na człowieka jowialnego. Ale czuję się przy nim nieswojo.

Liam podszedł bliżej, położył dłoń na ramieniu dziewczyny i potarł rękaw jej swetra, jakby chciał ją ogrzać.

- Bo jest taki wielki?

- Wielki i gburowaty. Przypomina mi starego capa.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się wesoło. Margaret celowała w zaskakujących porównaniach.

- Capa?

- Cap Billy Gbur. Na pewno znasz tę powiastkę.

Liam potarł brodę.

- Tak, pochodzi ze Skandynawii.



Stanął przy spękanej skórzanej otomanie, z wdziękiem przycupnął na jej brzeżku i rozbawiony spojrzął na Margaret.

- Wiesz, że stare capy przynoszą szczęście? Jest taka rymowanka, chyba z dziewiętnastego wieku... - Zamknął oczy i wyrecytował: „Niektórzy mówią, gorze ci, gorze, gdy twierdzą, że w oborze lekarzem jestem. Zapach mój tymczasem wiele chorób odstrasza”.

Margaret pokręciła głową.

- A choroba wciąż nie ustępuje - mruknęła.

Liam drgnął, wykrzywił twarz.

- Kalambury to najmarniejsza forma dowcipu.

- Skoro zamierzasz siedzieć tu i recytować wiejskie rymowanki, zniesiesz jakoś jeden marny kalambur. - Podeszła do okna. - Zimno tu. Spójrz. Szyby wylatują z ram. Całą zimą będziemy chorować na zapalenie płuc, i ty, i ja. Swoją drogą, jakim cudem możesz spamiętać te wszystkie stare wierszydła?

Liam pochylił się nad okrągłym stolikiem do kawy przed otomaną, wziął karafkę i nalał sobie małą szklaneczkę whisky. Na jego skąpanej w czerwonym blasku twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- To cecha rodzinna. Mam to we krwi.

Margaret zmarszczyła brwi. Odsloniła aksamitne, mocno wygniecione kotary i wyjrzała na ulicę. Chodnikiem po drugiej stronie jezdni biegły dwie dziewczyny z plecakami.

Spóźniły się, już dawno po capstrzyku, pomyślała patrząc, jak truchtają w stronę kampusu. Jeśli mieszkają w akademiku, będą miały poważne kłopoty.

- Czy w chicagowskich akademikach mają capstrzyk? - spytała. - Nie pamiętam.

- Nie - odrzekł Liam sącząc whisky. - Ale te małe pensylwańskie miasteczka... Tu się nic nie zmienia. Tu czas stoi w miejscu. - Upił łyk trunku.

- Rozmawialiśmy o Miltonie - powiedziała spoglądając w mglistą noc.

- O capie Miltonie. - Wstał i przeciął pokój, ostrożnie niosąc przed sobą szklaneczkę whisky.

- Ma olbrzymie dłonie. To dlatego powiadają, że ktoś ma

dłonie jak bochny chleba? To określenie znakomicie do niego pasuje.

Liam zachichotał.

- Cap z dłońmi jak bochny chleba? Coś tu nie pasuje. Dlaczego patrzyłaś na jego dłonie?

Margaret odwróciła się od okna.

- Trudno było nie patrzeć. Myślałam, że lada chwila zmiażdży kufel.

Liam postawił szklaneczkę obok klatki z królikiem, wziął marchewkę i wetknął ją między pręty.

- Milton jest w porządku. Myślę, że to interesujący człowiek.

- Interesujący? Kiedy głądził o swojej kolekcji noży, cały czas ziewał. Przepraszam. Chyba mnie trochę przestraszył. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że on i te noże... Olbrzym o dłoniach jak bochny chleba i kolekcja noży. Okropne.

- Przecież z takimi rękami nie może kolekcjonować narostków, prawda? - zażartował Liam.

Roześmiali się.

Liam podsunął marchewkę pod pyszczek królika.

- Masz, Febe, jedz. Na co czekasz? Jedz. - Zerknął na Margaret. - To chyba irlandzka króliczka. Prędeż zje swoje własne bobki niż świeżą, soczystą marchewkę.

Margaret zadrżała. Zaciągnęła kotarę i odeszła od okna.

- Właściwie po co trzymasz to odrażające zwierzę?

Liam nie odpowiedział od razu.

- Ze względu na jego łapki. Królicze łapki przynoszą szczęście.

Chwilę później usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Oboje aż podskoczyli. Liam wepchnął marchewkę do klatki i ruszył do drzwi.

- Jest bardzo późno. Ciekawe, kto to.

Margaret uśmiechnęła się.

- Może to cap Milton? Pewnie przyszedł pożyczyć trochę brukwi na kolację.

Liam przystanął, żeby zerknąć do lustra nad kominkiem.

- Jesteś okrutna. Naprawdę okrutna.

Znowu pukanie. Puk-puk-puk. Tym razem znacznie cichsze, delikatniejsze.

- Już idę!

Otworzył drzwi. Chwilę trwało, nim rozpoznał kobietę stojącą w progu. Rude włosy zasłaniające oko - rozczochrane, skatowane wiatrem i ondulacją - jaskrawoczerwona szminka...

- Andrea!

- Dobry wieczór, panie profesorze. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Odgarnęła długą grzywkę i posłała mu uśmiech. Bardzo seksowny uśmiech, skonstatował. Znowu się uśmiechnęła.

- Ależ skąd. Wejdz. - Cofnął się w głąb pokoju, żeby zrobić jej przejście.

Wraz z Andreą DeHaven do saloniku wtargnął podmuch zimnego powietrza. Liam zamknął drzwi, odwrócił się i stwierdził, że dziewczyna nie spuszcza z niego oczu, że świdruje go spojrzeniem.

Miała na sobie szkarłatne rajstopy i długi, tęczowo-szkarłatny sweter kłócący się kolorem z rudymi włosami i jaskrawoczerwona szminka. Z uszu zwisały jej długie kolczyki z czarnego szkła, a na sterzących piersiach kołysał się ciężki sznur czarnych, pobrzękujących dźwięcznie koralu.

Uderzył go ostry, słodki zapach perfum. Margaret na pewno je rozpozna. Pachną tak intensywnie. Kąpała się w nich czy co?

- Margaret, pamiętasz Andreę DeHaven, naszą uroczą gospodynię? - spytał z przesadną galanterią.

- Ależ oczywiście - odrzekła Margaret z wymuszonym uśmiechem.

Andrea odwróciła się, zauważyła ją dopiero teraz. Rzuciła zdawkowe: „Miło panią znowu widzieć”, po czym przeniosła wzrok na Liama.

Wilgotne oczy, pomyślał. Niebiesko-wilgotne oczy. Ciekawe, ile może mieć lat? Próbował nie patrzeć na jej spiczaste piersi wypychające grubo sweter. Byłaby całkiem seksowna, gdyby tak bardzo się o to nie starała.

Wróć, poprawka. Ona jest całkiem seksowna.

Była krzepką kobietą. Z grubymi udami. Pamiętał, że gdy w sierpniu oprowadzała go po domu, miała na sobie obcisłe zielone spodnie. Tak, doskonale te spodnie pamiętał. Pamiętał, jak go dotykała, gdy obchodzili pokoje, jak muskała dłońią jego dłoń, jak ścisłała go za ramię. Po przyjacielsku. Pamiętał jej włosy na swoim policzku.

Ile razy wspomniała, że jest wdową? Co najmniej kilkanaście. Patrzyła na niego jak teraz, z takim samym smutkiem, jakby pragnęła przekazać mu jakiś sekret.

- Byłam po sąsiedzku, odwiedzałam przyjaciółkę - wyjaśniła. - Mijając dom, zobaczyłam światło i pomyślałam sobie, że wpadnę na chwilę i zobaczę, jak państwo sobie radzą.

- To bardzo miło z pani strony - odrzekła Margaret chłodno.

Andrea nawet nie odwróciła głowy. Patrzyła na Liama.

- Nie przywykliśmy do tak sympatycznych gospodyń - dodał znacząco Liam.

- To małe miasteczko, wszyscy są tu sympatyczni - odparła Andrea spuszczać oczy. Oblizła uszmiłkowane wargi. - Trzymałam kciuki, żeby się tu państwu spodobało. - Pokazała mu rękę. Długie czerwone paznokcie, skrzyżowane palce.

Liam delikatnie ujął prawą dłoń Andrei.

- Cieszymy się, że do nas wpadłaś. Naprawdę. Czy wiesz, dlaczego Amerykanie i Anglicy krzyżują palce? - Nie puszczał jej ręki. Czuł dotyk jej dłoni, cieplej, wilgotnej i miękkiej niż czym dojrzała brzoskwinia. - Krzyż jest symbolem jedności doskonałej. - Musnął jej zetknięte palce. - Tworzą kształt krzyża, widzisz? Miejsce, gdzie ramiona krzyża się przecinają, jest miejscem spełnienia. Wystarczy wypowiedzieć życzenie.

- Nie wiedziałam - szepnęła Andrea.

Miał wrażenie, że zadrżała. Jest za łatwa, pomyślał puszczać jej rękę. Spojrzał w dół.

- Jakie piękne palce - dodał. - Jakie długie. To symbol płodności i długiego życia.

Andrea zachichotała.

- Liam... - To Margaret. Jej głos dochodził z ciemności niczym z krańców systemu słonecznego. - Liam, Andrea nie wpadła do nas po to, żebyś wróżył jej z ręki.

Liam spojrzał dziewczynie w oczy.

- Wcale jej nie wróżę. Opowiadam tylko o prastarych wierzeniach niektórych ludów. Wiesz, Chińczycy przywiązują olbrzymie znaczenie do długości paznokci. Obcinając je za krótko, skrucasz sobie życie.

Andrea zerknęła na swoje paznokcie.

- To bardzo ciekawe, ale... ale moje są sztuczne. - Parsknęła śmiechem. Wyglądało na to, że wyrwała się z hipnotycznego transu, w jaki wprowadził ją Liam. - No, muszę już pędzić. - Odgarnęła włosy, szybko zlustrowała salonik. - A więc nie narzekają państwo?

- Ależ skąd - zapewnił ją Liam. - Jest nam tu bardzo wygodnie. Wprawdzie jeszcze nie przywykliśmy do nowych warunków, ale powoli zaczynamy czuć się jak u siebie w domu.

- Może tylko ten kran - wtrąciła Margaret. Usiadła na otomanie i podparła się obiema rękami. - Mam kłopot z kranem w łazience na górze. Ciągłe cieknie, nie sposób go dokręcić.

- Będziemy musieli wezwać hydraulika. - Ciekący kran nie bardzo Andree zainteresował. Podniosła wzrok, spojrzała na Liama.

A to co? - pomyślał. Puściła do mnie oko czy tylko mrugnęła?

- A u ciebie, Liam? Na dole nic nie cieknie? Mogę mówić ci po imieniu?

- Oczywiście, Andreo. Nie, na dole wszystko w porządku.

- A w sypialni? Jak ci się podoba sypialnia?

Mało brakowało i parsknąłby śmiechem. Otwórz słownik, a przy haśle „jednoznaczność” zobaczysz podobiznę Andrei DeHaven.

- Cieśle odwalili kawał dobrej roboty. Nowe okno całkowicie rozwiązało problem przeciągów.

Kiwnęła głową. Prawe oko zginęło za puklem rudych włosów.

Tak, jest bardzo seksowna, pomyślał Liam, pieszcząc wzrokiem jej sterczące piersi.

- Tak się cieszę, że dom się państwu podoba. No, powinienam już chyba iść. - Zerknęła na Margaret i ruszyła do drzwi.

Liam odprowadził ją do krótkiego korytarzyka. Wiem, co zaraz powie, myślał, powie to na pewno. I rzeczywiście powiedziała. Słowo w słowo:

- Jeśli będę mogła cokolwiek dla ciebie zrobić, dzwoń bez wahania, o dowolnej porze. - I jeszcze jedno znaczące spojrzenie.

Znowu wziął ją za rękę. Wciągnął ostry zapach jej perfum. Cóż, jestem tylko człowiekiem...

Była taka jednoznaczna, taka oczywista. Lecz właśnie to go pociągało. Ekscytowała go. Podniecała.

- Chicago było takie zimne. Miło jest mieszkać w miejscu ciepłym i przyjaznym. - Ja też mogę pozwolić sobie na jednoznaczność. - Dobranoc, Andreo. - Jego dłoń powoli ześliznęła się z jej dłoni.

Patrzył, jak dziewczyna zbiega na chodnik. Falująca plama czerwieni i szkarłatu w białym, zamglonym świetle ulicznej latarni. Nie mógł odpędzić od siebie obrazu jej krzepkich ud obciśniętych szkarłatnymi rajstopami.

W korytarzyku unosił się zapach jej perfum.

- Myślałam, że zedrze z siebie ten ohydny sweter i zgwałci cię na moich oczach - prychnęła z pogardą Margaret. - Wyobraziłam sobie, jak cię dosiada, jak cię ujeżdża, jak na tobie podskakuje, wyobraziłam sobie twoją twarz uwalaną tą czerwoną szminką.

Liam wykrzywił usta w uśmiechu.

- Zawsze twierdziłem, że masz bardzo plastyczną wyobraźnię.

Margaret odchrząknęła.

- Plastyczna wyobraźnia nie była tu potrzebna.

- Margaret, gdyby nie ty, mogło mi się poszczęścić.

Łypnęła na niego społe łba.

- Słucham? Poszczęścić? - Kręcąc głową, podeszła do kominika. - Zapomnieliśmy ją spytać, czy można w tym palić.

Liam westchnął i potarł brodę.

- Jestem pewien, że niedługo tu wróci. Przyjrzała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Naprawdę bierze cię ta krowa?

- Krowy miewają miłe cechy. Jest taka walijska przypowieść o farmerze, którego żona zmieniła się w krowę...

- Daj spokój, Liam, przestań. Zadałam ci poważne pytanie. Zachowaj te uroczę podania ludowe dla kogoś, kto ich jeszcze nie słyszał.

- Margaret, ja tylko żartowałem.

- Ale ja nie. Pociąga cię? Ona? Andrea?! Myślisz, że mógłbyś...

Machnął ręką, jakby opędzał się od jej słów, i przysiadł na końcu otomany. Skórzany wałek wydał z siebie przeciągłe uff, gdy Liam go przygniótł.

- Nie. Biedna Andrea będzie musiała ze mnie zrezygnować. - Spojrzał na Margaret, zawahał się i dodał: - Chyba się zakochałem. - Powiedział to lekko, zwyczajnie.

- Żartujesz.

Zamyślony pokręcił głową.

- Nie, nie żartuję. Wcale nie żartuję.

Jej usta ułożyły się w kształt literki „O”. Zdumiona zabrała rękę z obramowania kominka, żeby podrapać się w ramię, po czym znowu ją tam położyła. Pochyliła się. Uważnie mu się przyjrzała.

- W tej ciemnowłosej dziewczynie z restauracji? W tej ładniutkiej, tak?

Kiwnął głową. Bez uśmiechu.

Margaret zmrużyła oczy.

- Jak ona miała na imię? Sara? Jest trochę za młoda.

- Wprost przeciwnie.

- Uważasz, że nie jest?

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Nie. Nada się znakomicie.

Margaret westchnęła. Jej twarz pojaśniała.

- W takim razie cóż... Życzę ci szczęścia, Liam.

Zacisnęła pięść, podniosła rękę i postukała w drewniane obramowanie kominka. Trzy razy. Bardzo dokładnie.

# CZEŚĆ DRUGA



## 6.

Zabrał w noc swoje ponure myśli. Kim chcę zostać, gdy dorosnę?

Pytanie nieustannie powracało, by zmienić się w końcu w natarczywą, denerwującą mantrę. Kim chcę zostać? Kim? Kim?

Na pewno nie tym, kim jestem.

Nie pamiętał, jak dojechał na posterunek. Nie pamiętał, gdzie zaparkował swój czarno-biały radiowóz. Pewnie tam gdzie zwykle, na parkingu przed pocztą. Tylko że tego nie pamiętał.

A teraz Walter coś do niego mówił, lecz Garrett go nie słyszał. Staloszare biurka stały naprzeciwko siebie, ściśnięte pośrodku małej, niskiej sali odpraw. Garrett pochylił się do przodu, skoncentrował wzrok na Walterze, spróbował skupić się na tym, co tamten mówi.

Walter Granger, jego albinosowaty partner.

Był taki biały. Taki jasny. Taki świetlisty. Miał białą, niemal mączno-białą skórę. Skórę upiornie przezroczystą. A na głowie proste białe włosy, cieniutkie i delikatne niczym białe niteczki. I krzywe białe zęby. Białe koźle zęby. Oczy też mu wypływały. Były szare. Srebrzystoszare. Walter nie ma koloru, pomyślał. Jest antykolorem. Zostało z niego tylko światło. I patrzył na Waltera, jakby patrzył na światło, przywierał doń, nurzał się w tej światłości, żeby nie wciągnęła go czarna otchłań ponurego nastroju.

- No i jak tam?

- Spokojnie. - Walter dopił kawę, zniósł papierowy kubek i wrzucił do kosza na śmieci przy biurku. - Właściwie to nawet trochę nudnawo.

Trochę.

Garrett zaczął gmerać w aktach na blacie. Same starocie.

- A po południu? Działo się coś?

Walter stęknął i położył nogi na biurku. W podeszwie lewego buta ziała dziura.

- Ethan miał siedem-cztery-dwa.  
Zniecierpliwiony Garrett zmarszczył czoło.
- Przestań z tymi numerkami. Dobrze wiesz, że nie pamiętam, co te przeklęte cyferki oznaczają. Co to było?  
Walter podniósł ręce, jakby się poddawał.
- Dobra, już dobra. Przepraszam. Nie musisz od razu zmywać mi głowy. Przejechali psa.
- Psa? Gdzie?
- Na Highlands. Naprzeciwko Stop 'N' Shop. Dalmatyńczyka. Przez sam środeczek go przejechali. Został tylko łeb i tyłek, bo ze środka zrobił się placek.  
Garrett wykrzywił z niesmakiem usta.
- Kto go przejechał?
- Walter wzruszył ramionami.
- Gdybym wiedział, mielibyśmy siedem-cztery-jeden. A tak mamy siedem-cztery-dwa: kierowca przejechał psa i zbiegł z miejsca wypadku.
- Cholera - mruknął Garrett. Zerknął podejrzliwie na partnera. - Zmyślasz te wszystkie cyferki, co? Przecież nie ma numeru statystycznego na przejechanego psa.  
Walter odął wargi. Sprawiał wrażenie urażonego.
- Oczywiście, że jest. Wszystko ma swój numer. Spytaj Ethana. On tę sprawę prowadzi. Ethan uważa, że to była ciężarówka. Najprawdopodobniej duża, z przyczepą. Twierdzi, że zwykły samochód nie rozjedzie psa na taki cienki placek. Mówi, że flaki mu w asfalt wprasowało. Znaczy się, temu dalmatyńczykowi. Nie szło ich zeszkrobać, żebyś nie wiem jak się starał.  
Garrett przeglądał teczki z aktami, żeby zająć czymś ręce.
- Ethan zawsze przesadza. Było tylko jedno wezwanie?
- Jeśli nie liczyć pani Flaherty, to tylko jedno.
- Pani Flaherty wydzwaniała do nich co najmniej dwa razy tygodniowo, by donieść, że mąż ją bije. Kilka pierwszych telefonów potraktowali poważnie, lecz szybko okazało się, że pani Flaherty nie ma męża.
- Musimy założyć fundusz - oznajmił Garrett. Sięgnął po gazetę i zaczął przeglądać ją od końca.
- Jaki?

- No wiesz. Ludzie muszą się zrzucić. Trzeba zdobyć pieniądze i sprowadzić do miasta paru kryminalistów. Żebyśmy nie musieli siedzieć tu całymi dniami i gapić się na siebie.

Walter oczywiście nie zrozumiał żartu. Potraktował te słowa zupełnie serio.

- Kiedy wolę, jak jest spokojnie.

Zamyślony Garrett kiwnął głową.

- Taaa, ja też. - Wreszcie znalazł to, czego szukał. Codzienną szyfrowankę. Otworzył szufladę i wyjął długopis. - Myślisz, że Harvey dobrze się bawi?

- Gdzie polazł? Na jakiś koncert?

- Zabrał żonę do teatru.

Walter westchnął.

- Woli chodzić na koncerty niż do teatru. Mówi, że jak idzie do teatru, to ci ze sceny tak głośno gadają, że nie może zasnąć.

Garrett parsknął śmiechem. Zerknął na partnera. Czyżby Walter miał poczucie humoru? A może tylko cytował Harveya?

Tak, cytował go. Ani chybi go cytował. Garrett znał Waltera od dwóch lat i nigdy nie słyszał, żeby facet z kogoś lub z czegoś żartował czy choćby tylko próbował żartować.

Od dwóch lat? Czyżby aż tak długo mieszkali z Angel w tej mieścinie? Zdał sobie sprawę, że w listopadzie, a więc już za miesiąc, miną dwa lata, odkąd się tu sprowadzili. Spuścił wzrok, spojrzął na szyfrowankę. Dwa lata. Cóż. Nie, nie żałował, że wyjechali z Detroit. Nie żałował, że od rodziców Angel dzieli ich odległość trzystu dwudziestu kilometrów.

Czy uciekł wystarczająco daleko?

- Kto jest dzisiaj na patrolu? Duke czy Jimmy?

Walter podrapał się w potylicę.

- Chyba obydwaj. Są w wykazie służb, i jeden, i drugi, ale jeszcze się nie meldowali.

Garrett wyobraził sobie Duke'a i Jimmy'ego w radiowozie przed knajpką „Krispy Kreme”. Samochodowe głośniki ryczą heavy metalem. Duke i Jimmy sączą czarną kawę, wyglądają oknem, pilnują, żeby studenci nie zaczęli rozrabiać.

Skoncentrował się na szyfrowance. Pierwsze słowo było trudne. ACIFSKAJ. Czasami rozszyfrowywał je w mgnienu oka, lecz ACIFSKAJ nie było całkiem oczywiste.

Dlaczego tak bardzo lubił słowne układanki? Bawił się w nie codziennie. Rozwiązywanie szyfrowanek czy anagramówek należało do rutyny. Dawało mu poczucie spełnienia. Na marginesie gazety napisał: AFCISKAJ? JAKCISAF? Nie. Bzdura.

Uświadomił sobie, że szyfrowanki to idealne zagadki dla gliniarzy. Zaczynasz od kompletnego galimatiasu i krok po kroku wszystko porządkujesz. Układasz w przejrzystą całość. Porządkujesz chaos.

FIKSACJA. Właśnie znalazł rozwiązanie i zaczął wpisywać je w małe kółeczka, gdy rozdzwonił się telefon.

Walter podniósł słuchawkę.

- Posterunek policji.

Garrett opuścił długopis.

Walter rozdziawił usta, wytrzeszczył srebrzystobiałe oczy i zeszytywniał za biurkiem.

- O kurde. O kurde. O kurde...

- Co się stało?

- O kurde, Duke. O kurde...

- To Duke? Co się dzieje?

Zdawało się, że Walter go nie słyszy.

Garrett gwałtownie wstał, pochylił się nad biurkiem.

- Mamy kłopoty?

- O kurde. O kurde. Dobra. Dobra. Niczego nie dotykaj. Już jedziemy.

Słuchawka wypadła z ręki Waltera i trzasnęła w blat biurka. Nawet nie próbował jej podnieść. Gapił się na Garretta i głośno przelykał ślinę.

Garrett pochylił się jeszcze bardziej.

- No?

- Mamy mmm... mmmorderstwo.

Garrett poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. Walter podniósł rękę. Jego grube paluchy zaczęły gmerać przy kołnierzyku koszuli.

- O kurde. Morderstwo. Musimy jechać.

- Dokąd? - warknął Garrett.

Czy od tego pytania należało zacząć? Przez dwa lata policyjnej służby miał do czynienia tylko z jednym rabunkiem z użyciem broni palnej. Ale morderstwo? Nie, tu trzeba zadać zupełnie inne pytania.

Walter dał spokój guzikowi. Odwrócił się niezgrabnie i jednym szarpnięciem zerwał ze ściennego haka kurtkę od munduru.

- Na kampus. Na Krąg. Duke powiedział, że trup jest za krzakami. Znalazły go dwie dziewczyny.

Garrett otworzył szufladę i z mocno bijącym sercem wyjął z niej służbowy pistolet w ciężkiej kaburze z brązowej skóry. Przypasał broń, czując, jak wzbierają w nim wyrzuty sumienia.

Sam tego chciałem.

Chciałem, żeby ktoś popełnił przestępstwo. Chciałem coś zrobić. Chciałem zabić nudę.

To moja wina. Życzenie się spełniło.

Zdawał sobie sprawę, że to paranoja, mimo to nie potrafił opędzić się od natrętnych myśli.

- Co z Duke'em? Nic mu nie jest?

- Był bardzo zdenerwowany. Mówił tak, jakby miał się zaraz rozpłakać albo co.

Mały Duke był mięczakiem, Garrett o tym wiedział. Nigdy nie chciał zostać gliniarzem. Wziął tę robotę tylko dlatego, że splajtowała pralnia chemiczna jego ojca i chłopak musiał się gdzieś załapać.

Garrett chwycił swoją kurtkę. Włączył automatyczną sekretarkę i ruszył za Walterem do drzwi.

Wyszli w chłodną, wilgotną noc. Na dobrą sprawę nie potrzebowali kurtki. Ciężki mu pistolet u boku, serce waliło jak młotem. Zimnymi rękami objął kierownicę.

- To dziewczyna - powiedział Walter zamykając z trzaskiem drzwi. - Pewnie studentka. Duke nie był tego pewny.

Garrett włączył syrenę i „koguta”. Drgnął. Przerażliwe zawodzenie poraziło go. Dawno tego ryku nie słyszał.

Wrzucił wsteczny i szybko zawrócił. Opony zapiszczały na asfalcie, koła grzmotnęły w krawężnik i rozkołysany samochód wyskoczył na pustą ulicę.

- A jest pewien, że to morderstwo?

Walter wydał z siebie dziwny dźwięk, odgłos, jakiego przy Garreście nigdy dotąd nie wydawał, coś w rodzaju płacznego zakrzyku zdławionego w mięsistym gardle.

- Powiedział, że tak.

Twarz dziewczyny była pokryta czarną, lepka smolą.

Tak mu się przynajmniej wydało na pierwszy rzut oka. Bo tylko na nią zerknął i natychmiast się odwrócił. Wstrząsnęły nim silne dreszcze.

To działa się naprawdę. To była prawdziwa dziewczyna. I prawdziwa śmierć.

Nie wiedział, czy jest na to przygotowany.

Czarna, lepka smoła? Nie. To krew.

Czerwona i czarna. Czerwona i czarna.

Ziemia, krzaki, ich twarze - wszystko pulsowało w migotliwym świetle policyjnego „koguta”. Czerwień i czerń. Czerwień i czerń.

Tuż obok stał chudy jak szczapa Duke. Stał tak jakoś dziwnie, sztywno, jakby kij połknął. Na jego długiej szyi podrygiwało jabłko Adama, króciutkie, czarne włosy zdawały się nie naturalnie najeżone. Gdy przyjechali, wskazał im krzaki i zrejterował, robiąc krok do tyłu.

- Gdzie Jimmy?

- Już jedzie. Złapał gumę. Na Stowe Street. Zaraz tu będzie.

- Latarka - wymamrotał Garrett. Niepewnie obrzucił wzrokiem pusty Krąg, otaczające go gmachy kampusu - czarne sylwetki milczących świadków. - Zabraliśmy latarkę?

Walter klepnął się w czoło.

- Cholera jasna. Zapomniałem.

- Ja mam - mruknął Duke.

Białe halogenowe światło zalało trawę niczym jaskrawy potok. Zmrużyli oczy. Garrett zabrał latarkę podwładnemu. Musiał zająć czymś ręce.

Ostrożnie wszedł między krzewy. Walter trzymał się z tyłu, dwa kroki za nim.

Czarna skorupa na twarzy. Tyle krwi.

- Miała na imię Charlotte. - Głos Duke'a. Słaby, odległy. - Charlotte Wilson. W jej portfelu znalazłem legitymację college'u.

Garrett przystanął przed kępą niskich jałowców, znieruchomiał w bezwietrznej nocy i zerknął przez ramię na Duke'a. Na tle światła bijącego z reflektorów radiowozu zobaczył jego patykowatą sylwetkę.

- Studentka?

- Nie. Pracownica.

- To rabunek?

- Nie. W portfelu jest dwadzieścia dolarów. I karta kredytowa.

- Zgwałcili ją?

- Chyba nie. Ma na sobie majtki.

Cóż za profesjonalizm, Duke, cóż za profesjonalizm... Czerwień i czerń. Czerwień i czerń. Nabrał powietrza, wstrzymał oddech i ściskając aż do bólu metalowy uchwyt latarki, zaczął obchodzić jałowce.

- Nie powinniśmy robić jakichś notatek albo co? - Głos Waltera. Trzęsący się, zaskakująco piskliwy.

Garrett zamknął oczy. Chociaż mocno zaciskał powieki, wciąż widział szkarłatną światłość pulsującą na czarnym tle.

- Wszystko spiszemy później. Najpierw to sobie obejrzymy, dobra? A potem...

Zabrakło mu tchu, przestał oddychać.

Nie, nie był na to przygotowany. Nie na coś takiego.

Twarz pokryta czarną skorupą. Wiedział, że to krew. Spłynęła do jej oczodołów, utworzyła w nich małe kałuże, zatkała nos.

Nie widział jej ust. Gdzie są usta?

Promień światła zachybotał, a Garrett miał wrażenie, że to ziemia zadrżała.

Nogi się pod nim ugięły. Czy ten cichy, zdławiony jęk wyrwał się z jego gardła?

Wyteżył wzrok. Przestał mrugać.

Głowa. Pod głową zgięta ręka.

Czy ręce dają się tak wyginać?

Krótką spódnicą zadarta do pasa, czarny trójkąt majtek.

Szeroko rozrzucone nogi. I rozpruty brzuch. Rozpruty. Rozdarty. A z brzucha... A z brzucha... Wszystko powywleka-  
ne.

I jej kręgosłup.

Nie!

Rozłupany na pół? Złamany?

Nie.

O kurwa, to niemożliwe.

To tylko złudzenie, gra światła. Wzrok płata mu figle.

Czerwień i czerń. Czerwień i czerń.

Przełknąć ślinę. Raz. Drugi. Odwrócić się, trzeba się odwrócić. Duke i Walter są teraz z tyłu. Ołówkowata twarz Duke'a, twarz bez wyrazu, jego oszołomione oczy. I kompletny bezruch, tylko to skaczące jabłko Adama. Walter, biały i ziemisty nawet w tym świetle: przymknięte oczy, pulchna dłoń na uchwycie pistoletu, lewa ręka bezradnie opuszczona, zwierająca się i rozwierająca się pięść.

Garrett z trudem odwrócił głowę i spojrzał w dół.

Kałuza ciemnej krwi pod zgruchotanym ciałem dziewczyny. Jak cień. Jak martwy cień.

Ale szambo, pomyślał. Układanka nie do ułożenia. Dziewczyna. Charlotte Wilson. Jej też nie da się złożyć do kupy. Ani naprawić. Czy poskładać.

- O kurwa.

Drżące światło latarki spoczęło na jakimś przedmiocie, którego nie potrafił rozpoznać. Oszołomiony nachylił się, żeby go podnieść.

Coś było nie tak. Coś tu nie grało.

- O żesz... Co to jest?

W gorącej ręce trzymał coś miękkiego. Chwycił to mocniej. Podniósł. Potrząsnął.

- Peruka? - zapytał spiętym, dudniącym głosem. - Nosila perukę?

Pochylił głowę. Nie. To nie peruka. Za blisko. Trzymał to za blisko.

To nie peruka. To jej włosy. Włosy Charlotte. I jej skalp. Włosy i skalp. Złotawy w jaskrawym świetle. Zerwany z czaszki. Ciśnięty na bok jak papier do pakowania.



- O kurwa.  
Skalp wypadł mu z ręki.  
Latarka też.  
Garrett pochylił się nad jałowcem i zwymiotował kolację.

## 7.

Sara rzuciła czasopismo na podłogę.

- Czy ja naprawdę muszę przejmować się problemami Ke-  
anu Reevesa? Mary Beth, dlaczego ty to prenumerujesz?

- „People”? Bo w moim życiu jest jeszcze miejsce na kupę  
śmieci.

Sara wyciągnęła się na otomanie z zielonej skóry. Ułożyła  
głowę na miękkim wałku, podkurczyła nogi i wyciągnęła ręce.

- Potrzebuję trochę ruchu. Pójdziemy pobiegać?

Mary Beth siedziała na wypłowiałym dywanie w orientalne  
wzorki, opierając się plecami o stolik do kawy.

- Nocą po kampusie? Za żadne skarby. - Wyprostowała  
nogi i sięgnęła po czasopismo. - Piszą coś ciekawego?

Sara wbiła wzrok w pajęczynę splekanego tynku na niskim,  
białym suficie.

- Widziałaś tę dziewczynę w dzienniku? To straszne. Nie  
mogę tamtędy przechodzić. No wiesz. Koło tego miejsca,  
gdzie ją zabili. Odgradzili krzaki żółtą taśmą. Żeby nikt się  
tam nie plątał. Wczoraj widziałam na Kręgu dwóch studentów  
z aparatami. Robili zdjęcia.

- Obrzydliwe - mruknęła Mary Beth. Zwinęła czasopismo  
w trąbkę, ale go nie otworzyła. - Nie rozumiem. Nigdy dotąd  
nie takiego tu się nie zdarzyło.

- To samo mówią w lokalnych wiadomościach.

- Nie oglądam lokalnych wiadomości. - Mary Beth zie-  
wnęła. - Dlaczego zawsze jestem taka zmęczona? Chyba dla-  
tego, że muszę harować na chleb.

- Zamordowali tę biedaczkę trzy dni temu, a policja nie wpadła jeszcze na żaden ślad. To upiorne, nie uważasz? Muszę tamtędy codziennie przechodzić i za każdym razem dostaję dreszczy.

- I chciałaś biegać nocą po kampusie? - Mary Beth postukała zwinętym czasopismem w dziurę na kolanie wypływających dżinsów. - Bezpieczniej jest siedzieć w domu, tyć i flaczec.

Sara zmarszczyła czoło.

- Racja.

Zadrzała na wspomnienie potwornych zdjęć w lokalnym dzienniku telewizyjnym. Oczyma wyobraźni zobaczyła raz jeszcze czarną plastikową torbę na noszach, ponuroliczych funkcjonariuszy policji odmawiających wszelkich komentarzy.

- Jak tam twoje zajęcia? Podobają ci się?

Pytanie przyjaciółki wyrwało ją z zamyślenia.

- Zgadnij, kto prowadzi moje seminarium? - spytała ożywając się.

- Nie zgadnę. Nie znam nikogo z wydziału psychologii.

- Nudny.

- Słucham?

- Profesor Nudny. Prowadzi moje seminarium.

Mary Beth wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę wyklada u was profesor Nudny?

Sara usiadła i spuściła nogi na podłogę.

- Nie do wiary, co? Gdybyś nazywała się Nudna i gdybyś postanowiła zostać profesorką, nie zmieniłabyś nazwiska? Chryste, wyobrażasz sobie, jak trudno jest zachować powagę, kiedy trzeba się do niego zwrócić?

Mary Beth wyjęła z włosów plastikową wsuwkę.

- Botaniki uczyła mnie pani Ziolo. Greta Ziolo. Zawsze uważaliśmy, że to zmyślone nazwisko.

Sara zachichotała.

- Na imię powinna mieć Lilia. Dlaczego wybrałaś botanikę?

- Myślałam, że to łatwy przedmiot. - Strzeliła wsuwkę. Pośmuciała. Spuściła oczy. - Znasz mnie. Zawsze szłam na łatwiznę. Chyba dlatego zostałam we Freewood. Ty przynajmniej

zaryzykowałaś. Przeprowadziłaś się do Nowego Jorku. Spróbowałaś czegoś trudniejszego.

Sara zaśmiała się krótkim, zgorzkniałym śmiechem.

- Spróbowałam i poległam. Wygląda na to, że zawsze podejmuję decyzję przez wzgląd na facetów. - Wstała i przeszła przez salonik do kuchni. - Idę po colę. Przynieść ci?

- Nie, dzięki.

Sara wróciła z czerwono-białą puszką dietetycznej coli przy ustach.

- Wybrałam Moore State, bo studiował tu Michael. Po ukończeniu college'u wyjechałam z Freewood z powodu Ricka. A teraz wróciłam z powodu Chipa. - Powiedziała to spokojnie, bez emocji, jakby przeprowadzała życiowy remanent.

- Za to ja nawet nosa stąd nie wyściubiłam! - lamentowała Mary Beth. - Rozejrzyj się wokół - jest tak, jakbym ciągle studiowała w college'u.

Wskazała plakaty na ścianie nad otomaną. Psychodeliczny, pomarańczowoczerwony plakat Jima Morrisona i Doorsów w Fillmore z sześćdziesiątego siódmego. Tuż obok niego Keith Haring: trzy wyraziste, prymitywne postacie tańczące na jednolitym żółtym tle.

Sara zlustrowała pokój. Jeśli nie liczyć skórzanej otomany i stolika do kawy, które Mary Beth dostała od rodziców, gdy zmieniali wystrój domu w Shaker Heights, jedynym wyposażeniem jej mieszkania były dwie cienkie beżowe maty do spania i dwunastocalowy telewizorek na białej półce pod ścianą. Półka mieściła wieżę stereo i była zawalona płytami kompaktowymi, tanimi książkami w miękkiej oprawie i stertami czasopism.

Sara roześmiała się.

- Rzeczywiście, wypisz wymaluj nasz stary pokój w akademiku - przyznała. - Albo mieszkanie, które wynajmowałyśmy na ostatnim roku. A gdzie wodne łóżko?

Mary Beth spochmurniała i podparła brodę.

- Zaczęło przeciekać. Miałam tu prawdziwy potop. Gdyby nie to, pewnie nadal by tu stało. Chryste, czy ty wiesz, że ja wciąż słucham Pink Floydów? Jakbym postanowiła nigdy nie wydorosnąć!

Sara potrzęsnęła głową, odrzucając do tyłu włosy.

- Ale przynajmniej masz pracę. A ja? Znowu jestem studentką.

Chciała czym prędzej zmienić temat rozmowy. W podnieceniu wywołanym powrotem na kampus i spotkaniem ze starą przyjaciółką zupełnie zapomniała, że Mary Beth lubi się nad sobą użalać. Wiedziała, że jak zwykle przesadza, że nie jest z nią aż tak źle, że próbuje w ten sposób skupić na sobie uwagę.

Tak, Mary Beth uwielbiała, gdy się jej współczuło, gdy ktoś się o nią troszczył. Ich przyjaźń z czasów college'u polegała głównie na tym, że praktyczna, trzeźwo myśląca Sara opiekowała się wrażliwą i uczuciową Mary Beth.

Natomiast teraz... Sara zdała sobie sprawę, że teraz jest odwrotnie. To ona, Sara, przeżywała kryzys i to ona potrzebowała pomocy. Mary Beth pospieszyła jej z pomocą jak na prawdziwą przyjaciółkę przystało. Lecz od czasów studenckich upłynęło parę lat. Tak, cieszyły się z ponownego spotkania, lecz czuły, że charakter ich związku uległ zmianie, że mają do odegrania nowe role. Jakie? Tego jeszcze nie wiedziały.

- À propos... - Mary Beth wyjęła z rąk Sary puszkę coli, upiła łyk i zwróciła ją przyjaciółce. - Byłaś u Cohna?

Sara kiwnęła głową.

- Wczoraj, po seminarium. Nie zastałam go. Sekretarka powiedziała, że musiał nagle wyjechać. Wróci za kilka dni.

- Spróbujesz jeszcze raz?

- No jasne. Trzy dni pracy tygodniowo to dla mnie idealna sprawa. Potrzebuję forsy, i to bardzo. - Machnęła ręką. - Znowu czuję się jak studentka. Nie stać mnie nawet na materac do spania!

Mary Beth wykrzywiła usta w słabym uśmiechu.

- Wiesz - mówiła dalej Sara siadając na niskiej otomanie - kiedy wychodziłam z administracji, podsłuchiłam w holu dwóch pierwszaczeków. Rozmawiali o Cohnie. - Zachichotała. - Nazywali go Bestią.

Mary Beth pokręciła głową.

- Pasuje do niego jak ulał - skonstatowała. - Jak ulał.

- On naprawdę przypomina filmowego potwora, nie uważasz? Jest taki wielki, ma taki złowieszczy wygląd. Do tego wszystkiego ta zwariowana fryzura, te białe włosy. Cały czas stoją dęba, jakby poraził go prąd. - Pociągnęła solidny łyk coli. - Małolaty bywają okrutne.

- Słyszałam, że to całkiem miły facet. Podobno był trzy razy żonaty. - Mary Beth ciężko westchnęła. - Plotkujemy o nim w biurze. O nim, o Miltonie Cohnie. Dasz wiarę, że nie mamy nic lepszego do roboty?

- To smutne - zgodziła się z nią Sara. Przetoczyła puszkę między dłońmi. - Wiesz, na kogo wpadłam na schodach do biblioteki? Na Liama. No wiesz. Na profesora O'Connora.

Mary Beth błysnęła zielonymi oczami.

- Mówicie sobie po imieniu?

Sara parsknęła śmiechem. Czowała, że ma gorącą twarz, że się czerwieni.

- Sam mnie o to prosił!

Mary Beth pochyliła się do przodu z wyraźnym zainteresowaniem.

- Powiedziałaś: „Cześć, Liam”? No i co? Pamiętał cię?

Sara kiwnęła głową.

- Tak. Bardzo mnie to zdziwiło. Pamiętał, jak mam na imię. I powiedział... powiedział, że noszę szczęśliwe nazwisko. Wiesz, co znaczy Morgan?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Poranek.

- Poranek?

- Tak, poranek. Powiedział, że poranek to nowy początek. - Spuściła oczy. - Chyba ze mną flirtował.

- Jejku, jejku... - wymamrotała Mary Beth.

Sara nagle pożałowała, że wspomniała o Liamie. Czowała się obnażona. Czy Mary Beth ją rozszyfruje? Czy odgadnie, jak często o nim myśli?

Nie chciała, żeby przyjaciółka z niej żartowała. Zresztą nie było z czego. Owszem, dużo o Liamie myślała, wciąż czowała, jak muska dłonią jej włosy, jak patrzy na nią swymi ciepłymi brązowymi oczyma.

I co z tego?

- W restauracji też z tobą flirtował. - Mary Beth usiadła wygodniej i objęła kolana. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Sara zrobiła niewinną minkę.

- Tak myślisz? - Wciąż paliły ją policzki.

- No, ale on flirtuje ze wszystkimi.

- Skąd wiesz? - Powiedziała to trochę zbyt zaczepnie.

- Stąd, że kiedy robiłam z nim wywiad, flirtował ze mną.

Wiesz, to ten jego irlandzki urok, europejska galanteria czy jak się to tam nazywa.

Ona ma rację, przyznała w duchu Sara.

Myślałam o nim cały tydzień, wspominałam, jak na mnie patrzył, jak trzymał mnie za rękę, powtarzałam tę starą ry-mowanekę, którą recytował.

Tymczasem to tylko galanteria.

Irlandzki urok.

Dla innych jest taki sam. Co mi odbiło? Dlaczego uważa-łam, że potraktował mnie wyjątkowo?

Odrzuciła do tyłu włosy, odpędziła przykre myśli. To ja je-stem małolată, nie Mary Beth. To ja jestem rozchichotany-m podlotkiem. Mam dwadzieścia cztery lata, a podkochuję się w przystojnym profesorze jak dzierlatka.

Mary Beth nagle spowaźniała. Usiadła prosto i spytała:

- No to jak było z Chipem?

- Co? - Sara wciąż myślała o Liamie, wyobrażając go sobie na schodach do biblioteki. Jego roziskrzzone brązowe oczy, jego ciemne, wzburzone wiatrem włosy...

- Miałaś opowiedzieć wszystko od początku. O Chipie. - Mary Beth odrzuciła na bok czasopismo. - No? Nie daj się prosić, nie trzymaj mnie dłużej w napięciu. Dlaczego z nim zerwałaś?

Sara przełknęła ślinę.

- Bo... bo chciał mnie zabić.

## 8.

Na biurko Sary padł cień. Dokończyła zdanie, odwróciła się od komputera i... zobaczyła Eliota Glazera, który wypełniał sobą wąskie przejście prowadzące do jej niskościennego boksu.

Eliot Glazer, zastępca redaktora naczelnego Concord Publishing.

Miał rzędzące włosy, szpakowate i przylizane, szare, nabiegłe krwią oczy skryte za okularami w srebrnej oprawce na czubku nosa i wiecznie zaróżowione policzki, jakby się czerwienił. Albo czymś podniecał.

Nosił białe koszule, nie krochmalone i rozchelstane. Nigdy nie zwracał sobie głowy zapinaniem guzika przy kołnierzyku. Zza paska niebieskich spodni od garnituru wylewał mu się pokaźny brzuch.

- Cześć, Eliot. Siedzę przy makulaturze. - Ruchem głowy wskazała stertę odrzuconych maszynopisów i wydruków. Jako asystentka redaktora musiała je przeczytać, przynajmniej kilka pierwszych stron każdego egzemplarza, i czym prędzej odesłać nadawcy, żeby nie stanowiły zagrożenia pożarowego.

Nie przepadała za tą robotą.

Czyżby ci ludzie nie wiedzieli, jak beznadziejnie piszą?

Gruby Eliot oparł się o ścianę.

- Sary, wiesz, dlaczego nazywamy to makulaturą?

- Nie. Dlaczego?

- Myślałem, że wiesz.

Czekał, aż Sara się roześmieje. Jeden z żartów w stylu Eliota. Tak bardzo subtelny, że zupełnie nieśmieszny. Ale i tak się roześmiała.

- Dzisiaj przyszło kilka wspaniałych tekstów. Przed chwilą skończyłam czytać dzieło zatytułowane „Jestem Marsjaniem”. To autobiografia.

- Odsyłasz ją z powrotem na Marsa?

- Nie, do Wisconsin.

Eliot kiwnął głową i przyjrzał się Sarze znad okularów.

- Byłem w Wisconsin.

Czekała na ciąg dalszy, lecz Glazer milczał. Zerknęła na zegarek na półce. Piątek, szesnasta trzydzieści. Czyżby Eliot zamierzał wlepić jej robotę na weekend?

Nie, proszę. Proszę.

Odwróciła się i dopiero teraz zobaczyła plik korekt szczotkowych w jego ręku.

- Saro, ci ze składu znowu się spóźnili. Możesz je przejrzeć w weekend? Są czyste, nie będziesz miała zbyt dużo pracy.

Sara rzuciła okiem na pierwszą stronę.

- Co to jest? O piłce nożnej?

Eliot westchnął.

- Powieść o piłce nożnej. Nie do wiary, co? Oczywiście, to robota na wczoraj, wszyscy są spanikowani. Wiesz, jak to jest. Dramaturgia procesu wydawniczego. Na opracowanie tekstu mamy cały rok, ale wszystko musi odbywać się w zwariowanym pośpiechu. - Jego zaróżowione policzki spurpurowiały.

Sara przewróciła oczyma, przerzuciła kilka pierwszych kartek szczotki.

- Sama radocha - mruknęła. - Cztery tysiące stron o futbolu.

Wykrzywił usta w uśmiechu, odsłaniając żółte od nikotyny zęby.

- Nie, tylko czyta się jak cztery tysiące stron. - Odwrócił się i wypchnął z boksu swój brzuch. - Wszyscy są spięci. Zdennerwowani i spięci. Pewnie przez tę fuzję.

- Słyszałeś coś? - spytała Sara.

- Widzisz? Ty też jesteś spięta. Co za różnica, czy dojdzie do fuzji czy nie? Myślisz, że stracisz przez to swoje udziały?

- Świetny dowcip, Eliot. Naprawdę świetny dowcip.

Jako asystentka redaktora zarabiała niecałe dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie. Udziały? Szef nigdy o tym nie wspominał. O premii też nie. Ani o funduszu reprezentacyjnym na lunchy w ekskluzywnych restauracjach. Niecałe dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i dwutygodniowy urlop raz w roku. Tyle.



Glazer był już na korytarzu.

- Udanego weekendu - rzucił na odchodnym.

Patrzyła w pustkę, którą przed chwilą wypełniał swym tłustym cielskiem. Machinalnie zwinęła szczotkę w gruby rulon, cisnęła ją na biurko i spojrzała na ekran monitora, gdzie widniało niedokończone zawiadomienie o odrzuceniu nadesłanego tekstu. „Z przykrością zawiadamiamy, że powieść o pańskim dzieciństwie na Marsie nie mieści się w ramach naszych planów wydawniczych”.

Powinniśmy wprowadzić do komputera wzór listu do istot pozaziemskich, pomyślała.

Głośnie chrząknięcie. Przestraszona, błyskawicznie odwróciła się w stronę źródła odgłosu.

- Chip!

Uśmiechnięty wszedł do boks i przysiadł na pliku maszynopisów na brzegu biurka. Podniósł szklaną kulę, biurowy przycisk do papieru, i zaczął przerzucać ją z ręki do ręki.

Wepchnąć się do środka i brać, co się chce.

Pochylił się, żeby ją pocałować, i musnął jej czoło swymi lnianymi włosami. Wargi miał suche i chropowate.

Tak, brać, co się chce. Co się tylko chce.

Pragnęła, żeby pocałunek trwał nieco dłużej, mimo to pierwsza oderwała usta od jego ust. Prawie wszyscy już wyszli, ale został Eliot. Został i krążył pustymi korytarzami.

Nawet gdyby mnie przyłapał, cóż w tym złego?

Nie, to takie dyletanckie.

Odepchnęła Chipa i poprawiła brązową kamizelkę z lnu, którą nakładała na beżowy bawełniany sweter.

- Co ty tu robisz?

Ułożył szklaną kulę w dłoniach, zmrużył oczy i skupił na niej wzrok.

- Zobaczymy, co widać w kryształowej kuli, jaka przyszłość nas czeka. Hmm... Widzę wodę i piasek. Widzę słońce. I dom w Southampton. Długi weekend.

- Swego ojca też tam widzisz?

Opuścił kulę.

- Nie. Ojciec poleciał rano do Los Angeles. Jakiś kryzys w sieci. Albo kłopoty z produkcją. Albo okazja do zrobienia

wspaniałego interesu. - Uśmiechał się coraz szerzej, odsłaniając dwa rzędy idealnych zębów.

Jak on to robi, że zawsze jest taki opalony? Przecież tak mało czasu spędza na słońcu. Nawet w tenisa grywa w sali.

- Tak więc tatusia nie będzie. Będziemy tylko we dwoje. - Z kieszeni luźnych bawełnianych spodni wyciągnął kluczyki od swego porsche i pomachał nimi przed oczyma Sary. - Przyjechałem. Żeby cię stąd zabrać.

Spojrzała na zegarek.

- Jest piątek, dochodzi piąta. Wszyscy wyjeżdżają na weekend, utkniemy w korku i...

Chip znowu się pochylił i czule powiodł palcem po jej policzku.

- Utkniemy w korku razem, Saro. Razem. Ty i ja. To najważniejsze, prawda?

Przeszył ją zmysłowy dreszcz. Chwyliła go za palec i delikatnie ścisnęła. Spojrzała w jego czyste niebieskie oczy. Niewinne jak oczy dziecka. Tak doskonale ukształtowane, takie wzruszające. Pasowały do tej szczerzej amerykańskiej twarzy. Młody Robert Redford.

Chip Whitney, książkę białych anglosaskich protestantów.

Wciąż nie mogła się nadziwić, że spotyka się z kimś piękniejszym od niej samej. Czasami muskała palcami jego miętutkie brwi i obejmowała dłońmi jego twarz, jakby był lalką.

Twarz doskonałą. Uosobienie życia.

No, prawie doskonałą.

Z grona bogów Olimpu wykluczała go blizna na podbródku. Maleńka, biała kreseczka najwyżej dwuipółcentymetrowej długości. Nie pamiętał, skąd się wzięła. Na opalonej skórze wyglądała jak kopia słabego uśmiechu. Sara lubiła jej dotykać.

No i jeszcze ten nos. Był za mały. Przez wiele miesięcy myślała, że to wina chirurga plastycznego, że za bardzo go skrócił. Ale nie. Chip się z tym nosem urodził. Z tym małym, lekko zadartym nosem.

Nadawał mu wygląd człowieka aroganckiego i zadowolonego z siebie. Już po kilku godzinach znajomości skonstatowała, że rzeczywiście taki jest, lecz była to arogancja bardzo męska i czarująca.

Peszyl ją od samego początku.

Zawsze czuła, że jest z nim i że jednocześnie z nim nie jest, że obserwuje go niczym postronny obserwator. Ale to był chyba jej problem, nie jego.

- Najpierw musimy wpaść do mnie - odrzekła. Odwróciła się do komputera i wcisnęła kilka klawiszów, żeby wyjść z programu edytora tekstu. Przegrane życie Marsjanina z Wisconsin może poczekać do przyszłego tygodnia. - Po kostium kąpielowy. I trochę ubrań na zmianę.

- Kostium możemy kupić na miejscu. Pojedziemy do miasta na zakupy, wybierzesz, co zechcesz.

- Chip, nie mogę kupować nowych ubrań, gdziekolwiek pojedę. Jestem tak splukana, że przynoszę sobie kanapki na lunch.

Dlaczego poświęca tyle czasu na rozmowę o biednej Sarze i bogatym Chipie? Uświadomiła sobie, że to ona zawsze porusza kwestię ich statusu finansowego. Z drugiej strony, cóż jej pozostało? On miał złotą kartę kredytową, a ona nie miała nic. Nic poza marnymi zarobkami. Odkryj Nowy Jork, posmakuj życia z gołej pensji.

Rozczarowany Chip opuścił ramiona i obrócił w dłoniach szklaną kulę.

- Znowu wymówki. Żeby tylko uniknąć spontaniczności. Jesteś w tym znakomita.

Trochę to zabolalo.

I co? I ma to ująć mu na sucho? O nie.

- Może dlatego, że spontaniczność oznacza robienie tego, co się chce, gdy ma się na to ochotę.

To sprowadziło go na ziemię. Celny strzał. Uśmiechnął się, kiwnął głową.

Uśmiech? To wielce niestosowne, bo mówiła całkiem poważnie, nie żartowała.

Położył szklaną kulę obok sterty maszynopisów.

- No dobra. Najpierw wpadniemy do ciebie. Spakujesz się, zjemy coś i pojedziemy na plażę. Co ty na to? Tak będzie lepiej?

W odpowiedzi cmoknęła go w policzek.

Zerwał się na równe nogi. Wyglądało na to, że pocałunek

nie sprawił mu przyjemności. Spojrzał na zegarek. Miał na rękę starą bulowę z lat pięćdziesiątych, którą kupił mu w sklepie na Columbus Avenue na pamiątkę ich półrocznej znajomości. Zegarek źle chodził. Podejrzywała, że nakładał go tylko wtedy, gdy się widywali.

- No to idziemy. - Wyszedł i obrzucił wzrokiem długi rząd boksów w korytarzu.

Nie zdziwiła się tą nagłą zmianą nastroju. Zgasła go, stłamsiła. Chip tego nie lubił. I nie chodziło tylko o to, że nie udało mu się postawić na swoim, nie. Po prostu zakłóciła idealnie gładki tok jego życia.

Dla Chipa nawet niewielki korek uliczny był olbrzymim zaturem.

Wiedziała, że nie jest chłopakiem do cna zepsutym. Miał wiele dobrych cech. Dom w Beverly Hills, dom na plaży w Malibu, wyprawy do Nowego Jorku i do Europy z ojcem, współwłaścicielem sieci telewizyjnej, towarzystwo gwiazd filmowych i słynnych reżyserów, którzy wpadali do nich, by popalać się i poplotkować nad olimpijskim basenem kąpielowym lub pograć w tenisa na korcie za piętrowym domem dla gości, życie na złotą kartę kredytową - wszystko to nie zabiło w nim wrażliwości i czułości.

Za to zwiększyło jego oczekiwania.

Chciał żyć beztrudnie i pełnią życia. Chciał się przez życie prześliznąć. Chciał, żeby zawsze świeciło słońce.

Milego dnia - to życzenie wiele dla niego znaczyło. Chip pragnął, by życie składało się z samych miłych dni.

I oczekiwał, że ludzie będą mu przytakiwać.

Tak, tak, tak.

Każda odmowa czy przeciwstawienie się były dla niego wielkim rozczarowaniem. Rozczarowaniem denerwującym, czymś nie do przyjęcia. Ciosem w samo serce.

Promienny Chłopak, Słoneczny Chłopak - takim go zawsze widziała. Uwielbiała pieścić miękkie, jasne puszki na jego ramionach. Uwielbiała tarmosić kępki blond włosów wystających z rozpięcia koszulki polo. Przypominały jej cieniutkie promyczki słońca strzelające z opalonej skóry.

Tak bardzo się od niego różniła. Była taka ciemna, posępna,

niczym uosobienie siły ciężenia albo symbol ziemi. I tak bardzo lubiła cień. W jego towarzystwie czuła się jak jedna z tych mrocznych planet, które widać dopiero wtedy, gdy oświetli je słońce. Wówczas zaczynała świecić niczym nocna gwiazda.

Tak, tak, tak.

Słowo „nie” gasiło światłość w jego oczach. Był taki dobroduszny. Taki... słodko-soczysto-łagodny. Nigdy nie kłócili się o nic poważnego. Ale każdy drobiazg nie po jego myśli, każda odmowa wyprowadzała go z równowagi.

- Nie, mogę się z tobą spotkać dopiero o wpół do szóstej.
- Nie, nie pójdę z tobą na kawę. Muszę wracać do pracy.
- Uwielbiam psy, ale nic z tego, musisz go zabrać. Do redakcji nie można wprowadzać zwierząt.

A wówczas kto gasił słońce? Nie mogła ścierpieć tych burkliwych odpowiedzi, tych urażonych, pełnych bólu spojrzeń. Jakby cały świat się przeciwko niemu sprzyścił, jakby chciał go zniszczyć jednym małym „nie”.

Wciąż pamiętała pobladałą z przerażenia twarz kelnerki z restauracji „SoHo”. Wciąż widziała jej rude, kręcone włosy, jej kolczyki, które zabrzęczały, gdy oszołomiona pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie, proszę pana. Przepraszam, ale risotto już wyszło.

Odrzucił do tyłu głowę, jakby go postrzelono; Sara myślała, że coś go zabolalo. Potem zerwał się na równe nogi, omal nie wywracając stolika ze szklanym blatem, i jak burza ruszył do wyjścia. Nie miała wyboru, musiała pędzić za nim. Zanim wyszła z restauracji, zerknęła przez ramię na kelnerkę, która ciągle jeszcze stała przy stoliku z bloczkiem zamówień w ręku. Jej kolczyki kołysały się jak podczas trzęsienia ziemi.

Nim wybiegła na ulicę, trzęsienie ziemi minęło. Chip stał przed oknem sąsiedniej restauracji, uważnie studiując menu. Uśmiechnął się, objął ją i przytulił, jakby nic nie zaszło, jakby słońce ani na chwilę nie zgasło, jakby ten drobny incydent wcale go nie obszedł. Ot, taki niewinny żart.

Speszona, skonsternowana Sara wciąż drżała. Sara, która nie cierpi żadnych scen. Która woli stać w cieniu. Chciała coś

powiedzieć, chciała go obsztorcować, uświadomić mu, że risotto nie było aż tak ważne.

Wyśmiałyby ją tylko, nic by z tego nie zrozumiał.

Teraz też widzi długie, gwałtownie rozkołysane kolczyki. Ilekroć wraca do nich myślą, zawsze odczuwa dziwny ucisk w żołądku, zawsze myśli o Chipie. Co to jest?

Strach?

Wziął ją za rękę i weszli do sąsiedniej restauracji. Przy barze potrójny rząd gości. Wszystkie stoliki zajęte. Nie mają rezerwacji. Ale Chip stolik załatwił, a jakże. Załatwił i poprowadził ją do sali jadalnej.

To dla niego takie łatwe. On tego chce, chce, żeby było łatwe.

Skoro tak, to po co mu jestem potrzebna?

Wygląda na to, że potrzebuje jej tylko wtedy, gdy się kochają. Tak, wtedy jej pragnie, pragnie jej całej, calusieńkiej. Chce ją obsypywać pieścotami, pocałunkami, chce ją pokłnąć, zadowolić, zaspokoić, zaspokajać ją bez końca.

Tak, tak, tak.

Ale trwa to krótko.

A ona? Potrzebuje go?

Bardzo go lubi. Niczym ćma krążąca nad świecą, trzepocząca skrzydełkami coraz bliżej i bliżej ognia. Lubi przyjęcia w ogromnych willach i w luksusowych apartamentach zdobnych błyszczącym chromem i białą skórą. Lubi spotykać się z tymi śmiesznymi, próżnymi ludźmi, którzy stoją w wystudiowanych, idealnie wyćwiczonych pozach z kieliszkiem wina w ręku, którzy wypruwają z siebie flaki, żeby nosić się z pozorną niedbałością, ludzi jakże dowcipnych, zabawnych, dla których celem życia jest ładnie wyglądać i rozśmieszać innych.

Ją też rozśmieszają. I śmieszą. Nie, nie uważa się za lepszą od nich. Stoi w cieniu Chipa i obserwuje.

Lubi jego porsche. Lubi zapach jego płynu po goleniu. Obsesja. Obsesja dla mężczyzny. Nie krępuje się, gdy pyta o to w sklepie z kosmetykami? Nie wstydzi się, gdy podchodzi do lady i wymawia tę nazwę?

Nie. To dla niego łatwe.

I to też w nim lubi.

Ale czy go potrzebuje?

Czy musi zadawać sobie to pytanie? Nie.

Wyłączyła komputer, wetknęła korektę do płóciennej torby, szybko wyszła na korytarz i wzięła Chipa pod rękę. Minęli podwójny rząd śliwkowo-brunatnych boksów. I gabinet Eliota. Zajrzała do środka, żeby powiedzieć mu dobranoc. Siedział pochylony nad telefonem, przeczesując ręką włosy. Podniósł wzrok, zdążył dostrzec Chipa i szybko pomachał Sarze na pożegnanie, jakby ją odprawiał.

Winda. Chip nuci jakąś melodyjkę. Musiał zmienić plany, ale powoli odzyskuje dobry humor. Czas na pocałunek. Sara rzuca torbę i obiema rękami przyciąga jego głowę do swojej. Czas na długi, słodki pocałunek. Mają do pokonania dwadzieścia pięć pięter.

Niecierpliwie postukał ręką w kierownicę i zwolnił pedał sprzęgła. Oliwkowy porsche przesunął się półtora metra do przodu i zahamował kilka centymetrów przed zderzakiem furgonetki przed nimi.

- Korci - mruknął Chip. Ścisnął kolano Sary i znowu objął kierownicę. - Nie cierpię jeździć na plażę w piątek po południu.

Sara oparła kolano o skórzaną pokrywę schowka na rękawiczki.

- Niektórzy z nas muszą zarabiać na życie - wytknęła. - Niektórzy mogą wyjechać dopiero teraz.

- Znaczenie pracy jest bardzo przeceniane - odparł.

Sznur samochodów przesunął się o kolejny metr. Sara dostrzegła czerwone światło migające za zakrętem.

- To chyba jakiś wypadek. Dalej powinno być lepiej.

Nie odpowiedział. Wyglądało na to, że jej nie słyszy. Na co się tak gapi? - pomyślała obserwując jego twarz skąpaną w jaskrawym świetle ulicznej latarni. Samochód drgnął, latarnia została w tyle, w mroku. Światło i mrok. Światło i mrok. Przystojna twarz Chipa to znikąca, to wyłaniała się z ciemności. Zwężone oczy nie mrugały.

- O czym myślisz? - spytała cicho.

- Hę? Co? - Dlaczego jest taki zaskoczony? - O niczym. Ten monotony ruch mnie hipnotyzuje. - Westchnął. - Gdyby nie telefon od twojej matki, wyjechalibyśmy wcześniej.

- Musiałam z nią pogadać. Biedna mama. Samiutka jak palec w tym wielkim domu. Nigdy dotąd tak długo ze mną nie rozmawiała, ale teraz...

- Powinna kupić sobie psa.

- Nie nadąży za żadnym psem, ma artretyzm. - Odgarnęła grzywkę. - Chętnie z nią rozmawiam, tylko że zawsze dzwoni o nieodpowiedniej porze. I zaczyna się powtarzać, opowiada wszystko po trzy razy. To takie smutne.

Porsche przesunął się do przodu.

- A twoi bracia? Mówiłaś, że jeden z nich mieszka gdzieś niedaleko.

- Tak, ale ze mną była najbliższej. Chyba dlatego, że jestem najmłodsza. Wiesz, miała czterdzieści lat, kiedy mnie urodziła, i... - Urwała, zdawszy sobie sprawę, że Chip jej nie słucha.

W samochodzie stojącym po prawej stronie porsche paliło się światło. Kierowca, okrągłolica kobieta z loczkami pomarańczowych włosów, pochyliła się do przodu i wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć w lusterko i pomalować usta ciemną szminką. Na tylnym siedzeniu przepychało się i mocowało dwóch jasnowłosych chłopców.

- Rozmawiałaś z ojcem? - spytała Sara, próbując wyrwać go z zamyślenia.

- Z ojcem?

Wrzucił jedynekę, postawił nogę na pedale gazu. Minęli zakręt. To nie wypadek. To tylko pomoc drogowa. Holowali zepsuty samochód.

- Zanim wyjechał - dodała Sara z rękami złożonymi na kolanach. - Miałeś z nim porozmawiać. O pracy. Pamiętasz?

Kiwnął głową. Przygryzł dolną wargę. Patrzył prosto przed siebie.

- Tak, myślałem o tym. Ale wpadłem na inny pomysł.

Czekała, aż powie coś więcej, obserwowała go, świdrowała go wzrokiem.

Fala światła odsłoniła jego spiętą twarz. Mała blizna na



podbródki zaślniła matowo i zgasła. Jeszcze bardziej zmrużył oczy, koncentrując się na słowach, które zamierzał wypowiedzieć.

- Nie chcę u niego pracować - rzekł zadumany, akcentując każde słowo, jakby ten pomysł zaświtał mu dopiero teraz.

Fakt, że nie pracował, niepokoił Sarę znacznie bardziej niż jego samego. Stwierdziła, że nie może przestać o tym myśleć, i uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie spotkała człowieka bez żadnych ambicji.

Większość jego przyjaciół z Harvardu przeniosła się do Los Angeles, żeby pisać scenariusze komedii telewizyjnych. Oto znak dzisiejszych czasów. Przed laty poważni absolwenci tej szacownej uczelni zostawali pisarzami, dziennikarzami albo dramaturgami. Lecz przyjaciele Chipa mieli współczesniejsze ambicje: chcieli tłuc szmal na pisaniu scenariuszów dwudziestodwuminutowych komedijek.

Ukończywszy studia - dostał dyplom bez wyróżnienia, plasując się w grupie absolwentów ze średnimi wynikami w nauce - wyjechał do Belize. Co tam robił, jeden Bóg wie. Po powrocie zamieszkał w bungalowie ojca w Malibu, spędzał czas ze swymi kumplami-scenarzystami, którzy w chwilach wolnych od ślęczenia przy komputerze odwiedzali go, by zażyć słońca i jeszcze bardziej opalić już i tak opalone ciało. Słowem, harce i popłachy, jak to w bogatej Kalifornii.

Gdy spotkała go na przyjęciu dla wydawców i autorów w gmachu Pucka („Puck” rymuje się z „luck”, a „luck” to szczęście, pomyślała wszczynając rozmowę z uśmiechniętym, opalonym, pewnym siebie chłopakiem, który przysuwał się do niej coraz bliżej i bliżej, podczas gdy ona, biedaczka, nie wiedziała, co zrobić z wolną ręką; w drugiej trzymała plastikowy kubeczek z białym winem marki Chardonnay), wyznał, że pisze powieść. Ale bardzo szybko się sfrustrował. Stwierdził, że pisanie książki idzie stanowczo za wolno, że nie daje satysfakcji i że tak naprawdę to nie ma nic do powiedzenia.

Sara słuchała. Jej miał do powiedzenia bardzo dużo.

Miejsca, o których jej opowiadał, imprezy, na jakie ją zabierał, przyjaciele, którym ją przedstawił - wszystko to sprawiło,

że pewnego dnia powiedziała sobie: „Saro, trafiłaś do innego świata”.

A świat ten był światem i bogatym, i ekscytującym, i romantycznym. Czasami czuła się tak, jakby żyła w jednej z tych pastelowych, miękkich niczym mgielka reklamówek zachęcających do kupna perfum. Obsesja. Obsesja dla mężczyzn. Dla mnie też. Lecz Chip wciąż nigdzie nie pracował. Miał dwadzieścia cztery lata i żył z kieszonkowego.

Czyżby to tylko sprawa jej wychowania? Przecież każdy musi znaleźć sobie jakąś pracę.

Skręcił, zaczął zjeżdżać na lewy pas, zmienił zdanie. Westchnął i zabębnił palcami w kierownicę.

- Zdamy w sam raz na kąpiel o północy.

Pogłaskała go po ramieniu.

- Byłoby miło.

Roztrąbiły się klaksony i tuż obok nich przemknął z rykiem motocykl, klucząc między samochodami. Na jego tylnym siedzeniu siedziała dziewczyna w wypłowiałych dżinsach, obejmując kurczowo chłopaka w czarnym hełmie i skórzanym kombinezonie. Jej ciemne włosy powiewały na wietrze niczym porporzec.

- Co to za pomysł? - Sara opuściła kolano, strzepnęła z dżinsów kawałek nitki i spojrzała w boczne okno. - Mówiłeś, że wpadłeś na jakiś pomysł.

Zawahał się.

- Praca u ojca... byłaby irytująca. Nie dlatego, że krótko by mnie trzymał. Nie, bo pewnie od razu by mnie sprzedał. No wiesz. Upchnąłby mnie w jednej z podległych mu wytwórni. Oni zrobią dla niego wszystko, w tyłek mu włożą. Daliby mi stanowisko zastępcy kierownika produkcji, co znaczy, że moim jedynym zadaniem byłoby sprawdzanie, czy w biurze nie zabraknie kawy. Nie ma mowy, żeby pozwolili mi robić coś ciekawego.

- I na jaki pomysł wpadłeś? - powtórzyła.

Włączył kierunkowskaz, zmienił pas. Tuż obok zahurkotała ciemna cysterna. Sara drgnęła. Siedziała tak niziutko, była taka maleńka, taka krucha...

Wskazał białego mercedesa przed nimi.

- Spójrz na tę tablicę rejestracyjną.

Sara wyteńczyła wzrok i w świetle reflektorów odczytała napis. WYLIZMNIE. Roześmiała się.

Chip pokręcił głową.

- Niektórzy to mają klasę, co? Jak można przyczepić taką tablicę do merca za sześćdziesiąt tysięcy baksów? Przecież to psuje cały image.

- Opowiedz mi o swoim pomysłe - nalegała Sara. - Umieram z ciekawości.

Wzruszył ramionami i machnął prawą ręką, nie zdejmując lewej z kierownicy.

- Pomyślałem sobie, że założę własną wytwórnię. No wiesz. Zacząłbym od czegoś skromnego. Może od fabuły? Tak, od niskobudżetowej fabuły, od czegoś poniżej stu milionów. A może zrobiłbym coś dla telewizji? Coś artystycznego. Kontrowersyjnego. Coś, co nie przeszłoby niezauważone.

Samochód gwałtownie przyspieszył. Chip wcisnął gaz i śmignęli pustym odcinkiem autostrady. Sara poczuła się zagubiona. Jakby coś za sobą zostawiła, jakby coś straciła. Tam, w miejscu gdzie Chip zdradził jej swój nowy plan.

Wiedziała, że zostawiła tam część uczuć, jakimi go darzyła, część swego zapatrzania. Że wyzwoliła się spod jego słonecznego czaru, że ów czar wyciekł z pędzącego samochodu jak woda z dziurawego wiadra. Stwierdziła, że siedzi obok małego chłopca. Niewinne niebieskie oczy. Mały zadarty nosek. Tak, siedziała obok małego chłopczyka zastanawiającego się, jaki wybrać lizak.

Odchrząknęła.

- Ale założenie wytwórni filmowej... Potrzeba na to bardzo dużo pieniędzy, prawda? - Zakończyła bardziej piskliwie, niż zamierzała.

- Jasne. - Roześmiał się nieprzyjemnie. Pogardliwie. - Będę potrzebował trochę szmalu na rozruch, to oczywiste. I właśnie o tym chcę pogadać ze starym, kiedy wróci z wybrzeża.

Jakiego mi kupisz lizaka, tatusiu?

Zmierzyła go spojrzeniem i wyobraziła sobie, jak Chip liże wielkiego, okrągłego miętowego lizaka na długim patyku.

## 9.

Uwielbiała kochać się przy otwartym oknie, bo wpadał przez nie szum morskich fal. Wilgotne, słonawe prześciera-dło. I Chip. Nad nią. Taki lekki.

Cichutki szum. Chwilę później głośnie ryk łamiącej się fali. I znowu cisza. I znowu mokry, spieniony łoskot. Idealny rytm, myśli Sara, otwierając szeroko oczy. Patrzy, obserwuje ko-chanka.

Chip jest jak morska fala. Rośnie i opada. Rośnie i opada. Rozkołysany, łagodny.

Otwiera szerzej oczy. Próbuje myśleć o falach...

W dół... W dół... W dół...

Lecz myśli o czymś innym. Słucha... Myśli...

W dół... W dół... Jeszcze mocniej...

Chip odrzuca do tyłu głowę i wydaje z siebie ostrzegawczy jęk.

Fala wznosi się wyżej i wyżej, wreszcie opada z hukiem na brzeg. Sara wyobraża sobie białą pianę tryskającą na czarne skały, spienione jęzory strzelające w nocne niebo. Chip opada na nią, całuje ją w ramię, w szyję, całuje jej piersi.

Donośny łoskot, cichy szum, znowu łoskot...

Ocean faluje. Zawsze i nieustannie.

Sara długo leży bez ruchu. Nie śpi. Wsłuchuje się w cichy, rytmiczny oddech kochanka. Obserwuje srebrzysty księżyc za wzdętymi firankami. Myśli o oceanie wtaczającym się na brzeg cicho i delikatnie, jakby się nań wślizgiwał, by nagle stanąć dęba, opaść z hukiem na piasek i zmiażdżyć go z zaskakującą siłą. Niczym ciemna, niechciana myśl lęgąca się podstępnie w mózgu.

Śniadanie na tarasie w promieniach zamglonego słońca stojącego wysoko na niebie. Jagodzianki i plastry słodkiego arbuza ze straganu na North Sea Road.

I Chip w czerwonych kąpielówkach. Podrapał się w opaloną,

porośniętą jasnymi włosami pierś, wyciągnął do góry ręce.

- Późno wstaliśmy.

Odgarnęła grzywkę. Wesoło, z uśmiechem.

- Czuję się jak na wakacjach.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy i nie odstawiając białego dzbanka, spojrzął na nią z niemym pytaniem w oczach. Pokręciła głową, zakryła dłonią swój kubeczek.

- Spałaś?

- Jak zabita - skłamała.

- Szum oceanu usypia. - Odwrócił się w stronę brzegu, kładąc rękę na drewnianej poręczu tarasu. - Tutaj zawsze śpię jak dziecko.

Jak dziecko.

Dzidziuś chce lizaczka?

Co się stało? Przełknęła łyk kawy i omal się nie zakrztusiła. Dlaczego wciąż o tym myślę?

Poprawiła niebieski stanik. Zsunęła ciemne okulary na czubek nosa i zerknęła na swój brzuch. Jestem taka blada. Jak te mewy nad brzegiem.

Popatrzyła na wydmy. Ciągnęły się wzdłuż plaży, złocisto-niebieskie w zamglonym słońcu. Niebo kończyło się zwałem ciemnych chmur na horyzoncie.

Pociągnął ją za rękę.

- Chodź. Co powiesz na poranną kąpiel? - Błysnął niebieskimi oczami, odsłonił w uśmiechu białe zęby.

- Poranną? Już południe. - Dopiła kawę i odstawiła kubeczek na szklany stolik.

- To nawet lepiej. - Pociągnął ją mocniej, tak że musiała wstać. - Woda jest cieplejsza.

Roześmiała się, podniosła do góry orzechowe oczy.

- No jasne, ma pewnie z czterdzieści stopni.

Zrobił urażoną minę.

- Myślałem, że lubisz zimną.

- Tylko wtedy, gdy jest ciepła.

Pomyślała o swojej przyjaciółce z college'u, o Mary Beth Logan, z którą dzieliła pokój w akademiku. Tak by właśnie odpowiedziała. To jej słowa, nie moje. Musi do niej zadzwonić,

koniecznie. Nie rozmawiała z Mary Beth od tygodni, może nawet od miesięcy.

Mary Beth... Została we Freewood, wciąż tam mieszka. Niektórzy nigdy nie dojrzewają.

Chip pociągnął ją za sobą. Zbiegli z tarasu i popędzili na wydmy.

Niektórzy nigdy nie dorastają.

Nastąpiła na sosnową igłę. Syknęła z bólu.

- Czekaj, pozwól mi włożyć sandały!

- Nie ma czasu. Biegnij. Musisz wbiec do wody, inaczej się nie zamoczysz.

Ma rację.

Wydma, suchy, ciepły piasek. Mewa stojąca nad brzegiem przekrzywiła łebek i wydała z siebie przeraźliwy, gardłowy krzyk. Ostrzeżenie?

„Nie wchodzi. Woda jest koszmarnie... zimna?”

Zielonozłote fale kołysały się rytmicznie i łagodnie. W stronę łądu ciągnęły zwaliste chmury. Ocean pod nimi gwałtownie pociemniał. Wyraźnie widziała, gdzie kończy się jasność i zaczyna mrok. Ochłodziło się.

Stała po kostki w wodzie. Iść dalej? Fala cofnęła się, okręcając jej stopę sznurem wiotkiego, zielonego wodorostu.

Sara zadrżała.

Chip chwycił ją za rękę.

- Chodź! Nie cykoruj!

Woda zalała jej nogi. Sara zrobiła krok do tyłu, próbowała mu się wyszarpnąć.

- Puść! Jest zimna!

Parsknął śmiechem i wziął ją na ręce. Zaczęła wierzgać, sypiąc wokoło piaskiem ze stóp.

- Puszczaj! Puść mnie, Chip! Ja nie żartuję!

Uśmiechnięty, ruszył truchtem, zwinnie uchylając się przed mlóącymi powietrze ramionami Sary. Przycisnął ją do siebie z zaskakującą siłą, wystraszył ją, przeraził, zadziwił lekkością biegu.

Że protestowała? Nie chciał słyszeć jej protestów.

Wpadli do wody. Na plecach i udach Sary trysnął zimny prysznic.

- Puść mnie! Puszczaj! Nie! Tylko mnie nie upuść!

Czy i jaskiniowcy urządzali sobie głupie zabawy nad brzegiem morza?

Zaczęła krzyczeć, lecz w tym samym momencie wrzucił ją do zimnej wody i szok pozbawił ją tchu. Zamknęła oczy przykryta falą i natychmiast wstała, dygocząc, łowiąc oddech jak ryba wyrzucona na brzeg. Z twarzą oblepioną mokrymi włosami zamachnęła się na niego, lecz żartobliwie mierzony cios nie dosięgnął celu, bo Chip szybko zanurkował.

- Chrysstę, jak zzzimno! Oberwiesz za to, zobaczysz!

Staranował niską falę, wynurzył się po drugiej stronie, mocno pracując rękami, pokonał kilkanaście metrów i tuż za linią załamywania się grzywaczy dał jej znak, by do niego podpłynęła.

- Nnnigdy się nie rozzzgrzeję!

Woda zalała jej usta. Sara poczuła gorzki smak soli i splunęła. Potrząsnąwszy mokrymi włosami, wzięła głęboki oddech, odepchnęła się od dna i tłukąc nogami wodę, popłynęła w stronę Chipa.

Kilka sekund później podniosła głowę i zobaczyła, że Chip czeka na nią w tym samym miejscu. Czuła, że coś ją ku niemu ciągnie, że coś ją w tamtym kierunku popycha. Zdała sobie sprawę, że denny prąd jest znacznie silniejszy, niż myślała.

Była dobrą pływaczką. Jako czternastoletnia dziewczynka zdobyła czepek ratownika na kursach organizowanych przez Związek Młodzieży Chrześcijańskiej. Lecz nie lubiła morskich prądów, nie znosiła uczucia, że nie jest w stanie płynąć tam, gdzie chce.

- Chip, chcę już wracać! - krzyknęła, zerkając przez ramię w stronę brzegu, który był znacznie dalej, niż sądziła. Zwaliście, szkarłatne obłoki rzucały na wodę rozległy, ponury cień. - Chcę wracać! Prąd...

- Tu jest płytko, Saro. - Pokazał ręką w dół. - Mielizna, można tu stanąć.

Gdy podpłynęła bliżej, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Powoli, ostrożnie opuściła nogi, wymacała stopami piaszczystą lachę i stanęła. Woda sięgała jej ramion.

Wykrzywił usta w uśmiechu. We włosy wplątał mu się sznur zielonych wodorostów. Podskoczyli, gdy nadpłynęła wysoka, łagodna fala, i opadli, gdy się pod nimi przetoczyła.

- Bomba, co?

- Tak - przyznała - ale... Tu są silne prądy. Cały czas ciągnie mnie tam. - Wskazała za siebie.

- Nie są znowu takie silne - odrzekł omiatając wzrokiem ocean. Zobaczyli wielki, czerwono-czarny frachtowiec migoczący na tle ciemnego, zamglonego horyzontu. - Ciekawe, dokąd płynie.

Młóćąc nogami wodę odbiła się od dna. Chciała odpłynąć, ale nie puszczał jej ręki. Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Zimno mi, Chip. Wracam.

Chyba jej nie słyszał.

- Nie uważasz, że ocean jest romantyczny? - Śledził wzrokiem statek, maleńki prostokącik majaczący w miejscu, gdzie bezkres wód spotykał się z niebem.

- Co? - Woda zalała jej twarz. Chciała dać się ponieść fali, ale nie mogła, bo wciąż trzymał ją za rękę. - Puść. Nie mogę płynąć.

Przyciągnął ją do siebie i spojrzał na nią swymi niebieskimi oczyma. Błękitnymi jak niebo. Widziała odbijające się w nich chmury.

- Jest romantyczny, prawda?

O co mu chodzi? Dlaczego zachowuje się tak dziwnie?

- Tak, oczywiście. - Stopa ześliznęła się z piaszczystej łąchy. Sara odzyskała równowagę i walcząc z prądem, odnalazła grunt.

- To idealne miejsce na oświadczyzny, nie uważasz?

- Na co?!

- Na oświadczyzny.

- Chcesz mnie prosić o rękę?!

Skinął głową. Bez uśmiechu. Z powagą. Znów uniosła ich fala.

Odgarnęła włosy z twarzy. To nie z zimna drżała. To nie z zimna dostała gęsiej skórki.

- Wyjdź za mnie, Saro - wymamrotał. W jego oczach kłębiły się zwały czarnych chmur.



Nie chcę! Dygocząc zdała sobie sprawę, że tego nie chce! Fale miały ich, zmierzając do brzegu. Jedna za drugą, jedna za drugą, przelewały się jak czas.

- Chip, dobrze się razem bawiliśmy, ale...

Ale jesteś dużym dzieckiem.

Nie Kocham go. Czy uświadomiłam to sobie dopiero tej nocy? A może wiedziałam o tym już przedtem?

- Bardzo mi na tobie zależy, ale...

- O tylu rzeczach myślałem - powiedział zdejmując z włosów sznur wodorostów. Robił to jedną ręką. Drugą ścisnął jej nadgarstek. - Wiesz. O rozmowie z ojcem. O pieniądzach na wytwórnię. O mojej przyszłości. O naszej przyszłości.

My nie mamy przyszłości, Chip.

Uzmysłowiałam to sobie zesłej nocy, wiedziałam o tym od jakiegoś czasu. Chodzimy razem na uroczę kolację. Dobrze nam z sobą w łóżku. W ogóle nam z sobą dobrze. Teraz.

Przedtem...

- Chcę tę przyszłość dzielić z tobą, Saro. - Chwycił ją za drugą rękę, mocno ścisnął.

Frazes. Co za frazes. Jak z kiepskiego filmu.

Okrutne myśli.

Dlaczego psuje mi weekend?

Rozległ się odległy grzmot. Spojrzała na horyzont. Frachtowiec zniknął za zasłoną szarej mgły.

Puść mnie, Chip. Chcę zniknąć wraz z tym statkiem. Odpląnąć. Odpląnąć w tę miękką mgłę.

- Wyjdź za mnie, Saro.

- Nie mogę, Chip. - Uniosła ją fala. Nadciągał przypyływ. - Bardzo mi na tobie zależy. Pochlebiasz mi. Może kiedyś...

- Poważnie, Saro. - Mówił coraz piskliwiej, coraz głośniejszym głosem próbował przekrzyknąć łoskot przelewających się fal. - Mówię całkiem serio.

- Wiem, Chip. Nie chcę cię zranić, ale...

- Wyjdź za mnie, Saro.

- Nie. Proszę. Puść mnie. Nie mogę.

- Wyjdź za mnie, Saro.

- Przestań, Chip. Posłuchaj. Nie! Nie mogę. Nie teraz. Nie!

Zamknął oczy. Gdy je otworzył, zrozumiała, że w końcu ją usłyszał. W końcu dotarło do niego, że mu odmówiła.

- Wyjdź za mnie, Saro. - Puścił jej ręce. Objął ją za głowę.

- Muszę wracać. Przemarzłam.

Oczekiwała pieszczoty, tymczasem szarpnęła ją za włosy.

- Wyjdź za mnie, Saro! - krzyknęła piskliwie.

- Nie! Puszczaj!

- Wyjdź za mnie, Saro. - Chwycił ją za głowę. I mocno po-  
pchnął. Wepchnął ją pod wodę.

Tak nagle, tak nieoczekiwanie. Zachłysnęła się, zakrztusi-  
ła.

- Wyjdź za mnie, Saro - wychrypiał natarczywie, przy-  
trzymując ją pod wodą.

- Wyjdź za mnie.

Wierzgała nogami, bezradnie mlóciła rękami, wykręcała  
głowę, lecz nie mogła mu się wyrwać.

Wyciągnął ją za włosy. Kaszłąc, plując i prychnając, z tru-  
dem łowiła oddech.

- Wyjdź za mnie, Saro.

- Nie. Nie, proszę!

- Wyjdź za mnie, Saro. - Znowu wepchnął ją pod wodę.  
Głęboko. Jeszcze głębiej.

- Wyjdź za mnie.

Puść mnie! Puszczaj! Walczyła, wierzgała, wymachiwała  
rękami, próbowała mu się wysliznąć.

- Pierdol się, Saro.

Znów ją wyciągnął.

- Wyjdź za mnie.

I znowu wepchnął ją pod wodę.

- Pierdol się, Saro.

Do góry.

- Wyjdź za mnie.

I w dół.

- Pierdol się, Saro.

Przytrzymał ją. Długo. Bardzo długo.

Z jej ust uleciały ostatnie bąbelki powietrza.

- Wyjdź za mnie, Saro. Pierdol się, Saro.

Usłyszała te słowa, nim zanurzył ją po raz ostatni.

## 10.

- I co było dalej?

Mary Beth opuściła ręce. Słuchała opowieści z otwartymi ustami, skubiąc włosy na skroni.

Sara roześmiała się, skrzekliwie i z goryczą.

- Jak widzisz, nie utopił mnie.

Mary Beth zbadala wzrokiem jej twarz, jakby nigdy dotąd Sary nie widziała, jakby rozmawiała z kimś, kto cudem zmarłychwstał. Na spodeczku od filiżanki, którego używała jako popielniczki, dopalał się trzeci papieros, zapomniany i nie-  
tknięty.

- Jak to się skończyło? Jak mu uciekłaś?

- Nie uciekłam.

Sara wytarła ręce w dzinsy. Na wspomnienie tamtego dnia wciąż pocily się jej dłonie, wciąż trzęsły się jej nogi, wciąż czuła nieznośny ucisk w żołądku.

- Chip... On mnie wyciągnął - wyjąkała sadowiac się wygodniej na otomanie. - Chyba otrzeźwiał, odzyskał zdolność normalnego myślenia. Nie wiem, nie mam pojęcia.

Mary Beth pokręciła głową.

- Jezu!

Sara spuściła oczy.

- Myślałam, że stracę przytomność. Kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałam, gdzie jest niebo, a gdzie woda. Rozrywało mi płuca, straszliwie paliło w piersi. Cały czas pompowałam w siebie powietrze. I ciągle było mi mało.

- A on?

- Trzymał mnie. Po prostu mnie trzymał. A potem krzyknął, wydał z siebie taki dziwny, chrapliwy krzyk i zaczął mnie obejmować i jeszcze mocniej przytulać. Nie mogłam oddychać. Chciałam tylko oddychać, nic więcej, ale przyciskał mnie tak mocno, że nie mogłam. Myślałam, że utopię się nad powierzchnią wody. Byłam przerażona, przemarznięta. A on mnie przepraszał. Obejmował mnie, przytulał i przepraszał.

„Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. I tak w kółko, jakby odmawiał jakąś mantrę.

- Obrzydliwe - wymamrotała Mary Beth. Wzięła Sarę za rękę. - Naprawdę. Ta cała historia jest obrzydliwa. - Poruszyła się niespokojnie. - A potem? Dopłynęłaś do brzegu?

- Chip mi pomógł. Byłam bardzo osłabiona, wstrząśnięta... Płynęliśmy, a on mnie przeproszał. W domu też. Cały czas mnie przeproszał. Mówił, że mu odbiło, obiecywał, że to się już nigdy nie powtórzy. Ale wiedziałam, że to koniec. Wiedziałam, że nigdy więcej nie chcę go widzieć. Zbyt mnie przerażał. Był zbyt wybuchowy, zbyt niezrównoważony. - Wbiła wzrok w ścianę za plecami przyjaciółki. - Zawsze go usprawiedliwiałam. Myślałam, że go rozumiem. Byłam taka głupia. Powtarzałam sobie, cóż, jest bogatym i zepsutym jedynakiem. Rozwiedzeni rodzice, ojciec pracoholik. Chłopak przywykł, że zawsze dostaje to, czego chce. Nie dorastał z trzema starszymi braćmi jak ja. Nigdy nie musiał o nic walczyć, nigdy nie musiał z nikim współzawodniczyć, nigdy nie musiał przegrywać. Wmawiałam to sobie, cały czas to sobie wmawiałam. Ale to bzdura. Kompletna bzdura.

- To zwyczajny wariat - skonstatowała Mary Beth gasząc nietkniętego papierosa.

- Tak, to szaleniec. - Sara westchnęła. - Chciał zostać na plaży. Udawać, że nic się nie stało. Zacząć wszystko od początku. Kazałam odwieźć się do miasta. Błagał, żebym została, żebym mu przebaczyła. Kiedy odmówiłam, zapadł w otępienie, w jakiś letarg. Chyba nie potrafił przyjąć do wiadomości faktu, że wszystko poszło inaczej, niż to sobie zaplanował. Przez całą powrotną drogę milczeliśmy, nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Nawet na siebie nie patrzyliśmy. Trzy godziny napięcia. Trzy najstraszliwsze godziny mojego życia.

- A potem? Już nigdy go nie widziałaś?

Sara przewróciła oczyma.

- Chyba żartujesz! Nie dawał mi spokoju. Nie docierało do niego, że to już koniec. Wydzwaniał do mnie dziesięć razy dziennie. Przesyłał kwiaty. Przesyłał prezenty. Nagabywał

mnie w redakcji. Nachodził w domu. Kilka razy wypatrzyłam go na ulicy. Łaził za mną krok w krok.

Mary Beth otworzyła usta.

- Śledził cię?!

- Można to tak nazwać. Odbiło mu, kompletnie mu odbiło. Zastanawiałam się nawet, czy nie zawiadomić policji. Naprawdę.

- I co było dalej?

Sara wzruszyła ramionami.

- Później straciłam pracę. Doszło do fuzji. Concord Publishing zostało sprzedane. Połowę pracowników zwolniono. Łącznie ze mną. No i tak. Całymi dniami siedziałam w swoim mieszkanku na Osiemdziesiątej Drugiej ulicy, samotna, bezrobotna, nieustannie śledzona przez tego psychopata. I... i...

- I wtedy do ciebie zadzwoniłam! - Mary Beth usiadła na materacu, wyraźnie zadowolona, że długa i smutna opowieść przyjaciółki dobiegła końca.

- Tak jest! Na pomoc pospieszyła mi Mary Beth Logan! - wykrzyknęła wesoło Sara, również zadowolona, że to już koniec posępnych wspomnień. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała wszystko jej opowiedzieć. Na szczęście miała już to za sobą i poczuła się tak, jakby zrzuciła z siebie jakiś olbrzymi ciężar.

Ten rozdział mogę już zamknąć, pomyślała. I rozpocząć nowy: „Rozdział Sto Dwudziesty: Magisterium”.

- No i wróciłam do college'u - zreasumowała z uśmiechem. - Żegnaj, Nowy Jorku. Żegnaj, wspaniałe światło redakcyjno-wydawnicze. Witaj, małe, śpiące Freewood. Witaj, wydziale psychologii. Wciąż nie mogę uwierzyć, że znowu studiuję, że robię magisterium.

Mary Beth posłała jej serdeczny uśmiech.

- Zawsze uwielbiałaś analizować ludzi. Dlaczego nie miałabyś zostać psychologiem i robić tego za pieniądze?

Sara westchnęła.

- Byłoby niezłe, bo jestem kompletnie splukana. - Spojrzała na Mary Beth. - Jesteś wspaniałą przyjaciółką. Data

zapisów do college'u już dawno minęła. Nie mogę uwierzyć, że załatwiłaś mi przyjęcie.

- Co ty? Zapomniałaś, że jestem ważną kierowniczką wydziału mediów? Od czasu do czasu mogę pociągnąć za odpowiedzialnie sznurki.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Mary Beth, naprawdę. Uratowałaś mi życie. Nie żartuję.

- Eee tam... - Mary Beth spiekła raka. Wydawało się, że jest zażenowana wdzięcznością Sary. Nagle spoważniała. - A więc Chip nie wie, gdzie jesteś?

Sara pokręciła głową.

- Nic mu nie powiedziałam. I nie zostawiłam nowego adresu. Pewnie szuka mnie na Manhattanie. Chryste, mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że poderwie jakąś dziewczynę i szybko o mnie zapomni. Ale...

Zamyślona Mary Beth zmrużyła oczy.

- Nie domyśli się, że wróciłaś do Freewood, żeby zrobić magisterium?

Sara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Przestraszone, na chwilę zamarły. Mary Beth wstała i obciągnęła swoją granatową bluzę.

- Kto to może być? Zamawialiśmy pizzę?

Sara parsknęła śmiechem.

- Nie, ale jeśli roznosiciel jest przystojny, to go zaprosź!

Mary Beth oparła się o białe drzwi.

- Kto tam?

Sara usłyszała stłumioną odpowiedź. Męski głos.

- Ach, to ty. - Mary Beth trzasnęła zasuwą i do mieszkania wszedł młodziutki chłopak o marchewkowo-rudych włosach.

Pocałował ją w policzek, położył rękę na jej ramieniu. Mary Beth zrobiła krok do tyłu. - Jak się masz, Eric. Nie oczekiwałam cię. - Spojrzała na Sarę.

Eric odwrócił głowę i znieruchomiał, widząc na otomanie nieznaną dziewczynę.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że... Cześć...

- To moja przyjaciółka Sara - powiedziała Mary Beth zamykając drzwi. - Saro, to jest Eric.

Sara powiedziała mu: „Cześć”. Wygląda na osiemnaście lat, pomyślała.

Zażenowany, wepchnął ręce do kieszeni luźnych džinsów i wszedł niezdarnie do pokoju. Miał dziurę w kołnierzu szarego swetra, srebrny kolczyk w uchu i upstrzony piegami nos tudzież policzki.

Toż to jeszcze dzieciuch! Mary Beth umawia się z Huckiem Finnem! Jezu, skąd u mnie te okrutne myśli?

Pewnie powie mi, że to tylko przyjaciel, ale zdradziła go ta ręka na jej ramieniu.

Stał między dwoma materacami pośrodku pokoju i spojrzał na Mary Beth.

- Byłem na treningu. No wiesz, to kilka kroków stąd. Pomyślałem sobie, że wpadnę.

Mary Beth patrzyła na Erica, unikając badawczego wzroku Sary.

- No i jak ci idzie?

Wzruszył ramionami.

- Chyba nieźle. Trener mówi, że muszę trochę przybrać na wadze.

Mary Beth uniosła oczy do góry.

- Szkoda, że nikt nie mówi tego mnie! - Poklepała się po brzuchu i w końcu spojrzała na Sarę. - Eric jest w naszej drużynie zapaśniczej.

- Świetnie!

Beznadziejna riposta. Ale bardziej finezyjna odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Omiotła spojrzeniem szerokie bary i gruby kark Erica. Zaskoczona jego wiekiem, nie zauważyła nawet, jak potężnie jest zbudowany, co było doskonale widoczne, chociaż miał na sobie luźny sweter.

- Sara przeprowadziła się do nas z Nowego Jorku - dodała Mary Beth.

- Wiem, mówiłaś mi. - Spojrzał na Sarę. - Byłem w Nowym Jorku tylko raz. Miałem wtedy dwanaście lat. Tak, chyba dwanaście. Pamiętam, że byłem przerażony.

Sara kiwnęła głową.

- Owszem. Nowy Jork przeraża nie tylko dzieci.

Mary Beth roześmiała się. Trochę za głośno.

- Nie chciałbym wam przeszkadzać. - Eric przestąpił z nogi na nogę. - Jeśli jesteście zajęte...

- Nie. - Sara poderwała się z miejsca i odstawiła puszkę coli. - Już mnie nie ma. Muszę wcześniej wstać. Z samego rana pędzę do biblioteki.

- Na pewno chcesz już iść? - Mary Beth skrzyżowała ramiona i podeszła do Erica. - Moglibyśmy zamówić pizzę.

- Nie, nie, nie jestem głodna. I dzięki za wspaniałą kolację. Mary Beth przewróciła oczami.

- Sałatka z tuńczyka. Bomba. Prawdziwa uczta!

Sara uśmiechnęła się.

- Dodałaś odpowiednią ilość majonezu. Wybuchnęli śmiechem.

Sara chwyciła czarną kamizelkę z grubej wełny i spiesznie ruszyła do drzwi. Mary Beth i jej sekrety. Odkąd się poznały, zawsze miała jakieś tajemnice, zawsze chowała w rękawie kilka niespodzianek. Mimo zażyłej przyjaźni zawsze miewała jakieś sekreciki, wiecznie coś przed nią tajiła. Coś, o czym wiedziała tylko ona, nikt więcej.

Przystanąła w progu i zerknęła na Erica. Ale to miły sekrecik, pomyślała, całkiem miły. Osobisty studenciak do zabawy. Cóż, ostatecznie Mary Beth powiedziała, że wciąż czuje się jak studentka.

- Miło mi było cię poznać, Eric.

- Mnie również. Mary Beth nie przestaje o tobie mówić. - Zaczzerwienił się, na jego ustach wykwił leciutki uśmiech. - Ale nie wierzę ani jednemu jej słowu.

Mary Beth dała mu żartobliwego kuksańca.

- Zamknij się! Jutro do ciebie zadzwonię, Saro. Uważaj na siebie. I posłuchaj: nie przechodź przez kampus, dobra? Idź naokoło. Tam jest więcej latarni.

- Dobra, nic się nie martw.

I już wyszła, już była w wąskim, wykładanym terakotą korytarzyku, już stała na ulicy przed wieżowcem. Wieżowiec - tak ten blok nazywali. Jak można nazwać wieżowcem jedno piętrowy budynek?



Chłodny wiatr. Półksiężyc nisko nad drzewami. Nagie gałęzie drzew grzechoczące nad chodnikiem. Grube martwe liście tańczące u jej stóp.

Przebiegała ulicę myśląc o Ericu. O piegowatym rudzielcu Mary Beth. Ciekawe, czy chłopaczek już się goli.

Weszła w gęsty mrok. Spojrzała na latarnię. Przepalona żarówka. Sara zadrżała. Przerzuciła płócienną torbę na lewe ramię.

Za następną przecznicą lśniła kopuła gmachu administracji. Podświetlona zielonkawym światłem, majaczyła nad ciemną budowlą niczym lądujący statek kosmiczny. Sara zawahała się i skręciła w stronę kampusu, idąc ścieżką wijącą się między drzewami.

Nic mi nie będzie. Jestem zbyt zmęczona, żeby zasuwać naokoło.

Szła, czujnie rozglądając się na boki. Biały adidas pod kufelkami wystrzyżonym jałowcem. Płachta gazety wydawanej na kampusie fruująca w powietrzu niczym latawiec, który zerwał się z uwięzi.

Może powinnam wynająć mieszkanie gdzieś tutaj? Miałabym bliżej do Mary Beth. Przyspieszyła kroku. Buty ślizgały się na mokrych liściach. Czy Mary Beth zrobiła to celowo? Czy celowo załatwiła mi mieszkanie po drugiej stronie kampusu?

Gwałtowny podmuch wiatru przygiął trawę do ziemi. Zatrzeszczały gałęzie drzew.

Dlaczego się jej czepiam? Dlatego, że nie powiedziała mi o Ericu? Że nie chciała mówić o swoich osobistych sprawach?

Odkąd to stałam się taka wymagająca, do cholery? I taka zaborcza?

Odpowiedź nasunęła się sama: potrzebuję kogoś, komu mogłabym zaufać. Kogoś, komu mogłabym wierzyć.

Ścieżka skręciła między drzewa i ciemne, granitowo-ceglane budynki college'u majaczące wokół Kręgu zniknęły jej z oczu. Znów silny podmuch wiatru. Dostała gęsiej skórki.

Nagle usłyszała metaliczny grzechot.

Potem ciche chrobotanie.

I odgłos szybkich kroków.

Zza drzew wyskoczył olbrzymi czarny stwór. Rzucił się na Sarę i objął ją mocno w pasie. Poczula na twarzy piekący, smrodliwy oddech.

## 11.

Zatoczyła się do tyłu...

Wdychała zatechły odór bijący mu z pyska niczym gorąca para.

Widziała jego czerwone ślepie, czuła napór jego potężnego cielska.

- Leżeć! Leżeć!

Głos mężczyzny. Lekko rozhisteryzowany, może przerażony, lecz stanowczy. Stamtąd, z ciemności po lewej stronie.

- Leżeć, King! Nie rusz!

Łapy olbrzymiego psa zsunęły się po jej nogach.

Dyszała jak po ciężkim biegu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Wróciła na trawnik, powoli odzyskując równowagę.

- Do nogi, King! Do nogi! Leżeć!

Pies gardłowo zawarczał i odwrócił się w stronę swego pana.

Stanął przed nią mężczyzna w średnim wieku. Kurtka z brązowej skóry, biała baseballowa czapeczka nasunięta nisko na czoło.

- Bardzo panią przepraszam. Przestraszył panią?

- Eee... tak. - Spojrzała na wielkiego żółtego psa. - To labrador?

Po jaką cholere o to pytam? Co mnie to obchodzi?

- Nigdy dotąd tego nie robił. Bardzo przepraszam. Nic się pani nie stało?

Ruszył za nią w stronę stożka bladego światła z niskiej

zielonej latarni. Był starszy, niż początkowo myślała. Miał pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat. Policzki porastała siwawa szczecina.

- On... Śmiertelnie mnie przestraszył! - oświadczyła, gdy strach ustąpił miejsca złości.

Mężczyzna postawił kołnierz kurtki.

- Bardzo panią przepraszam. Strasznie mi przykro. - Spojrzał na psa, który obwąchawszy pień drzewa, zadarł tylną nogę i oddał mocz.

Czarująca psina, pomyślała rozwścieczona.

- Duże psy powinno się wyprowadzać na smyczy - syknęła. - Mógł mi złamać rękę.

- Nigdy przedtem tego nie robił. Naprawdę. King jest bardzo łagodnym zwierzęciem. - Mężczyzna spojrzął na jej kamizelkę. - Ubrudził panią błotem? Jeśli pani pozwoli, chętnie zapłacę za pralnię.

- Nie, nie trzeba. Wszystko w porządku, nie ma o czym mówić.

Serce biło już normalnie, mimo to była roztrzęsiona. Rozdygotana. Cały czas czuła na sobie ucisk wielkich łap, spychających ją między krzewy.

King wbiegł na ścieżkę, machając ogonem. Mężczyzna pogłaskał go po łbie ręką w rękawiczce. Zanim się w końcu pożegnał i odszedł z sadzącym ciężkimi susami psem, przeprosił Sarę co najmniej pięć razy.

Sara odwróciła się szybko i pobiegła w stronę domu.

Mary Beth ma rację. Od dzisiaj koniec z chodzeniem przez kampus.

Najpierw niech złapią tego mordercę.

Nie ma siły, nigdy faceta nie dorwiemy, pomyślał ze smutkiem Garrett.

Zamknął oczy. Pomasażował kciukiem powieki. Przypomniała mu się ta młoda kobieta. Ta dziewczyna. Przypomniało mu się jej koszmarnie wygięte ciało, jej zalana krwią głowa. Pęknięta jak skorupka jajka.

Minęły trzy dni, a oni nie mieli ani jednego śladu. Najmniejszego śladu.

Minęły trzy dni, a ilekroć o niej pomyślał, żołądek podjeżdżał mu do gardła. Charlotte Wilson. Kiedyś była małym dzieckiem. Jak Martin.

Teraz jest oskalpowana i ma przetracony kręgosłup.

Następnego ranka przyjechał z Medford koroner. Był zaskoczony i małowówny.

- W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Musiała wpaść pod ciężarówkę.

Garrett wyjaśnił mu, że nie znaleziono odcisków opon samochodowych. Poza tym ciężarówka nie może wypruć z człowieka flaków i przy okazji go oskalpować, prawda?

- Niemożliwe. Człowiek nie ma tyle siły - powtarzał z uporem koroner drapiąc się w szyję, aż się zaczerwieniła. Był wysoki, chudy jak szczapa, miał na sobie tani, błyszczący szary garnitur i co chwilę szarpał węzeł wąskiego, granatowego krawata pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli. - Chyba że użył jakiegoś narzędzia.

- Żeby ją w ten sposób... zmiażdżyć?

- Żeby złamać jej kręgosłup.

- Nożem jej nie oskalpował - wtrącił Walter. Siedział przy biurku, podpierając rękami swoją białą, okrągłą głowę. - Nie. Skóra nie została nacięta. - Poskrobał się w policzek. - Została zerwana.

Jeden się drapie, drugi się drapie - zaczęło go swędzieć pod pachą. Garrett podszedł do okna. Mgła i kapuśniaczek. Krople deszczu na brudnej szybie.

- Skończyliście sekcję zwłok?

- Jeszcze nie. Chce pan znać przyczynę zgonu? Na pewno się nie utopiła.

Żartowniś z niego, pomyślał Garrett.

- Niecałą godzinę przed śmiercią odbyła stosunek seksualny.

Garrett odwrócił się od okna.

Walter podniósł głowę.

- Naprawdę? Z mordercą?

Koroner wykrzywił usta.

- Chłoptasie, mieliście kiedykolwiek do czynienia z zabójstwem? Może powinniście pójść do biblioteki i trochę sobie na ten temat poczytać, co?

Garrett się wściekł.

- Nie nazywaj nas pan chłoptasiami.

Koroner poczerwieniał.

- Chwila, nie miałem na myśli nic złego. Spokojnie, panowie, po co te nerwy? Macie twarde orzech do zgryzienia, dlatego trzeba zachować spokój. Rozumiemy się?

- Jesteśmy gliniarzami, nie stróżami - syknął Garrett.

Zbyt buńczucznie, zbyt zaczepnie. Skłął siebie w duchu. Jesteś bezradny, jesteś głupi i wyżywasz się na obcym, równie bezradnym i głupim.

- Tak czy inaczej, niecałą godzinę przed śmiercią odbyła stosunek seksualny - powtórzył koroner drapiąc się w powiekę osłoniętą grubym szkłem okularów. - Może to jakiś ślad. A może tylko brudna tajemnica, którą przypadkiem odkryliśmy.

Walter pokręcił głową. Zwilgotniały mu oczy.

- Musiałem zadzwonić do jej rodziców. Nigdy nie słyszałem takiego krzyku i płaczu. Chyba do końca życia tego nie zapomnę. Wyli jak zwierzęta. Jak konie. No wiecie. Gdy zadzierają łby i przeraźliwie rżą.

Koroner popatrzył na Waltera, ale nie zareagował.

- Jutro dostarczę wam kompletny protokół. - Narzucił na siebie szary prochowiec i szybko wyszedł z posterunku.

- Jest zimny jak ryba - zauważył Walter. Garrett westchnął.

- A któż inny mógłby zostać koronerem?

MILTON R. COHN

DZIEKAN DO SPRAW STUDENCKICH

Sara przeczytała ręcznie malowany napis na matowej szybie w drzwiach gabinetu. Zdjęła z ramienia torbę z książkami i postawiła ją na podłodze. Potem zerknęła na swoje odbicie w szkło, odgarnęła włosy i poprawiła krótką czarną spódnicę, włożoną na czarne rajstopy.

Spojrzała za siebie na długi rząd drzwi biur i gabinetów. Na marmurowej podłodze pod jednymi z nich pólleżało dwóch studentów: podkurczone kolana, plecaki między nogami, papierosy w ustach. Środkiem korytarza szły obok siebie

dwie młode blondynki, pewnie sekretarki. Spiesznie postukując obcasami, niosły sterty dokumentów i kolorowych folderów.

Sara stanęła twarzą do drzwi. Przytknęła nos do matowej szyby chcąc sprawdzić, czy w środku ktoś jest. Do tej pory musiał już chyba wrócić. Mam nadzieję, że mnie pamięta. Jeśli zapomniał o swojej propozycji, zapadnę się pod ziemię.

Wyobraziła sobie, że wchodzi do gabinetu, i...

- Panie doktorze, chciałam panu bardzo podziękować. Właśnie takiej pracy szukałam. Jestem gotowa zacząć w każdej chwili.

A Milton Cohn odwraca się, wykrzywia twarz i lodowatym głosem pyta:

- Czy my się znamy?

Potarła palcem czarne literki na szkle i odniosła wrażenie, że zaraz je zetrze.

Idziesz jak na ścięcie, weź się w garść. Zaproponował ci pracę. Dlaczego zachowujesz się jak rozdygotana nastolatka?

Delikatnie zapukała w szybę. Za cicho. Tak cicho, że prawie tego nie słyszała.

Podniosła rękę, żeby zapukać ponownie, ale w tym samym momencie zza rogu korytarza wyszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie brązowy garnitur. Drugi - luźne spodnie, białą koszulę i ciemny krawat. Sara gwałtownie wciągnęła powietrze, bo wydawało się jej, że ten w garniturze to Liam, kiedy jednak podeszli bliżej, zdała sobie sprawę, że się omyliła.

- A co byście zrobili, gdyby nie było kadencji? - spytał ten w koszuli wysokim, piskliwym głosem.

- Diabli wiedzą. Ja też jestem w tym Komitecie. Chcesz, to cię do nas wciągnę.

- Nie, dzięki. Jestem członkiem tylu komitetów, że już dawno przekroczyłem wszelkie dopuszczalne limity.

- Powinieneś się zapisać. Nasz komitet nigdy się nie zbiera, nie marnowałbyś czasu.

Mijając Sarę, otaksowali ją spojrzeniem od stóp do głowy. Obserwowała ich, dopóki nie weszli do gabinetu dwoje drzwi za studentami rozwalonymi na podłodze.

Spojrzała na zegarek. Poniedziałek, piętnasta trzydzieści.

Przyszła tu zaraz po seminarium profesora Nudnego. Całą godzinę siedziała rozkojarzona, nie mogła się skoncentrować, bo myślała o spotkaniu z Cohnem.

W najgorszym wypadku... Co w najgorszym wypadku? Najwyżej powie, że zmienił zdanie i zatrudnił kogoś innego.

Wielkie mecyje.

Niektórzy żeglowali przez życie niczym szybownicy po niebie, jak choćby jej brat Gary, który startował z najwyższego wzgórza w okolicy, i choć nie wiedział, dokąd zanieśie go wiatr, radował się samym lotem.

Sara do szybowników nie należała, bo zawsze musiała utrudnić sobie życie. „Przestań wchodzić sobie w drogę” - powiedział jej Gary, gdy straciwszy pracę w Nowym Jorku, zwierzyła mu się, że nie wie, co z sobą począć. Nie takiej rady szukała, lecz słowa te utkwily jej w pamięci.

Więcej czasu poświęcała na myślenie niż na działanie. To kolejna złota myśl Gary'ego. Gary'ego dziennikarza, wolnego strzelca. Gary'ego podróżnika. Gary'ego szybownika.

Tak, lubię myśleć. Dlatego robię magisterium z psychologii. Nikt jej nigdy nie zarzucił, że jest spontaniczna, impulsywna czy pełna animuszu, lecz szybko doszła do wniosku, że ludzie pełni werwy wcale nie muszą być szczęśliwi.

Zapukała po raz drugi, tym razem głośniejszym, bardziej zdecydowanym.

Odpowiedziała jej cisza.

Wewnątrz paliło się światło. Sara odchrząknęła. Przekręciła szklaną kłamekę, otworzyła drzwi. Zajrzała do środka. Sekretariat. Dębowe biurko zawałone papierami. Komputer i drukarka na niskim stoliku za biurkiem. Całościenna półka z książkami, głównie w twardych okładkach. Brązowy wieszak w rogu, nagi, jeśli nie liczyć czarnego parasola na najwyższym haku. Rzząd stalowoszarych szafek na akta.

Za biurkiem? Nikogo. Komputer? Wyłączony.

- Dzień dobry... - wychrypiąta cicho i piskliwie.

Przez otwarte okno wpadały do sekretariatu promienie zamglonego, popołudniowego słońca. Przekroczyła próg i cichutko zamknęła za sobą drzwi. Widziała stąd okna Instytutu

Językoznawstwa i Kulturoznawstwa, błyszczące w słońcu niczym złociste prostokąty.

Usłyszała kroki na korytarzu i śmiech. Odwróciła się od okna i jej wzrok spoczął na bładozielonej ścianie gabinetu Cohna. Wisiały na niej dwa długie noże skrzyżowane niczym szpady. Na srebrzystych ostrzach igrały refleksy światła. To nie są noże kuchenne, skonstatowała. Ani noże do krajania mięsa. To jest broń.

- Panie dziękowanie? Doktorze Cohn? Czy jest tu...?

Zrobiła krok w stronę gabinetu. Drzwi były otwarte. Widziała półki z książkami. Ciemnoczerwony dywan na podłodze.

I dwa brązowe buty na dywanie.

Dwa brązowe buty ze zwróconymi do góry czubkami. Ciemne skarpetki. Nogawki brązowych spodni.

- Boże...

Gwałtownie zamrugła i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to człowiek. Na podłodze. Mężczyzna leżący bez ruchu na podłodze.

Dziękam Cohn. Martwy. W swoim gabinecie.

- Boże...

Ogarnęła ją panika, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Odwróciła się, żeby wyjść na korytarz, ale nie mogła. Nabrała powietrza, wstrzymała oddech. Popatrzyła na dwa identyczne noże na ścianie, modląc się, żeby serce prostato tak mocno walić. I stanęła w progu gabinetu.

- Dzień dobry. Witam.

Dziękam Milton Cohn w białej, rozchełstanej koszuli leżał na plecach. I ćwiczył szarymi hantlami. Podnosił je i opuszczał. Podnosił i opuszczał. W górę, w dół. W górę, w dół.

Stęknął, uśmiechnął się do niej. Miał czerwoną z wysiłku twarz. I ramiona o wiele masywniejsze, niż przypuszczała. Ramiona boksera. I ten brzuch. Tam, w restauracji, myślała, że jest gruby, ale teraz zobaczyła, że to mięśnie jak powrozy, całe zwały mięśni. Twardy brzuch i masywna pierś porośnięta gęstymi, siwowymi włosami lśniącymi od potu.

Odłożył hantle i wstał.



- Przepraszam. Nie słyszałem, jak pani weszła. - Głos miał głęboki, lecz z trudem łapał oddech.

Ciężkim, niedźwiedzim krokiem podszedł do szerokiego, mahoniowego biurka, z zielonego skórzanego fotela ściągnął biały ręcznik i otarł czoło.

Sara odchrząknęła.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Pukałam, ale...

Nie do wiary. Naprawdę myślałam, że facet nie żyje. Co mi odbiło? Dlaczego jestem ostatnio w takim grobowym nastroju?

Cohn wytarł mokrą głowę i rzucił ręcznik na parapet. Usiłował przygłodzić włosy ręką, ale natychmiast stanęły dęba nad zaczerwienionym czołem. Spojrzał na Sarę, zapinając koszulę.

Zdała sobie sprawę, że gapi się na jej piersi, i dostała wypieków. Pamiętała, jak na nią patrzył, gdy spotkali się pierwszy raz.

- Claire dzisiaj nie ma. Za miesiąc rodzi i już nie mieści się w drzwiach. - Wyszczerył zęby w uśmiechu i wreszcie przestał obmacywać ją wzrokiem.

- Jeśli przychodzę nie w porę, to...

Jego wielkie paluchy gmerały przy kołnierzyku. Jedna poła koszuli tkwiła w spodniach, druga sterczała zza paska.

- Nie. Nie. Po prostu korzystałem z samotności. Ćwiczę dwa razy dziennie, to należy do moich obowiązków. - Stał przy biurku i wskazał jej fotel z zielonej skóry.

- Do pańskich obowiązków?

- Jak najbardziej. Trzeba sporej krzepy, żeby radzić sobie z tą bandą studenciaków.

Nie wiedziała, czy Cohn żartuje, czy mówi poważnie. Usiadła i teraz gapił się na jej nogi. Obciągnęła krótką spódnicę, żałując, że nie nałożyła czegoś skromniejszego. Torbę położyła na kolanach.

- Nie śmiaj mi odszczekiwać. - Zawsze mówił chrapliwym głosem, jakby lada chwila miał odchrząknąć. Zgiął rękę i z uśmiechem naprężył biceps.

Sara parsknęła śmiechem. Tak, Cohn żartował.

- Dbanie o kondycję fizyczną to jedna z moich obsesji. -

Zrobił krok do tyłu i przysiadł na brzegu biurka, na pliku dokumentów. Spojrzał na jej kolana. - Mam wiele obsesji. A pani? - Łypnął na nią pożądliwie, jakby powiedział coś sugestyjnego.

- Nie. Nie... nie należę do kobiet opętanych obsesjami - wydukała niezręcznie. - Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina - dodała, żeby jak najprędzej zmienić temat i przejść do rzeczy. - Nazywam się Sara Morgan. Poznaliśmy się „Pod Korkociągiem” i...

Nachylił się i poklepał ją po dłoni. Rękę miał ciężką, włochatą i szorstką jak łapa zwierzęcia.

- Oczywiście, że panią pamiętam, Saro.

- Naprawdę? W takim razie...

- Wczoraj pytał o panią Liam.

- Liam? Pytał o mnie?

Musnęła dłonią grzywkę. Chryste, dlaczego piszcze jak mała dziewczynka? Postanowiła zniżyć głos.

- Pytał, czy się pani do mnie zgłosiła.

- No więc... No więc się zgłaszam! - Objęła torbę obiema rękami. - Ta praca bardzo by mi odpowiadała, panie dziękuję, i jeśli tylko...

- Milton, Saro. Mów mi Milton, dobrze?

- Dobrze, Milton.

Znowu patrzył na jej kolana. Czyżbym robiła błąd? Może to jakiś zboczeniec?

- O właśnie. Tak jest dużo lepiej.

Ścisnął jej ramię. Z trudem zdusiła bolesny grymas twarzy. Facet jest naprawdę odrażający, pomyślała. Wróć, poprawka. Nie, nie odrażający. On jest po prostu za duży.

- Jeśli będziesz mnie tytułowała, poczuję się jak stary przyk.

Zaśmiała się sztucznie.

- Pozwól, że zadam ci kilka pytań, Saro. - Błysnął złotym zębem, dźwignął się z blatu i obszedł biurko. Skórzany fotel wydał z siebie długie wuszszz, gdy w nim usiadł. - Czy masz jakieś doświadczenie w pracy biurowej?

- Chyba... chyba tak. - Podniosła torbę i założyła nogę na nogę. - Byłam asystentką redaktora w Concord Publishing w Nowym Jorku.

Ujął w dłoń metalowy przycisk do papieru w kształcie piramidy i zaczął przetaczać go z ręki do ręki, nie spuszcżając wzroku z Sary.

- To chyba ciekawa praca.

- Byłam zwykłą sekretarką z szumnym tytułem - odrzekła.

- Oczywiście, sekretarki bez tytułu zarabiała znacznie lepiej.

Uśmiechnął się. Przerzucił metalową piramidę do lewej ręki.

- Dlaczego wyjechałaś?

- Concord Publishing weszło w fuzję z innym wydawnictwem, zredukowano sporo etatów i...

- Nie. Pytałem, dlaczego wyjechałaś z Nowego Jorku. Żeby uciec od jakiegoś mężczyzny?

Skąd o tym wie?! I dlaczego zadaje mi tak bardzo osobiste pytania? Myślałam, że to rozmowa na temat mojej pracy!

- Hmm... tak. - Czuła, że ma gorącą twarz, że się czerwieni.

Wyglądało na to, że ta odpowiedź go zadowolila. Pochylił się. Na czole, tuż pod zwichrowaną czupryną białych włosów, dostrzegła sznur kropli potu, wielkich jak krople deszczu.

- Jesteś bardzo piękną dziewczyną, Saro.

- Dziękuję. - Czując się nieswojo, wbiła wzrok w półki z książkami za biurkiem.

- Lubisz chodzić do kina?

- Tak. Czasami chodzę.

Nie takiej rozmowy oczekiwała. Poprawila się w fotelu. Zapadła długa, napięta cisza. Milton odchrząknął-

- Claire nie ma męża, ale będzie miała dziecko - rzucił spoglądając w okno. Słońce zniknęło za chmurami i gabinet pogrążył się w półmroku. Rozpaloną twarz Sary ochłodził nagły powiew ożywczego wiatru. - Zawsze myślałem, że jest lesbijką. Może i jest. Nie wiem. Dzisiaj trudno jest stwierdzić coś na sto procent, nie uważasz?

To pytanie czy konstatacja?

- Chyba tak.

Przetoczył piramidę do prawej ręki. Grube krople potu zaczęły spływać mu na policzki.

- No bo jak odróżnić lesbijkę od normalnej kobiety? - wychrypiał sondując ją wzrokiem.

Sara wzruszyła ramionami.

- Najlepiej ją o to spytać.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem, jakby powiedziała coś przezabawnego.

Chryste, cóż to za dziwadło, pomyślała. Powinnam wstać i wziąć nogi za pas. Zacisnęła palce na uchwycie torby. Nie, potrzebuję pieniędzy, jestem bez grosza. Nie mogę pożyczać bez końca od braci. Ta praca jest dla mnie idealna. Gdyby tylko...

Znowu ten wiatr. Wpadł przez otwarte okno i przewrócił na biurku zdjęcie w plastikowej oprawce. Gdy Cohn ustawił je na miejscu, zobaczyła, że fotografia przedstawia młodą kobietę z okrągłą twarzą okoloną loczkami jasnych włosów.

- To twoja żona?

Uśmiechnął się i postukał palcem w twarz kobiety na zdjęciu.

- Nie. To Jennifer, moja córka. - Sposepniał, oczy mu zmatowiwały. - Już nie mam żony - dodał głosem niskim i poważnym.

Sara spuściła głowę.

- Rozumiem...

To wszystko jest zbyt osobiste, pomyślała. Chcę być tylko jego sekretarką, nie przyjaciółką czy... Nie, Boże, tylko nie to.

Jakby czytając w jej myślach, Cohn przeszedł w końcu do konkretów.

- Podaj mi swój plan. Zobaczmy, kiedy mogłabyś pracować.

Powiedziała mu, kiedy ma zajęcia. Cohn wyjął z kieszeni spodni białą chustkę z lnu i otarł mokrą od potu twarz. Schował chustkę do kieszeni i znowu wziął z biurka metalową piramidę.

- Mogłabyś przychodzić we wtorki rano, w środy i w piątki po południu?

Kiwnęła głową.

- Jak najbardziej.

Omówili kwestie finansowe. Stawka godzinowa była o wiele wyższa, niż się Sara spodziewała.

- Muszę wygłosić dwa przemówienia - oznajmił. - Jedno na spotkaniu grupy naszych absolwentów. College potrzebuje pieniędzy, zbieramy datki. Drugie to gadka-szmatka do studenckich doradców. Pomogłabyś mi je napisać?

- To może być nawet zabawne. - Wstała, żeby wyjść. Torbę trzymała przy boku. Wolną ręką obciągnęła spódnicę.

- Pisywałaś przemówienia albo coś w tym rodzaju?

Pożerał wzrokiem jej nogi. Celowo się z tym nie kryje? Może myśli, że tego nie widzę?

- Hmm... Nie, chyba nie. W Nowym Jorku pisywałam głównie listy. Zawiadomienia o odrzuceniu tekstu.

Kiwnął głową.

- Dobrze. Cieszę się, że cię znalazłem, Saro. Możesz zacząć jutro rano? O dziewiątej?

- Jasne. Dziękuję, Milton. Do zobaczenia. - Już miała ruszyć do drzwi, i nagle znieruchomiała. Odwróciła się szybko.

I rzuciła okiem na przedmiot, który trzymał w swojej wielkiej łapie. Na metalową piramidę. Sprasował ją niemal na placek.

Poszedł za jej spojrzeniem.

- Przepraszam. - Przez jego twarz przemknął cień dziwnie pokornego uśmiechu. - Czasami zapominam o swojej sile.

Wychodząc z gmachu administracji, wpadła na Liama.

- Cześć! - wykrzyknęli jak w duecie.

I wybuchnęli wesołym śmiechem.

Miał na sobie rozpięty płaszcz, czarny golf i czarne spodnie. W jego brązowych oczach igrały refleksy mglistego, popołudniowego słońca.

- Musimy skończyć z takimi spotkaniami - zażartował.

Uwielbiam jego uśmiech, pomyślała.

- Właśnie byłam... - Machnęła ręką w stronę drzwi.

Nie pozwolił jej dokończyć.

- To przeznaczenie. Myślę, że to przeznaczenie. - Przestał się uśmiechać. - Wierzysz w przeznaczenie, Saro?

Powaga, z jaką o to zapytał, zbiła ją z tropu.

- Chyba... Nie wiem.

Co za idiotyczna odpowiedź. Zwymyślała sobie w duchu, czując, że znowu się czerwieni. Nie możesz wymyślić nic bardziej interesującego?!

Chyba nic nie zauważył.

- Ja wierzę. No, ale ja wierzę prawie we wszystko - dodał z lekkim uśmieszkiem.

Spojrzała mu w oczy.

- We wszystko?

Kiwnął głową. Nie wyglądało, na to, żeby żartował. Wektnął pod pachę skórzaną dyplomatkę, wziął Sarę za rękę, ułożył jej zimną dłoń na swej gorącej dłoni i uważnie się jej przyjrzał.

- Masz ładną linię życia.

Nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

- Ty naprawdę we wszystko wierzysz!

Nie zmienił wyrazu twarzy. Spojrzał jej w oczy, ale ręki nie puścił.

- Cudownie się śmiejesz. - Pieścił spojrzeniem jej usta.

Uciekła wzrokiem w bok, czując, że wali jej serce.

Znowu spojrzał na jej dłoń.

- Próbuję zbadać, czy z naszymi spotkaniami wiąże się jakaś konkretna przyczyna. - Powiedział to filuternie, swawolnie. - Czasami dwie linie się przecinają, a wtedy...

- Łaskoczesz mnie! - Zabrała rękę.

- Przepraszam. - Nie odrywając od niej wzroku, odgarnął z czoła gęste włosy. - Masz ochotę na kawę?

Naprawdę mu się podobam, pomyślała. To coś więcej niż zwykły flirt.

Bzdura. To tylko flirt.

Znowu zwymyślała sobie w duchu. Nie rób sobie wielkich nadziei. Zaprasza cię na kawę, a ty głupiejesz z wrażenia jak podlotek?

- Tak...

W tej samej chwili do Liama podbiegli młoda kobieta i mężczyzna. Podekscytowani, zaczęli mówić jednocześnie o jakimś zebraniu na wydziale językoznawstwa. Z tego, co Sara

zrozumiała, Liam miał w nim uczestniczyć, a tych dwoje rozpaczliwie go szukało.

Liam spojrział na nią i bezradnie wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Wygląda na to, że na mnie czekają. Może innym razem?

- Chętnie! - odpowiedziała trochę zbyt entuzjastycznie i znowu poczuła, że się czerwieni.

Patrzyła, jak go ciągną za sobą. Odwrócił się, znowu wzruszył ramionami, w końcu uległ i cała trójka ruszyła w stronę gmachu wydziału językoznawstwa.

Przeznaczenie, pomyślała. Nie było to słowo, którego zbyt często używała, nad którego sensem zbyt dużo myślała, lecz teraz powtarzała je z nadzieją jak mantrę.

Z obłoków na ziemię ściągnęła ją Mary Beth. Tego samego wieczoru po kolacji zadzwoniła do Sary i spytała:

- Znalazł cię?

- Hę? Kto?

- Liam. Szukał cię wszędzie - odrzekła obojętnie Mary Beth nieświadoma porażającego wrażenia, jakie wywierają na przyjaciółce jej słowa. - Dzwonił do mnie po południu.

- Liam? - pytała piskliwie Sara.

- Mówił, że próbuje cię znaleźć. Pytał, czy znam plan twoich zajęć. Powiedziałam, że jesteś umówiona z dziekanem Cohnem, że masz z nim rozmawiać o pracy. Spotkałaś go czy nie?

- Tak, ale... - Poczowała pulsujący ból w skroniach. - Ale... on twierdzi, że to przeznaczenie.

- Twierdzi, że co?

- Udawał, że to przypadek. No wiesz. Że na siebie wpadliśmy.

Mary Beth długo milczała.

- Dziwne - powiedziała w końcu.

Wprost przeciwnie, pomyślała Sara. To cudowne!

- Dziwne - powtórzyła Mary Beth.

## 12.

Andrea DeHaven cofnęła się w cień wysokiego żywopłotu i spojrzała na okno domu po drugiej stronie ulicy. Migotliwa poświata sącząca się zza zasłony niosła z sobą obietnicę.

Jesteś dzisiaj w domu, Liam?

Myślisz o mnie?

Usłyszała warkot, musnęły ją światła reflektorów. Postawiła kołnierz szarego futra z królików. Minęła ją furgonetka. Za oknami sylwetki czterech młodych mężczyzn. Rozgadanych, rozgestykulowanych, poklepujących oparcia foteli.

Poprawiła włosy, jedno oko zasłoniła rudopomarańczowym lokiem. Tak było seksowniej. Przed wyjściem ściągnęła je do tyłu i związała, potem zmieniła zdanie i rozpuściła. Powiewały dziko i swobodnie.

Dla ciebie, Liam.

Myślała o nim od tygodni. Obsesja? Może. Ale o czym innym miała myśleć? O swoich nieruchomościach? O mieszkaniach, które wynajmowała studentom i drażliwym profesorom college'u? O tym, że ani jedni, ani drudzy nie mieli ani centa przy duszy? Czym innym miała się zajmować? Liczeniem pieniędzy z czynszu za dzierżawę trzech domów, które zostawił jej ojciec?

Ojciec zostawił jej pięć domów, ale ten parszywiec Scott dwa z nich sprzedał, żeby spłacić długi, zanim dał nogę ze swoją sekretarką.

Westchnęła. Z trudem powstrzymując łzy, spojrzała w czarne niebo.

Tylko nie rozmaz sobie tuszu do rzęs, złotko.

Zażyłaś kokę i szlochasz? Koka powinna podnieść cię na duchu.

Potarła nos. Może się nie postarałam, może...

Pokręciła głową i zagryzła wargę, czując słodki smak czerwonej szminki.

Korzystaj z życia.



Sentencja w sam raz dla mnie, pomyślała z goryczą. Tytuł mojej autobiografii.

Gdyby ją kiedyś napisała, powstałaby bardzo cieniutka książeczka.

Nieźle życie sobie wymodziłam. Jeden mąż zwiął z tanią dziwką. Drugi wykitował przy obiedzie. Chlapnął twarzą w talerz i po herbacie. Żeby to po herbacie. Nawet do herbaty nie chciało mu się zaczekać.

Mam czterdzieści dwa lata, tylko patrzeć, jak strzeli mi sześćdziesiątka.

Przynajmniej przyjaciółki mnie nie zawiodły. Delia, która zbiera przepisy kulinarne niczym gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych, choć nigdy nie gotuje. Nie gotuje, mimo to poniżej dziewięćdziesiątki nigdy nie schodzi i poci się przy każdym kroku.

Co za myśl. Wolałabym, żebyś to ty się przy mnie spocił, Liam.

Kto jeszcze? Esther, moja aptekarka. Co ja bym bez niej zrobiła?

Pociągnęła nosem. Nie. Nie postarałam się.

Delia i Esther. Co by powiedziały widząc, jak rzucam się w ramiona przystojnemu profesorkowi? Obchodzi mnie to? Nie. Chyba nie.

Poza tym to on zaczął, nie ja.

Wiedziałam, co się kroi, wiedziałam, o czym myśli. Wtedy, pierwszego sierpnia, gdy oprowadzałam go po domu. Czulałam na sobie spojrzenie jego brązowych oczu. Nie, wcale tego nie ukrywał.

Otarł się o mnie w drzwiach do jadalni. I to jak! Udał, że zrobił to niechcący, przypadkowo. Ładny mi przypadek. Po prostu mnie obmacywał, i tyle. Spojrzenie jego ciemnych, przesywających oczu na mojej twarzy, na moich piersiach. Oczu natchnionych, uduchowionych...

I sposób, w jaki do mnie mówił. Tak cicho, łagodnie, seksownie, z tym irlandzkim zaśpiewem czy jak to się tam nazywa. Żartował, flirtował ze mną, musnął dłonią moją rękę, gdy wchodziliśmy do kuchni.

Pamiętam, ile razy mnie dotknął, pamiętam dokładnie.

A potem? Pieścił mnie wzrokiem, gdy prowadziłam go schodami na górę. Wiedziałałam, na co patrzy. I wiedziałałam, że mu się to podoba.

Na piętrze było bardzo gorąco. To gorąco było z niego i ze mnie. Czułam to. Po jego uśmiechu domyśliłam się, że on też to czuje.

Zaprowadziłam go do sypialni. Gdyby było tam łóżko...

A w zeszłym tygodniu? Tego wieczoru, kiedy „przypadkowo” do niego wpadłam? Tak, dał mi do zrozumienia, że nadajemy na fali o tej samej długości.

Wzajemne przyciąganie się - tak nazwałby to profesor college'u. Ale Liam jest inny. Nie przypomina tych zimnych jak ryba mądrali, tych obmierzłych staruchów ze sflaczałymi dłońmi i białymi jak mleko twarzami. Nie, Liam ma gorącą krew. Jak ja.

Bo we mnie też płynie irlandzka krew, ja też miałam irlandzkich przodków. Ze strony matki. Przynajmniej tak twierdziła mama.

A dzisiaj chcę poczuć w sobie prawdziwego Irlandczyka. Liam.

O rany! Mam przez ciebie sprośne myśli. Bardzo sprośne - i bardzo mi się to podoba!

„Jurna i napalona” - to chyba lepszy tytuł niż: „Korzystaj z życia”.

W zeszłym tygodniu ty też miałaś sprośne myśli, Liam. To było takie oczywiste, takie jednoznaczne i czarujące zarazem. Poznałam to po sposobie, w jaki patrzyłeś mi w oczy, w jaki ścisnąłeś mnie za rękę w drodze do drzwi.

Pamiętam każdy twój dotyk.

Ty też?

Tak dużo o tobie myślę, Liam. A dzisiaj po prostu nie mogłam usiedzieć sama w domu. Te głupie komedyjki telewizyjne tak bardzo mnie męczą. Nigdy mnie nie śmieszyły. Chryste, kim są ci ludzie, którzy siedzą w studio i ryczą ze śmiechu jak ostatni debile?

Chcę, żebyś ty mnie rozśmieszył, Liam, ty. Dlatego postanowiłam odpowiednio się ubrać. Mam na sobie swój najseksowniejszy sweter. Wiem, że podobają ci się moje piersi, a ten

sweter bardzo je podkreśla. Widziałam, jak się na nie gapisz, jak obmacujesz je wzrokiem. Są prawdziwe, Liam, nie ma w tym żadnego oszukaństwa. Stanik z usztywnianymi wkładkami? Nie, to nie dla mnie. W ogóle nie noszę stanika. Sam się przekonasz.

Ubrałam się dla ciebie, Liam. Myślałam o tym od zeszłego tygodnia. Nie, to nie koka, skarbie. Koka pomogła mi tylko rozjaśnić umysł.

Zasłony w oknie. Poruszyły się? Patrzysz na mnie, Liam? Jestem tutaj, niedaleko, po drugiej stronie ulicy. Czekam. Czekam na odpowiednią chwilę. Próbuję nad sobą zapanować. Żeby nie rozpaść się z kupy, jak powiadają studenci.

Drzwi domu Liama otworzyły się nagle i na betonowe schody padł prostokąt żółtawego światła. Andrea ukryła się w cieniu żywopłotu.

Obiema rękami ścisnęła kołnierz futra. Liam? Czyżby do kądś wychodził?

Nie. To jego siostra. Jak jej na imię? Nie mogła sobie przypomnieć. Imię, imię... Zaczynało się na „B”? Barbara? Nie.

Serce zabiło jej szybciej, gdy siostra Liama zamknęła za sobą drzwi, włożyła ręce do kieszeni prochowca, szybko zeszła po trzech stopniach na chodnik, gwałtownie skręciła i postukując obcasami, spieszenie ruszyła przed siebie.

Tak! Wielkie dzięki!

Andrea zacisnęła pięści, triumfalnym gestem potrząsnęła rękami i upuściła oprawiony w czarną skórę notatnik. Gdy nachyliła się, żeby go podnieść, poczuła silny zawrót głowy.

Spokojnie, dziewczyno.

Nie zaprzepaść wielkiej szansy.

Chwyciła notatnik obiema rękami, wyprostowała się i ostrożnie przeszła przez ulicę. To bardzo ładnie ze strony siostruni, że raczyła zostawić nas samych, Liam. Gdy kota nie ma, myszy harcują.

Wcisnęła guzik dzwonka.

Dryń-dryń - słyszała, jak dzwoni. Potem dobiegł ją odgłos kroków.

Zasłoniła włosami swoje niebieskie oczy. Odchrząknęła.

Czuć jej z ust? Nie, chyba nie. Woda toaletowa. Szkoda, że skropiła się tak delikatnie. Poison. Lubiła ten ciężki zapach. A nazwa? Pies drapał nazwę.

- Kto tam? To ty, Margaret? Wróciłaś?

Siostra ma na imię Margaret?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzył drzwi. Stał przed nią, wysoki w świetle padającym z korytarza. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, mokre, jakby przed chwilą brał prysznic. Biały wełniany sweter, luźne brązowe spodnie, okulary bez oprawek. Patrzył na nią.

- Andrea?

- Zaskoczony? - Chciała to słowo tchnąć, wypowiedzieć je namiętnie, zamiast tego wydała z siebie zduszony chichot. Musnęła jego pierś rękawem futra.

- Andrea? Ja właśnie... Wejdiesz? - Zdjął okulary, przyjrzał się jej uważnie. Te jego oczy, ten jego przeszywający wzrok.

Bądź przyjacielski, Liam. Bądź dla mnie miły. Uciesz się na mój widok.

Twarz miał poważną, bez uśmiechu.

Czyżby popełniła błąd?

Cofnął się, żeby zrobić jej przejście. Weszła do korytarza, otarła się o niego grubym futrem, przygniotła go do ściany.

- Myślałam o tobie. - Chciała powiedzieć to żartobliwie, chciała się z nim troszkę podroczyć, tymczasem zabrzmiało to poważnie, sucho i służbowo.

W końcu się uśmiechnął. W jego brązowych oczach zagrały świetliste refleksy.

- Czyżby nadeszła pora płacenia czynszu? - spytał ze śmiechem. - Jestem pewien, że wyskrobie skądś kilka dolarów.

Chętnie przyjmę zapłatę w naturze, pomyślała.

- Nie, nie zrozumiałeś mnie. - Światło w korytarzu było zbyt jaskrawe. Widziała tylko jego sylwetkę. Nie tak to sobie zaplanowała. Musiała usiąść. Musiała zebrać myśli. - Czy mogłabym się czegoś napić?

Oderwał się od ściany, ruszył do salonu.

- Wody?

Wody? Nie! Woda i romantyzm?! O co chodzi, Liani? O co chodzi?

- Masz wino? - Poszła za nim. Aby dalej od tego jaskrawego światła.

Sterta książek na sofie. Stożek światła padającego na otwartą książkę na biurku przy ścianie. Cicha muzyka z odtwarzacza płyt kompaktowych na półce.

- To van Morrison? Ty też lubisz van Morrisona, Liam?

Kiwnął głową.

- Jego stare płyty. Albumy, które nagrał, zanim odkrył religię. - Przeszedł na drugą stronę pokoju. - Właśnie otworzyłem butelkę chardonnaya. Napijesz się?

To już lepiej, skarbie, znacznie lepiej. Zdjęła futro. Tak tu gorąco. Wprost nie do zniesienia.

- Tak. Dziękuję. - Rozłożyła futro na sofie obok książek i usiadła na nim.

Podszedł do stolika przy drzwiach do jadalni, podniósł butelkę wina.

- To prawdziwe futro?

- Tak, z królika - odrzekła głosem małej dziewczynki.

Uśmiechnął się.

- Z jednego? Raczej z kilkudziesięciu. - Ręką, w której trzymał kieliszek, wskazał róg pokoju. - Lepiej nie pokazuj go Febe.

Febe? Myślałam, że jego siostra ma na imię Barbara. Albo jakoś tak.

Chwilę trwało, nim zdołała skupić wzrok na zwierzęciu w klatce.

- Trzymasz tu królika?

Przestał nalewać wino.

- Przepraszam. Czyżby regulamin domowy tego zabraniał?

Wiedziała, że tylko żartuje, mimo to boleśnie ją ten żart ukłuł. Dlaczego ciągle traktuje mnie jak gospodynię, jak właścicielkę domu?

- Kto wie, może pewnego dnia zrobię z Febe futro - mówił wesoło. - Małe futerko dla krasnoludka. - Stanął za sofą, wsunął jej w dłoń nóżkę kieliszka z winem, uniósł swój kieliszek i ruszył w stronę biurka. - Twoje zdrowie.

- Twoje. - Upiła długi łyk. Dobre wino. Łagodne. Aromatyczne. Na pewno nie z tych tanich. Jeszcze jeden łyk. - Wierzysz w krasnoludki, Liam?

Zachichotał.

- Przecież wszyscy w nie wierzą.

Potrząsnęła włosami. Wypięła piersi. Dlaczego na mnie nie patrzy?

Stał pośrodku salonu, między sofą a biurkiem. Nie odrywał wzroku od swego kieliszka.

Miała ochotę klepnąć w poduszkę i poprosić, żeby usiadł koło niej, lecz zniechęciła ją jego odpychająca postawa.

- „Tupelo Honey” - wymamrotała. - Pamiętam, jak kupowałam ten singiel. - Podniosła oczy, spojrzała na niego. - Masz ładny sweter.

Uśmiechnął się, potarł rękaw wolną ręką.

- Irlandzka wełna z dobrej irlandzkiej owcy.

- Pracowałeś? Przeszkodziłam ci?

- Czytałem przypowiadki ludowe. Jutro będę mówił o nich na wykładzie. - Podniósł książkę. - Bardzo przyjemna lektura. To takie cudowne. Ilekroć myślę, że przeczytałem już wszystkie, zawsze znajduję taką, której nie znam.

- Cudowne - mruknęła gapiąc się na prawie pusty kieliszek. Spróbowała zmienić temat. - Kiedy twoja rodzina przyjechała do Ameryki?

Łypnął na nią spode łba. Dlaczego? Dziwne.

- Moja rodzina tu nie przyjechała. Wyemigrowałem tylko ja.

- A twoja siostra?

- Tak, ona oczywiście też.

Uciął temat tak krótko i stanowczo, że aż cichutko gwizdnęła.

Chyba tego nie usłyszał. Jego twarz powoli złagodniała. Wziął książkę i powiedział:

- Myślę, że ta historyjka ci się spodoba. Opowiada o pieniądzech.

Znowu bolesne ukłucie w piersi. Pieniądze. Chryste, cały czas myśli o mnie jak o właścicielce domu. Co ja tu robię? Głupia ty, głupia.

Lecz w tej samej chwili usiadł koło niej, pochylił się, stuknął kieliszkiem w jej kieliszek i posłał jej uśmiech, na który tak bardzo czekała, który tyle razy sobie wyobrażała, taki sam uśmiech, jakim obdarzył ją tamtego gorącego dnia w sierpniu.

Pachniał mydłem. I aromatycznym szamponem do włosów. Słodkim, kokosowym. Dlaczego tak wcześniej brał prysznic?

Odstawił kieliszek na podłogę i powiódł wzrokiem po stronie książki.

- To opowieść o dobrej wróżce.

Dobre wróżki mnie nie interesują, złotko, pomyślała udając zaciekawienie. Może byś tak zapomniał o tej cholernej książce i wsunął mi język w usta?

Pomyślała o dwóch pedałach, którym wynajęła mieszkanie dziś po południu. Przed oczyma mignęły jej ich gładkie twarze. Dobre wróżki, cholera. Co tam. Przynajmniej zawsze u nich czysto i porządknie.

Liam odłożył książkę. Przysunął się bliżej i wyraźnie podniecony, posłał jej uśmiech.

Głupia przypowieśćka rajcuje go bardziej niż ja, pomyślała przybita Andrea. W życiu nie widziała dorosłego mężczyzny, którego podniecałyby krasnoludki i dobre wróżki.

Liam nie zważał na jej brak entuzjazmu. Wpatrzony w oczy Andrei, zaczął opowiadać z charakterystycznym dla siebie ożywieniem, dzięki któremu zyskał tak wielką popularność jako wykładowca.

- Dawno, dawno temu w małym miasteczku o nazwie Carrick mieszkał sobie Sean O'Doole. Sean był dobrym katolikiem i co niedzielę chodził na mszę. Ale pewnej niedzieli zasnął i wyszedł z kościoła na ulicę. Nim zdążył zaczerpnąć powietrza i odzyskać siły, podszedł do niego ubrany na czarno staruszek. „Marnie wyglądasz”, powiedział do Seana. Sean wskazał kościół i odrzekł: „Zasnąłem na nabożeństwie”. Staruszek wetknął mu do ręki złotego florena. „Idź do pubu Muldoona i napij się whisky. Whisky dobrze ci zrobi. Wkrótce znowu będziesz silny i zdrowy”.

Andrea z trudem opanowała ziewnięcie. Poczwała się senna.

To przez to wino. Opowieść Liama też nie przyspieszała sprawy. Zamknęła oczy.

Ożywiony Liam mówił dalej:

- Sean podziękował nieznanemu, poszedł do pubu i zamówił najlepszą whisky, jaką tam mieli. Wypił sporo, zapłacił złotym florenem od szczodrobliwego staruszka i wkrótce poczuł się znakomicie. Następnego dnia stwierdził, że zabrakło mu tytoniu. Poszedł do miejscowego sklepu, poprosił o napełnienie kapciucha, sięgnął do kieszeni, żeby zapłacić, i co się okazało? Okazało się, że tkwi w niej ten sam złoty floren, którego dostał od staruszka w czerni! Zapłacił nim sprzedawcy i popłynął łodzią na ryby. Wrócił wieczorem, zmęczony, obolały i przemoczony. Zaszedł do Muldoona i zamówił whisky, żeby się trochę pokrzepić, a kiedy chciał płacić, znowu znalazł w kieszeni złotego florena. Zaczął się zastanawiać, kim był ów starzec, który podarował mu czarodziejską monetę. Czyżby należał do grona dobrych duszków nie z tej ziemi? I co z tym florenem? Czy powinien dalej korzystać z jego usług? Płacił nim wiele dni i zawsze odzyskiwał monetę. Lecz im częściej to robił, tym bardziej się denerwował, w końcu doszedł do wniosku, że dłużej tego nie zniesie. Zamówił whisky u Muldoona, cisnął florena na ladę i krzyknął: „Niech cię diabli porwą!” Muldoon wrzucił monetę do szuflady i spytał Seana, co go tak rozwścieczyło.

Sean opowiedział mu całą historię. „Ty głupcze! - ryknął Muldoon. - Zatrzymaj monetę. Jesteś bogaczem!” Otworzył szufladę, żeby oddać mu florena, lecz monety w niej nie było. Zniknęła i nikt jej już nigdy nie widział. Tak samo jak starca w czerni.

Andrea otworzyła oczy i stwierdziła, że Liam świdruje ją wzrokiem. Na co czekał? Miała się rozpląkać? A może wybuchnąć śmiechem?

Głos van Morrisona wznosił się i opadał niczym łódź na falach oceanu. Andrea usiadła prosto. Jej dłoń musnęła rękę Liama i chwilę na niej pozostała.

- Nie rozumiem - powiedziała mrużąc oczy.

Nie mogła się skoncentrować. Dlaczego to światło musi być takie jaskrawe? Dlaczego muzyka nie może grać głośniej?



Liam parsknął śmiechem.

- Typowy Irlandczyk. Im lepiej, tym gorzej. Nie mógł tego znieść.

- Ale dlaczego oddał monetę? - spytała. - Przecież był biedny, tak? Potrzebował pieniędzy.

- Nie rozumiesz, że ta moneta mogła być dla niego przekleństwem? - Jego oczy płonęły z podniecenia jak oczy nauczyciela, który wciągnął ucznia w pułapkę. - Sean nie wiedział, kim był ten starzec. Może diabłem? Albo gnomem? Nawet najwspanialszy dar może stać się przekleństwem, jeśli nie wiesz, kto cię obdarował. Mógł przynieść pecha. Sean tego nie wiedział, nie mógł tego sprawdzić.

Andrea pokręciła głową. Doszła do wniosku, że przypowieść jest kompletnie bez sensu. Dlaczego Liam uważa, że to taka wspaniała historyjka?

- Myślisz, że Irlandczycy są przesądniejsi niż większość ludzi? - spytała obojętnie.

Zareagował zdziwieniem. Na jego policzkach wykwitły szkarłatne kręgi.

- Dlaczego pytasz?

- Ten, jak mu tam... Sean. Był przesądny, prawda? Wierzył w klątwy, w pecha i tak dalej.

Liam przytaknął w zamyśleniu.

Dość tych bzdur, postanowiła Andrea. No to jak będzie, złotko? Zrobimy to czy nie?

Teraz albo nigdy.

Wyciągnęła rękę i przytknęła dłonie do jego rozognionych policzków. Były zaskakująco gorące. Zaczęła łagodnie przyciągać jego głowę do swojej. Zamknęła oczy. Otworzyła usta.

Kaszlnięcie za sofą. Kroki. Delikatne chrząknięcie.

Andrea gwałtownie nabrała powietrza.

Liam wyrwał się z jej objęć i spojrzał w stronę źródła odgłosów.

- Margaret! Już jesteś?

Andrea zerknęła przez ramię i ujrzała jego siostrę, która stała tuż za sofą, obrzucając brata pełnym nagany spojrzeniem. W rękę ścisnęła torebkę z brązowego papieru. Uniosła ją i powiedziała:

- Dostałam lody. Nie wiedziałam, że wydajemy przyjęcie. - Adresowała te słowa wyłącznie do Liama, nie do niej.

Andrea zerwała się chwiejnie na nogi. Wessała ślinę, która pokrywała jej wargi. Pocałunek. Nie pocałowaliśmy się. Chciał tego, ale ta jego siostra... Podłoga powędrowała do góry.

- Wpadłam tylko na chwilę. Naprawdę, nie chciałabym...  
Ja...

Dlaczego się przed nią tłumaczy?

Uśmiezek na twarzy Margaret. Uśmiezek kąpiący. Szyderczy.

Chętnie startałabym ci go pięścią, pomyślała Andrea.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Andreo - odrzekła Margaret i wreszcie oderwała oczy od Liama. - Proszę, nie odchodź, zostań.

- Nie, muszę już iść, muszę wracać do domu.

Liam też się do niej uśmiechał. Zbadała wzrokiem jego twarz w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Naśmiewa się z niej? A może uśmiecha się, bo coś ich połączyło. Sekret. Wspólna tajemnica.

Jezu, przecież nie jestem chorą z miłości nastolatką. Dlaczego czuję się jak podłotek przyłapany przez matkę na kanapie z chłopakiem?

Skronie pulsowały nieznośnym bólem. Rozcierając je, chwyciła ciężkie futro i ruszyła do drzwi. Liam podtrzymał ją za łokieć, gdy potknęła się o krawędź wschodniego dywanu.

- Ostrożnie - szepnął i spojrzał na nią pytająco.

Ciągle nie rozumiała, co znaczy ten uśmiech. Tak czule mnie podtrzymuje. Zależy mu na mnie. Tak, miałam rację.

- Wkładam lody do zamrażalnika i pędzę do siebie. - Siostra wciąż stała za sofą. - Proszę, nie uciekaj przede mną.

Lecz Andrea była już przy drzwiach. Światło w korytarzu. Jasne jak poranne słońce. Oślepiło ją, raziło w oczy, skronie zatętniły jeszcze większym bólem.

- Cieszę się, że jesteście zadowoleni z domu.

Co za głupota, co za obłudne kłamstwo. Co się ze mną dzieje? To chyba przez to wino. Przez wino i kokę.

Za mało wzięłam.

Liam otworzył drzwi.

- Wszystko w porządku?

Co to, do diabła, znaczy?

- Dojdiesz do domu, Andreo?

Kiwnęła głową.

- To niedaleko, po drugiej stronie kampusu.

Podał jej futro. Wsunęła się w nie, odwróciła i posłała mu uśmiech.

Odpowiedział uśmiechem i z rękami na jej ramionach szepnął:

- Uważaj na siebie, dobrze?

- Dobranoc, Liam.

Drzwi. Dlaczego tak szybko je zamyka? Poczwała na twarzy szokująco zimny podmuch powietrza. Drzwi zatrzasnęły się nagle z tak głośnym hukiem, że omal nie spadła ze schodów.

Czekając, aż oczy przywykną do ciemności, wspominała jego uśmiech, jego brązowe oczy, dotyk jego rąk na ramionach. „Uważaj na siebie, dobrze?” Wypowiedziane cichym, łagodnym, słodkim jak miód głosem.

Pragnął mnie, jak ja pragnęłam jego.

Tak, na pewno.

Przytrzymując się żelaznej balustradki, zeszła na chodnik. Włożyła ręce głęboko do kieszeni, naparła głową na wiatr i z łzawiącymi z zimna oczami, z policzkami palącymi od łez ruszyła do domu.

„Uważaj na siebie, dobrze?”

A już go prawie miałam.

Następnym razem wszystko wypali. Tak, następnym razem. Bez tej przeklętej siostruni, czyhającej w pobliżu.

Cholera, dlaczego taki szalowy facet mieszka z siostrą?!

## 13.

Gdy Liam oddał płaszcz i czapkę młodemu człowiekowi w holu, Milton poprowadził kolegę przez salon w stronę długiego, lustrzanego korytarza wiodącego do gabinetu. Za nagimi koronami drzew zachodziło czerwone słońce.

- Masz tutaj prawdziwy las - skonstatował Liam.

Przystanął, żeby przywitać się z dwiema sekretarkami w krótkich spódniczkach i rajstopach. Uśmiechnęły się do niego i wzniosły kieliszki jak do toastu.

- To miło z twojej strony, że wydajesz przyjęcie bez okazji - dodał.

- To swego rodzaju tradycja. Dziekan do spraw studenckich wydaje przyjęcie każdej jesieni. Pomyślałem sobie, że lepiej zorganizować je tutaj niż w jakimś dusznym pokoiku w administracji.

Trzy studentki pełniące rolę kelnerek krążyły po salonie, roznosząc plastikowe kubeczki z białym i czerwonym winem oraz krakersy z białym serem.

Milton ujął Liama za łokieć i poprowadził go dalej.

- Czasami potrafię patrzeć na las całymi godzinami. Nic nie robię, tylko patrzę. Obserwuję, jak zmienia się światło.

- Wygląda na to, że masz za dużo czasu, Milton - zażartował Liam.

Cohn nie odwzajemnił uśmiechu. Poprawił kołnierz kasztanowego golfu i rzekł:

- Tak się cieszę, że znalazłem ten dom. Wiesz, że cała tylna ściana jest przeszklona? Okna sypialni też wychodzą na las. Mogę leżeć w łóżku i wyobrażać sobie, że jestem na dworze.

Liam pomachał mężczyźnie w średnim wieku, który stał w rogu wspierając się na lasce, i spojrzał na Milтона.

- Masz daleko do kampusu. Jak sobie radzisz zimą? Jak wjeżdżasz na te wzgórza?

- Na szczęście zeszłej zimy spadło niewiele śniegu. To był

mój pierwszy rok we Freewood. Ale i tak na wszelki wypadek kupiłem wóz terenowy z napędem na cztery koła. Nie jest tak źle.

Liam przystanął, żeby obejrzeć plakat na ścianie.

- Koleje Brytyjskie? - spytał.

Milton przytaknął.

- Zbieram plakaty Kolei Brytyjskich. Mam kilka z lat trzydziestych, są naprawdę piękne. - Westchnął. - Tylko gdzie je powiesić? To jeden z problemów związanych z posiadaniem domu z tyloma oknami. Zresztą kolekcjonuję nie tylko plakaty. Potrzebuję dużo miejsca. - Spojrzał na przeciwległą ścianę.

Liam poszedł za jego wzrokiem. W szybach licznych gablot odbijały się promienie szkarłatnego słońca.

- Tak, pamiętam. Opowiadałeś mi o swojej kolekcji noży.

- Mam kilka bardzo rzadkich egzemplarzy - wyznał Milton. - Historycznych. Później ci je pokażę.

Do gabinetu wpadły dźwięki muzyki z kompaktowego odtwarzacza płyt w salonie. Otworzyły się drzwi i wysunęła się zza nich głowa jednej z kelnerek.

- Wina?

- Nie, na razie dziękuję - odrzekł Liam. Głowa kelnerki zniknęła. - Nie wiedziałem, że jesteś takim zapalonym kolekcjonerem, Milton.

Cohn zaczerwienił się.

- Nie znasz mnie, przyjacielu. Prawie wcale mnie nie znasz.

Przyjrzał się O'Connorowi. Liam miał na sobie czarną, za piętą pod szyję koszulę bez kołnierzyka i luźne, zaprasowane w kant spodnie.

Tak jest pewnie modnie, ale wygląda jak ksiądz, skonstatawał. Kiedy wszedł do salonu i zaczął witać się z gośćmi, myślałem, że ich pobłogosławi.

Miltona zawsze śmieszili ludzie goniący za modą. Jaki w tym sens? Czy nie lepiej jest ubierać się wygodnie? Po prostu wygodnie?

Liam jest przystojny. Większość kobiet uznałaby, że nawet bardzo przystojny. Po co mu ten strój?

O'Connor patrzył na dwie szable skrzyżowane nad kamiennym kominkiem. Potem jego wzrok prześliznął się po półkach zastawionych rzędami książek na temat broni, starej i współczesnej, następnie po półce z almanachami zbrodni. Literatura kryminalistyczna - hobby Milтона. Jedno z liczących.

Zatrzymał wzrok na ludzkiej czaszce spoczywającej na rogu kominka. Spojrzał na Cohna i zmrużył oczy.

- Prawdziwa?

- Tak. To czaszka mojej babki. Zachowałem ją po pogrzebie.

Liam zawahał się. Zmrużył oczy jeszcze bardziej i doszedł do wniosku, że Milton żartuje. Wybuchnęli śmiechem.

- Wypatrzyłem ją na pchlim targu - wyjaśnił Cohn. - Wyobrażasz sobie? To Maurycy, tak ją nazwałem. Po moim starym dziekanie z Binghampton.

- Interesujące. Przydaje gabinetowi specyficznej atmosfery. - Liam spojrział na białe pudełko w swoim ręku. - Byłbym zapomniiał. Masz, to dla ciebie. - Pudełko było przewiązane różową wstążką zaplecioną w różowy kwiat.

- Szkoda, że Margaret nie mogła przyjść - powiedział Milton. - Wielka szkoda.

Liam wetknął pudełko w jego olbrzymie ręce.

- Ja też żałuję. Strasznie rozbolała ją głowa. To migrena. Ilekroć ma migrenę, kładzie się do łóżka i próbuje ją przespać.

Milton spojrział na pudełko.

- Nie musiałeś przynosić prezentu. Przecież nie obchodzę dzisiaj urodzin.

Liam uśmiechnął się.

- To tylko drobiazg, mały upominek. No? Otwórz.

Śmiech z salonu i z korytarza. Dźwięki fortepianowej muzyki zagłuszone gwarem głosów. Nowi goście, pomyślał Milton. Ciekawe, czy jest wśród nich Leila Schumacher.

Romanistka, uczy francuskiego. Chętnie udzieliłbym jej kilku lekcji z języczkiem. Ostatnim razem, kiedy minęła go kręcąc swoim wspaniałym kuperkiem, z trudem zapanował nad rękami.

Przed przyjęciem onanizował się pod prysznicem, fantazując

o Leili Schumacher. Robił to nie pierwszy raz. Wyobrażał sobie, że stoi koło niego ociekając wodą, że rozsuwa nogi, szeroko, bardzo szeroko, wyobrażał sobie jej mokre uda, jej... O Chryste. Bywały takie chwilei że żądza dosłownie go rozszalała. Może zdoła namówić Leilę, żeby została po przyjęciu. Pokazałby jej las za przeszkloną ścianą sypialni, a potem...

- Otwórz to, Milton. Na co czekasz?

Cohn chwycił koniuszek różowej wstążeczki i nagle stwierdził, że ma wzwód. Stał za biurkiem, otworzył wieczko pudełka, rozerwał dwie warstwy białej bibułki i... zdębiał. Patrzył na okrągłą bryłę węgla.

- Węgiel? Nie rozumiem.

Liam błysnął oczyma.

- To coś bardzo specjalnego, Milton - rzekł bez uśmiechu. - Chcę, żebyś to sobie zatrzymał. Ta bryłka spadła z węglarki, gdy byłem małym chłopcem. Miałem wtedy dziewięć lat.

- Naprawdę? - Cohn rozchylił bibułkę, pudełko pacnęło na blat biurka. - Czekaj, o ile dobrze pamiętam, węgiel daje się pod choinkę niegrzecznym dzieciom.

Liam wyjął czarną bryłę z jego rąk i delikatnie ją pogłaskał.

- Ten węgiel przyniesie ci szczęście. To szkocki przesąd. Jeśli kawałek węgla spadnie z węglarki i jeśli podniesiesz go jako pierwszy, musisz rzucić go przez prawe ramię. - Oddał mu bryłę. - Zrobiłem tak w Irlandii, gdy miałem dziewięć lat. Goniłem za węglarką, dopóki nie podskoczyła na wyboju. Gdy podskoczyła, spadła z niej bryłka węgla. Byłem bardzo podniekcytowany. Chwyciłem ją i rzuciłem przez ramię. Od tamtej pory nigdy się z nią nie rozstaję.

Ale teraz chcę podarować ją tobie.

Milton otaksował go sceptycznym spojrzeniem.

- Jesteś pewien, że chcesz się rozstać z takim skarbem?

- Gdy odwiedzam czyjś dom po raz pierwszy, zawsze przynoszę coś na szczęście. - Powiedział to poważnie, bez odrobiny ironii w głosie.

Milton odchrząknął.

- Naprawdę w to wierzysz?

Na ustach Liama wykwitł słaby uśmiech.

- Muszę. Na tym polega moja praca.

Milton przetoczył czarną bryłkę w swoich wielkich dłoniach.

- Niektórzy z twoich studentów uważają, że te stare historyjki, które im opowiadasz, są zupełnie zwariowane.

Na twarzy Liama odmalowało się zaskoczenie.

- Rozmawiałeś z moimi studentami?

Cohn zachichotał.

- Muszę. Na tym polega moja praca.

- Niektórzy z nich są na tyle arogancy i bezczelni, by twierdzić, że folklor nie ma żadnego wpływu na dzień dzisiejszy. Podczas kilku pierwszych zajęć próbuję im wyjaśnić, że jest wprost przeciwnie. Tłumaczę...

- Przepraszam, nie wiedziałam, że... Dzień dobry.

Drzwi otworzyły się na oścież i do gabinetu weszła piękna, młoda kobieta w długiej, luźnej sukience z wypłowiałego drelichu, kontrastującej z rudawymi, kędzierzawymi włosami. Trzy górne guziczki miała rozpięte, dzięki czemu widać było jej mlecznobiałą skórę.

Milton oderwał wzrok od jej piersi, zerknął na twarz i natychmiast rozpoznał niespodziewanego gościa.

- Devra! Jak się masz?

Devra wytrzeszczyła oczy. Patrzyła na Liama. Cohn też na niego spojrział.

- Znasz Devrę Brooks? Jest asystentką na językoznawstwie.

Liam był zaskoczony. Twarz miał jak wykutą z kamienia. Poczzerwieniała mu szyja i kark.

- Profesor O'Connor! - wykrzyknęła zduszonym głosem Devra i podbiegła, żeby uścisnąć mu dłoń. - Wyjechał pan z Chicago tak nagle, że nie zdążyłam się z panem pożegnać.

- Cóż, w takim razie... do widzenia i dzień dobry! - Ujął jej dłoń obiema rękami i posłał Devrze ciepły uśmiech. - Tak się cieszę, że znowu cię widzę. Cóż za niespodzianka.

Ten jego pieprzony czar, pomyślał z goryczą Milton. Jak on to robi, do cholery? Jest smutny, ponury i nagle pstryk! - czaruje tym swoim uśmiechem. I pytanie o wiele ciekawsze:



skąd się znają? Gdzie poznał naszą śliczną nauczycielczkę? I dlaczego był taki zakłopotany, taki spanikowany, gdy ją zobaczył?

Głowę daje, że ją przerzwał. Tam, w Chicago.

- Przyjechałam tu w zeszłym roku, na początku drugiego semestru - wyjaśniła Devra. Delikatnie oswobodziła dłoń i włożyła ręce do kieszeni. - Cóż za odmiana, prawda?

- Zwłaszcza po Chicago. W porównaniu z tamtejszym uniwersytekiem Moore State jest jak małe dziecko wiejskiej szkoły...

- No nie! - przerwał jej Milton. - Tylko nie wiejska szkoła.

- Ja też czuję się tu trochę dziwnie - wyznał rozpromieniony Liam. - Tak miło zobaczyć znajomą twarz. Gdzie mieszkasz, Devro?

- Na Tremont. - Skrzywiła się, w jej szmaragdowych oczach rozbłysły wesołe ogniki. - Mam dwie sypialnie i trzy wspólspaczkę. Na szczęście bardzo się lubimy.

- A twój pies?

- Sparky nie przyjechał. Pławi się w zbytku i luksusie z moimi rodzicami.

Gadali i gadali. Nudy na pudy, pomyślał Milton. Ale O'Connor patrzy jej w oczy jak zahipnotyzowany, jakby pochłaniał go każdy szczegół jej życia. Ona też pożera go wzrokiem.

Otakował spojrzeniem przód jej dżinsowej sukienki. Ma ładne, jędrne ciało. I niezły biust. I ta skóra. Ta mlecznobiała skóra, którą tylko całować i lizać!

Nie zrobiłbym ci krzywdy, małe dziecko. Wiem, jestem za duży, ale mogłabyś być na górze. Wyobraził sobie, jak go dosiada, jak ujeżdża go niczym krzepkiego ogiera, jak się z nim pieprzy, jak się z nim parzy, jak rozwiera swoje zielone oczy, jak potrząsa głową, rozsypując kasztanowe włosy, które muskają go, które go łaskoczą - tak, uwielbiał rudowłose. Słyszał już cichy, rytmiczny mlask towarzyszący ruchom ich mokrych od potu ciał, wyobraził sobie jej mlecznobiały tyłeczek podrygujący w powietrzu, wznoszący się powoli i opadający, wznoszący się i opadający...

O Boże!

Powinienem zostać mnichem. Dlaczego wybrałem pracę, która zmusza mnie do przebywania pośród tylu młodych, apetycznych kobiet? Jak tu można w ogóle pracować?

Liam znowu trzymał ją za rękę. Milton z trudem skoncentrował się na tym, co mówili.

- Tak się cieszę, Devro.

- Wpadniesz do mnie po zajęciach? Pójdziemy na kawę?

- Byłoby wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Przyjechałaś na cały rok?

- Tak. Prowadzę dwa kursy i zbieram materiały do książki. Bibliotekę mają tu całkiem, całkiem. No i te komputery. Można podłączyć się do Internetu i szperać w bibliotekach na całym świecie. - Zmarszczyła czoło. - Tylko że ja nie znam się na komputerach. Kompletna ze mnie analfabetka. Chyba będę musiała przysiąść fałdów.

Liam kiwnął głową.

- To wcale nie takie trudne, jak powiadają. Na pewno sobie poradzisz. Skoro ja się nauczyłem...

Jest taka nudna, pomyślał zniecierpliwiony Milton. Taka ładna, a taka nudna. Musiałbym ją zakneblować. Tak, najpierw zakneblować, a potem zerznąć. Zakneblowałbym ją, jak mi Bóg miły. Popatrzył na usta Devry, próbując wyobrazić sobie jej wargi - suche, opuchnięte.

- Chyba powinienem się trochę posocjalizować - oznajmił w końcu Liam. - Trzymaj się, Devro, do zobaczenia. - Skinął im głową i wyszedł do gwarne go salonu.

Śmiech w korytarzu, podniesione głosy - powitanie. Devra spojrzała na Milтона i włożyła ręce do kieszeni poniżej bioder.

- Dziękuję, że mnie pan zaprosił, panie dziekanie.

- Milton. Wszyscy mówią mi po imieniu.

- Chyba pójde się czegoś napić. Bardzo ładny gabinet. Pracujesz tu?

Kiwnął głową.

- Jest niezwykle wygodny. Poza tym lubię las... - Odchrząknął. Podeszedł do Devry. - Wyjechał z Chicago tak nagle, że nie zdążyłaś się z nim pożegnać? - spytał próbując zachować obojętność.

Odrzuciła z czoła pukiel włosów.  
- Liam? Tak. Pewnego dnia po prostu zniknął. Niczym jeden z jego krasnoludków.  
Milton ściągnął usta.  
- Interesujący człowiek. Dobrze go znałaś?  
Devra zaczerwieniła się.

## 14.

Mary Beth weszła do zatłoczonego salonu Milтона machając ręką do kogoś, kogo rozpoznała w tłumie gości. Sara zawahała się w progu. Czyżby przyjaciółka zamierzała zostawić ją, zanim jeszcze weszły do środka? Przecież nikogo tu nie znam, pomyślała. Z wyjątkiem Milтона, oczywiście. Dlaczego jej uległam? Dlaczego dałam się namówić na to przyjęcie?

Bo może spotkam tu Liama - sama sobie odpowiedziała na pytanie.

Bo może będę miała okazję z nim porozmawiać. I... po-flirtować?

Może będę mogła zajrzeć w te jego łagodne, brązowe oczy, posłuchać jego pięknego głosu, nacieszyć się jego promiennym uśmiechem.

Saro, Saro. Ponosi cię, weź się w garść.

Przecież nawet nie wiesz, czy on tu jest.

Weszła w tłum gości. Pośrodku gwarne go salonu Mary Beth już częstowała się winem, już pakowała do ust przystawki, które podsuwał jej stojący obok facet, na pewno ktoś, kogo dobrze znała.

Zlustrowała salon, wodząc oczyma od twarzy do twarzy. Liam? Jesteś tu, Liam?

Czy naszym przeznaczeniem jest spotkać się ponownie?

Przeznaczenie. To Liam użył tego słowa.

Tylko gdzie on jest?

Przyjrzała się strojom kobiet i mężczyzn. Ubrałam się za elegancko? Miała na sobie czarny, jednorzędowy żakiet z setki, miękki i dobrze dopasowany, kremowy golf z merynosów i spodnie z kremowej wełny.

Za bardzo po nowojorsku? Zbyt wyszukanie jak na towarzystwo młodych uczonych, asystentów i wykładowców? Mary Beth narzuciła na siebie swój długachny, luźny sweter do kolan, wbiła się w granatowe legginsy i wyglądała znacznie lepiej.

Salwa śmiechu przy kominku. Spojrzała w tamtą stronę. Ogień. Niski, mdlawy, pomarańczowo-niebieski płomień. Pewnie palą te sztuczne kłody z wosku. Słońce już zaszło i niebo za wysokimi balkonowymi oknami przybrało krwistoszkarłatną barwę. Chudy jak szczapa mężczyzna w czarnym podkoszulku i czarnych dżinsach demonstrował przyjaciółom jakiś taniec: z rękami uniesionymi wysoko nad głową kręcił biodrami pośród śmiechu, gwizdów i okrzyków zachęty.

- Żenuje mnie taniec w wykonaniu białych - powiedziała kobieta stojąca obok Sary.

- Jesteś rasistką - odparł towarzyszący jej młody mężczyzna. - Widziałas, jak tańczy?

Zanim Sara zdążyła podsłuchać odpowiedź, wyczuła z boku czyjąś obecność. Odwróciła się i zobaczyła Milтона. Zaczzerwieniona twarz, obleśny uśmieszek... Nie. Jesteś niesprawiedliwa. On się po prostu tak uśmiecha, i tyle.

Tylko dlaczego jest wiecznie taki... taki wyposzczony?

- Cześć, Milton. - Odwzajemniła uśmiech. Szczerze mówiąc, ucieszył ją jego widok. - Masz piękny dom.

Ujął jej rękę i mocno uściśnął.

- Tak się cieszę, że mogłaś przyjść, Saro. Trafiałaś bez kłopotów?

- Podwiozła mnie Mary Beth, moja przyjaciółka. Nie wiedziałam, że mieszkasz tak daleko od kampusu.

Zachichotał, nie puszczając jej ręki.

- Czasami chciałbym mieszkać jeszcze dalej!

Zaśmiała się, trochę za głośno, i oswobodziła dłoń. Zauważyła, że twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej.

- A propos. Znalazłem te akta - pochylił się ku Sarze, żeby usłyszała go w gwarze głosów i dźwiękach muzyki. Stał tak blisko, że czuła zapach wina bijący z jego oddechu. - Claire włożyła je do innej niż zwykle szuflady.

- Naprawdę? To świetnie.

Dobrze, że nie ja, pomyślała. Praca w biurze Milтона była mało ambitna i, delikatnie mówiąc, nudna. I nagle wczoraj zginęły akta kilku nowych studentów. Gdzieś się zawieruszyły. Milton wybuchnął. Wybuch trwał bardzo krótko, lecz zdemontował Sarze fragment drugiego oblicza jej pracodawcy. Milton potrafił być przerażający. Nie dlatego, że bluznął stekiem przekleństw, i nie dlatego, że trzasnął drzwiami tak mocno, że zadźwięczały wszystkie szyby w oknach. Nie. Przeraził ją jego ogrom - Milton wyglądał jak szarżujący słoń.

Złość szybko mu przeszła. Jakkolwiek by na to patrzeć, chodziło przecież tylko o kilka teczek. Sara cieszyła się, że się znalazły. I, dzięki Bogu, że to nie ona je zapodziała.

Wziął ją pod rękę i powiodł w głąb salonu.

- Oprowadzę cię. Znasz tu kogoś?

- Chyba nie.

Prześlizgiwała się spojrzeniem po twarzach gości. Piękna ciemnowłosa dziewczyna siedząca na wałku sofy zadarła głowę i wypuściła ustami idealne kółeczko papierosowego dymu. Uśmiechnięty chłopak w baseballowej czapeczce pochylił się i nadział je na palec.

- Tylko Mary Beth, moją przyjaciółkę - dodała. Gdzie ona jest, do licha?

- Czytam nową powieść Joye Carol Oates - usłyszała.

- Naprawdę? O czym pisze w tym tygodniu? - Pogardliwemu pytaniu odpowiedziała głośna salwa śmiechu.

Milton otarł się o Sarę, prowadząc ją do przeszklonych drzwi. Wydął obfite wargi i rzekł:

- Fatalnie, już prawie ciemno. Chciałem ci pokazać las.

Spojrzała na splecione korony nagich, strzelistych drzew, czarnych na tle szkarłatnego nieba. W szybach odbijały się twarze gości i miała wrażenie, że przyjęcie odbywa się również na dworze.

Ominąwszy troje młodych siedzących ze skrzyżowanymi

nogami na podłodze, wprowadził ją do długiego, lustrzanego korytarza, stąd do gabinetu z ludzką czaszką na kominku, a potem do kiszkowatej kuchni.

- To jedyne ślepe pomieszczenie w tym domu. Słońce tu nie dochodzi. Jeśli tu zostanę, zburzę tę ścianę i zastąpię ją szkłem.

Wyobraziła sobie, jak Milton pochyła ramiona i taranuje ścianę, jak burzy ją własnym ciałem.

- Lubię gotować. W zeszłym roku córka podarowała mi na gwiazdkę woka i zostałem ekspertem od chińskiej kuchni. Naprawdę, choć może na to nie wyglądam. Jestem prawdziwym mistrzem rondla i patelni. - Prawą ręką ścisnął jej dłoń, a lewą zaczął szybko siekać powietrze.

Sara zachichotała.

- Uwielbiam chińską kuchnię. Zwiedziłam chyba wszystkie chińskie restauracje w Nowym Jorku, jadłam chińszczyznę trzy razy tygodniowo.

Na drugim końcu długiej, wąskiej kuchni zauważyła Mary Beth. Opierając się łokciem o lodówkę z nierdzewnej stali, bawiła się pasemkiem włosów, pogrążona w rozmowie z wysokim, chudym jak patyk chłopakiem w niebieskich dżinsach. Chłopak miał pociągłą twarz i gęste, brązowe, wysoko zaczesane włosy. Przypominał Sarze Lyle'a Lovetta.

Ciekawe, gdzie jest teraz Eric? Wygląda na to, że Mary Beth nie zabiera go na przyjęcia. Może mają tu jakieś przepisy zabraniające pracownikom college'u umawiania się na randki ze studentami? Może Mary Beth widuje go tylko w domu? Tylko w sypialni?

Mary Beth jej nie zauważyła. Milton wciągnął Sarę do korytarza. Z łazienki wyszła kobieta o długich, białych włosach. Zza drzwi dobiegał szum spuszczonej wody.

- Proszę, proszę! Doktor Cohn we własnej osobie! Tuś mi, hyciu. Szukałam cię wszędzie. Mamy z sobą do pogadania.

- Stań w kolejce! - zażartował nie zwalniając kroku. Obejrzał się przez ramię i rzucił: - Zaraz do ciebie wracam, Liz, tylko oprowadzę Sarę. Arnold przyszedł?

- Nie, jest w Waszyngtonie. Przeprasza i żałuje, że nie mógł

się tu zjawić. Powiedział, że spotkacie się w sali gimnastycznej.

Pokój na końcu korytarza okazał się sypialnią Milтона. Znowu widok na las. Przeszklona ściana, rozsuwane drzwi.

- Tu kończy się trasa naszej wycieczki. Mam jeszcze jedną sypialnię; wrzuciłem tam płaszcze gości. I małe pomieszczenie, które nazywam salą gimnastyczną. Wcisnąłem tam trochę sprzętu i ćwiczę.

Wiedziała, że wykorzystuje na ćwiczenia każdą wolną chwilę. „Trzeba sporej krzepy, żeby dać radę tej bandzie studenciaków” - w kółko to powtarzał. Tylko co to tak naprawdę znaczyło?

Kiedy zobaczyła jego łóżko, omal nie parsknęła śmiechem. Milton sypiał w łóżku z baldachimem ze szkarłatnej organdy! Nie zdając sobie z tego sprawy, zasłoniła ręką usta. Myśl, że ten wielki nosorożec sypia w łóżku z baldachimem, wydała się jej przezabawna.

Chyba tego nie zauważył. Odwróciła się, zerknęła na szkarłatne zasłony w oknie...

I nagle jej wzrok spoczął na nożach.

Srebrzyste ostrza połyskiwały w świetle lampy. Pokrywały dosłownie całą ścianę, od podłogi do sufitu. Wszystkie były zamocowane poziomo, klingami w prawo.

Ile ich tu jest? Otaksowała je spojrzeniem i doszła do wniosku, że co najmniej dwa tuziny. Dwa tuziny noży, długich i krótkich, noży o ostrzach grubych i cienkich. Wszystkie były wypolerowane i srebrzysto-lśniące.

Twarz Milтона lśniła jak one. Położył rękę na ramieniu Sary i doprowadził ją do ściany.

- Podziwiasz moją kolekcję?

Nie wiadomo dlaczego, nagle zakręciło jej się w głowie. Tyle noży? Tyle broni? A może trzyma je tu dla kontrastu ze szkarłatnym baldachimem?

- Są piękne, prawda? - Patrzył na nią wyczekująco, prowokował do odpowiedzi.

Kiwnęła głową.

- Piękne? Tak. Wspaniała kolekcja. - Przełknęła ślinę.

Musiała zareagować w taki sposób, żeby go zadowolić. - Wszystkie są stare, prawda?

Rozpromienił się jak dumny tatuś.

- Niektóre nawet bardzo stare. - Zdjął ze ściany nóż o grubej rękojeści, ciężki i tępy, i pokazał go Sarze. - Oto oryginalny nóż Bowiego. To znaczy jeden z oryginałów. Kto wie, może nosił go sam Jim Bowie.

- Coś takiego...

O Jezu, nie potrafisz być bardziej elokwentna?

Plasnęła ostrzem w otwartą dłoń. Uśmiechnęła się do niej ze skruchą.

Czyżby czerpał z tych noży coś w rodzaju grzesznej przyjemności?

- Niektóre są o wiele starsze niż ten. - Ostrożnie powiesił nóż na ścianie. - Nie ma nic piękniejszego niż nóż. Każdy nóż to skończona doskonałość kształtu, to czystość symetrii. Są wspaniałymi narzędziami i dziełami sztuki zarazem.

Spojrzał na nią. Miał szeroko rozwarłe oczy, rozszerzone źrenice. Oddychał głośno i szybko, jego wielki brzuch skryty pod obszernym golfem unosił się ciężko i opadał.

- Fakt, są niesamowite - powiedziała niepewnie. Zrobiła krok do tyłu, potrącając łóżko.

Przesunął ręką po długiej głowni szabli z rękojeścią z kości słoniowej.

- To eksponat muzealny. Zauważ, jak lśni jego rękojeść. Czy kiedykolwiek widziałeś coś równie czystego i pięknego? A to? Spójrz tylko na to! - Był coraz bardziej podniecony, dyszał jak po wyczerpującym biegu, brakło mu tchu.

Zdjął ze ściany długi sztylet z ciężkim brzeszczotem.

- Wiesz, że to macedońska stal? Prawdziwa macedońska stal. Jest piękny, prawda? Przyjrzyj się tej doskonałej klindze. Jest obosieczna, ma dwa brzuśce, widzisz? I ostra jak w dniu, kiedy ją wykuto. Popatrz.

Chwycił sztylet obiema rękami, podniósł go nad głowę. Wytrzeszczone oczy, usta rozchylone w drapieżnym uśmiechu - zamachnął się, stęknął głośno i uderzył.

Sara zasłoniła rękami twarz, Brzeszczot sztyletu przeciął grubą aksamitną zasłonę. Przeciął ją prawie bezszelestnie, jak



powietrze. Dolny fragment zasłony spadł cicho na podłogę.

Milton opuścił sztylet. Ciężko dysząc, patrzył na swoje dzieło. Patrzył bardzo długo, ze sztyletem w rękę. Gdy podniósł wzrok na Sarę, był blady jak ściana.

- Przepraszam - szepnął. Otarł czoło wierzchem dłoni. Roześmiał się oschle i prawie bezdźwięcznie. - Wiem, wiem. Poniosło mnie. - Zwiesił głowę, jakby go skrzyczała. - Wariat ze mnie, co? Biorę do ręki jeden z tych starych noży i od razu mi odbija.

- Od jak dawna je zbierasz?

Pragnęła, żeby wszystko wróciło do normy, żeby było tak jak przedtem, choć wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku: ten straszliwy zamach, bezszelestne cięcie, prostokątny kawałek tkaniny spadający na dywan niczym głowa dziecka.

Nie odpowiedział. Stał na palcach i powiesił sztylet na ścianie. Ostrożnie. Bardzo ostrożnie.

- Są naprawdę interesujące.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w salonie, usłyszeć śmiech, wesołe głosy. Noże i sztylety spozierały na nią z góry niczym dziesiątki roziskrzonych oczu. Wyobraziła sobie, że jest w średniowiecznej izbie tortur, w lochu przyozdobionym szkarłatnym aksamitem, w towarzystwie monstualnego kata wybierającego odpowiednie narzędzie, by zadać jej jak największy ból.

- Muszą być bardzo cenne.

Uśmiechnął się do niej. Jego twarz znowu nabrała koloru.

- Cieszę się, że ci się podobają, że potrafisz docenić ich urok. Większość ludzi tego nie rozumie. Nie dostrzegają ich piękna, ich doskonałości.

Na jego czole, tuż pod linią białych włosów, dostrzegła wielkie krople potu. Jego dolna warga drgała. Stalowe oczy lśniły z podniecenia.

Nie podoba mi się to, pomyślała Sara, czując dotyk zimnych macek strachu. Muszę stąd wyjść, i to natychmiast.

I nagle głos od drzwi:

- A więc tutaj jesteś.

Liam. Wszedł niespiesznie do sypialni. Jedną ręką w kieszeni czarnych spodni, w drugiej bursztynowa butelka piwa.

Milton znowu otarł czoło.

Sara spoglądała na Liama, tęskniąc za jego uśmiechem.

Liam, myślałam o tobie, tyle o tobie myślałam, cały czas myślę tylko o tobie.

Rozczarował ją odzywając się najpierw do Milтона:

- Wszyscy o ciebie pytają. - Natychmiast mu wybaczyła, bo spojrzał na nią z uśmiechem i dodał: - Ale już rozumiem, dlaczego się ukrywasz.

Milton zachichotał, piskliwie i sztucznie.

- Wcale się nie ukrywam. Pokazywałem Sarze swoją kolekcję. - Machnął ręką w stronę uciętej zasłony. - Chyba mnie trochę poniosło. - Spojrzał na Liama. - Pamiętasz Sarę Morgan? Poznaliśmy się w restauracji kilka tygodni temu. Sara jest teraz moją sekretarką.

Liam ujął jej dłoń i z udaną powagą skłonił głowę. Rękę miał suchą i ciepłą. Świdrując ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu, odrzekł:

- Naturalnie, że pamiętam. Od tamtej pory ciągle na siebie wpadamy. Wiesz, zamierzałem wrócić do tej restauracji, żeby spróbować krabich nóżek. Na twoim talerzu wyglądały tak kolorowo.

Poczuła, że się czerwieni.

- Były bardzo smaczne. Przepyszne. Równie doskonałe jak te, które jadłam na Zachodzie kilka lat temu. - Nagle poczuła się głupio. Co mnie napadło?! Robię z siebie idiotkę!

Na miłość boską, dlaczego gadam w kółko o krabich nóżkach?!

- Tak się cieszę, że pana widzę, profesorze O'Connor. - Możemy zacząć wszystko od początku, czemu nie.

- Liam, Sara, Liam. Profesor O'Connor to mój ojciec.

- Twój ojciec też był profesorem?

- Nie, farmerem. Ale wszyscy nazywali go profesorem. Pewnie dlatego, że umiał czytać!

Wybuchnęli śmiechem. Milton podniósł odcięty kawałek zasłony i zmiażdżył go w dłoni.

- Urodziłeś się w Irlandii? - zwróciła się do Liama. Stał tak

blisko, że czuła zapach jego płynu po goleniu. Rześki, sosnowy.

Liam kiwnął głową.

- Tak.

- Kiedy przyjechałeś do Stanów?

Wydawało się, że jego brązowe oczy straciły barwę.

- Dawno temu. - Odchrząknął. - Tak się cieszę, że znowu się spotykamy, Saro. Doprawdy... - Urwał. - Nie dostałaś nic do picia? - Wziął ją za rękę. - Chodź. Naprawimy ten błąd.

- Kiepski ze mnie gospodarz - mruknął Milton wychodząc za nimi z sypialni. - Pójdę sprawdzić, co z lodem. Kupiłem dwie torby, ale może nie wystarczyć. Jest tu prawdziwy tłum!

Szli długim lustrzanym korytarzem. Sara zerknęła w bok na swoje zwielokrotnione odbicie. Na zwielokrotnione odbicie ich trojga, na dziesiątki, na setki Sar, Liamów i Miltonów, coraz mniejszych i mniejszych, coraz ciemniejszych, ginących w bezdennej otchłani lustra.

Weszli to salonu i otoczył ich gwar głosów. Zauważyła, że gości przybyło. Byli tam pracownicy administracji, profesorowie i studenci ostatniego roku. Liam poprowadził ją do stołu z napojami. Musieli przebić się przez grupę studentów, którzy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, pochłonięci zagorzałą dyskusją polityczną.

- A gdzie zaufanie? - usłyszała Sara. - Nie ma za grosz zaufania.

- No i dobrze, no i bardzo dobrze.

Ktoś zmienił muzykę. Śpiewała Ella Fitzgerald w duecie z Louisem Armstrongiem i Sara przypomniała sobie, że jej brat Frank bardzo często puszczał tę płytę.

Zauważyła Mary Beth. Przyjaciółka siedziała przy oknie, za którym rozciągało się bezgwiezdne, czarno-niebieskie niebo. Pochylona, z rękami na kolanach rozmawiała z ożywieniem z siwowłosą kobietą na inwalidzkim wózku.

Liam przystanął przed sofą tak gwałtownie, że Sara omal na niego nie wpadła. Wyjął zapaloną zapałkę z rąk młodego mężczyzny. Ten zareagował nieukrywanym zdziwieniem. Liam zdmuchnął zapałkę i obrzucił całą trójkę groźnym wzrokiem.

- Jedna na troje? Murowane nieszczęście.  
- Ale to była ostatnia zapalka, panie profesorze! - zaprotestował student.  
- Chyba mam zapalniczkę - rzekła młoda, rudowłosa kobieta, sięgając po torebkę. Posłała Liamowi zaczepne spojrzenie. - Ma pan coś przeciwko plastikowym zapalniczkom? - spytała żartobliwie.

Liam udał głębokie zmyślenie.

- Nie. Chyba nie. Plastikowe zapalniczki pecha nie przynoszą.

Dotarli do stołu z napojami. Obok butelek wina, kilku na wóół opróżnionych butelek wódki, prawie pustego pojemnika na lód walały się cytryny i limonki. Ktoś rozlał wino, bo na białym obrusie widniała duża czerwona plama.

- Czego się napijesz, Saro?

- Wina, jeśli można. Czerwonego.

Nalał wina, opróżniając butelkę. Podał jej kieliszek, poprowadził za sofę, gdzie było trochę luźniej, stuknął butelką piwa w kieliszek Sary i rzucił:

- Twoje zdrowie. - Przytknął butelkę do ust i nie odrywając wzroku od jej twarzy, upił mały łyk. - Jak ci się pracuje u Milтона?

Wzruszyła ramionami.

- To mało ambitne zajęcie, ale cieszę się, że mogę trochę zarobić. - Wróciła myślą do sypialni i znowu stanął jej przed oczyma Milton. Milton ze starym sztyletem z macedońskiej stali, Milton biorący potężny zamach, Milton tnący szkarłatną zasłonę. - Dobrze go znasz?

- Milтона? Prawie wcale. Poznaliśmy się, gdy przyjechałem. Tamtego wieczoru w restauracji odbyliśmy pierwszą dłuższą rozmowę. - Kolejny łyk piwa. - To interesujący człowiek. Jeśli się przymknie oczy na jego gburowatość. No i na jego aparycję, rzecz jasna. Nie chciałbym spotkać go w ciemnej uliczce. A ty? - Błysnął wesoło oczyma. - Na dziekana college'u to on nie wygląda, ale może człowieka zadziwić, i to na wiele sposobów. Ma dużo ciekawych zainteresowań. Ot, choćby to. - Ruchem głowy wskazał kolekcję noży na ścianie, przy której stali.

- Jestem zdumiona, że nie pociął wszystkich zasłon w domu! - zażartowała Sara.

Roześmiał się, patrząc na nią.

- Saro, w jakim miesiącu się urodziłaś?

- Słucham? - Zachichotała. - Drogi panie profesorze, rozczarowuje mnie pan. Najpierw wróży mi pan z ręki, a teraz pyta mnie pan o znak zodiaku?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Tylko mi nie mów, że interesujesz się astrologią.

- To przesąd, jak wiele innych. A ty? W co ty wierzysz, Saro? - Żartował, droczył się z nią.

- Nie wiem. W wiele rzeczy.

- Na przykład w co?

Te ciemne oczy, te piękne oczy pieszczące jej twarz. Dostała gęszej skórki. Wzniosła kieliszek.

- In vino veritas.

Roześmiał się. Znowu trącił butelką jej kieliszek.

Zacząła się odprężyć. Nie, to nie tylko wino tak na nią po-działo. Rozśmieszyła go, rozbawiła. Wcale nie był trudnym rozmówcą. Przeciwnie, wyglądało na to, że dobrze mu się z nią gawędzi.

- No więc? Kiedy się urodziłaś?

- Skoro nalegasz. W maju. Dwunastego maja.

- Niebezpieczny miesiąc - odrzekł cicho i nagle pogrążył się w zamyśleniu.

Mówi poważnie, czy tylko żartuje? Nie wiedziała. Pochylił się i wyrecytował:

- „Marzec to zbytek, kwiecień - suknia wyszukana. Maj orzeknie, żyć będziesz czy śmierć ci pisana”.

Upiła łyk wina i spojrzała mu w oczy.

- Nie podoba mi się ta rymowanka.

- Jest bardzo stara.

- Masz wierszyk na każdą okazję, Liam?

- Znam ich tysiące. - Znów ten cudowny, ciepły uśmiech. - Ale ciągle zapominam, że robisz dyplom z psychologii. Nie powinienem ich przy tobie recytować. Już milczę. Widzę, jak patrzysz na mnie tymi pięknymi oczyma, jak mnie badasz,

analizujesz, klasyfikujesz do odpowiedniej kategorii dziwaków.

Uśmiechnęła się zaskoczona. Pamięta, co studiuję?

- Jesteś dziwakiem, Liam?

- I to wielkim, Saro. - Uśmiechnął się do niej samymi oczami.

Spojrzał na drugą stronę salonu. Poszła za jego wzrokiem. Przed kominkiem stały dwie dziewczyny z uniesionymi rękami. Dopiero po chwili dostrzegła, że między palcami obu dłoni jednej z nich rozciąga się splątany sznureczek. Grały w przepłatankę. Wokół nich stało cztery czy pięć innych dziewcząt, które kibicowały koleżankom z przesadnym entuzjazmem.

Liam położył rękę na ramieniu Sary.

- Moje dziwactwo polega głównie na tym, że wiem o bardzo wielu dziwnych i bezużytecznych sprawach. Czy słyszałaś na przykład, że eskimoscy chłopcy nie mogą w to grać?

Sara uśmiechnęła się czując, że wino ją rozgrzewa.

- Dlaczego?

- Jeśli chłopiec zagra w tę grę choćby raz, gdy dorośnie, jego ręce zapłaczą się w linę od harpuna. Eskimosi głęboko w to wierzą.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Rzeczywiście wiesz o wielu dziwnych i zupełnie bezwartościowych sprawach.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, wesoło, jakby powiedziała coś przezabawnego i jakby bardzo to doceniał.

Milton przechylił torbę i wysypał lód do pojemnika. Kilka kostek upadło na podłogę, więc schylił się, żeby je podnieść, co nie było łatwe, ponieważ ciągle mu się wyslizgiwały.

Wyprostował się zastanawiając się, jak sobie z nimi poradzic, i nagle mignęły mu przed oczami kędziory gęstych, rudych włosów. Devra Brooks. Odwróciła się do niego z francuskim ciasteczkiem w ręku.

- O, pan dziekan! Znowu się widzimy. Bardzo miłe przyjęcie.

- Dziękuję. Dobrze się pani bawi? Zna pani moich gości? -  
Ma piękny uśmiech, pomyślał. I cudowną, apetyczną skórę.  
Tak, to bardzo ładna dziewczyna.

- Owszem, choć nie wszystkich. - Nachyliła się ku niemu i  
szepciem spytała: - Z kim rozmawia profesor O'Connor? Tej  
kobiety chyba nie znam.

- To Sara Morgan - odrzekł Milton wdychając zapach jej  
perfum, słodki i kwiatowy. - Robi dyplom z psychologii i od  
niedawna jest moją sekretarką na pół etatu.

Devra przyglądała się jej z wyteżoną uwagą. Cohn obser-  
wował Liama, który ścisnął rękę Sary, nachylał się ku niej.  
Szybki jest ten O'Connor, myślał. Cholerny czaruś. Nic tylko  
czaruje i czaruje.

- Są nierozłączni - szepnęła Devra bardziej do siebie niż  
do Milтона.

- Nie zamierzałem jej zapraszać - wyznał Cohn - ale Liam  
bardzo nalegał. Dzwonił do mnie trzy razy, żeby upewnić się,  
czy Sara przyjdzie.

Devra zmrużyła oczy. Mlecznobiała twarz nagle poczer-  
wiała.

- Ach tak...

- Zgłodniałem. Pójdziemy na kolację?

Sara gwałtownie zamrugła. Wypiła ledwie dwa kieliszki  
wina i już się jej wydaje, że Liam zaprasza ją na kolację. Spoj-  
rzała na niego i zdała sobie sprawę, że O'Connor czeka na  
odpowiedź.

Nie powinnam pić na przyjęciach, pomyślała. Jest mi za  
gorąco, mam zawroty głowy. Najwyżej jeden kieliszek. Tak,  
najwyżej jeden. Po drugim wszystko mi się rozmazuje i nie  
mogę szybko myśleć.

Sądziła, że będzie musiała wyteżać umysł, by nadażyć za  
takiem jego myśli, tymczasem rozmowa płynęła gładko i  
wartko, jakby byli starymi przyjaciółmi. Prawie od samego  
początku czuła się przy nim zupełnie swobodnie, i to wcale  
nie dzięki dwóm kieliszkom wina ani rozbrzmiewającemu  
wokoło śmiechowi czy migotliwej poświacie bijącej z komin-  
ka.

Mówiła za dużo o sobie?

Nie dał jej wyboru.

Próbowała skierować rozmowę na inne tory. Pytała go o życie osobiste, o jego siostrę, o przeprowadzkę do Stanów, o to, jak dorastał wśród obcych, o powód jego zainteresowań folklorem.

Lecz Liam mówił o sobie bardzo niechętnie. Ciągle zmieniał temat, zasypywał ją pytaniami, patrzył jej w oczy swoimi pięknymi ciemnymi oczyma i wyglądało na to, że jej odpowiedzi go bawia, że jest nimi zafascynowany, oczarowany.

Z wielkim entuzjazmem opowiedział jej świeżo odkrytą staroirlandzką przypowieśćką ludową o pewnym człowieku, który dostał od starca złotą monetę o zadziwiających właściwościach: ilekroć obdarowany ją wydał, pojawiała się na nowo w jego kieszeni. Sara początkowo nie zrozumiała pointy, ale cierpliwie wszystko jej wytłumaczył.

A potem sięgnął do kieszeni, wyjął złotą monetę i położył ją na jej dłoni.

- To ten floren - zażartował. - Spróbuj go wydać. Zobaczysz, że nigdy się go nie pozbędziesz.

- Bo jest czarodziejski? - spytała z ożywieniem i nagle zapragnęła uwierzyć w czary tak samo jak Liam.

- Nie, bo jest bezwartościowy! - odrzekł i wybuchnęli wesołym śmiechem.

Śmiali się razem.

Razem.

Schowała monetę do kieszeni żakietu.

Ciągle im przerywano, bo goście chcieli zamienić z Liamelem choć kilka słów. Zauważyła, że oczarowywał dosłownie wszystkich. Przychodziło mu to z niezwykłą łatwością. Obserwowała go z mieszaniną zazdrości i podziwu.

A teraz zapraszał ją na kolację.

- Tak, bardzo chętnie.

Miała ochotę krzyknąć ze wszystkich sił: Chętnie! Bardzo chętnie!

Oczy mu zalśniły. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

- Czy Milton się nie obrazi, jeśli się stąd dyskretnie ulotnimy? - szepnęła Sara.



Dostrzegła go przy kominku. Rozmawiał z ożywieniem z młodą kobietą o rudych, kędzierzawych włosach. Był tak wielki, że swoim cielskiem prawie całkowicie zasłaniał migotliwy ogień.

- Goście zaczną się wkrótce rozchodzić - odrzekł Liam. - Naturalnie, wszystkim będzie nas bardzo brakowało, ale jestem przekonany, że z czasem jakoś to przeboleją. - Nagle spochmurniał, zmarszczył brwi. - Nie byłem zbyt towarzyski, prawda? Cały czas rozmawiałem tylko z tobą.

Spuściła oczy. Serce waliło jej jak młotem.

- Było mi bardzo miło, Liam.

- Pójdę po płaszcze i ruszamy na łowy.

- Dobrze, tylko muszę zawiadomić przyjaciółkę.

Mary Beth. Od przyjścia Sara nie zamieniła z nią ani słowa. Kilka razy zauważyła, że Mary Beth obrzuca ją pytającym spojrzeniem. Jeśli nie liczyć kilku krótkich wypraw do stołu z napojami, prawie całe przyjęcie przestała z Liamem za sofą.

Podniecona, na lekkim rauszu, zlustrowała salon w poszukiwaniu przyjaciółki. Odnalazła ją w długim lustrzanym korytarzu, gdzie Mary Beth rozmawiała z dwoma mężczyznami w średnim wieku.

Odciągnęła ją na bok.

- Wychodzę z Liamem. Nie masz nic przeciwko temu? Idziemy na kolację.

Mary Beth położyła jej rękę na ramionach.

- O rany. Ileś ty wypila?

Sara zachichotała.

- A co? Język mi się płacze? Nie, chodzi tylko o to, że Liam i ja...

- Ostrzegłam cię, żebyś nie leciała na ten jego irlandzki urok.

- Przestań tak na mnie patrzeć. Idziemy na kolację, to wszystko.

- Spoko, dziewczyno, przecież tylko drocę się z tobą! - wykrzyknęła Mary Beth, ściskając ją za ramiona. A cichutko zapiszczała. - To cudownie! Przecież po to tu przyszłaś!

Znajomi Mary Beth parsknęli stłumionym śmiechem. Sara, zażenowana, dostała wypieków. Dlaczego nas podsłuchują?

Mary Beth uściśniła ją krótko i energicznie.

- Baw się dobrze, kochanie.

- Zadzwoń do ciebie.

Mary Beth wygładziła klapy wełnianego zakietu przyjaciółki.

- Koniecznie. Chcę znać wszystkie szczegóły.

Dwaj mężczyźni znowu parsknęli śmiechem.

Sara odwróciła się i powiodła wzrokiem po zatłoczonym salonie. Gdzie jest Liam? Zlustrowała salon jeszcze raz. Liam zniknął.

Wyszedł. Zwiął. Tylko się ze mnie nabijał, pomyślała ze ściśniętym gardłem.

Cóż za okrutna myśl. Odpędziła ją czym prędzej, gwałtownie potrząsając głową. Nie, jestem po prostu wlana, nie potrafię logicznie myśleć.

Liam poszedł po płaszcze. Tylko skąd będzie wiedział, który jest mój?

Minąwszy Mary Beth i jej towarzyszy, ruszyła lustrzanym korytarzem do sypialni, gdzie goście zostawiali wierzchnie okrycia. Otworzyła drzwi. Weszła do środka. Liam stał przy łóżku.

Robił wrażenie zmartwionego. Pocierał ręką brodę. Miał wykrzywioną twarz. I zwężone oczy. Jakby się czegoś bał. Patrzył na stertę ubrań.

Nawet jej nie zauważył, gdy do niego podeszła.

- Liam? Co się stało?

- Kapelusz. Mój kapelusz. Położyli go na łóżku.

## 15.

Andrea DeHaven przekręciła klucz w zamku i dwa razy sprawdziła, czy drzwi są na pewno zamknięte.

- Ostrożnie. Ten stopień jest zmurszały.

Olsham oparł się ciężko o żelazną poręcz. Mocno kulał i

stromie kamienne schody prowadzące z werandy na chodnik stanowiły dla niego trudną przeszkodę. Każdy stopień pokonywał z głośnym stęknieniem.

Był starszym, szczupłym mężczyzną z rzadkimi, siwymi włosami i bladoniebieskimi, szeroko rozstawionymi oczami; Andrea doszła do wniosku, że kiedyś musiał być całkiem przystojny. Na jego policzkach czerwieniała pajęczyna drobniutkich żyłek. Głęboki dołek w brodzie porastała biała szczytina. Miał na sobie szary wełniany płaszcz, który zapiął pod samą szyję, mimo że październikowy wieczór był zaskakująco ciepły i łagodny.

- Nie cierpię kuśtykać o lasce - wymamrotał. - Nie znoszę tego.

Andrea zaczęła schodzić dopiero wtedy, gdy Olsham stanął na chodniku. Miękki wiśniowy kapelusz z szerokim rondem nacisnęła nisko na czoło, ponieważ nie zdążyła umyć włosów. Żeby wyglądać jak na kobietę interesu przystało, przed wyjściem wbiła się w czarny kostium.

- No i co pan myśli o moim domu, panie Olsham?

- Jest bardzo zapuszczony, prawda?

Już dawno stwierdziła, że staruch potrafi być boleśnie szczery i umie mówić bez ogródek.

- Owszem, gdyby chciał pan zamieszkać w nim osobiście - odrzekła poprawiając rondo kapelusza. - Ale jeśli zamierza pan wynająć go studentom, nie wymaga wielu napraw. Studentenci nie należą do ludzi zbyt wymagających.

Zagryzł dolną wargę, wyblakłymi oczami powiódł po ścianie starego domu pokrytej łuszczącą się farbą.

- Trochę martwią mnie te wilgotne plamy w spiżarni. Gdzieś musi przeciekać.

- Tak, trzeba by się tym zająć.

Widziała, że Olsham traci zainteresowanie. Na położenie nowych tynków, naprawę kanalizacji i inne prace konserwacyjne musiałby wyłożyć co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów, może nawet więcej. Szukał domu, który mógłby wynająć studentom od zaraz, domu, który zacząłby przynosić natychmiastowy dochód.

- Zrobiłby pan dobry interes, panie Olsham - dodała

pragnąc, żeby przestał gapić się na pękniętą, mocno przekrzywioną rynnę. - Na pańskim miejscu próbowałabym zbić cenę o tyle, ile kosztowałaby likwidacja tych wilgotnych plam w spiżarni.

Kilka razy mlasnęła językiem i wykrzywił twarz.

- Sam nie wiem, sam nie wiem. Hmmm... To miło z pani strony, że zechciała mi pani wszystko pokazać. Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu.

Ostatnia próba.

- Jest tak tani, że na pańskim miejscu kupiłabym go bez chwili namysłu. Naprawdę. Kupiłabym i po trochu remontowała. Nie sprzedawałabym go, ale mam już trzy domy. Utrzymywanie czterech to dla mnie za dużo.

Na twarzy Olshama pojawił się słaby uśmiezek. Puścił do niej oko.

- Założę się, że powtarza to pani wszystkim klientom.

A to skurkowaniec, no!

Kilka minut później szła do domu, przytrzymując ręką kapelusz, gdyż po High Street rozhulał się porywisty wiatr. Olsham chciał ją podrzucić swoim czarnym BMW, ale odmówiła. Ilekroć bez rezultatu próbowała sprzedać komuś dom, wracała do siebie na piechotę. Świeże powietrze pomagało ukoić zszargane nerwy.

Na chodniku tańczyły suche brązowe liście, miecione wiatrem w stronę plamy żółtego światła z ulicznej latarni. Księżyc zakryły różowe chmury. Czerwone niebo. Co to znaczy? Czerwone niebo. Będzie padało czy nie? Kiedyś wiedziała. Dlaczego wyleciały jej z głowy najprostsze, najbardziej podstawowe wiadomości?

Przystanąła na rogu Yale. Z mroku wychynął dom Liama. Na górze paliły się światła. Pewnie znowu ta siostrunia. Może jednak powinnam wstąpić? Przeprosić go za ostatnie najście? Powiedzieć, że źle się czułam, że wzięłam jakieś lekarstwo, po którym zawsze mi odbija?

A może nie ma potrzeby przeproszać? Może jemu też było przykro, że siostra nam przeszkodziła?

Zerknęła w dół. Rozpięła górny guzik zakietu. Rozchyliła klapy i poszerzyła dekolt.

Gdy podniosła oczy, tuż przed nią wyrosła ciemna postać, zagradzając jej drogę.

Skąd się tu wziął? Jakim cudem podszedł tak cicho?

- Hej! - krzyknęła, gdy mocnym, gwałtownym szarpnięciem zerwał jej z głowy kapelusz.

Oszołomiona, wyciągnęła ręce, chcąc go przytrzymać, lecz kapelusz już pofrunął na jezdnię.

- Przestań!

Dyszał ciężko, jego świszczący oddech, oddech gorący cuchnął zgnitym mięsem. Było ciemno. Nic nie widziała. Tylko te szare, jarzące się matowo ślepie, lodowato zimne i bezli-  
tosne.

- Dam ci torebkę! Masz! Weź moją torebkę!

Głośny, suchy trzask. Szarpnął ją, pociągnął. Z trudem utrzymała równowagę.

Zerwał z niej żakiet. I rozdarł go na pół.

- Weź moją torebkę! Proszę, nie rób mi krzywdy! Weź wszystko!

Gwałtownie umilkła, czując przeszywający ból w ręku.

Zobaczyła wielkie palce, które wbiły się w jej ciało. Pocz-  
ła, że po ramieniu spływa ciepła krew.

Usłyszała dziwny odgłos. Jakby coś się pruć.

Zdarł z niej skórę.

Zupełnie bez wysiłku. Jakby ściągał koc z łóżka.

Skręcił jej kark.

Wbił palce w jej szyję. Potem przesunął je na barki...

*Ale ja wciąż żyję! Ja wciąż żyję!*

...i chrząkając, sapiąc, zdarł skórę z jej pleców. Cóż za roz-  
kosz!

Jeszcze jedno pasmo, i jeszcze jedno. Tak, zedrzeć całą  
skórę. Całą, calutką.

# CZEŚĆ TRZECIA

## 16.

Sara ułożyła słuchawkę na ramieniu i przytrzymała ją policzkiem. Chwyliła włosy obiema rękami, postawiła je na sztorc i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

- Zamierzałam je ściąć, ale może nie warto? Liam woli długie.

Mary Beth jęknęła.

- No nie, nie wierzę.

- Mogłabym zapleść je we francuski warkocz, bo tak wyglądam najładniej, ale nie mam na to czasu. Uwierzysz, że tyle lat mieszkałam w Nowym Jorku i ani razu nie byłam u porządnego fryzjera? Stale ściągam włosy do tyłu i wiążę je w kucyk jak na pierwszym roku college'u. A moja grzywka? Toż to lata pięćdziesiąte! Widziałam identyczną na tym starym filmie, który pokazywali wczoraj w telewizji.

- Kochanie ty moje, udając osobę z problemem włosowym, rozśmieszasz mnie do łez.

Sara puściła włosy, ujęła słuchawkę i parsknęła głośnym śmiechem.

- Z problemem włosowym? Co to znaczy?

- To znaczy, że ja nie mogę po prostu związać włosów w kucyk. Jeśli zwiążę je w kucyk, wygląda to tak, jakbym posadziła sobie na głowie skunksa. Co prawda blond-skunksa, lecz ani chybi skunksa.

- Mary Beth...

- Muszę swoje włosy torturować. Muszę je prostować, wujować z nimi, bo inaczej nie ulegną. A i tak wyglądam najczęściej jak ofiara wypadku samochodowego. Dlatego regularnie je podcinam.

- Mary Beth...

- I dlatego nie chcę słuchać, jak narzekasz na swoje włosy. Są piękne, lśniące i jedwabiste. Niczym w reklamie dobrego szamponu. Gdybyś się nawet obcięła na lyso, i tak wyglądała-bys wspaniale, dobrze o tym wiesz.

Chwilę milczały.

- Skunksa? - spytała cicho Sara. - Zawsze uważałam, że foksteriera.

Wybuchnęły śmiechem. Jak za starych, dobrych czasów, pomyślała Sara. Mary Beth ciągle narzekała na swój wygląd, ale to właśnie nie kto inny tylko ona zawsze miała na podorzędziu faceta, który za nią szalał.

Pierwsza spowaźniała Mary Beth.

- Co znaczy: „Liam woli długie”? Umówiłaś się z nim dopiero dwa razy. I co? I już mówi ci, jak masz się czesać?

- Nie, skądże - zaprotestowała Sara.

- Idziesz na randkę ze sławnym profesorem i dyskutujesz z nim o swoich włosach?

- Nie. A właściwie tak. Opowiadał mi trochę o tych irlandzkich przesądach. No wiesz, o tym, jak rzuca solą przez ramię, jak...

- Nie, nie wiem, skąd miałabym wiedzieć? - przerwała jej zgryźliwie Mary Beth.

- Jest taki stary przesąd, że ścinając włosy, skrucasz sobie życie. Rozmawialiśmy o tym i...

- Koszmarnie ponury temat.

- Mary Beth, jeśli nie przestaniesz mi przerywać...

- Przepraszam.

Celowo przerwała jej jeszcze trzy razy i znowu wybuchnęły wesołym śmiechem. Jak rozradowane trzpiotki.

Sara nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak wspólnie. Zadzwoniła do przyjaciółki natychmiast po powrocie do domu. Z ich drugiej kolacji.

Z ich drugiej randki!

Wino szybko wywietrzało jej z głowy. Wino, ale nie Liam.

- Tak czy inaczej, dotknął moich włosów i powiedział, że są... że są takie miękkie. On jest bardzo romantyczny, wiesz? I chyba... staromodny. To znaczy mówi takie rzeczy, jakich większość mężczyzn nigdy by nie powiedziała. I ciągle patrzył na moje włosy. Ma niesamowite oczy, intensywnie brązowe, a kiedy...

- Saro, bredzisz jak naćpana.

- Nie jestem naćpana, Mary Beth, nie jestem nawet pijana.



Nie, po prostu uważam, że Liam jest naprawdę niezwykłym człowiekiem.

Znowu umilkły. Zaległa pełna napięcia cisza.

- Saro, wiem, pomyślisz, że mówię to z zazdrości, ale...

- Mów. Co chcesz powiedzieć? - przerwała jej podekscytowana. Mary Beth ma rację, pomyślała. Wstrzymała oddech, zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze. Spokojnie, pan-  
no Morgan, tylko spokojnie.

- Uważam, że powinnaś zachować ostrożność.

- Że co?

- Nie udawaj, dobrze słyszałaś. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Myślę, że jesteś teraz szczególnie podatna na wszelkiego rodzaju ciosy. Mam rację?

- Może.

- Posłuchaj, obserwowałam Liama, kiedy kręciłam ten film. On flirtuje ze wszystkimi.

- To zupełnie co innego. - Chciała powiedzieć to obojętnie, ale nic z tego nie wyszło.

- Kochanie, ten facet flirtował nawet z irlandzkim seterem, który do nas podbiegł!

Znowu wybuchnęły śmiechem.

- Nie, Mary Beth, to nie jest flirt. Naprawdę się polubiliśmy. Od pierwszego spotkania. Wiesz, jak to jest, kiedy nagle stwierdzasz, że nadajecie na tej samej fali. I właśnie...

- I właśnie to próbuję ci wytłumaczyć - przerwała jej zniecierpliwiona Mary Beth. - Nigdy nie umiałaś tego rozpoznać, nigdy nie byłaś pewna, czy to fala tej samej długości. Przyznaj, Saro. Brak ci umiejętności oceniania ludzi.

- Daj spokój. Owszem, popełniłam parę błędów, ale...

- Parę? Założę się, że potrafię wymienić więcej niż parę. Był Chip. Był Steve. I ten facet z drugiego roku, jak mu tam... Ten, którego poznałaś, kiedy przeprowadziłyśmy się do mieszkania.

- Borys?

- O właśnie. Borys.

- Mary Beth, cztery lata temu przyrzekałaś mi, że nigdy w życiu nie wspomnisz o tym parszywcu.

- Chryste, daję ci słowo, że od lat o nim nie myślałam. Co

za gówniarz. Nie dość że był najnudniejszym facetem na kampusie, to jeszcze sprzedał twoje stereo! Ukradł je, kiedy pojechałaś do domu na Boże Narodzenie, i sprzedał!

Sara jęknęła.

- Dzięki, że mi o nim przypomniałaś, kochanie.

- Próbuję oddać ci przysługę. Saro, to właśnie o takich jak ty piszą te wszystkie książki.

- Książki? Jakie książki?

- No wiesz. „Źli mężczyźni dla dobrych kobiet”. Książki o tych wszystkich żalonych dupach, które nie potrafią wybrać odpowiedniego faceta.

- Czy ja dobrze słyszę? Nazwałaś mnie żalowaną dupą?

Teraz z kolei jęknęła Mary Beth.

- Nie bierz tego do siebie. Chcę ci tylko pewne rzeczy wytłumaczyć, trafić do ciebie. Odkąd się znamy, a znamy się wiele lat, nigdy, ale to nigdy nie wybrałaś sobie odpowiedniego faceta.

- Rozumiem - mruknęła niechętnie Sara; rozmowa z Mary Beth zaczynała ją męczyć. - Ale Liam jest zupełnie inny. - Zamilkła i po krótkiej chwili dodała: - Posłuchaj, wiem, że dzięki tobie mogłam uciec z Nowego Jorku, że załatwiłaś mi college, ale to wcale nie znaczy, że jesteś za mnie odpowiedzialna.

- Dobrze, już dobrze. - Szorstkość głosu Sary kazała Mary zrejterować. - I tak nigdy mnie nie słuchałaś. Zresztą sama nie jestem mądrzejsza. Udzielam mądrych rad, tymczasem pieprzę się z osiemnastolatkiem. - I szybko dodała: - I cudownie się przy tym bawie!

Wybuchnęły serdecznym śmiechem.

- Ale na przyjęcie u Milтона go nie zabrałaś. Dlaczego?

- Bo musiałam poczekać, aż się maleństwu odbije, zmienić mu pieluszki i ułożyć je do snu.

- Sześć lat różnicy to wcale nie tak dużo.

- W naszym wypadku owszem, i to bardzo dużo. Chryste, on ciągle uważa, że Beavis i Butthead są cacy!

Sara zachichotała.

- Słuchaj, czy kiedykolwiek myślałaś o karierze komika?

Mary Beth zareagowała udawaną wściekłością.

- Naprawdę uważasz, że moje życie to komediowy skecz?!  
Sara spojrzała na zegarek na nocnym stoliku.
- Otóż to. A moje jest jak telewizyjna komedijka o pracującej dziewczynie, która wraca do szkółki. Lepiej już kończmy. Mam trochę roboty przed jutrzejszymi zajęciami. Muszę wymyślić temat pracy semestralnej.
- O czym chcesz pisać? O psychologii podrywania profesorów folklorystyki?
- Co cię opętało? Masz jakąś obsesję. Nie możesz zapomnieć o nim chociaż na chwilę? Zaczynam podejrzewać, że jesteś zazdrosna.
- Tak, zielenieję z zazdrości. Ale poważnie - o czym zamierzasz pisać? Coś à la Freud? A la Jung?
- Sara zawahała się.
- Myślałam, żeby... Chcę napisać o smutku.
- O czym?
- Cały czas chodzi mi to po głowie. W zeszłym roku umarł mój ojciec i bardzo to przeżyłam. Zaskoczyła mnie własna reakcja. Wiedzieliśmy, że umiera, myślałam, że jestem na to przygotowana. I nagle babuch! Rąbnęło mnie to jak cegłą. Puściły mi nerwy, nie mogłam się pozbierać. - Urwała, wzięła głęboki oddech.
- Przepraszam - szepnęła Mary Beth. - Kiedy dowiedziałam się o śmierci twego ojca, wysłałam ci kartkę. Nie odpowiedziałś i wydawało mi się, że...
- Matka nalegała na wizytę u psycholożki, specjalistki od stanów depresyjnych - mówiła dalej Sara. - Uznałam to za głupi pomysł, ale poszłam z mamą, żeby jej pomóc. Psycholożka była osobą naprawdę bystrą. Opowiedziała nam o pięciu stadiach smutku, które wszyscy przechodzą, przedstawiła ich schemat: niedowierzanie, złość, wyrzuty sumienia i tak dalej. Trafiła w dziesiątkę, wszystko pasowało jak ulał, tak że wreszcie zrozumiałam, na czym to polega. I kiedy okazało się, że muszę napisać esej na seminarium profesora Nudnego, przypomniała mi się ta psycholożka i pomyślałam sobie, że mogłabym spłodzić coś na temat stadiów smutku.
- Saro, jesteś pewna, że taki temat nie otworzy starych ran? Nie poruszy bolesnych wspomnień?

- Czy ja wiem... Nie, chyba nie. Hej, znowu się o mnie zamartwiasz! Co ci jest, Mary Beth? Odkąd to masz kompleks matki? Zawsze byłaś... - W słuchawce rozległ się nagle cichutki pisk. - Czekaj, ktoś do mnie dzwoni, muszę kończyć. - Może to Liam, pomyślała z bijącym sercem. Może to Liam!

- Jak to?

- Ci od telefonów zainstalowali mi takie specjalne urządzenie. Zrobili to za friko, w ramach promocji czy czegoś tam. No to cześć, Mary Beth. Zadzwoń do ciebie jutro, dobra?

Kolejny pisk.

- Dobra, zadzwoń. Na razie.

Sara szybko wcisnęła guzik, żeby przełączyć się na drugą rozmowę.

- Halo?

Usłyszała chrapliwy szept:

- Czy to Sara?

- Tak, to ja.

- Chcesz żyć, Saro? Chcesz? To trzymaj się z dala od Liama!

## 17.

Żołądek podjechał mu do gardła. Niewiele brakowało i zwróciłby kolację.

Z trudem przełykając ślinę, zamknął oczy.

Drugie morderstwo. Morderstwo koszmarnie, nie do opisanania.

Muszę popatrzeć. Nie mam wyboru. Na tym polega moja praca.

Otwórz oczy, Garrett. Rób, co do ciebie należy.

- Garrett? Pomóc ci w czymś? - Zatroskany głos Waltera, gdzieś z tyłu.

Trzęsły mu się nogi. Znowu przełknął ślinę, czując w ustach gorzki smak żółci.

Jak mi możesz pomóc, ty skretyniały grubasie? Tę kobietę obdarto ze skóry, tu, na tym chodniku, i chcę tylko jednego: zamknąć oczy. Albo uciec. Jak mi w tym możesz pomóc?

Nabrał powietrza. Wstrzymał oddech. Czekał, aż uspokoi mu się żołądek.

Jak to jest, że Columbo nigdy nie rzyga?

Otworzył oczy. Migotliwa czerwień światła. Odległe zawođenje syren. I karetka pogotowia. Przechylona na bok, z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi reflektorami, stała przednimi kołami na chodniku, kilka metrów przed zwłokami.

Po co tu karetka, pomyślał z goryczą. Tu potrzebny odkurzacz, inaczej się tego wszystkiego nie wyzbiera.

W mroku, pod ceglana ścianą pobliskiej kamienicy, stali zbici w grupki gapie. Wykrzywione z przerażenia twarze, zaciśnięte usta, wytrzeszczone oczy...

Obserwowali go? Patrzyli, jak stoi bezradny i sparalizowany strachem?

- Walter, przepędź ich stąd! Postaw jakąś barierkę albo co. Udawajmy, że jesteśmy gliniarzami! Zabierz ich stąd! Hej, ludzie! Stoicie na miejscu przestępstwa! Odejdźcie stąd! - Rozbolało go ściśnięte gardło.

Walter rzucił się w stronę tłumu, wymachując tłustymi rękami.

- Cofnąć się! Proszę się cofnąć! Nie ma tu nic do oglądania. Wracajcie do domu. Nie ma tu nic do oglądania.

Nie ma tu nic do oglądania?

Garrett gwałtownie zamrugał. Ubrani w białe fartuchy laboranci z miejscowego szpitala pełzali po chodniku, zbierając chirurgicznymi szczypcami kawałki skóry i wrzucając je do sterylnych słoików. Tej roboty Garrett swoim ludziom nie powierzył - nie, aż tak bardzo im nie ufał. Uparł się, żeby załtwili to szpitalni laboranci.

Niektóre kawałki skóry były maleńkie jak piórko, ale zdarzały się i większe. Te ostatnie przypominały zakrwawione pasemka piankowej gumy, suchej i podwiniętej na końcach.

Przyjechał na miejsce zbrodni dwie minuty po otrzymaniu

wezwania. Rozmawiali z Angel na temat propozycji pracy u brata i ewentualnej przeprowadzki, klócili się, gdy zadzwonił telefon. Garrett podniósł słuchawkę i usłyszał przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety, histeryczny i niezrozumiały, przerażony głos wywrzaskujący nazwy ulic. Blisko kampusu. Blisko miejsca tamtego morderstwa.

Jego wzrok spoczął najpierw na zakrwawionym torsie, na białych jak księżyc żebrach wystających spod rozerwanej skóry. Potem na obnażonych, nienaturalnie rozrzuconych nogach. Na zerwanym z trupa ubraniu. Na rzepce kolanowej sterczącej spod rozharatanego ciała.

Gdy się odwracał, natrafił wzrokiem na twarz kobiety, na jej wybałuszone oczy przeszywające go oskarżycielskim spojrzeniem.

Jak długo żyła? Czy żyła jeszcze, gdy morderca rozrywał jej ciało na strzępy?

Może najpierw litościwie ją zabił? A może widziała, jak obdziera ją ze skóry, jak zrywa ją z niej niczym papier do pakowania?

Właśnie ta myśl kazała mu zacisnąć powieki i pchnęła go do krawężnika.

Żołądek zdążył się już trochę uspokoić, mimo to Garrett wciąż czuł się jak pływak w potoku czerwieni: z trudnością utrzymywał głowę nad wartkim, migotliwym nurtem, w gardle czuł gorzki smak żółci, każdy oddech był świadomym wysiłkiem.

Ofiara została wypatroszona jak ryba. Na chodniku leżały ociekające krwią wnętrzności. Poskręcane jelita wypełzały na jezdnię High Street. Garrett próbował skoncentrować się na laborantach przeczesujących okolicę w poszukiwaniu kawałków skóry, które zbierali chirurgicznymi szczypcami.

- Myślisz, że facet jest kanibalem? - spytał Walter skacząc wokół niego jak morświn na płyciźnie.

Garrett wciąż płynął, płynął w migotliwym potoku.

Chciał dzielić go pięścią. Zrób coś pożytecznego! Ale nie, to nie na Waltera był zły.

Był zły na swoją bezsilność.

Nawet on o tym wiedział.

- Kanibal - powtórzył Walter kręcąc głową. - Kanibal. - Jakby cokolwiek to tłumaczyło.

Garrett usłyszał zduszony jęk. Za rogiem kamienicy wymiotował jeden z laborantów.

Cud, że nie wszyscy, pomyślał, z trudem przełykając ślinę.

Gdyby mógł kogoś przesłuchać. Gdyby znaleźli konkretny ślad. Na przykład rewolwer z odciskami palców.

Lecz morderca nie użył rewolweru.

No właśnie, czym to zrobił? Nożem? Pociął i obdarł ją ze skóry nożem?

To zajęłoby mu bardzo dużo czasu. I co? Nikt tędy nie przechodził? Nikt nie przejeżdżał? Nikt go nie widział?

Świadek.

Garrett powiódł wzrokiem po tłumku gapiów. Walter zdołał odpędzić ich pod następny budynek. Zbili się w gromadkę w żółtym, zamglonym świetle zalewającym porośniętą trawą podwórze.

Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Tylko na filmie?

Czyżby zabójca stał wśród ponurolicych gapiów? Czyżby z lubością obserwował policyjne przedstawienie? Czyżby wciąż miał na rękach krew ofiary?

- Walter, sprawdź tych ludzi. - Wskazał ich ruchem głowy.

- Hę?

- Gapiów. Sprawdź gapiów. Szukaj plam krwi. Czegokolwiek podejrzanego.

Walter rozdziawił usta. I natychmiast drgnął, ożywiony podnieceniem.

- Myślisz, że...?

- Nie, nic nie myślę - przerwał mu Garrett. - Po prostu ich sprawdź.

Walter oparł rękę na uchwycie rewolweru i posłusznie ruszył w stronę trawnika.

Chryste, naprawdę pozwoliłem mu nosić broń?! Pytanie było tak porażające, że odpędziło koszmarnie myśli o trupie. Czyżbym kompletnie zwariował?!

- Mamy jej legitymację, panie komendancie. - Ethan. Błady,

z ponuro zmarszczonym czołem. To zwierał, to rozwierał szczęki.

Garrett zmrużył oczy. W czerwonych światłach radiowozu połyskiwała łysina podwładnego. Gdzie jego czapka? Zgubił ją?

- Legitymację?

- Tak, była w torebce.

- A portmonetka? Portmonetka też tam jest?

Ethan kiwnął głową.

- Przejrzeliśmy z Harveyem zawartość torebki. Wygląda na to, że nic nie zginęło. To nie był rabunek.

Nie, skąd. Facet przejeżdżał tędy samochodem, zauważył przypadkową ofiarę, przystanął, obdarł ją żywcem ze skóry, wypatroszył i pojechał dalej. Normalka.

Garrett westchnął.

- Kto to jest? - spytał. - To znaczy, kto to był?

- Nazywała się DeHaven. Andrea DeHaven. Mieszkała na Forrest, po drugiej stronie kampusu.

- Zabezpieczyłeś torebkę?

- Tak jest. Zrobiłem to bardzo ostrożnie. Żeby nie zatrzeć odcisków palców. Chryste... - Nie wytrzymał, tama puściła, twarz straciła całą dotychczasową surowość. - Długo tego nie zapomnę. - Wzdrygnął się.

- Ja też, Ethan.

Szedł ku nim lekarz. Garrett próbował przypomnieć sobie jego nazwisko. Widział go chyba z tysiąc razy, a mimo to nie pamiętał, jak się facet nazywa. Pośpni, powitali się skinieniem głowy.

- Ma pan coś dla mnie, doktorze?

- Obdarto ją żywcem ze skóry, a potem wypatroszono.

Od razu przechodzi do rzeczy, pomyślał Garrett przeliskając ślinę. Chciał odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Gdy odzyskał głos, wypsnęło mu się amatorskie pytanie.

- Doktorze, kto mógł popełnić tego rodzaju zbrodnię?

Lekarz łypnął na niego przekrwionymi oczyma.

- Ktoś bardzo silny, panie Garrett - odrzekł przez zaciśnięte zęby.



## 18.

Z zamyślenia wyrwało ją głośne pukanie do drzwi. Od prawie pół godziny gapiła się na tę samą stronę książki - była to rozprawa naukowa autorstwa Camille'a Paglia, którą miała przeczytać na zajęcia z psychologii - zastanawiając się, kto do niej dzwonił i jej groził, czyj szept słyszała w słuchawce.

To na pewno głupi kawał. Tylko czyj?

Doszła do wniosku, że najpewniej kogoś, kto był na przyjęciu u Milтона w zeszłym tygodniu, kto zauważył, że Liam nie odstępował jej na krok, że razem wyszli. Może kogoś, kto widział ich dzisiaj „Pod Korkociągiem”.

Zazdrosna koleżanka?

Liam pracował w Moore State niecały miesiąc. Czy to wystarczy długo, żeby któraś z pracownic wydziału językoznawstwa albo kulturoznawstwa stała się zaborczą? Żeby ośwładnęło ją uczucie na tyle silne, że zadzwoniła do Sary grożąc jej śmiercią?

Kobieta? A może dzwonił mężczyzna?

Sara nie była tego pewna. Rozmowę zagłuszały głośne trzaski, szept był cichy, chrapliwy.

Czując dreszcze, przebrała się w piżamę z długimi rękawami - w starą piżamę Chipa - nałożyła białe wełniane skarpety, ciepły wełniany szlafrok i wstawiła wodę na herbatę.

Na dworze wiał wiatr, pobrząkując szybami w oknach; oto jeden z minusów narożnego mieszkania. Pocierała o siebie rękawami szlafroka, krążyła między mikroskopijną kuchnią i pokojem, czekając, aż zagwiżdże czajnik, i cały czas próbowała przypomnieć sobie twarze.

Twarze z przyjęcia.

Podchodziło do Liama tylu ludzi, tylu ludzi chciało się z nim przywitać. Wszystkich traktował bardzo po przyjacielsku i ciepło, lecz bez przesadnej afektacji czy wylewności. Próbowała sobie przypomnieć, czy któryś z gości rozmawiał z nim

dłużej niż inni, doszukiwała się oznak łączącej ich intymności albo bliskości, wypatrywała myślą kogoś, kto by się Liamowi przyglądał z drugiego końca salonu, kto by go obserwował.

Nie. Nikogo takiego nie zauważyła.

Pod stopami - chodziła w samych skarpetkach - zatrzeszczała drewniana podłoga. Gdy zagwizdał czajnik, zaczęło ją kusić, żeby zadzwonić do Liama i spytać go, co myśli o tym koszmarnym telefonie. Miała pretekst do rozmowy.

Przelewając wrzątek do dzbanka, czując, jak gorąca para ogrzewa jej twarz, zaczęła się powoli uspokajać. Wlała do filiżanki trochę miodu i obserwowała ciemniejącą wodę. Kończąc widok. Ogrzała dłonie na kubku, zaniósła go do niskiego, miękkiego fotela przy łóżku i otworzyła książkę, żeby przeczytać zadany rozdział.

Coś o zmiennym apetycie seksualnym. Powinno ją to zainteresować, lecz znowu zaczęła myśleć o Liamie i słowa wyblakły, poszybowały w przestrzeń, zniknęły.

Tylko z nią flirtował? Jeśli tak, dlaczego wybrał akurat ją? Tamtego wieczoru w restauracji natychmiast poczuła do niego silny pociąg, ale nie spodziewała się, że on też ją zapamięta.

A na dzisiejszej kolacji? Był taki uroczy. Te jego niewinne przesady. Tyle ich zna! Zna nawet takie, o których nigdy w życiu nie słyszała.

O co mu chodziło z tą serwetką? O, właśnie. Mieli już wychodzić, więc zdjęła serwetkę z kolan i zaczęła ją składać. Nagle chwycił ją za rękę i powstrzymał. „Składanie serwetki po posiłku oznacza zerwanie przyjaźni. Już nigdy cię nie zobaczę”. Żartobliwie odęte wargi. Nadaśana mina. I takie smutne oczy.

Szybko zmięła serwetkę i rzuciła ją na stół. Parsknęli śmiechem.

Przedtem nalegał, żeby razem rozlać herbatę do filiżanek, i przykrył jej dłoń swoją dłonią. Bijące z niej ciepło i zadziwiająca siła sprawiły, że jej ramię i całe ciało przeszył zmysłowy prąd.

Dlaczego się uparł? Mały porcelanowy imbryczek, herbata

i filiżanki - cóż to za przesąd? Nie chciał jej tego zdradzić, zadowolony z siebie odmówił. Uśmiech, roztańczone oczy - mogło by się wydawać, że zademonstrował jej swoją najwspólniejszą sztuczkę.

Patrzyła wciąż na te same stronicie książki na kolanach. Wystygła herbata przypominała ciemną kałużę na dnie kubka. Zaraz, zaraz, czy w tych dwóch pudłach, których jeszcze nie rozpakowałam, nie ma przypadkiem książki na temat przesądów i zabobonów?

Głośne pukanie do drzwi. Zatrzasnęła książkę. Rzuciła okiem na budzik na nocnym stoliku. Prawie północ. Kto to może być? Mary Beth? O tej porze?!

I nagle podniecająca myśl: Liam?

Zerwała się z fotela, szarpnęła połami szlafroka, żeby zasłonić obszerną piżamę, i mocniej zacisnęła pasek.

Znowu pukanie, tym razem głośniejsze.

Włosy. Zerknęła do lustra. Szybko podeszła do drzwi.

- Kto tam? Cisza. I raptem:

- Sara? - szepnął ktoś mocno zdyszany.

Otworzyła drzwi i wytrzeszczyła oczy.

- Milton?

Stał na wycieracze. W szarym dresie przypominał słonia. Mimo jesiennego chłodu i zimnego, porywistego wiatru na jego czole lśniły wielkie krople potu. W słabym świetle lampy na korytarzu jego twarz miała kolor szkarłatu. Siwe włosy, zwykle proste i sterczące, były mokre i przylizane.

- Milton? - powtórzyła. - Stało się coś?

- Nie... nic. Biegałem i... - wychrypiał, z trudem chwytając oddech. Jego wielki brzuch dźwigał się ciężko i opadał.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam... Myślałam... - Myślałam, że masz atak serca. Nie dokończyła zdania. - Na pewno nic ci nie jest?

Zaczerpnął tchu, przełknął ślinę i przytrzymał się futryny, żeby nie stracić równowagi.

- Nie, wszystko w porządku. Miałem trochę roboty w biurze. Nagle ogarnął mnie dziwny niepokój. Byłem koszmarnie spięty. Postanowiłem trochę pobiegać. Po kampusie. Mijałem

twój dom i... - Obmacywał ją spojrzeniem, błędził wzrokiem po rozchylonym kołnierzu szlafroka.

- Milton, jest tak późno... Wzruszył potężnymi ramionami.

- Bieganie mnie odpręża.

Po co tu przylaził? Spodziewa się, że zaproszę go do środka?

Był taki wielki. Przerazona wyobraziła sobie, jak odpycha ją na bok i wchodzi do mieszkania.

Patrzył na nią srebrzystoszarymi oczami, sondował wzrokiem jej twarz.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę o tak późnej porze, ale chyba jeszcze nie spałaś, prawda? - Ponad jej ramieniem zerknął w głąb mieszkania.

Sprawdza, czy jestem sama? Czy nie ma tu Liama?

- Przyniosłem ci klucze. Coś mi wypadło. Rodzinne sprawy. Muszę wyjechać do Atlanty. Na kilka dni. Ale chciałbym, żebyś poprowadziła sekretariat. No wiesz. Wystarczy, jak będziesz odbierała telefony i sprawdzała korespondencję.

- Oczywiście, nie ma sprawy.

Wyciągnął z kieszeni trzy czy cztery klucze na kółku.

- Milton, ty krwawisz!

Podniósł rękę do twarzy i spojrzał na wierzch dłoni.

- Rzeczywiście - skonstatował zaskoczony. - To nic. Już przyszło.

Chwyliła go za rękę i przyjrzała się skaleczeniu.

- Bardzo głębokie zadrapanie. Jak to się stało?

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Nie wiem. Musiałem o coś zaczepić. Nie pamiętam.

Puszczając jego rękę, zauważyła ciemną plamę na nogawce spodni. Krew? Tam też?

- Nic nie czuleś? Nie do wiary. Musiałeś bardzo krwawić.

Wykrzywił twarz w dziwnym uśmiechu. Spojrzał jej w oczy.

- Twardziel ze mnie, Saro. Na małe zadrapania nie zwracam uwagi. - Wetknął jej klucze do ręki. - Ten srebrny jest od drzwi zewnętrznych. A ten do mego gabinetu. - Przebierał między nimi zakrwawionymi palcami. - Ten mały, ten, który różni się od pozostałych, do szafek z aktami.

Sara odgarnęła włosy.

- Pewnie nie będę go potrzebowała.

- Daję ci go na wszelki wypadek.

Podniosła czwarty klucz, mosiężny, najbardziej błyszczący.

- A ten?

Spojrzał na nią. Nagle poczuła się tak, jakby chciał przeniknąć wzrokiem przez jej skórę, jakby pragnął zajrzeć do jej mózgu.

- To klucz od mego domu.

- Od twego... domu?

- Może zechcesz do mnie wpaść. - Srebrzystoszare oczy płonęły niczym dwa reflektory. Co on robi? Chce ją... zahipnotyzować? - Może kiedyś mnie odwiedzisz, zrobisz mi niespodziankę...

- Milton, nie sądzę, żebym...

- Zatrzymaj go, Saro - przerwał jej szorstko. I łagodnie dodał: - Na wszelki wypadek. - Zacisnął jej dłoń na pęku kluczy i wreszcie przestał patrzeć jej w oczy. - Napiłbym się czegoś. A ty? Wiem, że jest późno, ale może... - Znowu zaczął ciężko dyszeć.

Poczuła muśnięcie zimnych macek strachu. Nie, nie wpuszczę go, nie chcę. Głupota? Ostatecznie u niego pracuję. Co w tym złego?

No właśnie. Co?

Nie chciała w to wnikać.

- Przepraszam cię, ale nie zdążyłam nic kupić, nie miałam czasu. Zresztą... Jest bardzo późno, Milton. Jak widzisz, szłam już do łóżka. - I przestań się wreszcie gapić na moją piżamę!

Cohn westchnął. Podrapał się po mokrych włosach. Pochylił się...

Zaraz mnie odepchnie - pomyślała Sara czując, jak tężeją jej mięśnie brzucha. - Zaraz wejdzie na siłę, miałam rację.

Oparła rękę o drzwi, gotowa je zatrzaskać.

Milton zmarszczył czoło. Jeszcze raz spojrzął na zakrwawioną dłoń.

- Chyba muszę wracać do domu. Przemyć to czymś, trochę się ogarnąć. Zaproszenie na drinka odkładamy na czas

nieokreślony. - Roześmiał się, jakby powiedział coś zabawnego. - Jak było na kolacji z Liamem?

Przeszedł ją zimny dreszcz. Dlaczego o to pyta? Szpieguje nas? Po to tu przy laź?

- Świetnie. Liam jest bardzo miły.

Miły? Pogratiulować bogatego słownictwa.

Milton zaczął posapywać, wydał z siebie świszczący, gardłowy odgłos i jeszcze raz zerknął w głąb mieszkania. Szukał Liama?

- Nalegał, żebym cię zaprosił.

- Słucham?

- Na to przyjęcie w zeszłym tygodniu. Bardzo na to nalegał.

- Liam? - spytała szczerze zdziwiona i spiekła raka.

- Naturalnie i tak zamierzałem cię zaprosić. - Otaksował ją spojrzeniem od stóp do głowy. - Fakt, Liam to czarujący facet. I bardzo inteligentny. Prawdziwy z niego Don Juan.

Sara zaśmiała się sztucznie.

- Będę się miała na bacności.

Idź, Milton, proszę cię, wracaj do domu!

- No tak... - Znowu popatrzył na skaleczoną rękę. - Przepraszam, że nachodzę cię tak późno, ale wyjeżdżam z samego rana. Wracam w środę. Gdzie ja się mogłem skaleczyć? Paskudnie to wygląda.

- Musisz dokładnie przemyć ranę - odrzekła z ulgą, gdy ruszył do wyjścia. - Masz szczęście, że nie trzeba zakładać szwów.

Przekręciła klucz w zamku, założyła łańcuch, przytknęła ucho do drzwi i chwilę nadśluchiwała. Zaciśnęła palce, czując, jak pęk kluczy wbija się jej w dłoń.

Dlaczego dał mi klucz do swego domu? Na wszelki wypadek? Na jaki wypadek? I co miał na myśli, mówiąc o niespodziance?

Dziwny człowiek. Poharatał się do krwi i nawet tego nie zauważył.

Otworzyła oczy i pomyślała o Liamie. „Nalegał, żebym cię zaprosił”. Tak twierdzi Milton.

- Co się tu dzieje, Liam? - wymamrotała pod nosem.

Czyżby to szalona miłość? Miłość od pierwszego wejrzenia?

Ostrożnie, Saro. Tylko ostrożnie.

Posłuchaj Mary Beth. Nigdy nie wybrałaś odpowiedniego dla siebie faceta.

Zgoda, ale co będzie, jeśli on wybierze mnie?

Mijając kuchnię, zerknęła na czajnik na kuchence i przypomniała sobie o książce na temat przesądów. Spakowałam ją? Odechciało mi się spać, a na lekturę rozprawki Camille'a Paglia nie mam teraz nastroju. Równie dobrze mogę to sprawdzić.

Przywiozła z Nowego Jorku cztery pudła książek, łącznie ze starymi podręcznikami z college'u. Półki w pokoju mieściły zawartość tylko dwóch, więc pozostałe dwa wsunęła pod łóżko.

Pamiętam, że gdzieś ją widziałam, pomyślała. Uklękała, wyciągnęła z kryjówki pierwsze z brzegu pudło, a wraz z nim wielki kłak kurzu. To był chyba słownik zabobonów. Tak, wymieniono je alfabetycznie. Korzystała z tej książki na seminarium z literatury porównawczej na trzecim roku college'u.

Otwierając kartonowe pudło, wyjmując książki i układając je w stos na dywanie, przypomniała sobie, że zaliczyła seminarium na pięć. Taka dobra studentka. Pewnie zostanie studentką do końca życia.

Albo wyjdę za Liama i będę wiodła spokojne życie na kampusie.

Całkiem miła perspektywa.

Na dnie pierwszego pudła znalazła słownik i natychmiast zaczęła go przeglądać, wodząc oczyma po drobnym, gęstym druku.

Przesady na temat herbaty zajmowały bite trzy strony. Szybko przebiegła je wzrokiem, „herbaciane fusy, parzenie herbaty, mieszanie herbaty i bąbelki w herbacie”.

Jest. „Rozlewanie herbaty”. A więc jednak! Miała rację, że istnieje przesąd związany z rozlewaniem herbaty do filiżanek. Widzisz, Liam? Myślałeś, że ci się uda, że zdołasz nabrać

biedną ignorantkę, ufną Sarę. A zatem sprawdzimy, co to za przesąd.

Podniosła książkę i przeczytała:

- „Romney Marsh, Kent. 1932. Jeśli mężczyzna i kobieta nalewają herbatę do filiżanki z tego samego dzbanka, urodzi się im dziecko”.

## 19.

Biała porcelanowa filiżanka stuknęła o talerzyk. Liam odstawił ją na niski stolik do kawy i spojrzał na wchodzącą do salonu Margaret.

- Jesteś już.

- Tak, już jestem. - Zdjęła welwetowy kapelusz w kształcie melonika z miękkim, szerokim rondem i potrząsnęła włosami. Rzuciła kapelusz na krzesło przy ścianie i zaczęła ściągać rękawiczki z zielonej skóry. - Zimno. Jakby miał spaść śnieg.

Liam położył rękę na oparciu sofy i przyglądał się, jak Margaret walczy z rękawiczkami. Miała duże dłonie. Rękawiczki zawsze leżały na nich niczym druga skóra.

- Gdzie byłaś?

Zdjęła jedną i cisnęła ją na kapelusz. Włosy opadły jej na oczy. Odgarnęła je.

- W Northport. Jest tam cały ciąg sklepów z antykami. To miejsce nader osobliwe, bardzo czarujące.

Po drugiej stronie salonu był włączony telewizor. Szła reklamówka coca-coli. Króciutkie, dwusekundowe sekwencje z cyklu: wszyscy piją colę.

- Kupiłaś coś do sklepu?

- Nie. Tylko trochę pomyszkowałam. Ale zawsze mogę tam wrócić. - Westchnęła. - Wiem, uważasz, że to głupota otwierać sklep w tej małej miejscinie. - Druga rękawiczka wyładowała obok pierwszej. Margaret rozpięła czarny wełniany



płaszcz. - Ale jeśli sprzedam dwa większe antyki miesięcznie...

Reszty nie dosłyszał. Westchnął, założył nogę na nogę i popatrzył na ekran telewizora.

- Nalać ci herbaty? Woda jest jeszcze ciepła.

Nie odpowiedziała. Słyszał, że Margaret otwiera drzwi szafy w przedpokoju, wyobraził sobie, jak wieszka płaszcz. Chwilę później, gdy usiadła koło niego, poczuł, jak z jej swetra i długiej spódnicy pierzcha jesienny chłód. Poklepała jego dłoń zimną ręką, uśmiechnęła się i badawczo spojrzała mu w oczy.

- A ty? Co robiłeś całe popołudnie?

- Nic. - Wpatrywał się w ekran telewizora. Zaraz mieli nadawać wiadomości lokalne.

- Jadłeś kolację?

- Jeszcze nie.

Ogrzewała rękę, trzymając ją na wierzchu jego dłoni.

- Liam, czy ty w ogóle gdzieś wychodziłeś? Przesiedziałeś tu całe popołudnie?

Ciężko westchnął. Zabrał rękę. Wciągnął głowę w ramiona, jakby chciał się ukryć w swoim szarym golfie.

- Tak. Chyba tak. Zagryzła dolną wargę.

- Co za ponuractwo.

- Margaret...

Zerwała się na równe nogi i stanęła po drugiej stronie sto-  
lika, zasłaniając sobą ekran telewizora.

- Przesiedziałeś beczynnie pół dnia? Przecież dziś nie-  
dziela. Zmarnowałeś niedzielne popołudnie?

Nie odpowiedział.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś do Sary? Może by cię pocieszy-  
ła.

Liam, zniecierpliwiony, machnął ręką.

- Nic nie widzę, Margaret.

Odsunęła się z syknieniem.

- Dzwoniłem do niej - dodał, nie odrywając oczu od ekrana. - Rozmawialiśmy o wczorajszym spotkaniu. Mówiła, że było cudownie.

Margaret roześmiała się sarkastycznie.

- Dwie kolacyjki ze sławnym profesorem i biedaczka jest po uszy zakochana?

Po raz pierwszy tego wieczoru jego oczy na chwilę ożyły. Na ustach wykwił mu słaby uśmiech.

- Całkiem możliwe.

Westchnęła.

- Któż mógłby ci się oprzeć? Ten twój czar, twój urok osobisty...

Odsłonił w uśmiechu idealne zęby.

- Mam to we krwi, Margaret. Nie muszę się specjalnie wysilać.

- Cóż za skromność. To twoja najbardziej czarująca cecha.

- Nie do twarzy ci z sarkazmem, moja droga. - Znowu spojrzał na ekran telewizora. Ciągłe reklamy.

Margaret skrzyżowała ręce i przyszpiliła go wzrokiem.

- Naprawdę ci się podoba?

Potańczał ręką gładko ogolony policzek.

- Czy mi się podoba? Ależ tak, oczywiście. Jest cudowna.

- To dobrze. Cieszę się.

- Umówiłem się z nią na przyszłą sobotę. Była wniebożnięta. Chyba nie mieliśmy żadnych planów, prawda?

- Nie. Sara jest teraz najważniejsza. Nie zapominaj o tym.

- W łagodnym tonie jej głosu zabrzmiała karcąca nutka. - Tym razem musi się udać, Liam.

Poklepał jej dłoń.

- Mam dobre przecucia.

Wzdrygnęła się i zabrała rękę.

- Może się jednak napiję herbaty. Nie wiem, dlaczego odrzuciłeś propozycję pracy na Uniwersytecie Kalifornijskim. W Los Angeles był dzisiaj trzydziestostopniowy upał, a tutaj...

Podniósł rękę.

- Ciii... - Usiadł na brzeжку sofy i pochylił się wpatrzony w ekran telewizora.

„Kolejne brutalne morderstwo na kampusie...” Szarolśniący plastikowy worek ze zwłokami. Posępni sanitariusze z noszami na kółkach.

Liam zerwał się z sofy z zaciśniętymi pięściami. Potrąciwszy nogą stolik, obszedł go i nie odrywając oczu od ekranu, ruszył w stronę telewizora.

- Liam! - krzyknęła Margaret.

- Andrea. Biedaczka... - wymamrotał kręcąc głową. Zwiirając i rozwierając pięści, stanął tuż przed telewizorem.

„Ofiarą jest pośredniczka handlu nieruchomościami i właścicielka kilku domów, które wynajmowała studentom miejscowego college'u”.

Margaret pociągnęła go za łokieć.

- Wyłącz to. Odejdź od telewizora. Ja nie żartuję, Liam.

Wyszarpnął rękę. Jaskrawe światła przeszywające noc. Policjanci z ponurymi twarzami. Białe fartuchy laborantów pełzających po chodniku.

„Policja bada liczne ślady. Śledztwo idzie w kilku kierunkach. Detektyw Montgomery twierdzi, że aresztowanie mordery jest tylko kwestią czasu”.

Oczy zaszyły mu łzami.

- Biedna kobieta.

- Wyłącz to, Liam! Natychmiast! - powtórzyła niecierpliwie Margaret, chwytając go za ramię. - Nie ma sensu się torturować.

Spojrzał na nią gorejącymi oczami.

- Muszę na to patrzeć! Muszę!

Margaret ciężko westchnęła.

- Co się stało, to się nie odstanie, Liam. Posłuchaj mnie. Co się stało, to się nie odstanie.

Jego zasmucona twarz tonęła w niebieskawej poświacie bijącej z telewizyjnego ekranu. Gdy dziennik dobiegł końca, podszedł do króliczej klatki.

Pochylił się nad nią i patrząc na Febe, zaczął mamrotać coś po celtysku. Powtarzał to samo wyrażenie, powtarzał je w kółko jak mantrę, a królicza wyciągała do niego ruchliwy pyszczek, czekając na swoją marchewkę.

## 20.

Sara rozłożyła nogi. Uniosła kolana. Gdy zaczął w nią wchodzić, objęła rękami jego ciepłe plecy i zamknęła oczy.

- Och... - Cichutki jęk. Pierwszy jęk rozkoszy.

Na chwilę zastygł bez ruchu.

Pachniał mydłem. Pachniał tak cudownie.

Czy to dzieje się naprawdę?

Tak szybko?

Tak. Teraz całował jej małe piersi, teraz się nad nią kołysał.

- Och! Och! Och! O Boże...

Objęła go jeszcze mocniej, jeszcze mocniej zacisnęła powieki, bojąc się, że to tylko sen, który może zaraz prysnąć.

- Och! Och...

Całował ją jak oszalały, całował jej piersi, delikatną skórę między piersiami.

Głębiej. Jeszcze głębiej. Głębiej.

Do końca.

Przywarła do niego, zaczęła poruszać się w rytm jego ruchów.

- O Boże...

Przytulił ciepły policzek do jej policzka. Tchnął jej w ucho gorącym oddechem. Dostała gęsiej skórki. Pachnie tak cudownie... Musnął włosami jej twarz.

- Och! Och! Och! Och...

Równy, spokojny rytm.

Tak, to dzieje się naprawdę.

Nie może być prawdziwiej.

Ani cudowniej.

Musiała otworzyć oczy, żeby się o tym przekonać.

Wspierał się na rękach. Skupiony, patrzył na nią nieruchomymi oczami, jakby chciał ją przeszyć wzrokiem.

Ani cienia uśmiechu na ustach. Prosta linia zaciśniętych warg.

Trochę ją to rozczarowało.

Nie uśmiecha się. Tylko na nią patrzy, tylko pali ją spojrzeniem brązowych oczu. Pali, jak mocno pali...

Zaczął poruszać się szybciej. W dół, głęboko. I w górę. I znowu w dół. Lepka wilgoć ich ciał.

Gwałtowniejszy rytm, szybsze oddechy. Szybsze, coraz szybsze.

I nagle eksplodował w niej bez ostrzeżenia z cichutkim, zdławionym okrzykiem.

Wtulił się w nią, ukrył twarz między jej piersiami.

W chwili spełnienia lekko zadrżała. Ręce jej zwiotczały, zsunęły się z jego ramion.

Westchnęła.

Kilka sekund później podniósł głowę. I uśmiechnął się do niej. W końcu się do niej uśmiechnął. Oczy miał teraz łagodne jak oczy pluszowego misia. Podparł się łokciem, przywarł mokrym ciałem do jej mokrego ciała. I pocałował ją w usta. Pieścił jej zęby, napierał językiem na język.

Całował i... Nie, jeszcze z niej nie wychodził. Całował ją, jakby chciał, by trwało to bez końca.

Kochałam się z Liamem.

Tak szybko! Tak szybko!

Jestem taka szczęśliwa!

Oddając pocałunki, gładząc jego mokre brązowe włosy, doszła do wniosku, że to dzięki żonkilom. Tak. Na pewno dzięki żonkilom.

Przyszedł do niej z bukietem żonkili, złotych jak lipcowe słońce.

Zaskoczona podniosła ręce do twarzy.

- Gdzieś ty je kupił? - pisnęła radośnie. - Żonkile w październiku? - Zanim otworzyła drzwi, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i przybrała mądry wyraz twarzy kobiety opanowanej i doświadczonej. Lecz na widok żonkili całe opanowanie i spokój szlag trafił. - Skąd wiedziałeś, że to moje ulubione kwiaty?

- Czary. - Jej reakcja sprawiła mu wielką przyjemność. Czuli to, zdradził go uśmiech. Wręczył jej bukiet owinięty

białą bibułką. - Czary. Oto odpowiedź na wszystkie trzy pytania.

- Nie wiedziałam, że zaprosiłam na kolację czarnoksiężnika.

Rozglądając się wszedł za nią do małego saloniku.

- Nie wiedziałaś. Bo i skąd mogłaś wiedzieć?

- Są piękne! Sam je pan wyhodował, panie czarnoksiężniku? Machnął pan czarodziejską różdżką i pufff! wyskoczyły z kapelusza?

Uśmiechnął się. Potarł policzek.

- Machnąłem czarodziejską kartą kredytową i przyleciały do mnie z Ameryki Południowej. Ładne mieszkanie, Saro. Przytulne.

- Chciałeś powiedzieć: maleńkie.

- Tak. Maleńkie.

Roześmiali się.

Towarzyszył jej do kuchni.

- Chyba przywiozłam jeden wazon - powiedziała otwierając szafkę. - Tylko gdzie ja go mogłam postawić? Połowy rzeczy jeszcze nie rozpakowałam. Pewnie dlatego, że wciąż trudno mi uwierzyć, że naprawdę wróciłam.

- Mówisz jak prawdziwa pani psycholog.

Spojrzała na niego. Był w kremowym półgolfie, lekkiej brązowej marynarce z łatami na łokciach i świeżo upranych dżinsach o prostych nogawkach opadających na czarne kowbojskie buty.

Profesor college'u na sportowo.

I bardzo dobrze. Ona też ubrała się niezobowiązująco. Miała na sobie srebrnoszary golf i jedwabiste czarne spodnie. Gdy sięgała na górną półkę po wazon, usłyszała delikatnie stuk-stuk - to stukwały o siebie koraliki z czarnego szkła, które dostała od Chipa.

Nucąc pod nosem jakąś melodyjkę, Liam zaczął rozwijać kwiaty.

- Musimy znaleźć dwa pączki - powiedział z najwyższą powagą.

Odwróciła głowę.

- Po co?

- Trzeba je umieścić w szklanym naczyniu z wodą. To stary zwyczaj. W ten sposób można sprawdzić, czy mężczyzna i kobieta zostaną kochankami.

Sara postawiła wazon pod kran i napełniła go do połowy.

- No to je umieść. Zaintrygowałeś mnie. - Czują, że ma wypieki.

- Musimy położyć pączki na wodzie. Jeśli zetkną się ze sobą, będzie to znak, że między mężczyzną i kobietą zakwitnie prawdziwa miłość.

Sara uśmiechnęła się - mówił to wszystko z bardzo poważną miną.

- A jeśli się od siebie oddalą?

Błysnął oczyma.

- Wtedy wrzucimy do wody dwa inne pączki!

Chyba naprawdę mu się podobam.

Serce zabiło jej szybciej. Wzięła żonkile do ręki, żeby wstawić je do wazonu, i wtedy, ku jej zdziwieniu, Liam nachylił się i pocałował ją w usta. Niewiele brakowało, by nie trafił. Ciepłymi, wilgotnymi wargami musnął jej dolną wargę - zaskoczona Sara podniosła głowę i oddała pocałunek.

Żonkile wypadły jej z rąk i na kuchenny blat spłynęła żółta kaskada. Kwiaty mieszały się z sobą, splatały i obejmowały, migocząc plamami złota i zieleni.

Do restauracyjnego stolika podeszła młoda kobieta. Liam natychmiast puścił rękę Sary.

- Profesor O'Connor? Ciągłe na siebie wpadamy! - wykrzyknęła. Oparła się o stolik, wpatrując się w Liama, jakby nikt mu nie towarzyszył.

Jest bardzo ładna, pomyślała Sara. Te jej okrągłe zielone oczy, wysokie kości policzkowe, rude, kędzierzawe włosy. Ubrana była w długi, ciemnozielony sweter i zielone rajstopy.

- Pozwól, Saro, to jest Devra Brooks - powiedział obojętnie Liam, niezbyt zdziwiony jej widokiem. - Sara Morgan. Spotkałyście się na przyjęciu u Milтона?

Pokręciły głowami. Devra rzuciła Sarze krótkie: „Dzień dobry”, i natychmiast przeniosła wzrok na Liama.

- Czyż to nie wspaniała restauracja? Bardzo często tu przychodzę.

- Jeszcze nie jedliśmy, przed chwilą złożyliśmy zamówienie - odrzekł Liam zerkając na Sarę. - Ale wodę mają tu przednią. - Podniósł kieliszek jak do toastu.

Devra parsknęła śmiechem.

- Przyszłam z przyjaciółkami. - Wskazała stolik przy ścianie, gdzie siedziały trzy młode kobiety. - Chciałam się tylko przywitać, widziałam, jak wchodzisz. Jak ci się podoba Moore State?

- Jak dotąd nie narzekam. Poznałem kilku nowych przyjaciół. - Celowo spojrzał na Sarę i posłał jej uśmiech.

Devra zerknęła przez ramię na swój stolik. Kelner ustawiał właśnie duże talerze z kurczakiem i żeberkami z rusztu.

- Muszę wracać. Może byś do mnie przekreślił? Pogadali byśmy o starych chicagowskich czasach. - Zachichotała. - No wiesz. - Odwróciła się. - Mieszkam na Tremont. - W połowie drogi do stolika zawołała: - Miło cię było poznać, Saro. - I dołączyła do przyjaciółek.

Liam przyglądał im się chwilę. Zatrzymał wzrok na plecach Devry, po czym znowu spojrzał na Sarę. Sara upiła łyk wody.

- Kto to?

- Devra, moja była studentka z Chicago. Przeniosła się tu w zeszłym roku. Spotkałem ją na przyjęciu u Miltona.

- Wiedziałam, że skądś ją znam. Tak, teraz przypomniałam sobie, że ją widziałam. Te rude włosy trudno zapomnieć. Są bardzo... efektowne.

- Miła dziewczyna - mruknął Liam z nieobecnym wyrazem twarzy.

Kelner postawił przed nimi margerity.

- Dużo miałaś kobiet? - spytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Devra patrzyła na Liama w taki sposób, że... Właśnie wtedy o tym pomyślała, ale w żadnym razie nie zamierzała wypowiadać pytania na głos!

Przestała oddychać. Pragnęła cofnąć czas, cofnąć słowa, miała ochotę zapaść się pod ziemię.



Jak mogłam o to zapytać?!

Zmusiła się do podniesienia oczu. Ani zaskoczony, ani zmieszany patrzył na nią z drugiej strony stolika.

- Saro, czy wiesz, co mówi pewne stare irlandzkie powiedzenie? - spytał z rozbawioną twarzą. - Nigdy o nic nie pytań kota.

- Słucham? Nie, ja... - Zupełnie straciła głowę, zdenerwowana i na siebie, i na niego.

Pochylił się ku niej z wesołym błyskiem w oczach.

- A wiesz, dlaczego nie wolno go o nic pytać? Bo może odpowiedzieć !

Zaczekał, aż Sara się roześmieje, i zawtórował jej śmiechem. Ujął jej dłoń.

- Cudownie się śmiejesz. Twój śmiech brzmi jak muzyka.

Może to jednak nie żonkile.

Może stało się to właśnie wtedy, kiedy czas się zatrzymał, gdy trzymał ją za rękę.

Może właśnie wtedy się w nim zakochała.

Miłość?

Rozejrzała się po jasnej, zatłoczonej sali. Różowo-niebieskie stoliki z ceramicznym blatem w stylu lat pięćdziesiątych. Papierowe maty, na matach nazwa restauracji wypisana pochyłymi literami układającymi się w kształt lassa - TEKSAS. Olbrzymie kowbojskie kapelusze na ścianach. Bawole rogi nad lustrzanym barem. Muzyka country płynąca z grającej szafy. Zapach pieczonego kurczaka, żeberek i dymu płynący z otwartej kuchni pośrodku sali.

Czy może być coś piękniejszego i bardziej romantycznego?

Czy pociąga go tak samo jak on ją? Wszystko na to wskazywało. Stuknęli się kieliszkami, wznosząc toast „za nową przyjaźń”.

Rozmawiali, żartowali - przychodziło im to z taką łatwością. Czuli się przy nim zupełnie swobodnie, do tego stopnia swobodnie, że bez chwili wahania chwyciła rękami lepkie, ociekające sosem żeberko i podniosła je do ust. Co z tego, że uwalala sobie twarz? Co z tego, że gęsty czerwony sos ściekał jej po brodzie?

Mieli sobie tyle do powiedzenia, mieli z sobą tyle wspólnego.

Liam rozśmieszał ją swymi historyjkami. Jak on je wszystkie zapamiętuje?

Przerwał im wybuch chrapliwego śmiechu. Sara spojrzała w stronę stolika w rogu sali. Siedzące tam trzy kobiety w średnim wieku wzniosły toast kufłami piwa. Jedna z nich powiedziała coś, wszystkie odrzuciły głowy do tyłu i znowu wybuchnęły głośnym śmiechem.

Przez twarz Liama przemknął słaby uśmiech.

- Przypomina mi to starą irlandzką opowieść o lisicy. - Odłożył skrzydełko kurczaka i wytarł serwetką palce. - Lisica miała troje dzieci. Chcąc sprawdzić, które z nich przetrwa i da sobie radę w życiu, zabrała je do dużego domu na skraju lasu. Zatrzymali się na podwórzu i zaczęli nadśluchować. Dobiegł ich gwar jazgotliwych rozmów i głośne salwy śmiechu.

Stara lisica spogląda na dwoje małych lisków i pyta, kto jest w domu. „Nie wiemy” - odpowiadają dzieci. Lisica spogląda na trzecie dziecko i pyta: „A ty? Wiesz, kto jest w domu?” Lisek wyteża słuch i po chwili odpowiada: „Albo dwie kobiety, albo dwunastu mężczyzn” „Dasz sobie radę w życiu, dziecko”, orzekła lisica - zakończył z uśmiechem.

Spojrzała na niego z wyrzutem i skarciła żartobliwym klapssem w rękę.

- Liam, skąd u ciebie ten szowinizm?!

- Dziwi cię, że stare irlandzkie opowieści są politycznie niewłaściwe?

- No cóż...

Nagle spowaźniał.

- Zacząłem robić notatki do książki na ten temat. Napiszę coś o roli płci w irlandzkich legendach ludowych i o ich wpływie na społeczeństwo. To będzie prawdziwy bestseller, nie sądzisz?

Zerknąwszy nad jego ramieniem, zobaczyła, że Devra i jej przyjaciółki nakładają płaszcze, szykując się do wyjścia. Devra pomachała Liamowi na pożegnanie, zawołała coś od drzwi, lecz jej głos zginął w hałasie i gwarze zatłoczonej restauracji. Sara nie była nawet pewna, czy Liam ją zauważył - cały czas patrzył tylko na nią, patrzył z przejęciem, niemal z nabożeństwem.

- Twoja przyjaciółka do ciebie...

W tym samym momencie zasłonił dłonią jej usta, a palec wskazujący drugiej ręki przytknął do swoich warg.

- Ciiii...

Sara wyjężyła słuch. Dobiegło ją bicie dużego zegara z wagami. Stał za ciemną ladą barową, choć zupełnie nie pasował do teksańskiego wnętrza. Liam zasłaniał jej usta, dopóki nie przebrzmiało dziewiąte uderzenie. Minęła dziewiąta.

Zabrał rękę, pochylił się ku Sarze i pocałował ją w usta. Delikatnie. Łagodnie. I krótko.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała bez tchu.

Uśmiechnął się.

- Bo cię lubię.

- Nie, dlaczego zasłoniłeś mi usta?

- Bił zegar. Gdy bije, nie wolno rozmawiać. To przynosi pecha.

Widząc jego poważną minę, parsknęła śmiechem.

- Czy przechodząc koło cmentarza, wstrzymujesz oddech?

Kiwnął głową.

- Tak.

- Liam, gdzieś ty się nauczył tych wszystkich przesądów? Skąd je znasz?

- Mój ojciec... Ojciec mi je przekazał.

- Twój ojciec? - spytała zdumiona. - Mówiłeś, że był farmerem.

- Tak, farmerem. Kiedy mieszka się na wsi, jest mnóstwo czasu na opowiadanie różnych legend i przypowieści. Ojciec był pod wieloma względami człowiekiem prostym, bardzo surowym i spokojnym, za to umiał wspaniale opowiadać. - Spuścił oczy, bawiąc się widelcem i nożem, które skrzyżował na talerzu. - Kawy?

- Hm?

- Napijesz się kawy czy zjesz coś na deser? Podają tu zdumiewający sernik, ciężki i zbity jak cement.

- Może wypijemy kawę u mnie?

Rzuciła te słowa prawie nie myśląc i od razu wiedziała, że będą się kochać.

Gdy weszli do mieszkania, chciała zapalić światło, ale chwycił

ją za rękę. Rozbierali się nawzajem w ciemności, po omacku, chichocząc z podniecającej niezręczności towarzyszącej ich zmaganiom. W progu sypialni potknął się o swoje buty.

Lecz cała niezręczność minęła, gdy zaczął ją pieścić i całować, gdy położył się na niej, gdy w nią wszedł.

Później, mocno objęci, z czułością przesuwali dłońmi po wilgotnej skórze, jakby nie wierząc, że to wszystko prawda. Pocałowała go za uchem, wdychając słodki zapach jego spocynych włosów.

- Czy to też przypomina ci historię jakiejś lisicy? - szepnęła.

Uśmiechnął się. W jego oczach zagrały refleksy mdlawego światła z ulicznej latarni.

- A wiesz, że tak?

Przytknęła mu palec do ust.

- Ciii, tylko mi jej nie opowiadaj.

Przesunęła dłońmi po jego zaskakująco muskularnych plecach. Dotykała go i pieściła, stwierdzając, że znowu jest podniecony.

Kochali się po raz drugi. Tym razem zamknął oczy. Ich ciała, mokre od potu i ciepłe, poruszały się zgodnym rytmem. Ostatecznie trochę się już znały. Znajomi nieznajomi.

Obserwowała go, przyglądała się ciemnemu łukowi brwi, ustom zastygłym w półśmiechu rozkoszy. Pięknej, jakże pięknej twarzy. Objęła jego głowę obiema rękami, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Mocno, głęboko, sondując językiem wnętrze jego ust.

Chciała, żeby pocałunek trwał wiecznie, lecz Liam oderwał wargi od jej warg, chwycił zębami prześcieradło i eksplodował w niej z cichym, zdławionym krzykiem.

W milczeniu, długo trwali w uścisku.

- Zapomnieliśmy o kawie - powiedziała cicho Sara.

Wybuchnęli śmiechem, głośnym i wesołym, jakby jej uwaga była przezabawna, dosłownie tarzali się ze śmiechu, powoli wracając do rzeczywistości.

Kilka minut później Liam, już ubrany, całował ją na do widzenia. Zrobiła nadąsaną minkę.

- Dlaczego nie chcesz zostać? Martwisz się o moją reputację?

- Margaret będzie się niepokoić.

Sara wyciągnęła rękę w stronę saloniku.

- Zadzwoń do niej. Powiedz, żeby się nie martwiła.

- Nie. Lepiej już pójdę. Dopóki jestem mile widzianym gościem.

Bardzo oficjalnie.

Jeszcze jeden pocałunek. I jeszcze jeden. Jej nagie ramię na jego szyi.

I już go nie było. Usłyszała cichy trzask zamykających się za nim drzwi.

Leżała na wilgotnej poduszce, nie mogąc opanować mrowienia nóg.

Co ja robię?

Co ja zrobiłam?

I dlaczego doszło do tego tak szybko?

Wcale nie tak szybko, Saro. Masz dwadzieścia cztery lata. Znalazienie odpowiedniego mężczyzny zajęło ci bardzo dużo czasu.

Odpowiedni mężczyzna.

Liam.

Przesunęła językiem po wargach, zlizując smak Liama. Powiodła ręką po nagim brzuchu, pamiętając jeszcze dotyk Liama.

Mniej więcej kwadrans później obudził ją dzwonek telefonu. Aż podskoczyła. Nie zdawała sobie sprawy, że przysnęła.

Drugi dzwonek.

Niezdarnie wstała z łóżka. Lekko oszołomiona. Z drżącymi nogami. Jeszcze jej nie przeszło?

To Liam?

Na pewno. Jak to miło z jego strony.

Weszła do mrocznego saloniku. Przez nagie okno sączyła się szaroniebieska poświata.

Podniosła słuchawkę, nim przebrzmiał trzeci dzwonek, i przytknęła ją do ucha, chcąc jak najszybciej usłyszeć jego głos.

- Halo?

- Trzymaj się od niego z daleka!

Nie tego głosu się spodziewała. Był to ten sam chrapliwy szept, który usłyszała w słuchawce w zeszłym tygodniu.

- Chcesz zginąć? To nie żarty. Trzymaj się od niego z daleka!

- Kto... kto mówi?! - wyjąkała ze złością. - Kto mówi? Kto...?

## 21.

Ilekróć wspominał dom rodzinny, zawsze czuł zapach bekonu. Bekonu, krojonej rzepy i cebuli smażącej się na płycie w wielkiej kuchni - w największym pomieszczeniu małej chałupy, którą dziadek Liama zbudował własnymi rękami.

W roku 1970 Liam miał dziesięć lat, Margaret dziewięć, a nagie, brązowe pola farmy były smutne jak posępne oczy jego ojca.

- Szczęście nas opuściło - powiedział Rory.

To było całe wytłumaczenie. W przeciwieństwie do bohaterów irlandzkich legend i podań ludowych, które tak chętnie czytał i opowiadał synowi, Rory O'Connor był człowiekiem bardzo małomównym.

- Szczęście nas opuściło.

Inni farmerzy wyjeżdżali jeden po drugim do miasta, do pracy i sprzedawali swoje poletka wielkim spółkom rolniczym, które miały środki do ich uprawy.

Lecz uparty ojciec Liama nie chciał wyjechać, tak więc nadal mieszkali w zabitym deskami zakątku świata, gdzie kończyły się bite drogi, gdzie ciągnęły się kamieniste, nieogrodzone pola. Rory O'Connor zmuszał rodzinę do życia, którym już nikt w Irlandii od dawna nie żył.

Jakby chciał się ukryć, myślał Liam, uciec od wszystkiego, co nowoczesne.

- Ojczy, dlaczego nie posadzisz kartofli? - spytał szarpiąc paskami obszernego, używanego kombinezonu.

Był blady jak kreda i tak chudy - w przeciwieństwie do krągłej i krzepkiej Margaret - że nie pasowało na niego żadne ubranie. Twarz miał poważną, chmurną, tak jak i oczy, które były oczami prawie dorosłego mężczyzny.

Rory O'Connor wbił wzrok w ścianę.

- Szczęście. Szczęście się od nas odwróciło.

Szczęście odwróciło się od nich nie tylko na polu, alei w domu. Liam widział to w jego błyszczących od łez oczach, słyszał w jego pełnych udręki westchnieniach. W domu panował chłód, chociaż w kamiennym kominku płonął ogień.

Śmierć matki wciąż nie wydawała się Liamowi realna. Mama umarła prawie pół roku temu. Odczuwał ciągle otepiałający smutek. Pustkę. I tępy ból w dołku.

Dom był bez niej ciemniejszy. Bez jej jasnych, kręconych włosów, jej bladej, piegowatej twarzy, błękitnych jak niebo oczu.

Rory'emu łzy przychodziły bez trudu, lecz Liam płakać nie umiał. Owszem, próbował. Po czuwaniu przy zwłokach, po pogrzebie, kiedy ubrani na czarno mężczyźni ze swymiponurolicymi żonami najedli się do syta, wypili za duszę zmarłej, zmówili za nią modlitwę, złożyli ojcu kondolencje i ciężko dudniąc butami po drewnianej podłodze (Liam wiedział, że zapamięta ten odgłos do końca życia), zniknęli w ponurym mroku burzliwej nocy, zamknął się w swoim pokoju i padł na łóżko.

Zacisnął zęby. Napiął mięśnie.

Próbował wycisnąć z oczu choć jedną łzę.

Było mu smutno. Miał świadomość, że już nigdy matki nie zobaczy, nie usłyszy jej pięknego, melodyjnego głosu, nie poczuje dotyku ręki głaszczącej go po ciemnych włosach.

Więc dlaczego nie mógł płakać?

Uszczypnął się w policzek, ugryzł w język.

Nic z tego.

Zza drzwi dobiegło go głośne jękliwe zawodzenie. To ojciec.

Liam otworzył usta, próbował go naśladować.

Leżał na plecach, gapiąc się w niski sufit pokryty pajęczyną spękanej farby. Matka. Usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądała, jaką miała twarz.

Chciał w nią spojrzeć, chciał na nią patrzeć. Pragnął, by na zawsze wryła mu się w pamięć.

Zapomnę cię? Zapomnę, jak wyglądałaś, mamó? Zapomnę twój głos?

Nawet ta przerażająca myśl nie wycisnęła mu łez z oczu.

Usiadł na łóżku, czując w głowie dojmującą pustkę. Zastanawiał się, czy matka obserwuje go z nieba, czy widzi, że jej syn nie potrafi płakać.

Pół roku później ból złagodniał. Liam wiedział, że lzy muszą kiedyś popłynąć. Tylko kiedy?

Matka umarła i na pola spadło nieszczęście. Zwiędły i zbrązowiały wszystkie krzaczki ziemniaków, chociaż Rory tak starannie je pielęgnował.

- Na tej starej ziemi nie ma już ani odrobiny szczęścia - wyjaśnił blademu, zmartwionemu synowi.

Na kominku, przed oprawionym w ramki zdjęciem żony - było to jedyne zdjęcie matki Liama zrobione przed laty przez jakiegoś przypadkowego fotografa - palił dwie świece. Na ramce powiesił srebrny krzyżyk na delikatnym łańcuszku, który nosiła za życia. Obok zdjęcia postawił rzeźbę czterolistnej koniczyny, pomalowaną zieloną farbą, która oblażyła ze starości.

Ojciec spędzał przed kominkiem coraz więcej czasu. Milcząc, z wilgotnymi od łez oczyma wpatrywał się w portret młodej, uśmiechniętej kobiety, tak jasnej i pełnej życia.

Liam wiedział, że gdyby nie Margaret, on też popadłby w głęboką rozpacz, że jego życie stałoby się bardziej puste niż kartoflane pole za oknem.

Jej śmiech, jej błyszczące, zielone oczy i słoneczno-złote włosy rozjaśniały najmroczniejsze, najzimniejsze dni w życiu Liama.

Spędzali razem każdy dzień, goniąc się po skalistych łąkach. Szukali skarbów zakopanych pod drzewami przez



skrzaty. Nocami zbierali całe słoje świetlików, które Margaret nazywała „roziskrzonymi brylantami”.

Już wtedy przyrzekł jej, że nigdy się nie rozstaną.

I wtedy też Rory O'Connor zaczął snuć plany porzucenia farmy, starego życia i ucieczki od nieszczęścia.

- Ojczy, naprawdę przeprowadzamy się do Ameryki? - spytał go Liam miotany sprzecznymi uczuciami; akurat przechodził mutację i głos mu się łamał.

Ojciec spojrzął na niego zza półcia bekonu wiszącego pod powałą. Na patelni brązowała cebula, dymiąc w szarym, wpadającym przez okno świetle.

- Czekam na list od twego kuzyna z Illinois.

Illinois. Wymawiał to tak śmiesznie. Cóż to za dziwne słowo, dumiał Liam. Jakim językiem tam mówią?

- Co będziemy tam robić? Kupimy farmę?

Ojciec wzruszył ramionami. Położył bekon na krajalnicy i powoli, z wprawą zaczął go kroić. Liam obserwował jego żyłaste, zrogowaciałe dłonie. Dłonie rolnika.

- Nie moglibyśmy przeprowadzić się do Dublina? Ojciec znieruchomiał i spojrzął przez kuchnię na syna.

- Co byśmy tam robili? Siedzieli na ulicy i żebrali?

- Sheasowie się przeprowadzili, Reillysowie też wyjechali do miasta.

- To nie dla nas, Liam.

Rory miał mgliste pojęcie o życiu w mieście. Urodzony na Galway Bay, małej zielonej wysepce, widział miasto tylko raz w życiu i bardzo go ono przeraziło.

Pewnego razu oświadczył:

- Na tych betonowych ulicach nie ma miejsca dla czarodziejców.

Naprawdę wierzył w czarodziejców?

Liamowi wydawało się czasami, że tak, że ojciec w nich wierzy. Wieczorami ożywali w jego baśniach, opowieściach o elfach mieszkających tuż za farmą, o gnomach, strzygach, o zawodzącej kobiecie przepowiadającej śmierć, o duchu galopującego wierzchowca, o morskiej syrenie, o dullahanie wędrującym ze swą głową pod pachą. (Ileż z tych stworów nawiedzało biednego Liama we snach!)

Tak, Rory umiał te dziwadła ożywić.

Wieczorami czytali przy kominku stare irlandzkie legendy. Siadali blisko siebie - Margaret sadowiła się na taborecie przed sofą - kładli książkę na kolanach i skąpani w pomarańczowym blasku ognia przewracali kartkę za kartką. Bywało, że Liam nic z tych opowieści nie rozumiał, lecz podobał mu się ich język, ich czarny humor. No i uwielbiał słuchać, jak ojciec czyta, jak wypowiada pełne zdania, jak recytuje całe akapity! Robił to z takim entuzjazmem. Czytając ożywał, ożywał tylko wtedy.

Ale teraz mieli wyjechać, mieli porzucić nie tylko farmę, ale i ojczyznę.

- Nie można zostać w miejscu, o którym zapomniało szczęście - wyjaśnił poważnie synowi.

Czy pójdą za nimi czarodzieje?

- Co będziemy robić w tym... Illinois? - spytał Liam wymawiając starannie obce słowo.

- Pójdziesz do szkoły i zdobędziesz wykształcenie. - Ojciec skończył krojenie bekonu, rzucił go na zbrązowiałą cebulę i zamieszał w patelni drewnianą łyżką.

- Amerykańscy chłopcy są bogaci, nigdy mnie nie polubią. A ludzie jeżdżą tam wielkimi samochodami i ciągle do siebie strzelają.

- Oglądasz za dużo telewizji - prychnął ojciec. Zaskwierczała smażona rzepa. - Liam, co byś dzisiaj chciał na lunch?

Liam udał, że się namyśla.

- Może bekon?

- Świetny pomysł.

To był jeden z ich ulubionych żartów.

Kilka tygodni przed dwunastymi urodzinami Liam przestał być dzieckiem.

Był ciepły wiosenny wieczór. Przez otwarte okno wpadał do sypialni aromatyczny zapach koniczyny. Liam leżał na brzuchu na przetartym wełnianym dywanie i w gasnącym blasku dnia czytał książkę o podróżach kosmicznych (może przygotowywał się do wyprawy za ocean?).

Na książkę padł cień. Liam podniósł głowę, myśląc, że to

Margaret. Tymczasem ujrzał przed sobą ojca, jego surowe czoło porane świeżymi zmarszczkami, jego zmęczone oczy. Rory patrzył na niego w głębokim zamyśleniu.

- Chodź ze mną, Liam.

- Tylko dokończę rozdział. - Ile razy wypowiadał te słowa? Ojciec promieniał dumą, ilekroć zastał syna nad książką.

Lecz tym razem jego oblicze pozostało chłodne i niewzruszone.

- Nie, teraz.

Czyżby zrobił coś złego? Liam próbował zrozumieć, skąd ta surowa mina, skąd ten ostry ton głosu.

Zamknął książkę, wstał, poprawił wypłowiały, niebieski sweter, podciągnął dzinsy i kuchennymi drzwiami wyszedł za ojcem na podwórze.

Za koronami zieleniejących drzew świeciło czerwone słońce. Nieobsiane pole za domem miało różowawy kolor. Jak naga skóra.

- Dokąd idziemy, ojcze?

Rory nie odpowiedział.

Szedł szybko, wyciągał nogi. Liam z trudem za nim nadążał.

- Idziemy do miasta?

To ci dopiero miasto. Sklep z mydłem i powidłem, poczta, stacja benzynowa i dwa rozsypujące się magazyny przy torach kolejowych.

Zazwyczaj wychodzili frontowymi drzwiami i kierowali się w stronę asfaltówki. Przejeżdżający tamtędy sąsiedzi chętnie ich podrzucali. Ale tego wieczoru ojciec poprowadził go starą wiejską drogą wijącą się między polami. Poprzedniej nocy padało, wiosenna burza strąciła z drzew wiele świeżych pączków i zagnała kozy do zagrody. Rozmiękła droga nie zdążyła jeszcze wyschnąć i była upstrzona kałużami.

- Zaczekaj, ojcze, nie tak szybko. Idziemy do miasta? Co się stało?

Ojciec nie zwolnił kroku. Wysoki, pochylony, z rozwianymi włosami, parł naprzód, pomagając sobie szerokimi wymachami sękatych rąk.

Liam przeczuwał, że stało się coś złego.

Dogoniły ich dwa rude setery. Zdyszane, podeksycytowane,

z mokrą, skłębioną sierścią, zygzakowały zabiegając sobie drogę. Rozsierdzony ojciec gwałtownie się odwrócił.

- Marsz do domu! Do domu!

Zazwyczaj go nie słuchały, lecz ton jego głosu zmusił je do posłuchu. Przystanęły z oklapłymi ogonami, przepraszająco spuściły łby i patrzyły na niego, ciężko dysząc. Czekają.

- Do domu!

Ku zdziwieniu Liama psy posłusznie zawróciły i pobiegły w kierunku farmy. Gdzieś w pobliżu zakrakęła wrona. Dołączyły do niej inne i wkrótce zabrzmiała cała symfonia. Ojciec boleśnie wykrzywił twarz. Wrony to zły znak, Liam wiedział o tym. Wrony to czarne ptaki śmierci.

W milczeniu kroczyli przez nagie pola. Wieczorne niebo poczerwieniało, potem wyblakło, by przybrać kolor ciemnego szkarłatu.

W pobliżu sklepu, drewnianego, parterowego budynku na jedynym skrzyżowaniu w mieście, Liam usłyszał podniesione ludzkie głosy. I krzyki. Zobaczył dwóch ubranych na czarno mężczyzn biegnących za sklepem.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Ojciec zwolnił, położył ciężką rękę na chudym ramieniu syna. Nie dochodząc do sklepu, ruszyli chodnikiem w stronę magazynów.

Przed sklepem parkowały dwa małe samochody. Pośrodku jezdni zatrzymała się półciężarówka z zapalonymi reflektorami.

Przed pierwszym magazynem, drewnianym barakiem wielkości stodoły, na skos przed wejściem, Liam dostrzegł dwa radiowozy. Po ich prawej stronie stała biało-czerwona karetka pogotowia z czerwonym „kogutem” migającym na dachu.

Potem usłyszał krzyki. Wściekle nawoływania. I gwar pod-ekscytowanych głosów.

Ojciec zacisnął rękę na ramieniu syna i poprowadził go na zaplecze magazynu.

W szarawym świetle dnia roilo się tu od ludzi. Jak na przedstawieniu, pomyślał Liam, bo właśnie tak wyobrażał sobie teatr, gdy czytali z ojcem jakąś sztukę. Wszyscy odgrywali konkretne role: policjanci w ciemnych mundurach, sanitariusze w białych kitlach, kobieta płacząca z prawej strony

sceny, pocieszający ją mężczyźni, których chyba znał, gapie z miasteczka - z lewej strony.

Co oni tu robią?

I dlaczego ojciec przywiódł mnie na to dziwaczne przedstawienie?

Przy ścianie magazynu stał zwarty krąg policjantów. Rory podprowadził go bliżej. Buty grzęzły w błotnistej mazi.

Krąg policjantów pękł i Liam zobaczył mężczyznę leżącego na ziemi.

Gwałtownie nabrał powietrza.

Czy ten człowiek jest ranny?

Ojciec ścisnął ramię syna jeszcze mocniej, tak mocno, jakby się bał, że Liam może uciec.

Podeszli bliżej. Wystarczająco blisko, żeby zobaczyć pierwszego w życiu trupa.

Mężczyzna leżał na boku z mocno odgiętą głową, z wytrzeszczonymi oczami. Nie, nie tak. Z wytrzeszczonym okiem. Miał tylko jedno oko, bo w miejscu drugiego ział pusty oczodół, czarna dziura prowadząca w głąb czaszki.

I jedno ramię. Drugie, omotane rękawem koszuli, leżało niczym paczka metr dalej.

Liam chwycił ojca za rękę.

- Nie, nie...

Ale ojciec pchnął go jeszcze bliżej. Tak blisko, że Liam zobaczył wielką kałużę krwi wokół skręconego ciała. I muchy - widoczne nawet w wieczornej szarówce - muchy łączące po twarzy trupa, wchodzące do jego rozwartych ust, do czarnej, okrągłej dziury, w której kiedyś znajdowało się oko, zagłuszające brzęczeniem szepty gapiów i stłumiony szloch kobiety, pokrywające zwłoki niczym gruby koc - zwłoki i oderwane ramię przypominające paczkę z mięsem - krzątające się z ożywieniem przy kolacji.

Liam wtulił twarz w pierś ojca.

- Ojciec, dlaczego mi to pokazujesz? - spytał drżącym głosem, stłumionym flanelową koszulą Rory'ego.

Czuł, jak brzuch ojca tężeje, jak sztywnieje mu całe ciało. Rory odpowiedział głosem zimnym i twardym:

- Bo to przez ciebie, Liam.

# CZEŚĆ CZWARTA

## 22.

- Wierzysz w dobre wróżki? - spytał.

Zachichotała i wtuliła twarz w jego ramię. Przed chwilą przestali się kochać. Teraz przywarła do niego, do jego ciepłej skóry, pragnąc być jak najbliżej, chcąc być jego częścią, ciałem z jego ciała.

- Wierzysz? - tchnął jej w ucho ciepłym oddechem.

Zadrzała, podciągnęła prześcieradło pod brodę i przylgnęła do niego jeszcze mocniej, tak że ich rozgrzane, wilgotne ciała stopiły się w jedno.

- Wierzę w to. - Cmoknęła go w policzek miękkimi od pocałunków wargami.

Odgarnął włosy z jej czoła.

- Opowiem ci legendę o żonie z bajki. - Liam usiadł w łóżku, sięgnął po kieliszek z winem na nocnym stoliku i upił łyk chardonnaya.

Na komodzie po drugiej stronie sypialni płonęły dwie cienkie świece, których płomień odbijał się migotliwie w owalnym lustrze. Ilekroć mieli zamiar się kochać, Liam nalegał, żeby je zapalać. Wiedziała, że to jeden z jego przesądów - ale jakże romantyczny to przesąd!

Stwierdziła, że inne są równie romantyczne. Bycie przesądnym w tych czasach, w tej epoce, wydawało się jej tak niewinne, tak urocze.

Usiadła wygodniej, oparła się czołem o jego ramię i zaczęła gładzić ręką jego pierś, pieszcząc go delikatnie, czule i... zaborczo. Liam tymczasem snuł swoją opowieść:

Dawno, dawno temu żył sobie młody Irlandczyk imieniem Lonnie. Mieszkał samotnie na farmie ziemniaczanej. Pewnego wieczoru, kiedy stał w progu chaty spoglądając w gwiazdy, które na irlandzkim niebie są o wiele jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej (tak, tak, Saro, to fakt stwierdzony naukowo), jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazała mu się piękna

kobieta. Podekscytowany Lonnie wytrzeszczył oczy, a serce zaczęło walić mu jak młotem.

- Wejdz do środka - zapraszał.

- Dzisiaj wejść nie mogę - odrzekła nieznajoma z nieśmiałym uśmiechem.

Następnego wieczoru ukazała mu się znowu.

- Wejdz - zachęcał Lonnie.

- Dzisiaj wejść nie mogę - odparła kobieta z tym samym nieśmiałym uśmiechem.

Trzeciego wieczoru piękna nieznajoma pojawiła się raz jeszcze, a jej oczy lśniły jaśniej niż gwiazdy.

- Wejdz - ponowił zaproszenie Lonnie.

- Dobrze - odrzekła kobieta wpływając do chatki.

Od tamtej nocy żyli z sobą jak mąż z żoną, a w niecały rok później urodziła mu syna. Byli szczęśliwą rodziną, a ich farma kwitła, jak wszystkie farmy w Irlandii w czasach, gdy ziemia była żyzna i gdy na polach mieszkali czarodziejcy.

Jakiś czas potem, po żniwach, we wsi Glenties odbywał się jarmark.

- Chyba wybiorę się na jarmark - oznajmił Lonnie. - W Glenties mieszkają moi wujowie, których nie widziałem od lat. - I wyruszył przez zielone pola.

Spotkał wujów, a jakże, lecz oni, miast ciepło go przywitać, co i raz ucierali mu nosa i robili afronty. Ich złośliwość uraziła Lonniego i postanowił stawić im czoło.

- Jakąż to zbrodnię popełniłem? - wykrzyknął. - Dlaczego nie chcecie się ze mną przywitać?

Na co jeden z wujów odpowiedział:

- Nie możemy powitać cię z radością, chłopcze. Dotarły do nas słuchy, że poślubiłeś kobietę czarodziejców.

- Dlaczego nie zwróciłeś się do nas? - spytał drugi. - Znaleźlibyśmy ci odpowiednią żonę.

- Masz tu nóż - dodał trzeci. - Idź do domu i zabij ją.

Lonnie wziął nóż. Wiedział, że wujowie mają rację. Wiedział, że postąpił źle. Ale wiedział też, że swojej żony nie zabije. Cisnął nóż w kukurydzę i wrócił do domu.

- Jak było na jarmarku? - zapytała żona.

- Bardzo miło - odrzekł Lonnie.



- Jak cię przyjęli twoi wujowie?  
- Dobrze - skłamał Lonnie.  
Spojrzała na niego surowo.  
- Mów prawdę. Czy nie dali ci noża, żebyś mnie zamordował?  
- Tak, tak było - wyznał Lonnie.  
- Czy nie cisnąłeś noża w kukurydzę?  
- Cisnąłem.  
- To dobrze - powiedziała - bo kocham cię jak prawdziwa żona. Ale teraz cię opuszczę. Możesz wrócić do swoich wujów, niech ci znajdą inną niewiastę.

I odeszła, zabierając z sobą syna.

Lonnie zrobił, jak mu kazała, i wkrótce potem wrócił na farmę z nową żoną.

Był dobrym i wiernym mężem.

Lecz każdego wieczoru, nim poszedł spać, przekradał się do kuchni, zostawiał na stole zapaloną lampę i dwa talerze ze strawą. Co rano stwierdzał, że lampa jest zgaszona, a talerze puste. Trwało tak do dnia, kiedy poszedł do nieba.

Sara wsparła się na łokciu i spojrzała na Liama.

- Jaka dziwna historia. I taka piękna.

Uśmiechnął się.

- Prawda?

W migotliwym blasku świec ujrzała swoją twarz w jego oczach.

- Tylko że... nie rozumiem jej, Liam. Czy jest w niej jakaś pointa?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Oczywiście. Myślisz, że któraś ze starych irlandzkich legend nie ma pointy?

Spuściła głowę, zasłaniając włosami jego pierś.

- Dalej, panie profesorze, proszę robić, co do pana należy. Studentka czeka na wyjaśnienie.

Podniósł jej głowę obiema rękami, delikatnie i ostrożnie.

- To opowieść o miłości i lojalności, Saro. - W sypialnianym półmroku jej twarz nagle spoważniała. - O niezrywalnych

więzach. O szczęściu i smutku. O tym, że miłość przynosi i jedno, i drugie.

Serce jej zakolało. Zamknęła oczy. Poczula miły dotyk jego rąk na twarzy...

- Dlaczego postanowiłeś opowiedzieć mi tę historię właśnie dzisiaj?

- Ponieważ chcę, żebyś została moją żoną, Saro.

Poderwała głowę. Usiadła wyprostowana, oparła się o wezglowie łóżka, podciągnęła prześcieradło i zasłoniła nim piersi.

- Słucham?

- Jesteś dla mnie niczym ta piękna, młoda wróżka, która ukazała się przed chatką Lonniego - odrzekł zmienionym ze wzruszenia głosem. Usiadł i położył jej ręce na ramionach. - Chcę, żebyś została moją żoną.

- Och! - Krótki okrzyk zdumienia wyrwał się z jej ust, nim zdążyła go powstrzymać.

Łzy przesłoniły jej oczy.

Cóż za cudowna propozycja. Cóż za cudowna opowieść. I jakże romantyczny i prosty sposób oświadczyć. Cały Liam. Taki... wspaniały. Tak, wspaniały.

- Co ty na to, Saro? - Patrzył jej w oczy swymi ciemnymi, gorejącymi oczami.

- Och! - Znowu to samo. Uświadomiła sobie, że nie odpowiedziała na pytanie. - Tak, Liam. Tak, oczywiście. Mam nadzieję, że... że nasze wspólne życie...

Przerwał jej pocałunkiem.

Objął ramieniem jej nagie plecy. I już był na niej, już był w niej. Znowu się zwarli, znowu się zespolili.

Kochali się, długo, do czasu, kiedy świece, dwie cienkie, bliźniaczo podobne świece prawie się wypaliły, powoli topniejąc, topniejąc...

## 23.

Potem nie mogli zasnąć, ani ona, ani on. Sara leżała w ramionach Liama z policzkiem przy jego policzku. Ich poślanie tonęło w księżycowej poświacie, miękkiej i cieplej. Czuli się tak bardzo szczęśliwi, że miała ochotę wyskoczyć z łóżka i zatańczyć, zawirować, dać susa na drugi koniec sypialni.

- Kiedy weźmiemy ślub? - spytał Liam przeczesując ręką jej włosy, prostując je, odgarniając grzywkę. - Chciałbym jak najszybciej. Choćby jutro. Dzisiaj!

Sara wybuchnęła śmiechem.

- Chyba nie jesteśmy odpowiednio ubrani.

- Hmm, tak uważasz?

- Może wiosną? W czerwcu. Przyjechałaby moja mama. I bracia...

- Nie, to za długo.

- No to może... w maju?

Ręka pieszcząca jej włosy znieruchomiała. Liam zeszywniał.

- To wykluczone, kochanie. Maj przynosi pecha. W maju Rzymianie czcili swoich zmarłych.

Sara cicho zachichotała.

- Przecież nie musimy zapraszać na ślub Rzymian, prawda?

Cisza. Myślała, że Liam jej zawtóruje, ale się nie roześmiał.

- W ostatnich dniach stycznia kończy się semestr - powiedział. - Pobierzmy się wtedy.

- Liam, przecież już prawie listopad. Nie wiem, czy moi bracia zdążą załatwić sobie urlop. W tak krótkim czasie?

Objął ją. Westchnął.

- Zmieniłem zdanie. Nie mogę czekać do stycznia. Co powiesz na Święto Dziękczynienia, Saro? Proszę, nie odmawiaj. Pobierzmy się w Święto Dziękczynienia. - Odchylił jej głowę do tyłu, żeby na niego spojrzeć. - Jestem od ciebie o dziesięć lat starszy. Nie stać mnie na cierpliwość młodości. nPragnę cieszyć się każdą spędzoną z tobą chwilą.

Pocałowali się.

Jest naprawdę uroczy, pomyślała. Czy kiedykolwiek byłam tak szczęśliwa jak teraz? Byłam?

Następnego dnia po południu siedziała na sofie, z nogami przykrytymi białym, wełnistym pledem, na którym spoczywał otwarty podręcznik. Myślała o Liamie i od kilkunastu minut nie przewróciła kartki, nie przeczytała ani jednego akapitu.

Z marzeń wyrwał ją dzwonek u drzwi.

Zamknęła książkę, położyła ją na podłodze, zeskoczyła z posłania i ruszyła spiesznie do drzwi. Po drodze potknęła się o pled i kopnęła go, by oswobodzić nogi.

Liam?

Nie. Zdumiona ujrzała przed sobą Margaret, która stała na wycieracze z bukietem żółtych i różowych róż w stożku z białego papieru.

- Cześć, Saro. Jesteś zajęta?

- Nie, ja... Jak się masz, Margaret?

Margaret przemknęła leciutko koło niej, weszła do salonu i obrzuciła spojrzeniem skąpo umeblowane wnętrze.

- To dla ciebie. Przechodziłam koło straganu z kwiatami na Tremont i nie mogłam się oprzeć. Te kolory. Czyż nie są cudowne?

Jest taka rozgadana, taka ożywiona, pomyślała Sara z uśmiechem, przyjmując róże,

- Dziękuję, Margaret. Są piękne. - Podniosła kwiaty do twarzy i powąchała. - Mmmm... Jak słodko pachną.

Siostra Liama zmieniła się. Jakby odmłodziła. Sara widziała ją kilka razy i Margaret zawsze sprawiała wrażenie kobiety bezbarwnej, jakby wyplutej, nieśmiałej.

Teraz miała nową fryzurę - włosy krótkie po bokach i opadające na jedno oko - ufarbowała się na blond o wiele jaśniejszy niż przedtem i zrezygnowała z pasemek. Zdjęła kasztanowaty płaszcz, demonstrując moherowy sweter spadający na czarne leginsy.

Ma całkiem niezłą figurę, skonstatowała Sara. Zastanawiała

się, dlaczego nie zauważyła tego wcześniej. Może dlatego, że patrzyła tylko na Liama?

Zmieniła makijaż? Dlaczego wygląda po stokroć ładniej niż dotąd?

- Przywiozłam tylko jeden wazon - powiedziała przechodząc przez salonik do maleńkiej kuchni. - Mam nadzieję, że będzie wystarczająco wysoki. Jak to miło z twojej strony. Są cudowne!

Margaret rzuciła płaszcz na sofę i podażyła za Sarą.

- Jeśli lodygi będą za długie, można je przyciąć. Ja tylko na chwilę. Szłam do sklepu i postanowiłam wpaść. Czeka mnie dzisiaj pracowity dzień. Liam zaprosił mnie na wydziałową herbatkę. - Westchnęła. - Jego to chyba nigdy nie męczy.

Sara zachichotała.

- Jest bardzo towarzyski. - Wyjęła z szafki wazon i zaczęła rozwijać kwiaty.

- Ja też lubię rozmawiać z ludźmi - odrzekła Margaret bawiąc się rękawem swetra. - To jedna z przyjemności bycia właścicielką sklepu z antykami. Ale ilekroć jestem z Liamem na tych wydziałowych imprezach, wszyscy pytają mnie tylko o niego.

Ja też chciałabym cię o niego pytać, pomyślała Sara napełniając wazon wodą. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Absolutnie wszystko.

Czy ona wie, że Liam poprosił mnie wczoraj o rękę?

Naturalnie, że wie. Dlatego przyszła. Dlatego przyniosła różę: żeby okazać swoją akceptację i radość.

- Liam to fascynujący człowiek - mówiła dalej Margaret wyciągając z bukietu żółtą różę, żeby ją powąchać. - Ale czasami miałabym ochotę porozmawiać na jakiś inny temat. Na jakikolwiek inny temat. - Roześmiała się. - Przepraszam cię, Saro. Co cię obchodzi moje problemy towarzyskie. Jestem przekonana, że...

- Nie, nie - przerwała jej Sara i nagle poczuła się bardzo niezręcznie. Spojrzała na Margaret i dodała: - Bardzo chcę cię poznać. - Dlaczego zabrzmiało to tak sztywno, tak oficjalnie?! - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Margaret uśmiechnęła się i poklepała ją po dłoni.

- Liam przekazał mi przy śniadaniu dobre nowiny. Dlatego do ciebie wpadłam.

- Ach tak... - Nagle zabrakło jej słów. Dostała wypieków.

Margaret obracała w ręku żółtą różę, nie spuszczać oczu z Sary.

- Jestem taka szczęśliwa. Cieszę się, że Liam cię znalazł. Myślę, że jesteś tą, której potrzebuje.

- Dziękuję ci, Margaret. - Sara była wzruszona. - Tak pięknie to powiedziałaś. - Z trudem powstrzymywała łzy. Słowa siostry Liama bardzo ją rozczuliły. Odłożyła kwiaty, objęła ją i krótko uścisnęła.

Teraz z kolei Margaret była zażenowana. Podniosła żółtą różę i tsysnęła - podczas spontanicznego uścisku złamała się lodyga.

- Ups! - Sara wzięła od niej kwiat i próbowała ustawić go w wazonie na sztorc.

Margaret poprawiła krótkie włosy, zasłaniając grzywką oko.

- Chciałam ci to powiedzieć, tylko po to przyszłam. Powinniśmy pójść razem na lunch. I na długą, spokojną pogawędkę.

- Byłoby wspaniale - odrzekła z entuzjazmem Sara. - Bardzo chętnie.

- Jestem przekonana, że go uszczęśliwisz. - Wyraz twarzy Margaret uległ zmianie. Przestała się uśmiechać. - Zrobię wszystko, żeby nie stanąć wam na drodze.

- Na drodze? Jak to?

- Zwłaszcza kiedy przyjdzie na świat dziecko.

Sara roześmiała się krótko. I trochę za głośno.

- Dziecko? Jakie dziecko?

Margaret zerknęła na zegarek, podeszła do sofy i podniosła płaszcz.

- Już późno. Muszę iść do sklepu. - Nałożyła płaszcz, z trudem naciągając rękawy na gruby moherowy sweter. - Jestem przekonana, że Liam powiedział ci, jak bardzo chce mieć dziecko.

Nie czekając na odpowiedź, uścisnęła Sarę, obejmując ją

za szyję i delikatnie przytulając policzek do jej policzka. Sara poczuła kwiatowy zapach jej pudru.

- Jestem taka podekscytowana, Saro. Witaj w naszej rodzinie. To wspaniała nowina! Umówimy się, dobrze? Tylko we dwie. Na razie.

- Jeszcze raz dziękuję za róże.

Sara otworzyła drzwi i Margaret przemknęła obok niej leciutko jak morska bryza.

Szła spiesznie długim korytarzem. Sara patrzyła za nią, dopóki Margaret nie zniknęła za rogiem. Wówczas zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i głęboko odetchnęła.

Dziwne. Niesamowite.

Siostra Liama sprawiała wrażenie całkowicie odmienionej. Była taka serdeczna, taka ożywiona, taka szczęśliwa.

Sara zamrugła gwałtownie, próbując odtworzyć w myśli wszystkie szczegóły jej krótkich odwiedzin.

Dziecko? O co jej chodziło?

Czyżby Liam naprawdę tak bardzo chciał zostać ojcem?

Jeśli tak, dlaczego jej o tym nie powiedział?

## 24.

Zimny kapuśniaczek przeszedł w gęsty deszcz. Sara naciągnęła kaptur i pochyliła głowę. Silny podmuch wiatru rozchylił poły deszczowca. Walcząc z plastikowymi guzikami, przyspieszyła kroku. Podeszwy butów mlaskały na mokrym chodniku.

Zadrżała. Ciągle jeszcze czuła ciepło Liama, dotyk jego policzka na swoim policzku, ciężar jego ciała na swoim ciele.

W mglistej ciemności po prawej stronie majaczyła zielonkawa kopuła gmachu administracji. Drzewa na Kręgu, milczące, rozdygotane i drżące, tańczyły na wietrze pełne gracji tango.

Sara też miała ochotę zatańczyć. Pod kaptur przedostał się zimny deszcz i zmoczył jej policzki, ale nie zwracała na to uwagi. Chciała zrzucić ciężki płaszcz, przytrzymać się słupa pobliskiej latarni, zawirować wokół niego, zatańczyć, zastępować w deszczu jak Gene Kelly.

Doszła do wniosku, że prawdziwa miłość oszalałmia. Prawdziwa miłość - to dla niej nowe uczucie.

Liam. Liam. Liam. Bez końca powtarzała jego imię, zapisywała nim liniowane stronicze zeszytu z notatkami. Jak uczennica.

Pani Liam O'Connor.

Sara Morgan-O'Connor.

Przecież jestem uczennicą! Na tę myśl zachichotała jak podlotek.

Uczennicą, która wychodzi za męża za Wielkiego Profesora. Spędziła z Liamem wszystkie noce zeszłego tygodnia. Rozmawiała z nim, śmiała się z jego opowieści, z jego zabawnych przesądów, kochała się z nim - tak na poważnie - i snuła plany.

A Mary Beth ciągle ją przestrzegała:

- Zachowujesz się jak wariatka, za szybko wskakujesz na głęboką wodę. Dobrze wiesz, że takie rzeczy źle się dla ciebie kończą.

Takie rzeczy?

- To nie jest rzecz, Mary Beth. Ja wychodzę za męża! W Święto Dziękczynienia wychodzę za Liama!

Biedna Mary Beth! Ona nie wie, jakie to uczucie chcieć zrzucić z siebie płaszcz i zatańczyć w deszczu. Gdyby nie było mi jej żal, na pewno bym się na nią obraziła.

W tych dniach - w tym tygodniu, w tej chwili - było jej żal wszystkich, którzy nigdy w życiu nie zaznali tego uczucia, którzy nigdy w życiu nie mieli ochoty eksplodować, rozerwać się na miliony kawałków i wzlecieć w cudownie chłodne powietrze.

Mogłabym fruwać. Naprawdę mogłabym fruwać!

Do rzeczywistości przywrócił ją odgłos kroków.

Początkowo myślała, że to tylko deszcz siekający chodnik,



lecz równy rytm, stukot jednego buta, potem drugiego ostrzegł ją, że ktoś za nią idzie.

Przeszywający strach kazał jej odwrócić głowę i przyspieszyć kroku.

Kaptur ograniczał widoczność.

Zdawało się jej, że otaczająca ją ciemność osacza ją ze wszystkich stron. Czarne drzewa tańczyły na wietrze. Wdepnęła w kałużę, stopa pogrążyła się po kostkę w lodowatej wodzie.

Przytrzymując kaptur obiema rękami, zaczęła biec.

Odgłos kroków był coraz bliższy.

Kto to?

Jest tak ciemno, tak mglisto.

Zamazana sylwetka. Ktoś za nią biegł, ktoś ją gonił. Ciemna kurtka. Nisko opuszczona głowa.

Pędzi tak szybko, nie zdołam uciec...

Wbiegła w trójkąt bladego, migotliwego światła latarni, w którym skrzyły się krople deszczu. Jak perły. Perłowy deszcz. Tak nierzeczywisty, jak wszystko w tej chwili.

Wszystko oprócz ciemnej, zamazanej sylwetki kogoś, kto ją ścigał. Kto już do niej podbiegał. Kto dysząc ciężko i chrapliwie wyciągnął do niej rękę. Podniósł oczy, oczy złe, obłąkane, jarzące się w słabym świetle latarni.

- Chip! - wykrzyknęła czując, jak deszcz chłoszcze jej twarz i włosy. - Co ty tu robisz?!

Przeszywał Sarę oskarżycielskim spojrzeniem, ścisnął ją za ramiona, jakby się jej przytrzymał, czekając, aż wróci mu normalny oddech.

- Cześć, Saro - rzucił. Powiedziałyby, że nieśmiało.

Nie, pomyślała. Jest jak niemły zgrzyt. Jakby ciągle niczego nie rozumiał.

Mnie już dla ciebie nie ma, Chip. I to od dawna. Już nie możesz witać mnie tym swoim: „Cześć, Saro”.

W zbełtanym świetle latarni zalsniły jego jasne brwi. Spojrzenie straciło przenikliwość, niebieskie oczy zaszyły mgłą.

W jego oddechu poczuła zapach alkoholu. Piwo? Tylko piwo?

Znajoma twarz. Jeszcze kilka miesięcy temu znała ją na

pamięć. A teraz patrzyła na niego jak na przybysza z innej planety. Nos, blizna na policzku - szczegóły tak znajome w Nowym Jorku zdawały się tutaj obce, zupełnie obce. I ta nie-miała twarz, twarz niechciana.

- Co ty tu robisz, Chip? - powtórzyła.

- Musimy porozmawiać.

- Nie, nie musimy. - Próbował mnie utopić. Prawie mnie utopił. A teraz przyjechał za mną aż tutaj.

Po co?

- Schrońmy się przed deszczem, Saro. Pójdźmy gdzieś, usiądźmy i może...

- Nie. Proszę cię, Chip... - Strąciła z ramion jego ręce. Przypadkowo zerknęła na jego prawą dłoń. Aż ją zatchnęło. - Co to jest?!

Przesunęła palcem po tatuażu na wierzchu dłoni. Miał ledwie dwa, dwa i pół centymetra długości. Maleńki, czarny sztylet z kropelką niebieskiej krwi na czubku ostrza.

Spojrzał w dół, zażenowany przestąpił z nogi na nogę, jak-by widział tatuaż pierwszy raz w życiu.

- To?

- Nie wierzę. Dlaczego się wytatuowałeś?

Podniósł rękę do oczu, przyjrzał się czarnemu sztyletowi, zmarszczył czoło.

- To było wtedy, jak odeszłaś, Saro. Jak zniknęłaś, jak zniknęłaś bez słowa. Chyba się upiłem. Nie wiem. Z przyjaciółmi. Z kumplami. Odbiło mi. Nie wiedziałem, co robię.

A więc kazał się wytatuować przeze mnie. Przeszedł ją dreszcz, nie z powodu zimnego deszczu. Zaczęła zмагаć się z kapturem i zdołała narzucić go na głowę.

- Nie powinienes był tu przyjeżdżać, Chip. Jesteś...

- Musimy porozmawiać. Tak bardzo się za tobą stęskniłem, Saro. - Spojrzał na nią błagalnie, pragnąc ją przekonać, że mówi szczerze.

Ile razy widziała tę minę? Ile razy dała się na nią nabrać? Teraz doszła do wniosku, że to pospolita sztuczka, sztuczka wstrętna, wyreżyserowana.

- Dobrze wiesz, dlaczego odeszłam. Musiałam odejść. -

Zdumiał ją chłód bijący z jej głosu. Nigdy dotąd go nie słyszała.

Postawił kołnierz kurtki. Było mu zimno.

- Nie moglibyśmy dokądś pójść? Tu niedaleko jest kawiarnia... - Wyciągnął rękę w kierunku Dale Street.

Na jego brwiach lśniły krople deszczu. Jak brylanty.

Złocisty Chłopak, pomyślała zdziwiona, jak bardzo go nie cierpi, jak gorzkie i silne jest to uczucie.

Tak, jest Złocistym Chłopakiem. Ma wszystko. Wspaniały facet.

Tylko nie wolno mu się stawiać. „Nie” to słowo zakazane.

- Nie, Chip. Nie mogę. Nie chcę z tobą rozmawiać. - Czują, jak tężeją jej mięśnie szyi. Jak krew pulsuje jej w skroniach.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, powoli, długimi krokami. Dreptał obok niej. Wiedziała, że tak będzie. Chciał wziąć ją pod rękę, ale mu się wyrwała.

- Proszę cię, Saro...

- Wracaj do domu, Chip. Bądź mężczyzną. Wracaj do domu. - Ostre słowa. Naprawdę je wypowiedziała? Czy to naprawdę ona, Sara? Uciekła, by nie stawiać mu czoła, uciekła bez słowa, żeby uniknąć konfrontacji, żeby uniknąć jej za wszelką cenę.

A teraz proszę: wyzywała go na pojedynek!

Chwyił ją za rękę. Nie, tak szybko nie pozwoli jej odejść.

- Ten belfer jest dla ciebie za stary! - Prawie to wykrzyczał.

Spojrzała na Chipa. Dzikie, rozbiegane oczy. Czy to krople deszczu lśniły mu na czole, czy krople potu?

- Skąd wiesz o Liamie? - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Od jak dawna jesteś we Freewood, Chip? Szpiegowaleś mnie?

- Jest dla ciebie za stary. Należysz do mnie.

Wiatr zwał Sarze kaptur z głowy. Zaparło jej dech w piersiach, nie mogła złapać tchu. Deszcz siekł twarz i musiała zmrużyć oczy, by przyjrzeć się twarzy Chipa.

- Długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo. - Nagle spokorniał. Zły, jednocześnie śnie pokorny. - Rujnujesz sobie życie, Saro. Dobrze wiesz, że

twoje miejsce jest w Nowym Jorku. Przy mnie.

- Skąd wiesz o Liamie? - Postanowiła powtarzać pytanie, dopóki Chip nie odpowie. Lecz nagle przyszło jej do głowy pytanie inne, znacznie ważniejsze. - Dzwoniłeś do mnie?

Wygiął w łuk jasne brwi.

- Co?

- Czy to ty do mnie wydzwaniałeś? Późnym wieczorem? To ty mi groziłeś?

- Hej, wolnego, nikomu nie groziłem.

Łże, pomyślała. Jak zawsze.

Zakłamaniec. Zawsze był zakłamańcem. Taki przystojny, taki piękny, taki wspaniały. A jednocześnie taki ohydny. Kłamca. Wszystko było kłamstwem.

- To ty do mnie dzwoniłeś, prawda? - Drżały jej wargi, język nagle stracił giętkość.

- Nie, Saro. Nie dzwoniłem do ciebie.

Kłamca.

Trzymając ją za ramię, zbliżył twarz do jej twarzy. Znowu poczuła odór alkoholu zmieszany z intensywnym zapachem płynu po goleniu, którego nie знаła.

Ale smród, pomyślała.

Co on chce zrobić? Chce mnie pocałować?

Tak. Świdrował ją spojrzeniem wytrzeszczonych oczu. Mocniej ścisnął jej ramię. Jego jasne, mokre od deszczu włosy lśniły w świetle latarni. Ten charakterystyczny półśmiech. Te rozchylone usta. Bliżej, coraz bliżej...

- Nie! Puszczaj! - Krzyk go wystraszył. Szarpnął się do tyłu. Zamknął oczy.

Lecz uchwytu nie zwolnił.

- Wróć ze mną, Saro. Wróć do Nowego Jorku. Potrzebuję cię. Naprawdę jesteś mi potrzebna.

- Nie, Chip...

- Czy przyjeżdżałbym tu za tobą, gdybym cię nie potrzebował? Czybym się poniżał? Prosił cię? Błagał? Saro, przecież...

- Nie. Między nami wszystko skończone. - Syknęła: - Puść! Sprawiasz mi ból!

- Nieprawda. Posłuchaj. Będzie wspaniale, zobaczysz. Pamiętasz, mówiłem ci, że chcę założyć wytwórnię filmową. Ojciec obiecał, że mi pomoże, przynajmniej na początku. I przeprowadzam się do nowego mieszkania. Z precudownym widokiem na rzekę. Musisz je zobaczyć. Spodoba ci się, Saro. Moglibyśmy...

Próbowała się wyszarpnąć.

- Puść mnie, Chip. Będę krzyczała. Wezwę policję, ostrzegam cię.

- To nieprawda, że wszystko się między nami skończyło. Nieprawda. Zmieniłem się, Saro. Tak, sama się przekonasz. Jestem innym człowiekiem. Posłuchaj mnie! Nie mogę bez ciebie żyć! Nie mogę...

Podniósł zaciśniętą pięść. Zobaczyła maleńki czarny sztylet z kropelką niebieskiej krwi na czubku ostrza.

Czy bardzo jest niebezpieczny? - myślała. Czy bardzo jest... chory?

- Nic się między nami nie skończyło, Saro - powtórzył. - Nie masz racji. Nic a nic.

- Puść mnie! Chryste! Co ty robisz?! Puszczaj!

## 25.

Detektyw Garrett Montgomery rozmawiał z bratem przez telefon, gdy dotarła do niego wiadomość o trzecim morderstwie.

Stanowisko kierownika sklepu meblowego zostało już obsadzone - Duane Montgomery powiedział to głosem poważnym i posepnym, niemal grobowym.

Jakby była to ostatnia deska ratunku.

- Nie szkodzi - odrzekł Garrett. - Znajdę sobie inną robotę. Głowa do góry, Duane. Pomyśl tylko, co by to było, gdybym tę pracę dostał. Zwalilibyśmy się wam na kark, Angel, Martin i ja! Wyobrażasz to sobie?

Grunt to się nie przejmować. Przecież to jeszcze nie tragedia. Tyle że ta droga ucieczki została odcięta.

Ucieczki z tej zapadłej dziury. Ucieczki od widoku pączkożercy Waltera, od cukru pudru na jego tłustym brzuchu opiętym niebieską koszulą od munduru. Ucieczki od morderstw, od horroru prześladowającego to senne dotąd miasteczko zamieszkałe przez studentów i statecznych profesorów.

Od horroru, który nie pozwalał mu spać, który kazał mu obserwować migotliwe cienie na niskim suficie, wsłuchiwać się w spokojny oddech Ángel i wyobrażać sobie, że tam, tuż nad nim, leżą części ludzkiego ciała: oderwane ramiona, pogruchotane kręgosłupy, obnażone kości.

Od morderstw, których chyba nigdy nie rozwiąże, które sprawiały, że czuł się słaby i bezradny, które dopingowały go do ucieczki.

Oczywiście Angel nie chciała słyszeć o wyjeździe do Atlanty. A gdyby próbował namówić ją do przeprowadzki, pewnie zarzuciłaby mu, że usiłuje uciec od najtrudniejszego, od najcięższego zadania w życiu.

I miałyby rację.

Lecz śledztwo prowadziło donikąd. Strawił na nim tyle godzin pracy, zaangażował tylu ludzi. Tyle nad tym myślał. Przeprowadził mnóstwo przesłuchań, tak ciężko harował - wszystko na próżno.

Mijały dni, mijały tygodnie, a morderstwa wciąż go prześladowały. Dniami i nocami.

Nie, w akademii policyjnej nie przygotowali mnie na taki koszmar. Nie przygotowali do widoku szarawych kości sterzących z rozharatanego ciała. Do widoku krwi. Ciemnych kałuż krwi.

Jakim cudem mogli mnie do tego przygotować?

Jakim cudem mogli przygotować mnie, że zobaczę te rozrwane i pogruchotane ciała? Przecież to nieludzkie, nikt czegoś takiego nie robi, prawda?

A teraz Walter gapił się na niego zza biurka naprzeciwno. Słuchawka wbita w tłusty policzek, rozdziawione usta, trzęsąca się broda - rozpaczliwe znaki wolną ręką.

Garrett dobrze znał ten ogłupiały wyraz twarzy kolegi.

- Muszę kończyć, Duane. Ucałuj ode mnie Barbarę. -  
Trzasnęła słuchawką. Zerwał się z krzesła. - Co jest, Walter?

W świetle jarzeniówek twarz podwładnego była bledsza niż zwykle.

- Mamy... mamy kolejnego trupa.

Następnego ranka znalazł na biurku zdjęcia trzeciej ofiary. Chcesz się szybko obudzić? - pomyślał z goryczą. Nie ma sprawy. Wystarczy, jak na to zerkniesz.

Swoją drogą niezły fotograf z tego młodego Andersa, dumiał sącząc kawę z kartonowego kubeczka i wodząc wzrokiem po najświeższej porcji zdjęć. Pacan jeszcze się uczył w ogólniaku, a już był głównym fotografem miejscowej gazety i fotografem policyjnym, którego angażowali, gdy zaszła taka potrzeba.

Wczoraj wieczorem chudzielec obfotografowywał zwłoki, jakby pstrykał zdjęcia samej miss Ameryki. Garrett próbował skupić na nim wzrok, żeby tylko nie patrzeć na to, co chłopak fotografował.

Tak, niezła robota, skonstatował odstawiając kawę na brzeg biurka. Pochylił się, żeby dokładniej przestudiować zdjęcia i sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył. Fotografie czarno-białe, choć trochę zbyt ziarniste, eksponowały to, co trzeba. A kolorowe zdjęcia z polaroida? Te mogły spędzić człowiekowi sen z oczu do końca życia.

Trzecie morderstwo było równie ohydne jak dwa pierwsze, ale na Garretcie zrobiło największe, druzgocące wrażenie. Może dlatego, że dziewczyna była kiedyś tak urocza.

Miała białą-kremową skórę upstrzoną jasnymi piegami i rude, wijące się włosy, które spływały kaskadą prawie do pasa.

Kiedy przyjechali z Walterem na kampus - zbrodnię popełniono ledwie kilkanaście kroków od miejsca, gdzie znaleziono pierwszego trupa - leżała na plecach z twarzą zasłoniętą włosami przypominającymi miękki pled.

To właśnie Garrett przykucnął, żeby je odgarnąć. I to właśnie Garrett odkrył, że dziewczynie wylupiono gałki oczne, że wepchnięto je w usta ofiary.

Tak, spomiędzy rozchylonych warg spoglądało na niego dwoje zielonych oczu.

Szarpnął się do tyłu i, dysząc jak ryba wyrzucona na brzeg, grzmotnął w pień drzewa. Serce waliło mu jak oszalałe, piersi rozrywał ból.

Miał atak serca? Tak czuje się człowiek podczas ataku serca?

Teraz pochylał się nad metalowym biurkiem, patrzył na ziarniste, czarno-białe zdjęcia i myślał... Nie, nie myślał o niczym. Nie był w stanie myśleć o czymkolwiek.

O czymkolwiek prócz ucieczki?

Devra Brooks.

Dziewczyna nazywała się Devra Brooks. I tym razem ofiary ani nie obrabowano, ani nie zgwałcono. W torebce znalazł portfel, prawo jazdy i karty kredytowe.

Devra była asystentką w college'u, na wydziale językoznawstwa. Dziekan do spraw studenckich był wstrząśnięty, gdy Garrett zadzwonił do niego z kilkoma pytaniami. Nic dziwnego. Na kampusie i w jego okolicy popełniono trzy morderstwa.

Trzy odrażające, bestialskie morderstwa.

Devra Brooks pracowała w Moore State od niedawna, powiedział Garrettowi drżącym, chrapliwym głosem. W ubiegłym roku przeprowadziła się do Freewood z Chicago.

Błąd, pomyślał Garrett, spoglądając na czarno-białe zdjęcia na biurku. Potworny błąd.

Przez całą noc nie wypuszczał żony z objęć. Ścisnął ją, jak tonący ścisną koło ratunkowe. Nie powiedziała ani słowa. Nie musiała.

Ale tu, na posterunku, mógł przytrzymać się tylko biurka. Mógł ścisnąć tylko kubeczek z kawą, czarną jak jego myśli.

- Mamy coś, panie komendancie. - Głos Waltera. Za bardzo podniecony i za głośny jak na tak wczesną porę.

Garrett powoli podniósł głowę. Przejście od czerni i bieli do koloru dnia boleśnie uraziło jego oczy. Jasne włosy Waltera nie zdążyły jeszcze wyschnąć po prysznicu. Za uchem miał resztki kremu do golenia. Niebieska koszula od munduru też była poplamiona kremem.



- Ci z laboratorium w Somerville przysłali nam zdjęcia odcisków palców - oznajmił z wielką żółtą kopertą w ręku.

Garrett ciężko westchnął.

- Znaleźli choć kilka wyraźnych? - Nie spodziewał się żadnego cudu. Na dwóch pierwszych zwłokach nie znaleźli ani jednego śladu linii papilarnych, który mogliby wykorzystać.

Walter podał mu kopertę.

- Koszmarne pan wygląda, szefie. Siedział pan tu całą noc?

- Nie mów do mnie „szefie” - syknął Garrett przez zaciśnięte zęby. - Nie mogłem zasnąć. Cały czas widziałem te oczy. - Jęknął. - Już nigdy w życiu nie zjem jajka na twardo. - Zaczął otwierać kopertę. Dlaczego tak dokładnie je zaklejają? - No i? Znaleźli coś? Co ci powiedział O'Brian?

- Tym razem coś mamy. - Walter podrapał się w nos. - Jest kilka wyraźnych. Z jej twarzy i ubrania. - Wstał, z napięciem obserwując walczącego z kopertą Garretta. - Jeszcze ich nie widziałem, a O'Brian nic więcej nie chciał powiedzieć.

Garrett szarpnął mocniej i rozerwał kopertę.

- Dadzą się zidentyfikować?

Walter wzruszył ramionami.

- Nic nie mówił.

Garrett ujął ostrożnie czarną kliszę i powoli wyciągnął ją z koperty. Była to pojedyncza ramka z kilkunastoma różnymi odciskami palców.

Pierwszy ślad, pomyślał. Trzy morderstwa i wreszcie przełom.

Podniósł kliszę do światła. Zmrużył oczy.

Zmrużył je jeszcze bardziej.

- Walter, to jakiś żart? - warknął. - Dowcip? Co ten O'Brian wyczynia? Odbiło mu czy co?

Walter niezdarnie obszedł biurko.

- He? Coś nie tak, komendancie?

- Te odciski... To nie są ślady linii papilarnych człowieka.

## 26.

Liam przytknął palec do poduszczeni nasączonej czarnym tuszem. Sekretarka - żuła gumę szybkimi, miarowymi ruchami szczęk - ujęła jego rękę i delikatnie przycisnęła palec do odpowiedniego kwadracika na kartonie.

Liam spojrział z dezaprobatą na czarny ślad.

- Obie ręce? - spytał.

- Tylko prawa. - Oddech młodej kobiety pachniał gumą do żucia Juicy Fruit. Przytknęła do poduszczeni jego palec wskazujący. - Jest pan chyba ostatni.

Liam zmarszczył brwi.

- Załatwiliście już wszystkich?

Kiwnęła głową.

- Nigdy dotąd tego nie robiliśmy, ale teraz to chyba konieczność. - Przycisnęła palec do kwadracika obok odcisku kciuka.

Liam usłyszał stukot obcasów na twardej podłodze. Podniósł oczy. Do małego sekretariatu weszła Sara. Miała na sobie krótką niebieską tunikę z wełny, granatowe rajstopy i szary prochowiec.

Wygląda na osiemnaście lat, pomyślał. Zwłaszcza z tą grzywką i ściągniętymi do tyłu włosami.

Błysnęła wesoło orzechowymi oczyma.

- Co to? Aresztowali cię, Liam? - spytała ze śmiechem.

Podniósł rękę, demonstrując czarne opuszki palców, i błysnął zębami.

- Przypomnij mi, żeby przed dzisiejszym skokiem na bank nałożył rękawiczki.

Sekretarka się nie roześmiała. Spuściła głowę, koncentrując się na ostatnim odcisku palca.

- W niektórych społeczeństwach uznano by to za kradzież duszy - powiedział Liam. - Jeśli masz czyjeś odciski palców, masz jego duszę. - I dodał: - Na szczęście ja duszy nie mam, prawda?

Sara podeszła bliżej i poklepała go po ręku.

- Och, uważam, że jesteś człowiekiem bardzo uduchowionym.

Delikatnie ścisnął jej dłoń.

- Skończyliśmy, panie profesorze - oznajmiła sekretarka. - Proszę. - Wyjęła z szuflady rolkę papierowych ręczników, oderwała dwa kawałki i podała je Liamowi.

Podziękował jej i miętosząc papierowy ręcznik, wyprowadził Sarę na korytarz.

- Zbieranie odcisków palców. Osobliwy zwyczaj - wymamrotał. Tusz rozmazał się, ale nie chciał zejść. - Czułem się jak przestępca, naprawdę.

Sara tsyknęła.

- Czyżbyś miał coś na sumieniu, Liam?

- Zbieranie odcisków palców należy do przeszłości - zawyrokował, gdy szli długim, jasno oświetlonym korytarzem gmachu administracji. - To bardzo prymitywne. Już niedługo władze college'u będą wymagały od nas deponowania DNA. Na przykład włosa. Albo kawałka skóry. Albo próbówki z krwią, śliną czy moczem.

- Liam, proszę cię!

Roześmiał się.

- Dlaczego? Uważasz, że to bardziej obraźliwe i naruszające ludzką intymność niż kompletowanie odcisków palców do policyjnych kartotek?

Nie odpowiedziała. Była myślami daleko stąd.

- Jesteś spakowany?

Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej.

- Muszę załatwić jeszcze kilka spraw. Chcę kupić mamie bluzę z emblematem naszego college'u.

Zachichotał.

- Twoja mama nosi takie bluzy? Zawsze wyobrażałem ją sobie w pasiastej sukience i w białym koronkowym fartuszk.

Dała mu lekkiego kuksańca.

- Boże, Liam, w którym wieku ty żyjesz?

Zrobił urażoną minę.

Cmoknęła go w policzek.

- Biegnę do sklepu na kampusie. Potem skończę się pakować. Odlatujemy o piątej. Możesz zamówić taksówkę i podjechać do mnie o czwartej?

Kiwnął głową.

- Nie ma sprawy, jak powiadają moi studenci. - Wziął ją za rękę. - Myślisz, że się jej spodobam?

- Liam, mama już za tobą szaleje. Tyle jej o tobie naopowiadałam, że na lotnisku powita nas połowa mieszkańców Indiany, a mama...

Skręcili za róg, zmierzając w stronę wyjścia, i w progu gabinetu zobaczyli Milтона Cohna.

- Jak się macie. - Zatrzymał wzrok na Sarze, potem spojrział na Liama.

- Już wróciłeś? - wykrzyknęła zdumiona. - Myślałam, że jesteś jeszcze w Atlancie. Właśnie wyjeżdżamy, w sekretariacie wszystko...

- Nie byłem w Atlancie - przerwał jej Milton. - Z powodu tej dziewczyny. - Oczy miał zmęczone i podkrążone. Nad czerwonym czołem piętrzyła się strzecha zmierzwionych włosów. Westchnął ciężko, wzdrygnął się. - Przed chwilą rozmawiałem z jej rodzicami. To była... trudna rozmowa. - Spuścił oczy. - Jestem zdruzgotany. Rodzice nie powinni być narażani na takie... cierpienia.

Podniósł rękę, żeby podrapać się w głowę, i Liam zauważył świeży bandaż na jego nadgarstku.

- Znowu się zaciąłeś, Milton? - spytała Sara.

Spojrzał na opatrunek.

- Tak, jednym z moich noży. Chciałem go wyczyścić. Spadł ze ściany, wyśliznął mi się z rąk. Paskudnie się poharatałem. - Pokręcił głową.

Liam zerknął na zegarek i wziął Sarę za łokieć.

- Chodźmy już, nie mamy zbyt dużo czasu. - Spojrzął na Milтона. - Uważaj na siebie, dobrze? Te twoje noże... - Nie dokończył.

Cohn przełknął ślinę.

- Nie mogę przestać o niej myśleć. Devra Brooks. Taka cudowna dziewczyna...

Liam spuścił oczy.

- Tak, to prawdziwy szok.

- Była na moim przyjęciu, pamiętasz? Bardzo się zdziwiłeś na jej widok. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tak niedawno... A teraz...

- Widziałem ją jeszcze później - odrzekł cicho Liam i spojrział na Sarę. - Byliśmy na kolacji, Sara i ja. W „Teksasie”, w tej kowbojskiej restauracji. Devra podeszła do naszego stolika.

- Ta rudowłosa dziewczyna? - Sara gwałtownie zaczerpnęła powietrza. - O mój Boże! Nie wiedziałam, zapomniałam, że miała na imię...

Liam pogładził ją kojąco po ramieniu.

- Tak. To była Devra. Miła dziewczyna. Dobra studentka. Piękna i bardzo inteligentna.

- Nie wiedziałam - powtórzyła Sara, przyciskając dłonie do twarzy. - Jakie to straszne. - Popatrzyła na Milтона. - Od rana mówi o tym cały kampus, ale nie zdawałam sobie sprawy, że... Wszyscy są poruszeni, przerażeni.

- Studenci boją się wychodzić wieczorami z akademika - powiedział Milton, naciągając mankiet koszuli na obandażowany nadgarstek. - Wydzwaniamą do mnie rodzice, pytają, co w tej sprawie robimy. Nie mam pojęcia, co im mówić. No bo niby co? Jestem przekonany, że policja daje z siebie wszystko, ale nie przywykli do tego rodzaju przestępstw. To małe miasteczko. - Znowu pokręcił głową. - Co im mogę powiedzieć?

- Jesteśmy bezradni - wymamrotał Liam. Zerknął na czarne od tuszu palce i nachmurzył czoło.

- Na kampusie grasuje szaleniec - powiedziała cicho Sara. - W telewizji mówili, że wszystko wskazuje na całkowity brak związku między tymi morderstwami. On zabija na chybił trafił. To jakiś obłąkaniec.

- Dzisiaj mamy zebranie - rzekł Milton. - Musimy zdecydować, czy przenieść przyszłotygodniowy mecz z wieczora na popołudnie. - Głośno westchnął. - Czy to będzie bezpieczniejsze? Wątpię. Może powinniśmy odwołać całą imprezę? Sam nie wiem.

- Musimy iść. - Liam położył rękę na ramieniu Sary. - O piątej mamy samolot. Do zobaczenia w poniedziałek, Mil ton. Odpuść trochę. Jesteś wyczerpany.

- Bądźcie ostrożni, dobrze? Czekam na Ciebie jeszcze kilka telefonów. - Cohn odwrócił się i powoli wszedł do gabinetu.

Liam szybko wyprowadził Sarę z gmachu administracji. Na dworze panowała popołudniowa szarówka. Na horyzoncie, daleko za kampusem, zbierały się czarne burzowe chmury, powietrze było ciężkie i wilgotne. Liam zauważył, że z ust ulatuje mu para. Jest tak zimno, że może sypnąć śnieg, pomyślał. Mam nadzieję, że nie odwołają samolotu.

Byli w połowie szerokich betonowych schodów, gdy ku jego zaskoczeniu Sara zaszła mu drogę, objęła go w pasie i przycisnęła policzek do jego policzka.

- Na kampusie zamordowano trzy kobiety. Boże, Liam, to... to przerażające.

- Tak, to straszne. - Czuł ciepły dotyk jej policzka na swoim, uścisk obejmujących go rąk. Przytknął wargi do ucha dziewczyny.

- Nie martw się, Saro - szepnął. - Ochronię Cię. Zaopiekuję się Tobą.

Zamknęła walizkę, ściągnęła ją z łóżka na podłogę i podeszła do komody po drugiej stronie saloniku. Spojrzała na owalne lustro i odgarnęła włosy.

Dlaczego jestem taka zdenerwowana?

Starła kciukiem szminkę z podbródka.

- Mama będzie go uwielbiała. Liam podbije ją tym swoim irlandzkim czarem. Frank i Laurie też go polubią.

Frank, jej starszy brat. Ile on ma teraz lat? Arytmetyka, proste dodawanie. Jest starszy o piętnaście lat, czyli... Tak, ma trzydzieści dziewięć. Kiedy się urodziła, był już nastolatkiem. Nigdy nie byliśmy z sobą blisko, pomyślała ze smutkiem. Traktowałam go raczej jak drugiego ojca niż brata. A jego żona, Laurie, zawsze zachowywała wobec mnie chłodną rezerwę.

Spojrzała na budzik. Zaraz przyjedzie Liam. Chwyciła za

uchwyt walizki, żeby przenieść ją do drzwi, gdy zadzwonił telefon.

- Boże... - Uspokój się, Saro, zganiała siebie w duchu. Podskoczyłaś prawie do sufitu.

Przeszła przez salonik i podniosła słuchawkę.

- Ach, to ty. Jak się masz, Mary Beth? Właśnie wychodziłam. No wiesz, jedziemy na lotnisko. Witaj, Muncie, witaj rodzinny domu. Chcemy...

- Lotnisko może zaczekać - przerwała jej Mary Beth. - Muszę się powywnętrzać.

Sara znowu zerknęła na budzik.

- O rany, słyszę, że jesteś nabuzowana.

- Te morderstwa mnie w końcu dobijają! - wykrzyknęła jej kliwie Mary Beth.

Sara odsunęła słuchawkę od ucha.

- To jakiś makabryczny żart?

- Ja wcale nie żartuję. Telefon się urywa. W biurze, w tej ciasnej klitce, siedzi całe stado facetów obwieszonych aparatami fotograficznymi, wyobrażasz to sobie? Mam tu reporterów i dziennikarzy Bóg wie skąd. Po południu były tu ekipy dwóch stacji telewizyjnych. Przyjechali w tym samym czasie i natychmiast wybuchła wojna o to, kto pierwszy ma sfilmować miejsce zbrodni!

- Nie rozumiem. Dlaczego wszyscy przychodzą akurat do ciebie?

- Zapomniałaś już, że jestem kierowniczką wydziału mediów? Czyste szaleństwo! To miała być cicha, spokojna praca. Miałam kręcić filmy reklamujące nasz wspaniały kampus i publikować kolorowe broszurki. Zamiast tego siedzi mi na karku banda dziennikarzy, którzy wtykają mi w usta mikrofon i pytają, kto, moim zdaniem, zamordował te biedne kobiety! Poza tym, jestem...

- Uspokój się, Mary Beth. Przynajmniej...

- Chcę stąd wyjść, chcę się urząnąć. Słowo daję. Jestem zupełnie wypłuta, gadam jak idiotka, kręci mi się we łbie. Muszę strzelić sobie kielicha. Przełóż lot na jutro. Spotkajmy się „Pod Kuflem”, dobra?

- Co? Mówisz poważnie? Znasz moją mamę. Pewnie już teraz mnie wygląda, stojąc w progu. Musimy z Liamem...

- O Liamie też chcę z tobą pogadać. Cieszę się twoim szczęściem, Saro, naprawdę bardzo się cieszę, ale nie chciała-bym, żebyś z rozpędu wdepnęła w coś, czego...

- Mary Beth, nie możemy teraz rozmawiać. Jestem spóźniona i...

- Saro, przecież ty nic o nim nie wiesz.

- Wiem, że to cudowny człowiek, że tym razem trafiłam w dziesiątkę. Po prostu to wiem. Tym razem się nie myślę. Ale nie mam czasu na...

- Właśnie dlatego musimy się urznąć. Urznąć się i pogadać sobie o wszystkim. Saro, nie masz pojęcia, co się tu dzieje.

- Mam. Przecież ja też mieszkam na kampusie. Słyszę, co ludzie mówią. Są wystraszeni, są...

- Nie miałam na myśli kampusu, tylko gmach administracji. Wszyscy są śmiertelnie przerażeni. A ci dziennikarze i ci z telewizji ściągają zewsząd jak... jak szarańcza. Na szczęście szefostwo zdecydowało, że część tej hordy weźmie na siebie Milton. Wreszcie pojęli, że wszystkich nie obrobie. Ci z telewizji to prawdziwi wariaci. Szlag by to trafił, są tak podnieceni, jakby przeprowadzali transmisję z superpucharu, a ponieważ Milton jest dziekanem do spraw studenckich... - Nagle urwała, zmieniła temat. - Chwila, przecież ty u niego pracujesz, tak? Słuchaj, nie masz wrażenia, że facet zachowuje się jak stary satyr?

Sara wykrzywiła usta.

- Tak jakby. Nigdy nie patrzy ci w oczy, tylko gapi się na...

- No właśnie. Zbyt subtelny też nie jest, co? Dziś rano pochyliłam się, żeby zawiązać sznurowadło, a on...

- Mary Beth, strasznie cię przepraszam, ale naprawdę muszę już iść. Mogę zadzwonić do ciebie później? Z Indiany?

- Nie, chyba nie. Nie sądzę, żebym o tej porze była w stanie mówić. Pozdrów ode mnie swoją mamę. Może zadzwonię do Erica. On zawsze wie, jak mnie zrelaksować. Cha, cha!

- Mary Beth...

- To był koszmar, Saro, prawdziwy koszmar. No to leć.



Powiedz mamie, że ją pozdrawiam. I zadzwoń, kiedy wrócisz, dobrze?

- Dobrze. Cześć. - Odłożyła słuchawkę i znowu spojrzała na budzik.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Aż podskoczyła, chociaż doskonale wiedziała, że za chwilę zadzwoni. Liam! Przyjechał za wcześnie! Otworzyła drzwi.

- Liam, czy taksówka...?

Ale Liama w progu nie było. Nie było nikogo.

To jakiś kawał?

Odgłos kroków w głębi korytarza.

Już miała zamknąć drzwi, gdy zerknęła w dół i zobaczyła paczkę na wycieraczce. Biała wstążka, kokarda, srebrzyste pudełko.

- Hę? Prezent od Liama?

Przecież dobrze wie, że nie mamy czasu.

Skoro nie od Liama, to od kogo?

Jeszcze jedno zerknięcie w głąb pustego, kiszkowatego korytarza. Ujęła pudełko obiema rękami i wniosła je do mieszkania. Było duże, ale bardzo lekkie.

Zatrzasnęła drzwi i usiadła na sofie z prezentem na kolanach. Rozwiązała wstążkę. Podniosła srebrzyste wieczko. Rozwinęła kilka warstw bibułki.

Co to jest?

Cztery białe puszki z kosmatej bawełny? Takie do pudru?

Jakie cudowne!

Ujęła palcami jeden z nich - był taki ciepły.

Podniosła go wyżej, żeby się lepiej przyjrzeć.

I zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

## 27.

Kosmaty przedmiot wypadł jej z ręki. Przekoziółkował w powietrzu i pacnął z powrotem do pudełka.

Wystająca kość, chrząstka...

Różowawe plamy na bibułce. Ciepłe, jeszcze wilgotne.

Przestała krzyczeć, zadygotała jak w gorączce. Cisnęła pudełko na stół.

Cztery królicze łapki podskoczyły, odbiły się od siebie i znieruchomiały. Znowu zobaczyła zakrzepłą krew i żółtawą chrząstkę pod kosmatym futerkiem. Potrząsnęła rękami, chcąc pozbyć się uczucia, że łapka wciąż spoczywa w jej dłoni.

Była jeszcze ciepła.

Łapka była jeszcze ciepła. Oderwano ją, wyrwano. Z trudem przełknęła ślinę. Wszystkie cztery łapki zostały oderwane. Nie odcięte, tylko wyrwane. Z zakrwawionej sierści sterczała chrząstka, zwisaly żyły.

Jęknęła.

- Obrzydliwe...

Wtedy zauważyła kopertę. Małą, białą, kwadratową kopertę wetkniętą między warstwy bibułki z boku pudełka.

Nie powinnam jej dotykać, myślała wpatrując się w nią tak intensywnie, że oczy zaszyły jej łzami. Nie powinnam jej dotykać, lecz natychmiast wezwać policję.

Gwałtownie zamrugala. Kontury króliczych łapek i pudełka powoli się wyostrzyły. Chwyła kopertę drżącą ręką i szybko odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na tę ohydę.

Rozmazana plama krwi na zakładce. Rozerwała kopertę. Wyciągnęła mały kartonik z czarną obwódką. Drżały jej palce, więc przytrzymała go obiema rękami i przeczytała wiadomość wykalfigrafowaną czerwonym atramentem.

JEŚLI WYJDZIESZ ZA LIAMA, BĘDZIESZ POTRZEBOWAŁA BARDZO DUŻO SZCZĘŚCIA.

Zmiała kartonik, czując, że rękę ma zimną i mokrą. Wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy i próbowała myśleć.

Kto to przysłał? Kto?

Chip?

Chrapliwe szepty przez telefon, a teraz ten ohydny, ten odrażający podarunek. Czyżby był obłąkany do tego stopnia, że rozdarł żywcem nieszczęsne zwierzę tylko po to, żeby mnie nastraszyć?

Nie, to niemożliwe.

Na pewno tego nie zrobił.

Ale...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podniosła słuchawkę i z trudem skupiła wzrok na szarej podkładce, gdzie wypisała numer telefonu Liama.

Chryste, tyle razy ten numer wykręcałam, że powinnam go w końcu zapamiętać! Już wyszedł? Jest już w drodze? Jedzie do mnie taksówką?

Wystukała numer. Serce waliło jej jak młotem. Bije tak szybko i tak mocno jak... jak serce królika, pomyślała. Ogarnęła ją fala mdłości, ścisnęło ją w gardle.

Trzeci sygnał. I nagle:

- Halo? - Liam. Jakby zdyszany.

- Liam? To ja. Dostałam... dostałam...

- Sara? Co się stało? Byłem już w progu. Chyba się nie spóźniłem, prawda?

- Nie. Liam, to... to potworne. - Chciała opisać pudełko i jego odrażającą zawartość, lecz zmieniła zdanie i spiętym, piskliwym głosem spytała: - Febe, twoja króliczka. Nic jej nie jest?

Milczenie. I nagle szept, jak głośnie westchnienie:

- Jesteś telepatką, Saro.

- Co? O czym ty mówisz?

- Widzisz, Febe... nie żyje.

Sara doznała szoku.

- Zachorowała, dostała silnej gorączki - mówił dalej Liam. - Weterynarz musiał ją uśpić. Wczoraj po południu. - Zachichotał ponuro. - To zabawne, jak człowiek przywiązuje się do

zwierzęcia. Myślałem o niej cały dzień. Saro, sam nie wiem...

Wzrok Sary spoczął na srebrnym pudełku.

- Skąd wiedziałaś o Febe? - spytał. - Przecież nic ci nie mówiłem, nie chciałem zepsuć...

- To potworne! - wykrzyknęła. - Ktoś przysłał mi paczkę. W ozdobnym pudełku z wstążeczką, kokardką... A w środku były cztery królicze łapki. Zakrwawione, jeszcze ciepłe. Wyrwano je, Liam, nie odcięto, tylko wyrwano, rozumiesz? Ociekały krwią. I... i... - Zaszlochła.

- Kiedy? Dzisiaj?

- W pudełku był list napisany czerwonym atramentem. Ktoś mnie przed tobą przestrzega.

- Dobry Boże! Jak to?

Wzięła głęboki oddech. Serce. Gdyby tylko przestało tak szybko bić.

- Pisz, że jeśli za ciebie wyjdę, będę potrzebowała bardzo dużo szczęścia.

Cisza. A potem:

- To koszarne, jestem przerażony. Tak mi przykro, Saro. Naprawdę mi przykro...

- Co ja mam teraz robić, Liam? Zadzwoń na policję?

- Nie wiem. Powinniśmy przeżywać szczęśliwe chwile, ale ktoś...

- Kto? - przerwała mu Sara. - Kto?

- Dowiem się. Przyrzekam, że się tego dowiem. I położę temu kres.

## 28.

Z każdą wizytą biały, oszalonego dom wydawał się jej mniejszy. Na kwadratowym trawniku od ulicy leżały łachy szarawego śniegu przypominające góry lodowe na czarnym, stężonym oceanie.

Powietrze było ciężkie i wilgotne. Z ust buchała im para, żółtawa w jaskrawym świetle lampy na ganku. Sara wzięła Liama pod rękę i zadzwoniła do drzwi.

Otworzył je na oścież Frank z promiennym uśmiechem na twarzy, mrużąc otoczone zmarszczkami oczy, które skrywał za szklami okularów bez oprawek. Sara spostrzegła, że brat jest prawie całkiem łysy! Z trudem oderwała wzrok od jego lśniącego, wysokiego jak góra czoła.

- A oto powrót siostry marnotrawnej ! - zapiał swoim wysokim głosem.

Objął ją i przytulił, krzepko uściskał rękę Liamowi. Zauważyła, że narzeczony wykrzywił twarz z bólu. Oto cały Frank - Frank w wydaniu niezwykle jowialnym.

Weszli do pokoju, a wraz z nimi podmuch zimna. Apeptyczne zapachy z kuchni. Gorąco jak w piecu. Jak zawsze.

Sara próbowała pozbyć się uczucia chłodu. Szybko zerknęła w lewo, w prawo, zadowolona, że nic się w domu nie zmieniło. Ciemna boazeria. Zielony fotel obity wygniecionym aksamitem, zielona sofa od kompletu. Metalowe promienie słońca bijące z tarczy zegara. Grafiki Picassa na ścianach. I czarno-białe zdjęcie taty uśmiechającego się zza stołu przy sofie.

Z wielkiego fotela po drugiej stronie salonu próbowała wstać, uśmiechnięta jak Frank, matka. Laurie, piękna, szczupła synowa, pochyliła się, żeby jej pomóc.

- Ktokolwiek wymyślił kolana, dokumentnie schrzanił robotę - oświadczyła głośno pani Morgan. Wstawszy, objęła córkę i mocno ją przytuliła. - Przemarzałaś! Zdejmuj kurtkę.

Uścisk dla Liama.

- Witamy w rodzinie. Szybki z pana harcownik, nie ma co!

Sara nie mogła się powstrzymać i parsknęła śmiechem, bo Liama wyraźnie zatkało.

- Jest pani... jest pani tak bardzo podobna do Sary - wydukał w końcu.

- Wiem, wiem. Mogłabym uchodzić za jej siostrę. - Pani Morgan przewróciła oczami i przedstawiła mu Laurie.

Laurie stała onieśmielona z palcami rąk za paskiem krótkiej czarnej spódnicy, którą nosiła na czarne leginsy.

- Dużo o panu słyszeliśmy. Od Sary. Moja kuzynka zdawała u pana egzamin. Kilka lat temu.

Liam posłał jej uśmiech.

- Mam nadzieję, że jej nie oblałem.

Wybuch śmiechu.

Sara spostrzegła, że Liam przypatruje się matce. Naprawdę jest do mnie bardzo podobna. Miała na sobie luźny, granatowy sweter i wypłowiałe džinsy. Przyprószone siwizną włosy - identyczne jak włosy Sary - ściągała do tyłu i wiązała w dziewczęcy kucyk. Nie chciała ich obcinać i nosić krótkich fryzur à la „starsza pani”.

Zauważyła, że jest bardziej umalowana niż zwykle. I że boleśnie napina mięśnie twarzy, zwłaszcza przy chodzeniu - po śmierci taty artretyzm kolan zaatakował ze zdwojoną siłą.

- Podobieństwo matek i córek zawsze mnie zdumiewa - powiedział Liam przewieszając płaszcz przez wyciągniętą rękę Franka. - Ale Sara nie ma tego pięknego dołeczka - dodał z uśmiechem.

Ręka pani Morgan powędrowała do podbródka.

- Pięknego? Długo się go wstydziłam. Wie pan, kiedy człowiek jest młody, chce wyglądać jak inni. Dlatego zawsze go czymś zakrywałam albo wypełniałam!

- Jest taka stara rymowanka z Yorkshire - odrzekł Liam. Zamknął oczy, próbując ją sobie przypomnieć. - „Dołeczek w brodzie - dostatek w komodzie. Dołeczek w policzku - ciułas po grosiczku”.

Pani Morgan wybuchnęła śmiechem.

- U mnie jest chyba na odwrót, bo w komodzie ciągle pustki!

Znowu się roześmiali.

- Nie podpuszczaj go, mamo - zaszczębiotała wesoło Sara, biorąc Liama pod rękę. - Niemądry rym na każdą okazję to jego specjalność.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Niemądry?

- Pozwala jej pan tak pyskować? - spytał Frank z kurtką siostry i płaszczem Liama na ręku. - Kiedy mieszkała w Nowym Jorku, nigdy się tak nie zachowywała!

Kolejna salwa śmiechu. Śmiali się wszyscy oprócz Sary. Spojrzała na brata spode łba i warknęła:

- Hej, ty! Skończ wreszcie z tym Nowym Jorkiem, dobra? Byłam już wcieleniem zła na długo przedtem, zanim się stąd wyprowadziłam!

- Nie stójcie tak - rozkazała pani Morgan - siadajcie. - Odwróciła się do fotela przy ścianie. - Chciałam powitać was ogniście, ale nie mamy tu kominka!

Liam uśmiechnął się do Sary, doceniając poczucie humoru gospodyni i pewnie trochę zdziwiony, ponieważ Sara rzadko kiedy próbowała żartować.

- Tak tu gorąco, że gdybyś rozpałała w kominku, od razu zrobiłoby się chłodniej! - wtrąciła Laurie.

- Lubię, jak jest gorąco - odrzekła pani Morgan i z wysiłkiem, który sprawiał jej ból, postąpiła kilka kroków w stronę fotela.

- Mamo, na pewno nie przestałaś brać lekarstw? - spytała Sara. - Widzę, że cię boli.

- Co nie przeszkodziło jej w wyprawie do Indianapolis. W zeszłym tygodniu pojechała na koncert The Grateful Dead! - wykrzyknął Frank wracając z przedpokoju.

- Do Indianapolis? Chrzanisz! - zdumiała się Sara.

Frank znowu spojrzął na Liama.

- No nie, przed wyjazdem do Nowego Jorku nigdy w życiu by czegoś takiego nie powiedziała.

- Czym skorupka za młodu nasiąknie... - stęknęła pani Morgan. - Wiecie, że Jerry Garcia ma prawie tyle samo lat co ja?

- To słyhać - mruknął Frank.

- Nie musieliście ze mną jechać - odwarknęła żartobliwie. - Jeśli tego rodzaju muzyka wam nie odpowiada, jeśli nie potraficie jej zrozumieć...

- Ależ skąd, mam - przerwała jej Laurie, karcąc męża wzrokiem. - Wspaniale się bawiliśmy. To było... porażające przeżycie.

Pani Morgan spojrzała na nowo przybyłych.

- Czytałam o tych morderstwach, Saro. O tych strasznych

morderstwach na kampusie. Tak się niepokoiłam. Jeszcze go nie złapali, prawda?

Sara westchnęła. Dlaczego matka musiała wywlec ten temat już na samym początku spotkania?

- Nie, mam, jeszcze nie - mruknęła.

Pani Morgan głośno zacamokała.

- Ale uważasz na siebie, prawda?

- Oczywiście.

Matka przyjrzała się jej uważnie. Chyba odpędziła czarne myśli, bo po chwili spytała:

- Jesteście głodni? Mam nadzieję, że nie jedliście w samolocie, co? W takim razie chodźmy coś zjeść. - Chwyciła Sarę za rękę i pociągnęła ją do jadalni. - Przygotowałam małą niespodziankę: kolację na Święto Dziękczynienia.

- Mamo! Ale dlaczego...?

- W Święto Dziękczynienia wszyscy będziemy na waszym ślubie, prawda? - Pani Morgan posłała Liamowi uśmiech. - Dlatego pomyślałam sobie, że Święto Dziękczynienia urządzimy dzisiaj. No wiecie. Nadziewany indyk, i tak dalej.

- Brzmi to cudownie - powiedział Liam. - Po podróży samolotem zawsze mam wilczy apetyt.

- Przywykliśmy jadać kolację o szóstej - odrzekła pani Morgan. - Tutaj, na środkowym zachodzie, podają do stołu trochę wcześniej.

- Znam zwyczaję panujące na środkowym zachodzie - odparł Liam. - Do zeszłej jesieni mieszkałem w Chicago.

- Uwielbiam Chicago - wyznała pani Morgan. - Jeździliśmy tam z Dave'em, ilekroć tylko mieliśmy sposobność. - Westchnęła. - Spędziliśmy w Chicago miesiąc poślubny, w hotelu z precudnym widokiem na jezioro. Może i wy tam...

- Nie, mam, nie będziemy mieli czasu - szybko przerwała jej Sara. - Po ślubie zostaną nam tylko dwa dni do rozpoczęcia zajęć.

- No to może odłóżcie ślub do wiosny? - zaproponowała pani Morgan, uważnie patrząc córce w oczy. - Moglibyście pojechać na prawdziwy miesiąc miodowy. Mielibyście całe lato...



Sara zagryzła dolną wargę. Mama nigdy nie należała do osób najsztubtelniejszych, pomyślała. Tym „sprytnym” sposobem daje mi do zrozumienia, że nie powinnam się tak spieszyć do ślubu.

- Mamo, ten stół! - wykrzyknęła zmieniając temat; ona też potrafiła być „sztubtelna”. - Jak pięknie zastawiony! Po co dałaś sobie tyle trudu?

- Laurie i Frank mi pomogli - odrzekła pani Morgan, nie przestając świdrować jej wzrokiem.

- To było cudowne! - wykrzyknął Liam wchodząc do salonu i ustawiając sobie krzesło obok fotela pani Morgan; Sara opadła na koniec sofy od strony jadalni. - Od lat nie jadłem lepszej kolacji!

- Liam, na pochlebstwie zajedziesz, dokądkolwiek zechcesz! - Pani Morgan poklepała poufale jego dłoń i zachichotała.

- Nie, nie jestem pochlebcą - zaprotestował Liam. - Proszę zapytać Sarę.

Sara przewróciła oczami.

- Nie wierz mu, mamo, nie wierz ani jednemu słowu. Nie zapominaj, że to spec od ludowych bajeczek.

- Podobala mi się historia, którą opowiadałeś przy kolacji - odrzekła pani Morgan. - W poniedziałek pójdę do biblioteki i wypożyczę wszystkie twoje książki.

Liam podziękował za komplement, nachylił się ku niej i zaczęli rozmawiać półgłosem, prawie szeptem. Czarował ją, jak to on.

Sara wytężyła słuch.

- Zawsze była cicha i spokojna - mruzczała matka. - Była dzieckiem, ale zawsze wydawało mi się, że jest taka dorosła.

Z kuchni dochodził szum wody - Laurie i Frank zmywali naczynia. Sara chciała im pomóc, ale nalegali, żeby poszła porozmawiać z matką.

Pani Morgan westchnęła.

- Szkoda, że nie ma z nami Gary'ego i Richa. Od tygodni

nie rozmawiałam z twoimi braćmi. Mam nadzieję, że będą mogli być na waszym ślubie.

- Cieszę się, że Frank i Laurie przyjadą - odrzekła Sara. - Wiem, że Święto Dziękczynienia zwykle spędzają u jej matki.

- To będzie piękny ślub - wtrącił cicho Liam, nachylając się ku pani Morgan. - Ceremonia odbędzie się na dworze. Na skraju lasu za domem naszego dziekana.

Pani Morgan aż zamruwała ze zdziwienia.

- Na dworze? Pod koniec listopada? Nie przemarniecie?

- Uroczystość będzie bardzo krótka - obiecała Sara. - Mówiłam Liamowi, że to szaleństwo, ale bardzo nalegał, więc...

Liam zaczął protestować, lecz nagle urwał. Zza sofy wyprysnął bezszelestnie ciemny kształt i wskoczył mu prosto na kolana.

Z ust Liama wyrwał się głośny okrzyk.

Sara zobaczyła, jak narzeczony sztywnieje, jak przyciska plecy do oparcia krzesła. I z przestrachem spogląda na wielkiego, czarnego kocura.

- Flint! - wykrzyknęła pani Morgan. - Wiedziałam, że gdzieś się schowałeś. Ty zwariowany kocie, dlaczego przyczepliłeś się do naszego gościa?

Oczy Liama wychodziły z orbit. Wpatrywał się w kota, kot w niego. Jakby urządzili sobie zawody, kto kogo przetrzyma wzrokiem.

- Zepchnij go, Liam - doradziła pani Morgan. - Flint nie zdaje sobie sprawy ze swego ciężaru. Po prostu zepchnij go i już.

Liam ani drgnął. Nawet nie zamruwał.

Wielki żółtooki kocur przechylił łebek i ciągle na niego patrzył. Wypuścił pazury i wbił je delikatnie w spodnie na kolanie Liama.

A on pożerał go wzrokiem. Ręce zwisały mu sztywno i bezradnie.

Sara zauważyła, że w jego ciemnych oczach odbijają się kocie ślepie. I stwierdziła, że jest śmiertelnie przerażony. Że drży mu podbródek.

- Zepchnij go, Liam - powtórzyła pani Morgan. - Liam? Liam? Co się stało?

- Mamo... Nic, nic, to tylko... - powiedziała cicho Sara. - Liam... Liam jest trochę przesądny.

## 29.

Obciągając flanelową koszulę, natknęła się na niego w skąpo oświetlonym korytarzu na górze. Stłumiła śmiech - w obszernej piżamie w paski wyglądał jak model z żurnala z lat czterdziestych.

Machnął szczoteczką do zębów w stronę łazienki.

- Chcesz wejść pierwsza?

- Nie musisz szeptać, kochanie. - Pocałowała go w policzek i wędrując wargami w dół twarzy, natrafiła na usta.

Drewniana podłoga zatrzeszczała pod ich bosymi stopami. Sara zerknęła w stronę schodów. Dom był ciemny. Matka spała na dole; pożegnała się z nimi pięć minut po wyjściu Franka i Laurie, którzy mieszkali kilka przecznic dalej.

Sara przytknęła usta do jego ucha.

- Możesz przyjść do mego pokoju. Nie musisz spać w tej ciasnej pakamerze.

Pokręcił głową.

- Nie, chyba nie - odszepnął. Objął ją mocno, przytulił i przycisnął policzek do jej policzka. Twarz mu gorzała.

- Mama nic nie usłyszy - zapewniła szeptem Sara. - Daj spokój, Liam. Przecież nie jesteśmy nastolatkami. Nie musimy się kryć. Ona wie, że z sobą sypiamy.

- Czułbym się... trochę skrępowany - wyznał z bezradnym uśmiechem.

Zachichotała i czule pogłaskała go po twarzy.

- Czasami jesteś taki dziwny i taki niemądry.

- I właśnie to we mnie kochasz.

Pocałowała go w górną wargę.  
- Mmmmm... Między innymi.  
Jeszcze jeden długi pocałunek.  
- Przepraszam za tego kota.  
- Wystraszyłem się.  
- Wystraszyłeś się? Skamieniałeś z przerażenia! - Kolejny pocałunek. Przyłgnęła twarzą do jego rozpalonej twarzy. - Co byś zrobił, gdybym nie zabrała go z twoich kolan?  
Całował ją w powieki.  
- Zaskoczył mnie, to wszystko. Pojawił się jak duch. Nawet nie wiedziałem, że twoja mama ma kota.  
- Czarnego kota. Nie lubimy czarnych kotów, co? - spytała z żartobliwą złośliwością.  
Odsunął się od niej. Twarz mu nagle stężała.  
- Dobranoc, Saro. Kolorowych snów. - Ruszył w stronę swego pokoju. Zaskrzypiała podłoga.  
Podreptała za nim, chwyciła go za ramię.  
- Nie przyjdiesz do mnie? Przepraszam, Liam. Nie chciałam się z ciebie nabijać. Z twoich przesądów. Chodzi po prostu o to, że... Przecież nikt już nie wierzy, że czarny kot przynosi nieszczęście. Musisz przyznać, że to trochę niemądre.  
- Do zobaczenia rano - szepnął. Musnął wargami jej czoło i zniknął w pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.  
- Co ja takiego zrobiłam? - szepnęła Sara, przytykając usta do futryny. - No co? O co ci właściwie chodzi?  
Czekała prawie minutę, ale nie odpowiedział, więc odwróciła się i szybko pomaszzerowała do łazienki.

Precz z sentymentami - miała spać w swoim pokoju i przyrzekła sobie, że się w związku z tym nie rozklei. Zgasiła światło, żeby nie widzieć starych plakatów, zdjęć z czasów ogólniaka oraz innych rzeczy przechowywanych przez matkę niczym relikwie w kaplicy świętej Sary.

Wiem, że powinnam mieć mgliste, ciepłe i rzewne myśli - ostatecznie śpię w pokoju mojego dzieciństwa, w dodatku po raz ostatni jako kobieta niezamężna.

Ale jestem zbyt zmęczona. I zdenerwowana. Przez Liama.

Przez Liama i jego głupie zabobony. Nie chcę się rozmazać. Jak się rozmazę, to niczym skrzywdzona pięciolatka zacznę obejmować swoją starą pluszową pandę. Tego by tylko brakowało.

Szkoda, że nie ma tu taty, pomyślała poprawiając poduszkę pod głowę. Tak bardzo za tobą tęsknię, tatusiu. Tak bardzo chciałabym z tobą porozmawiać. I tak bardzo żałuję, że nie poznasz Liama. Polubiłbyś go, tatusiu. Jest zupełnie inny niż ty, ale na pewno by ci się spodobał.

Myśląc o ojcu, powoli zapadła w ciężki, dziecięcy sen bez snów.

Obudził ją przeraźliwy krzyk. I trwożliwe nawoływanie.

Usiadła sztywno na wąskim łóżku. Wytrzeszczyła oczy. Serce waliło jej jak młotem.

Krzyki dobiegały z dołu.

- Mamo?

Odrzuciła koce, wyskoczyła z łóżka, obciągnęła nocną koszulę, wypadła na kiskowaty korytarz i popędziła do schodów.

- Mamo? Mamo?

Dostrzegła Liama wychodzącego ze swego pokoju. Zmięta piżama, zmierzwione w czasie snu włosy - nieprzytomnie przecierał oczy. Zbiegła na dół i słysząc, że krzyk matki dochodzi z kuchni, pognęła w tamtą stronę.

Przez kuchenne okno wpadało szarawe światło poranka. Sara dostrzegła na podłodze ciemną kałużę. Potem miękkie kopczyk u swych stóp. I kłębek czarnej włóczki obok kopczyka.

Wciąż rozespana, początkowo myślała, że matka upuściła czarny sweter.

Lecz po chwili spostrzegła, że ze zmiętoszonego kopczyka wystają cztery łapki.

I zdała sobie sprawę, że kłębek czarnej włóczki to koci łebek.

- Fff... Flint - wyjąkała matka, wskazując futrzastą kopkę na podłodze. Szybko mrugała, jakby nie wierzyła własnym oczom, jakby próbowała odpędzić koszmarny sen.

- Fff... Flint.

Pod Sarą ugięły się nogi. Przytrzymała się ceramicznego blatu kuchennej lady, żeby nic upaść.

Koci łeb - oderwano go od korpusu. Pokryte czarnym futrem ciało leżało w kałuży krwi, a z rozdartego gardła zwisała płatanina czerwonych żył.

- Fff...Flint.

Do kuchni wpadł Liam. Plaskając bosymi stopami po linoleum, podbiegł do Sary.

- Co się dzieje? Chwyciła go za rękę.

- Kot. Kot...

- Ktoś zabił Flinta - wyjąkała pani Morgan patrząc na czarny, okrągły lebek.

Liam wydał z siebie zduszony jęk. Szybko podszedł bliżej i przykucnął obok okaleczonego truchła. Przyjrzał się uważnie, zerknął na kałużę krwi, spojrzął na koci łeb.

- Jakies zwierzę - wymamrotał. Wstał, potrząsając głową.

- Może szop. Albo duży pies. - Wyciągnął rękę. - Spójrzcie.

Drzwi są otwarte na oścież.

Pani Morgan gwałtownie nabrała powietrza i podniosła rękę do twarzy.

- Drzwi?

Wszyscy troje popatrzyli w tamtą stronę. Matka Sary odwróciła się do Liama.

- Naprawdę myślisz, że jakies zwierzę mogło tędy wejść, zabić Flinta i wyjść?

Liam skinął głową. Miał poważną twarz.

- Jeśli nie zwierzę, to kto? - spytał.

## 30.

Wszedł do lustrzanego korytarza, żeby zawiązać czarną muszkę. Z salonu usłyszał śmiech, szelest płaszczy, stukot obcasów na drewnianej podłodze.

Pochylił się i walcząc z oporną muszką, dostrzegł w lustrze

Margaret. Ubrana w kremową spódnicę, w białą koronkową bluzkę z wysokim kołnierzykiem i kremowy żakiet, stała spięta w drzwiach korytarza. Wyjęła rękę z kieszeni i opuściła ją, by po chwili znowu ją podnieść i poprawić bukietek żółtych i białych kwiatków przypięty do klapy żakietu.

Jest zdenerwowana tak samo jak ja, jak pan młody, pomyślał wykrzywiając twarz w uśmiechu przelotnym niczym nerwowy tik. Nie, ja jestem zupełnie spokojny. Im bliżej ceremonii, tym jestem spokojniejszy.

Nowi goście w salonie. Trzask frontowych drzwi. Wykrzywane pozdrowienia. Głosy, których nie rozpoznawał.

Chciał ślubu cichego i spokojnego. Najwyżej cztery, pięć osób. Tylko tyle, żeby ślub był ważny. I romantyczny, jak pragnęła tego Sara.

Ale Sara nalegała na prawdziwy ślub. Musiała zaprosić rodzinę, matkę, braci, kuzynów, koleżanki i kolegów ze szkoły średniej i z college'u.

To Milton wpadł na pomysł, żeby urządzić wszystko w jego domu. A Sara bardzo chętnie z propozycji skorzystała.

- Jaka cudowna okolica! Jaka cudowna oprawa! Jakie cudowne miejsce na rozpoczęcie wspólnego życia! Jakie romantyczne!

Romantyczne.

Poklepał się po kieszeni smokingu, sprawdzając, czy nie zapomniał spinki do włosów, którą chciał sprezentować Sarze. Pastor z kaplicy na kampusie zgodził się odprawić standardową ceremonię. Sara nie miała nic przeciwko temu. Lecz Liam chciał tę uroczystość czymś okraszyć.

Pomyślał o rozmowie telefonicznej, jaką odbyli poprzedniego wieczoru. Sara była zdenerwowana i spięta jak uczennica. Wróciła na łono rodziny i znów była małą dziewczynką.

Zadzzwonił do niej niby po to, żeby upewnić się, czy jest spokojna i ma dobry humor. Ale tak naprawdę chodziło mu o coś innego: chciał sprawdzić, czy nazajutrz będzie miała przy sobie coś nowego i coś starego, coś pożyczonego i coś niebieskiego. Powinna przyjechać do domu Milтона przed nim, tak żeby się z nią przed ślubem nie widział.

Obiecał sobie, że nie będzie żadnych wpadek. Absolutnie żadnych wpadek - to uroczyste przyrzeczenie.

Ale potem okazało się, że Mary Beth nawalił samochód, skutkiem czego przyjechała - z Sarą na miejscu pasażera! - kilkanaście sekund po nich, po nim i Margaret. Ładna mi przyjaciółka, nie ma co!

Zaklął pod nosem i szybko uciekł wzrokiem w bok - zdążył? - podczas gdy Mary Beth wykrzykiwała przeprosiny, śląc w popołudniowe, oślepiająco błękitne niebo gęste obłoczki pary, niczym sygnały dymne. Gdy wchodziły do domu ze ślubnymi strojami w rękę, patrzył w drugą stronę.

Żadnych wpadek.

Znowu zerknął na odbicie Margaret w lustrze. Stała samotnie, ćwicząc okolicznościowy uśmiech.

Nic się nie martw, Margaret. Jesteśmy prawie u celu. Wszystko będzie dobrze. Gdybym tylko zdołał zawiązać tę nieszczęsną muszkę...

Silne klepnięcie w ramię zniszczyło efekt dotychczasowej pracy.

- Szukałem cię, Liam - zadudnił Milton uśmiechając się niczym dumny ojciec. - Jak się miewa pan młody?

- Nieźle. - Odwzajemnił uśmiech. W czarno-lśniącym fraku Milton wyglądał jak Dickensowski Squire.

- Daj, pomogę ci.

Zanim Liam zdążył zaprotestować, grube paluchy Milтона zaczęły gmerać przy muszce.

- Proszę cię, Milton...

- Zimno tam - odrzekł Cohn, najwyraźniej nieświadomy, że lada moment może Liama zadusić. - Jeszcze czas, przyjacielu. Możemy przenieść ceremonię do domu.

- Zimno, ale pięknie - wykrztusił Liam. - Czyste, błękitne niebo. Promienie słońca igrające na ośnieżonych drzewach. To o wiele bardziej romantyczne.

- No dobra, jak uważasz. - Szarpnął muszką i cofnął się o krok, podziwiając swoje dzieło. - Doskonale. Szczęściarz z ciebie, Liam. Zazdroszczę ci. Naprawdę ci zazdroszczę.

Wiem, stary, wiem, pomyślał ze smutkiem Liam.

- To bardzo miło z twojej strony, że udostępniłeś nam dom.



Piękniejszej oprawy nie mogę sobie wyobrazić. - I szybko dodał: - Sara też jest ci wdzięczna.

Milton uśmiechnął się jeszcze szerzej i strzepnął pyłek z kłapy smokingu Liama.

- A twoja rodzina? Nikt nie przyjechał?

- Nie, nikt - odrzekł cicho Liam. - Matka umarła, kiedy miałem dwanaście lat. Zanim przyjechałem z Margaret do Ameryki.

- A ojciec?

- Nie rozmawiałem z nim od lat. Margaret i ja... Uciekliśmy od niego. Musieliśmy... musieliśmy uciec. Uciekliśmy do Ameryki i od tamtej pory nie mam o nim żadnych wiadomości.

Milton spowaźniał.

- Przepraszam, nie chciałem... - mruknął i spojrzał na zegarek. - Chyba pójdę wyprosić ich na dwór. Przyjechał tercet smyczkowy z wydziału muzycznego. Czekają na skraju lasu. Jeszcze wiolonczele im zamarzną! - Ciężkim truchtem wybiegł do salonu.

Liam został w bezpiecznym zaciszu lustrzanego korytarza. Słyszał, jak Cohn spędza gości, jak zachęca ich do wyjścia. Gwar ożywionych rozmów, szelest płaszców. Liam zastanawiał się, jak sobie radzi Sara. Rozłokowały się z Mary Beth w sypialni Milтона, przygotowując się do uroczystego wyjścia.

Będzie piękną panną młodą, pomyślał w zadumie.

Ostatni raz sprawdził muszkę. Prawie prosta. I zmartwiał, zerknąwszy na swoje oczy w lustrze.

Były niebieskie.

Nie brązowe, tylko niebieskie.

- Nie, proszę! - błagał. - Proszę! Zamrugał. Dwa razy. Zamrugał gwałtowniej. Oczy wciąż były niebieskie.

- Nie, tylko nie dzisiaj! Proszę!

Z otwartych ust wystrzelił gruby, szkarłatny jęzor.

Rozwinął się, galaretowaty jak meduza, na końcu rozdwojony. Liam zachwiał się, zatoczył do tyłu, gdy jęzor, teraz prawie metrowej długości, gruby jak salami, pocięty bruzdami

i pokryty liszajami, chlasnął lustro, zostawiając na nim mokrą plamę.

Nie! Proszę! Nie dzisiaj! Nie teraz!

Nie mógł oddychać.

Nie teraz! Wracaj! Proszę!

Odgłos kroków. Odwrócił się, zobaczył Milтона przecinającego salon. Cohn szedł po niego!

Ciężki, szkarłatny jęzor cofnął się, skurczył i zniknął w ustach tak gwałtownie, że Liam się prawie zadławił. Z trudem chwytając powietrze, spostrzegł, że oczy mu brązowieją.

- Liam! - wykrzyknął Milton. - Co ty tu jeszcze robisz? Żle się czujesz?

Liam wzruszył ramionami. Uśmiechnął się sztucznie.

- Nie. To tylko przedślubna trema.

# CZEŚĆ PIĄTA

## 31.

- Nie mogę uwierzyć, że w końcu znalazłam odpowiedniego mężczyznę! - wyznała Sara. - Nie, wróć, poprawka. Idealnego mężczyznę! - Okręciła się wesoło na pięcie, powiewając koronkowym welonem jak szczęśliwa panna młoda.

- Przestań się wiercić! - ofuknęła ją Mary Beth. - Już go ułożyłam, a ty wszystko spieszyłaś.

Sara zachichotała nieswojo.

- Nie wypowiadaj tego słowa w dniu mego ślubu.

Mary Beth otworzyła usta.

- Hę? A to dlaczego?

Sara błysnęła oczami pod białym, cieniutkim jak mgiełka welonem.

- Bo to przynosi pecha.

Mary Beth jęknęła.

- Zaczynasz gadać jak Liam.

Sara podeszła do okna.

- Chcę, żeby wszystko było idealnie. Dotąd nie miałam szczęścia do mężczyzn. Ale teraz znalazłam Liama. On jest taki dobry, taki miły, taki... błyskotliwy. I tak bardzo mu na mnie zależy. Tym razem wiem, że będzie dobrze. Zrobię wszystko, żeby tak było. Żeby było idealnie!

Mary Beth zaklaskała.

- No, a teraz, skoro już wygłosiłaś weselny toast, może byś tak wzięła ślub, co?

Sara wyjrzała przez okno i podniosła rękę do twarzy.

- O mój Boże! Wszyscy są już na dole! Już na mnie czekają!

- I odmrażają sobie tyłki - dodała Mary Beth rzucając się w pościg za panną młodą. - Zaczekaj ! Przecież bez ciebie nie złączą! Zaczekaj!

Dzień wcześniej spadł śnieg, co prawda ledwie dwa centymetry, ale to wystarczyło, żeby na ziemi rozpostarł się biały,

roziskrzony dywan i żeby na drzewach rozbłysły miriady rzucających ognie brylantów.

Wyszła na słońce, oślepiona jaskrawością nieba, biała na bieli pośród lśnienia, lśnienia...

Wszystko było tak piękne, tak podniecająco piękne, że zwilgotniały jej oczy. A kiedy ujrzała czekającego na nią Liama, tak eleganckiego w swoim czarnym smokingu - mimo lekko przekrzywionej muszki - tak przystojnego, gdy ujrzała jego włosy rozwiane wiatrem, gdy zobaczyła, że się uśmiecha i wyciąga do niej rękę, chciała wybuchnąć płaczem i płakać, płakać ze szczęścia, wzruszona czystym, roziskrzonym pięknem chwili.

Pastor był niskim, łysym mężczyzną o okrągłej twarzy i przypominał śnieżnego bałwana. Brakowało mu tylko fajki z kukurydzianej kolby i oczu z węgla. Trzymał Biblię, ale jej nie otwierał. Mówiąc, cały czas się uśmiechał, a jego słowa porwał wiatr.

U stóp Sary wirowały płatki suchego śniegu. Zimno było podniecające. Spojrzała w brązowe oczy Liama. Padły na nią odbijające się w nich promienie słońca.

Uśmiechnięty pastor skończył oficjalną część ceremonii, zrobił krok do tyłu i dał znak Liamowi. Mówił tylko minutę? Dziesięć minut? Dwadzieścia? Sara nie była tego pewna.

Zamarznięty oddech Liama ulatywał w powietrze niczym biały dym. Narzeczony odwrócił się do niej i wyjął z kieszeni coś błyszczącego.

Promyk słońca? Miał na dłoni promyk słońca?

Nie. Złotą szpilkę. Delikatną złotą szpilkę do włosów.

Liam popatrzył na gości na skraju lasu.

Naprawdę byli tam jacyś ludzie? Sara zupełnie o tym zapomniała i dopiero teraz przeniosła na nich wzrok. Ujrzała swoją matkę, braci, wszystkich innych - stali w płaszczach narzuconych na eleganckie stroje, uśmiechnięci, z błękitnymi cieniami u stóp.

- Saro, chcę ci to ofiarować - oznajmił głośno Liam. Delikatnie zacisnął jej dłoń na złotej szpilce. Poczowała ciepło bijące z klejnotu.

- Słowa są Yeatsa, lecz uczucie jest tylko moje - dodał z ciepłym uśmiechem. I wzięwszy ją za rękę, wyrecytował:

Zepnij warkocze złotą szpilą  
I zwiąż umykające loki.  
Rzekłem: „Pisz wiersze, serce moje”,  
Więc się trudziło wolną chwilą,  
Budując ciemne ich uroki  
Z dziejów pradawnych wojen.

Starczy, byś wzniosła dłoń perłową,  
Westchnęła i związała włosy,  
A w sercach mężczyzn płomień wzniecasz.  
Piana na piasku lśniąc matowym,  
Gwiazdy na niebie pełnym rosy  
Żyją, by stopom twym przyświecać\*.

\* Przekład Ludmiły Marjańskiej.

Cisza. Nawet serce ucichło. Nawet wiatr. Ściskając złotą szpilkę, pocałowała Liama w rękę.

- Ogłaszam, że jesteście mężem i żoną - zabrzmiało zewsząd i znikąd zarazem.

I nagle zaczęła go całować, całować go, a między ośnieżonymi drzewami hasało echo radosnych okrzyków.

Doskonale, myślała. Idealnie.

Wtedy dostrzegła Milтона brnącego przez śnieg, jego niebieskawą, szybko poruszający się cień. Zobaczyła strzelbę w jego rękę, długą srebrzystą strzelbę z drewnianą kolbą, którą mocno ściskał, strzelbę i jego ponurą twarz - widziała, jak przykłada broń do ramienia.

Nie było czasu na ostrzegawczy krzyk. Na unik. Na ucieczkę.

Nie było czasu.

## 32.

Przeraźliwy krzyk ptaków w chwili wystrzału. Ogłuszający huk cichnący pośród trzepotu skrzydeł między drzewami. Nie poruszył się nikt.

Milton wypalił po raz drugi. I po raz trzeci. Pod Sarą ugięły się nogi. Zabrakło jej tchu. Idealnie. Wszystko szło tak idealnie i nagle... Liam ścisnął jej rękę.

- Nie bój się - szepnął.

- Hm?

Czwarty wystrzał. I coraz odleglejszy trzepot skrzydeł.

- To stary przesąd - wyjaśnił Liam ogrzewając oddechem jej policzek. - Karabinowa palba przepędzi złe duchy.

Sara niepewnie wypuściła powietrze.

- Przepędziła głównie ptaki.

- Roztrzepotane wrony... - wymamrotał Liam. - W dawnym Edinburghu młodzi mężczyźni czatowali za krzakami i żywopłotami. Gdy zbliżała się para nowożeńców, strzelali z muszkietów w powietrze. Nazywało się to *feu de joie*.

- Liam, śmiertelnie mnie wystraszyłeś! Mało brakowało i dostałabym ataku serca. Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? - Dała mu lekkiego kuksańca.

Liam wykrzywił usta w uśmiechu.

- Proszę, proszę. Oto i nasza pierwsza kłótnia.

Całując go poczuła, że wsuwa język do jej ust. Musnęła go swoim, lekko, leciuteńko, samym czubkiem, i gwałtownie przerwała pocałunek.

- Liam, wszyscy na nas patrzą!

Roześmiał się z figlarnymi ognikami w oczach.

- Poślubiłem nieśmiałą dziewczynkę. - Objął ją w talii.

- Nie jestem nieśmiała - zaprotestowała wesoło. - Zapomniałeś, że pochodzę z Indiany? Mieszkańcy środkowego zachodu potępiają publiczne demonstrowanie uczuć.

Przytulił ją i zbliżywszy usta do jej ucha, szepnął:

- A prywatnie?

Odwróciła się, żeby znowu go pocałować. Nie trafiła w usta i musnęła wargami policzek. To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, skonstatowała po raz setny. Biała, jedwabista suknia ślubna, a pod suknią trzepoczące serce. Czowała się tak lekko, że mogłaby wzbić się w powietrze i popłynąć nad gwarnym, zatłoczonym salonem. Płynęłaby i płynęła - może by już nigdy nie opadła na ziemię?

Przerwała im Mary Beth z małym aparatem fotograficznym w ręku. Obróciła Sarę dookoła i krzyknęła:

- Jeszcze tylko kilka! Wyglądasz tak pięknie.

Sara otworzyła usta w momencie, gdy błysnął flesz.

- Mary Beth! Wypstrykałaś już pięć rolek!

Flesz błysnął po raz wtóry. Sara zamrugała, oślepiąca na chwilę. Ludzie wokół niej tłoczyli się w gąszczu jaskrawo-żółtych kul.

Z tyłu dobiegał głos Liama, który opowiadał komuś o ich planach na najbliższe dni.

- Jedziemy do The Pines. Słyszałem, że jest tam cudowny stary hotel. Tylko na dwa dni. Nie. Na dłuższy pobyt nie możemy sobie pozwolić. W poniedziałek zaczynają się zajęcia.

Na dwa dni, pomyślała. Ale będą to dni cudowne. Spędzimy je tylko we dwoje. Nikogo tam nie znamy, z nikim nie będziemy rozmawiać. Prawdziwy raj.

Powoli odzyskiwała zdolność normalnego widzenia. Jak spod ziemi wyrosła przed nią Margaret. Pachniała gardenią, perfumami ciężkimi i ostrymi - jakby się za mocno skropiła, jakby się w nich wykapała. Objęła Sarę, przytuliła gorący policzek do jej policzka.

- Jestem taka szczęśliwa. I Liam... Nigdy nie widziałam, żeby był tak szczęśliwy!

Jeszcze jeden uścisk. Teraz otoczyła ją rodzina. Objęli ją, ściskali, przytulali, dotykali sukni, wznosili toasty, uśmiechali się, coś do niej mówili, gadali wszyscy naraz.

To takie cudowne być pępkiem wszechświata. I takie nie-zwykle.



Nie widziała Milтона, nie zauważyła go. Kiedy zdała sobie sprawę, że wciągnął ją w zasadzkę, było już za późno. Z czerwoną twarzą, z rozmazanymi oczami, z oddechem cuchnącym czymś mocniejszym niż wino, zapędził ją do lustrzanego korytarza.

- Jesteś piękna, panno młoda - wychrypiął z szerokim uśmiechem.

- Dzięki, Milton. Tak miło z twojej strony, że zechciałeś...

Przygniótł jej ramię swoją ciężką ręką.

- Jeśli pan młody zalezie ci za skórę, natychmiast wal do mnie.

Roześmiała się. Milton oczywiście żartuje.

- Mówię poważnie. Jeśli się nim zmęczysz... To znaczy... jeśli coś nie wypali. To jest... Cholera, sam nie wiem, co chcę powiedzieć. - Zamknął oczy i długo ich nie otwierał. Gdy wreszcie na nią spojrzął, wzrok miał trzeźwiejszy. Poglądził ją po ramieniu. - Klucz. Masz jeszcze ten klucz?

- Milton... - Wyjrzała zza jego wielkiego cielska, szukając Liama. Matka karmiła go ślubnym tortem ze swego talerzyka.

Na twarz Milтона wykwitł obleśny uśmiech.

- Czyżbym zapomniał ucałować pannę młodą? - I napał na jej usta swymi mokrymi, gąbczastymi wargami. Zbyt mocno, zbyt łakomie.

- Chyba nadszedł już czas, byśmy dosiedli naszego ruma-ka, żono. - Liam. Przyszedł jej na ratunek.

Milton cofnął się chwiejnie i z tym samym obleśnym uśmiechem popatrzył na Liama. Sara czuła na ustach smak jego ust. Biedny, samotny człowiek. Naprawdę mu na niej tak bardzo zależy?

Tego dnia nie potrafiła nikogo nienawidzić. Nie mogła nikogo potępić, nie, nie tego dnia. Przecież był to najszczęśliwszy dzień w jej życiu, dzień wyśniony, wymarzony, dzień, w którym kroczyła po lśniącym, utkany z klejnotów śniegu, by zostać żoną Liama.

- Jeśli chcemy dojechać na miejsce przed zapadnięciem zmroku, to już chodźmy - powiedział biorąc ją za rękę. Spojrzał na Cohna. - Nie wiem, jak ci dziękować, Milton.

- Szczęściarz - wymamrotał Cohn. Powiedział coś jeszcze,

ale Sara tego nie usłyszała, bo słowa zginęły pośród śmiechu i gwaru głosów w salonie.

Liam uściśnął Miltonowi dłoń i pociągnął żonę w stronę sypialni, gdzie zostawili płaszcz.

- Zaczekaj! Moja mama! Moi bracia! - Wyrwała mu się. - Muszę się z nimi pożegnać. Przyjechali z tak daleka.

Znowu uściski, znowu gratulacje. Zapewnienia, że od tego dnia będą w ściślejszym kontakcie. Pożegnanie z innymi gośćmi. I z Margaret. Poszukała wzrokiem Mary Beth, ale nigdzie jej nie było.

Wrócił Liam z płaszczem.

- Powinнам się przebrać! - wykrzyknęła. - Przemarznię!

- Włączę ogrzewanie w samochodzie - obiecał - na pełną parę. Przebierzesz się w hotelu. Wymknijmy się stąd, dobrze? Nie mogę się już uśmiechać, sparaliżowało mi twarz. Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Mój irlandzki czar diabli wzięli. Nie jestem w stanie być czarujący. Jeśli podejdzie do mnie ktoś jeszcze, jeśli mi pogratuluje i powie, że ze mnie szczęściarz, przysięgam, że zacznę gryźć! - Podał jej płaszcz.

Nałożyła go ze śmiechem i spytała:

- Przestałeś być czarujący? Ty? Nie pleć głupstw, Liam.

Położył jej rękę na ramieniu i poprowadził w stronę frontowych drzwi, lecz na końcu korytarza stanął Milton, odcinając im drogę ucieczki. Sara przytuliła się do męża. Cohn ruszył ku nim chwiejnie, sunąc ręką po wykładanej lustrami ścianie.

- Ciiii. Chodźcie tędy - szepnął chrapliwie. Przepchnął się z uśmiechem obok nich, otworzył boczne drzwi, czknął i przywarł do ściany, żeby zrobić im przejście. - Udanego miodowania, dzieciaki. - I znowu czknął.

Liam poklepał go po ramieniu i już byli na dworze. Sara głęboko odetchnęła. Czowała, jak rześkie powietrze chłodzi jej policzki, rozkoszowała się jego zimnem, świeżością i wspaniałością.

- Liam, spójrz! Pada śnieg! Jak cudownie!

Dobiegł ją trzask zamykanych drzwi. Owinęła rękami jego ramię i zmierzając w stronę zielonego volvo przed domem, zrobiła jeden krok, drugi...

Na jej włosy i czoło spadały leciutkie płatki śniegu. Wysunęła język, próbując złapać choć jeden z nich.

Dochodzili już do samochodu, gdy poczuła, że ramię Liama sztywnieje. Że cały sztywnieje. Zatrzymał się tak nagle i gwałtownie, że omal się nie przewróciła.

- Liam?

Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wrósł w ziemię z szeroko otwartymi ustami.

- Liam?

- Nie, tylko nie to. - Cicho jęknął. - Nie. Nie...

- Co się stało? - spytała ściskając jego ramię. - Liam, odpowiedz. Co się stało?!

### 33.

- Drzwi - wykrztusił w końcu.

Podniosła wzrok, by ujrzeć jego wykrzywioną z przerażenia twarz.

- Drzwi. Wyszliśmy bocznymi drzwiami. - Z trudem przełknął ślinę.

Sara gorączkowo myślała. Co w tym złego, że wyszli bocznymi drzwiami? Co w tym złego?

- Bocznymi drzwiami - powtórzył Liam. Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że nie jest sam. - Nie rozumiesz? Trzeba wyjść tymi samymi drzwiami, którymi się weszło. Nie można wyjść innymi.

- Ale... Przecież już wyszliśmy. Co to za różnica?

- Ogromna, Saro. Przeogromna. - Nagły smutek w jego głosie. - Weszliśmy frontowymi. I frontowymi musimy wyjść.

- No nie. Te twoje przesady są czasami zupełnie zwariowane! - wykrzyknęła wesoło, próbując rzecz zbagatelizować, zastanawiając się, dlaczego jest taki zdenerwowany, taki...

przerażony. - Czy to znaczy, że już do końca życia będę musiała pamiętać, którymi drzwiami wchodzę i wychodzę z domu?

Jakby jej nie słyszał. Z ponuro zmarszczonym czołem, z dziko rozbieranymi oczami, chwycił ją za rękę, pochylił się w sypiącym śniegu i pociągnął ją za sobą w stronę domu.

- Wyjdziemy jeszcze raz - mruknął. - Wszystko będzie dobrze. Wejdziemy od frontu i wyjdziemy tymi samymi drzwiami. Tak, doskonale. Doskonale.

- Ochchch. Ochchch.

Był taki lekki. Owinęła rękami jego szyję, przycisnęła do piersi jego rozpaloną twarz.

- Ochchch. Ochchch.

Wspaniały kochanek. Objęła go nogami. O tak. Bliżej, głębiej. Pragnęła, by do niej przywarł, by wniknął w nią bez reszty. Bliżej. Jeszcze bliżej.

I coraz szybciej, coraz gwałtowniej. Przytrzymała go, przylgnęła do niego całym ciałem i zaczęła poruszać się wraz z nim. Miał zamknięte oczy. I cichutko do siebie szeptał. Językiem, którego nie rozumiała.

- Ochchchch.

Plomień świec migotał i kołysał się na wszystkie strony - jakby towarzyszył ich miłosnym zmaganiom. Szesnaście świec. Dokładnie szesnaście białych świec. Liam wyjął je z torby i starannie rozstawił w hotelowym pokoju, mrocznym, trochę posępnym i pełnym przeciągów, za to wygodnym: zielonkawa tapeta na ścianach, ciężkie, ciemne meble i kalendarzowe malowidło ośnieżonych szczytów Alp nad wezglowiem łóżka.

- Dlaczego akurat szesnaście? - Zawrót głowy jeszcze nie minął, wciąż była podniecona, podekscytowana i rześka, i ani trochę nie zmęczona, mimo długiej podróży w sypiącym śniegu. Obserwowała jego twarz, jego skupioną twarz, ciemne, krzaczaste brwi nad głębokimi, brązowymi oczami. Był taki poważny. - Dlaczego nie sto? Dlaczego nie tysiąc?

- Liczba szesnaście to symbol mocy, Saro - odrzekł bez uśmiechu. - Czwartej mocy.

Podeszła za nim do komody, gdzie rozstawiał srebrne lichterze.

- Czwartej mocy? To znaczy, że jestem twoją czwartą żoną?

Daj spokój, Liam. Pożartuj ze mną. Nie bądź taki poważny. Lecz wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Jakby nie słyszał pytania.

- Ludzie mają po szesnaście zębów w szczęce. Uważasz, że to przypadek?

- No cóż...

- Cieśle stawiający dom wbijają ćwieki w szesnastocalowych odstępach.

Przesunęła ręką po jego piersi.

- Dzisiaj ty możesz być moim ćwiekiem.

Żart nie w jej stylu. Poczowała, że się czerwieni. Lecz Liam w końcu zareagował. Wcisnął ostatnią świecę do lichtarza i podniósł wzrok.

- Musimy się kochać, dopóki się nie wypalą.

Pocałowała go w policzek i zachichotała.

- Bardzo chętnie.

Nadal się nie uśmiechał. Objął ją, przytulił i pocałował z zaskakującą żarliwością.

A potem szepnęła, pieszcząc jej ucho gorącym oddechem:

- Chcę mieć dziecko, Saro. Jak najszybciej. Chcę, żebyśmy mieli dziecko. Piękne dziecko. Ty też tego pragniesz? - Rozpalonym policzkiem przywarł do jej policzka.

Nie była zaskoczona. Spodziewała się tych słów, czekała, aż je wypowie, bo myślała o tym od wielu tygodni. O jego dziecku. O ich dziecku.

- Liam, pragnę tego samego co ty.

Z ust wyrwał mu się okrzyk radości. Znowu ją pocałował, pocałował ją z taką czułością...

Zapalenie wszystkich świec trwało kilka minut. Nie chciał, żeby mu pomagała. Chodził z zapalką od świecy do świecy i monotonna mruzczał. Jakby... mantrował?

Pierwszy raz kochali się jeszcze nie do końca rozebrani. Rzucili się na siebie bez tchu, cicho jęcząc, posapując, dźgał się i popychał z agresywnością, która ją zaskoczyła. Kochali

się wiele razy, ale nigdy dotąd nie był to akt tak bardzo fizyczny...

I tak krótki - świece nie skurczyły się nawet o milimetr.

Leżeli złączeni. Liam opadł na Sarę i przytknął usta do jej ucha.

- Jestem taki szczęśliwy - szepnął.

Przeszedł ją rozkoszny dreszcz.

Chciała odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie wpił się w jej usta. Całował mocno, z zapamiętaniem.

Chwilę później zaczęli kochać się znowu. Tym razem wolniej, z pasją, ale jakby stateczniej. Płonęły świece, na wysokim suficie płąsały cienie. Sara przywarła do Liama, wsłuchując się w niskie, dziwnie brzęczące i syczące dźwięki, które z siebie wydawał.

- Liam, to po celtycku? - szepnęła.

Nie odpowiedział. Z zamkniętymi oczami, z lekkim uśmiechem na ustach, poruszał się w niej, cicho mamrocząc.

- Po celtycku? To takie piękne. Ale co ty właściwie mruoczesz, kochanie?

Jakby jej nie słyszał.

## 34.

Otworzyły się drzwi i Garrett oderwał wzrok od słownej układanki.

JOKOSINEP. Powinno być łatwe. Tylko nie mógł się skoncentrować. Ciągle wracał myślą do porannej kłótni z Angel.

Kłótni? Nie. Tyrady? Tak.

No i Angel miała, oczywiście, rację. To go zawsze dobijało, jeszcze bardziej go rozwścieczało. To prawda, że ostatnio nie miał czasu dla Martina. To prawda, że nie miał czasu dla Angel.

Ale zaraz, chwila. Może byś tak trochę odpuściła, co? Dobrze

wiesz, że mam na łbie trzy morderstwa. Trzy nierozwiązane morderstwa. Balowałem? Łaziłem po przyjęciach? Przespałem spokojnie choć jedną noc? Byłem w stanie zjeść choćby jeden posiłek? Byłem w stanie normalnie myśleć? A przynajmniej usiąść i spróbować trzeźwo pomyśleć? Miałem dla siebie choć jedną chwilę albo... albo...

Spokojnie, człowieku.

Wszystko naprostujesz. Wszystko będzie, jak trzeba. Tylko spokojnie.

JOKOSINEP.

Jokosinep. Jak nazwa lekarstwa.

Tak, Garrett, grunt to nie dać się zwariować. Spokojnie, tylko spokojnie.

Spokojnie.

Tak jest! Właśnie tego słowa szukałem!

Podniósł długopis, wpisał litery do kóleczek i w tej samej chwili do pokoju wszedł Ethan. Nisko naciągnięta czapka zasłaniająca łysinę, poważny wyraz twarzy - Ethan wprowadził do środka młodego chłopaka w żółtym swetrze.

Facet wygląda jak ołówek, pomyślał Garrett, nerwowo bębniąc palcami w blat biurka i uważnie obserwując gościa. Wysoki, chudy, wiotki jak trzcina. Żółty sweter. Niska, brązowa czapka na czubku spłaszczonego owalu głowy.

Do obrazu nie pasowały szybko mrugające oczy, niespokojne i rozbiegane. Chłopak ma osiemnaście, góra dziewiętnaście lat, skonstatował. Najprawdopodobniej studenciak. Zerknął na jego dłonie. Były czyste i gładkie. Tak, to na pewno student college'u. Paskudna cera. W ogólniaku musiał mieć trądzik. W jego prawym uchu lśnił maleńki srebrny kolczyk.

Chłopak nerwowo odchrząknął. Raz i drugi.

Garrett odsunął gazetę i pochylił się nad biurkiem.

O nie, pomyślał, widząc, jak student przystaje w progu, by z wahaniem ruszyć za Ethanem. Nie, błagam, tylko nie to. Tylko się nie przyznawaj.

Jak dotąd było ich trzech, trzech „winnych”, trzech fałszywych morderców, a każdy następny bardziej pożałowania godny i śmieszniejszy od poprzedniego.

Co tych idiotów do tego skłaniało? Dreszczyk emocji? Desperacka potrzeba zwrócenia na siebie uwagi? Chorobliwe pojęcie chwały?

Doszedł do wniosku, że najlepiej zostawić tę sprawę psychiatrom, duszołapom. Pragnął tylko jednego: żeby ci psychopaci poszli sobie precz. Żeby omijali jego posterunek.

- Mamy coś, Garrett - wybełkotał Ethan. Od kilku tygodni mówił kącikami ust, jakby pod językiem tkwiła mu gula tytoniu do zucia. Garrett domyślał się, że podwładny usiłuje naśladować głos bezlitosnych twardzieli, filmowych gliniarzy, których ciągle oglądał w telewizji. Ale nic mu z tego nie wychodziło, a zrozumieć go było coraz trudniej.

Nie odrywając wzroku od młodzieńca, przyjrzał się jego bladej, dziobatej twarzy.

- Słucham, synu. W czym możemy ci pomóc?

Chłopak odchrząknął po raz trzeci.

Garrett wskazał mu drewniane krzesło obok biurka. Student usiadł, położył ręce na kolanach i splótł dłonie.

- Mówi, że coś widział - wymłaskał Ethan. - W nocy, kiedy popełniono ostatnie morderstwo.

Naoczny świadek?

Garrett poczuł, że tężeją mu mięśnie. Wyprostował się i spytał:

- Jak się nazywasz, chłopcze?

- Craig Kline.

- Studiujesz w college'u?

Kline kiwnął głową i wepchnął ręce do kieszeni dzinsów.

- W przyszłym roku robię dyplom.

- Widziałeś to morderstwo, synu?

- Nie! - wykrzyknął piskliwie w stanowczym proteście.

Garrett patrzył mu w oczy, mówił cicho i spokojnie, cierpliwie szukając odpowiedzi na jedno pytanie: łże czy mówi prawdę?

To pytanie zadawał sobie podczas rozmowy ze wszystkimi, którzy go tu odwiedzali. Musiał na nie odpowiedzieć w pierwszej kolejności.

- W takim razie powiedz, co widziałeś.

- Byłem na kampusie. W środę wieczorem. Przechodziłem



przez Krąg. W drodze z biblioteki, gdzie miałem trochę roboty. - Tę część wypowiedzi musiał starannie przećwiczyć, bo jakby ją recytował.

Co jeszcze nie znaczyło, że kłamię.

- Noc była ciemna, mglista. Dobrze to pamiętam, ponieważ latarnie na Kręgu rzucały żółtawe, lekko migotliwe światło.

- Bardzo poetyckie - mruknął oschle Garrett. - Robisz dyplom z literatury angielskiej czy co?

Kline spąsował.

- Przepraszam.

- Wystarczy, jak powiesz detektywowi Montgomery'emu, co widziałeś - poganiał go Ethan. Stał przy drugim biurku, opierając się o nagi wieszak na ubrania.

Kline potarł nos.

- Najpierw usłyszałem krzyk.

- Krzyk dziewczyny? - spytał Garrett.

Kline kiwnął głową.

- Tak. Bardzo głośny. Przerażliwy. Ale krótki. Raptem ucichł. Ktoś krzyczał i nagle przestał.

- Widziałeś tę dziewczynę?

- Nie. Szukałem jej. To znaczy, kiedy usłyszałem krzyk, rozejrzałem się dokoła, żeby sprawdzić, skąd dochodzi. Ale było za ciemno. Nikogo nie widziałem.

Przylazł tu, żeby powiedzieć, że nic nie widział? - przemknęło przez myśl Garrettowi. Cierpliwości.

- Co zaszło potem, panie Kline?

- Potem zobaczyłem mężczyznę w przebraniu. Pędził wzdłuż jałowców koło Weaver Hall.

Garrett czuł, że serce bije mu coraz szybciej. Zmrużył oczy i przeszył studenta badawczym spojrzeniem.

- W przebraniu? W jakim przebraniu?

- Był przebrany za potwora - odrzekł Kline. - Miał na sobie strój... strój potwora. Biegł alejką, potem skręcił i zniknął za jałowcami.

- O rany... - Ethan zagwizdał. Ze zdziwienia? Z niedowierzania? - Dziwne, co?

Garrett nie zwrócił na niego uwagi. Wciąż świdrował wzrokiem Kline'a.

- Możesz ten kostium opisać?

Kline'owi zaschło w gardle. Głośno przełknął ślinę i odrzekł:

- Zbyt dobrze nie widziałem, ale pamiętam, że maska miała świecące ślepia. Czerwone, świecące ślepia. I długie, spiczasto zakończone zęby.

- A reszta kostiumu?

- Była włochata. No wie pan, jakby zrobiona z futra. Z ciemnego futra. Zresztą, dokładnie nie widziałem, było za ciemno i w ogóle... - Kline zamilkł i spuścił oczy.

- Bomba - mruknął Ethan kręcąc głową. - Facet przebrany za potwora.

Garrett zamknął oczy i wyteżył umysł. Czy w mieście jest jakiś sklep z teatralnymi kostiumami? A może w pobliżu kampusu otworzyli sklepik z... jak im tam? Z takimi śmiesznymi duperelami?

Nie pamiętał, ale chyba nie.

- Ethan, jest tu jakiś sklep z kostiumami? Z karnawałowymi przebraniemami? Może z maskami?

Ethan przytknął rękę do małego podbródka.

- Zaraz... Przed świętym zmarłych można je dostać w supermarkecie w centrum miasta. I w niektórych drogeriach. To by było na tyle, komendancie.

Garrett jęknął.

- Sprawdź to. I zjrzyj do tego faceta na Dziesiątej ulicy, który wypożycza kostiumy na szkolne przedstawienia teatralne. - Spojrzał na Kline'a. - To morderstwo popełniono przed kilkoma tygodniami. Dlaczego przychodzi pan do nas dopiero teraz?

Student odchrząknął. Jego bladoniebieskie oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Bałem się.

- Bał się pan?

- Bałem się, że mi nie uwierzycie. Po tym, co pokazywali w telewizji... No wie pan, przestałem wierzyć samemu sobie.

Garrett nachylił się ku niemu.

- W takim razie dlaczego pan przyszedł? - Miał chłopaka na haczyku, nie popuszczał, badał go, cały czas go badał.

- Nie mogłem przestać o tym myśleć. Wiedziałem, że muszę przyjść, że tak trzeba. Widziałem pana w telewizji. Prosił pan o wszelkiego rodzaju informacje, więc...

Chryste, jakie to żalosne, pomyślał Garrett. Gliniarz błagający o pomoc to koszmarnie żalosny widok.

Ale co mógł zrobić?

Obiektyw kamery omal nie wyłupał mu oka, mikrofony omal nie wybiły mu zębów, więc co? Miał powiedzieć: „Słuchajcie, drodzy państwo, nie mamy zielonego pojęcia, co jest grane. Znaleźliśmy kilka odcisków palców, które przypominają malunek Salvadora Dali, i nic więcej. Popołniono trzy odrażające morderstwa, a my nie dysponujemy żadnym innym śladem”.

Nie, tego powiedzieć nie mógł.

Dlatego błagał o pomoc. A dwa dni po Świącie Dziękczynienia przychodzi do niego chudy jak szczapa student i opowiada o facecie przebranym za włochatego potwora.

Westchnął i odchylił się do tyłu.

- Dziękuję, że pan do nas przyszedł, panie Kline. - Podniósł ołówek i wycelował nim w Ethana. - Przejdź z panem do drugiego pokoju i spisuj zeznania, dobra?

Wielkie jabłko Adama na szyi Ethana gwałtownie podskoczyło i opadło.

Kline szybko wstał i obciągnął rękawy żółtego swetra. Ruszył za Ethanem, ale w progu odwrócił się i spytał:

- Wierzy mi pan?

Garrett pośpiesznie kiwnął głową, bawiąc się ołówkiem.

- Tak, oczywiście. Wierzę panu.

Dlaczego nie miałbym wierzyć w potwory? Po tych trzech morderstwach?

## 35.

Wzięła z półki główkę sałaty i lekko ją ścisnęła. Szkoda, że to nie twoja głowa, Liam.

Nie, bzdura. Co ja gadam?

Już nie jestem zła.

Wrzuciła sałatę do sklepowego koszyka.

Tak, pokłóciliśmy się, no i co z tego? Głupia sprzeczka. Nawet nie sprzeczka. Ot, wymieniliśmy kilka ostrzejszych słów.

Wielkie meczyje.

Włożyła do koszyka dwie żółte papryki i poszła dalej, do ogórków.

Wszyscy nowożeńcy się kłócą. Inaczej nigdy by się dobrze nie poznali.

Przygryzła dolną wargę. Byli małżeństwem ledwie od dwóch tygodni, a jego przesady już zaczęły doprowadzać ją do szału.

Nie. Nie mów tak, skarciła siebie w duchu.

Ale ciągle nie mogła zapomnieć o porannym incydencie. No i co z tego, że wstała z lewej strony łóżka? No i co z tego, że zapomniała powiedzieć: „Na zdrowie”, gdy Margaret kichnęła?

Czyż nie powinni sprzeczać się o coś bardziej interesującego?

Czyżby nie miał na głowie rzeczy ciekawszych niż pilnowanie, żeby wstawała z prawej strony łóżka?

Rano zadała mu te wszystkie pytania. I co? I nic. Zaczął fukać i prychać, tylko go rozsierdziła. Dobra, jest przesądny, i to bardzo. Z jakiegoś powodu wierzy w te wszystkie głupstwa. Świetnie. Ale są pewne granice.

Liam, jak możesz robić mi awanturę tylko dlatego, że według mnie to kupa bzdur?

I ta Margaret. Siostrzyczka Margaret, która przysłuchiwała się kłótni z płaczącym wyrazem twarzy. Taka spokojna, taka

cichutka, jakby jej tam wcale nie było, jakby chciała wniknąć w tapetę na ścianie.

Margaret była troskliwa. Miła. I pomocna. Usilnie próbowała nie wchodzić im w drogę. Większość czasu spędzała w swoim sklepiku z antykami obok piekarni albo na górze, u siebie. Pojawiała się tylko na posiłki lub wtedy, gdy Liam ją zapraszał.

Tak, była bardzo taktowna. Tylko że Sara ciągle czuła na sobie jej wzrok, czuła jej obecność w domu, obecność tej trzeciej osoby, tymczasem powinni być tylko we dwoje, tylko we dwoje klócić się i sprzeczać o błahostki, jak to nowożeńcy, by zaraz potem przeprosić się za ostre, wypowiedziane w złości słowa.

Cały czas o tych słowach myślała, i podczas seminarium, i w bibliotece, gdzie próbowała zbierać materiały do pracy semestralnej. Przeciwczyła wszystko, co zamierzała mu powiedzieć.

I doszła do wniosku, że mu tego nie powie. Ostatecznie nie stało się nic takiego.

Poczuła wyrzuty sumienia, że tak to rozdmuchała. Że tak źle o nim myślała. O nim, o Liamie. O swoim mężu. O swoim cudownym mężu.

Dlatego postanowiła zrobić kolację. Specjalnie dla niego.

Od powrotu z dwudniowej podróży poślubnej oboje byli bardzo zajęci. Codziennie jedli pizzę, chińszczyznę na wynos albo wpadali do któregoś z barów na kampusie, żeby coś przekąsić.

Praktycznie rzecz biorąc, nie mieli dla siebie ani jednego wieczoru, ani jednej chwili. Mało tego, zanosilo się na to, że nie znajdą dla siebie czasu ani dzisiaj, ani nazajutrz: dziś wieczorem szli na studenckie przedstawienie „Makbeta”, a jutro Milton wydawał przyjęcie na cześć nowożeńców.

Milton zrobił dla nich tak dużo - przecież brali ślub w jego domu - i nie musiał wydawać uroczystej kolacji. Ale bardzo nalegał, byłby urażony, gdyby odmówili. „Nie było czasu na kolację przedślubną - oświadczył swoim chrapliwym głosem, ocierając lśniąca, czerwoną twarz. - Dlatego wydam ją po ślubie”.

Doszła do wniosku, że niezwykle szczodry z niego człowiek.

Sięgnęła po butelkę sosu do sałatek, ale natychmiast opuściła rękę. Nie. Sama zrobię sos. I całą resztę. Od początku do końca. To będzie moja pierwsza domowa kolacja.

Przyrządę ją nie dlatego, że mam wyrzuty sumienia, Liam, nie. Chcę ci udowodnić, że nie jestem ot, zwykłą studentką. Jestem prawdziwą żoną.

Scampi z krewetkami. Ryż ze szpinakiem. Do tego ozdoba sałatka. Tak.

Krewetki kupiła w rybnym na Dale. A teraz chodziła po małym supermarkecie, dobierając składniki i przyprawy, których potrzebowała do sałatki.

Stawiając koszyk przy kasie, zerknęła na zegarek. Prawie wpół do szóstej. Miała mnóstwo czasu. Zdaży przygotować kolację i przebrać się w coś eleganckiego - wszak wybierali się do teatru - zanim Liam wróci do domu.

Zapłaciła i z brązową, wypchaną torbą w ramionach wyszła na High Street. Nuciała radosną melodyjkę - była szczęśliwa.

Robię kolację dla męża.

Mąż. Słowo brzmiące tak obco. Obco i staromodnie.

Do domu miała niedaleko. Z północy wiał zimny grudniowy wiatr, który potrząsał nagimi drzewami przed kampusem. Przełożyła torbę do lewej ręki.

Zacznę od krewetek. Potem zrobię sałatkę.

Ale będzie miał minę! Nie mogę się już doczekać. „Saro, ty umiesz gotować!? Zrobiłaś kolację specjalnie dla mnie?”

Nie. Nawet Liam by tak nie powiedział.

Właściwie to nie wiedziała, co powie. Nie sposób tego przewidzieć. Mąż był jednym z najbardziej zagadkowych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała.

I jednym z najblyskotliwszych.

Ucieszy go moja mała niespodzianka. To mogę przewidzieć na sto procent!

Skręciła za róg i zobaczyła swój dom. Silny podmuch wiatru omal nie wyrwał jej torby z rąk. Minęły ją dwie dziewczyny, które znała z kampusu. Grube wełniane szale na szyi,

zaczzerwienione twarze - pochylone, szły szybko, walcząc z zimnym, agresywnym wiatrem.

Niskie schody, drzwi - postawiła torbę z zakupami i zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu kluczy. Potarła nos. Zdrętwiał z zimna. Przekręciła klucz w zamku i weszła do korytarza, ciesząc się, że tak tam ciepło.

Oparła torbę o piersi i ruszyła prosto do kuchni. Postawiła torbę na stole i dopiero wtedy zauważyła... Margaret.

Krzętała się przy kuchence. Mieszała w parującym garnku.

Margaret odwróciła się. Posłała jej uśmiech.

- Cześć, Saro! - Spojrzała na brązową torbę i przestała się uśmiechać. - Co tam masz?

- Zakupy - odrzekła Sara czując, że ściska ją w piersi, że wciąż otacza ją grudniowy chłód, że się wokół niej unosi, że się wokół niej kłębi. - Myślałam, że...

- Wróciłam trochę wcześniej - powiedziała Margaret - i ugotowałam pyszny gulasz. Ulubione danie Liama.

- Ale... - Sara urwała, zabrakło jej tchu.

Margaret znowu spojrzała na torbę z zakupami. I wreszcie do niej dotarło.

- Och, Saro, przepraszam. Chciałaś przygotować kolację, tak? Nie wiedziałam. - Wyjęła z garnka długą metalową łyżkę, położyła ją na kuchence, podeszła do Sary, objęła ją i z przepaszającą miną szepnęła: - Przepraszam, kochanie, tak mi przykro. Powinnaś była mnie uprzedzić.

Sara poczuła się jak dziesięcioletnia dziewczynka. Poczuli się bardzo głupio.

Margaret obejmowała ją jak matka obejmuje skrzywdzone dziecko.

Nie, to nie w porządku. Margaret jest taka miła, taka dobra. To nie jej wina. Przecież nie zrobiła nic złego.

Na pewno czuje się teraz okropnie. Przeze mnie.

- Nie szkodzi - powiedziała siłąc się na uśmiech. - Włożę krewetki do lodówki. Zjemy je w niedzielę. - Wzięła głęboki oddech. - Mmmmmm, jak cudownie pachnie. W zimny wieczór nie ma nic lepszego niż gulasz.

Odgłos szybko zbliżających się kroków. Spojrzała w stronę drzwi. W progu stanął Liam w rozpiętej kurtce.

- Kogo ja widzę! Moje ukochane kobiety! Wróciłem trochę wcześniej. Co mamy na kolację?

- Podobało mi się - powiedziała Margaret wychodząc za Sarą na chodnik. - Cudownie jest tak siedzieć i słuchać szekspirowskiego języka. - Podmuchał wiatr wyduł jej płaszcz. Poły zatrzepotały jak żagiel. Chwyła je, przyciągnęła do siebie i zaczęła zmagać się z guzikami. - Coś takiego. Ale zimnica...

Liam zatrzymał się, żeby porozmawiać z jedną ze swoich studentek, dlatego wychodzili z Ayers Hall jako ostatni. Przez otwarte drzwi Sara widziała przygasające w sali światła. Publiczność dopisała. Przyszli głównie studenci, asystenci i wykładowcy, którzy parami, trójkami i czwórkami rozchodzili się teraz po Kręgu, zmierzając do akademików, restauracji, barów lub domów.

Za rogiem gmachu dęło jak podczas burzy. Sara postawiła kołnierz kurtki. Wiatr rozwiewał jej włosy, szarpał je na wszystkie strony. Liam ciągle jeszcze stał przed wejściem do audytorium, rozmawiał gestykując obiema rękami. Studentka, dziewczyna w obszernym futrze z szopów, które musiało należeć do jej babki, śmiała się piskliwie.

- Lady Makbet była wspaniała, prawda? - Margaret podeszła bliżej, próbując uciec od wiatru. Nagie drzewa na Kręgu trzeszczały i postękiwały. - Bardzo wiarogodna, pełna ekspresji. Uważam, że ta dziewczyna ma prawdziwy talent.

- Tak, na pewno - zgodziła się z nią Sara, nie spuszczając oczu z Liama. - I ta krew na jej rękach. Znakomity efekt. Bardzo mi się podobało.

Margaret skrzywiła się.

- Chyba trochę przesadzili. I szkoda, że zapadnia im nawaliła. To było takie rozprasające. Współczułam tym biednym dzieciakom, które...

- To pechowa sztuka - przerwał jej Liam, podbiegając do nich z rękami w kieszeniach czarnego paltka. - Wiecie, że to pechowa sztuka? - Uśmiechnął się do Sary i poprawił kołnierz jej kurtki. - Cięży na niej kłątwa. Znacie tę historię? Aktor, który miał grać główną rolę w prapraprapremierze, zmarł



w przeddzień przedstawienia. Biedaczysko. Nie dane mu było zagrać. Powiadają, że od tamtej pory jego duch nawiedza teatry wystawiające tę sztukę. Przesądni aktorzy niechętnie w niej występują.

- Wszyscy aktorzy są przesądni, i kropka - odrzekła Margaret.

Światła w audytorium zgasły. Na chodniku pociemniało jeszcze bardziej.

- Ci, co występują - mówił dalej Liam, biorąc Sarę pod rękę - nigdy nie wymawiają jej tytułu. Dla nich to „Szkocka sztuka”, wiecie o tym? Tylko tak o niej mówią.

On też nie wymówił tytułu, skonstatowała w duchu Sara.

- I o tym opowiadałeś tej studentce? - spytała zgryźliwie Margaret. - Była zafascynowana.

Liam uśmiechnął się.

- Ona uważa, że to ja jestem fascynujący.

Sara dała mu kukuśnia.

- Pewnie wszyscy tak uważają, hę?

Parsknął śmiechem.

- A co? Zaprzeczysz temu?

Wzięły go pod ręce i ruszyli w stronę High Street. Ledwo uszli kilka kroków, gdy ktoś wbiegł na alejkę.

Sara początkowo go nie zauważyła, bo wychyliła się zza Liama, żeby odpowiedzieć Margaret. Liam pociągnął ją za rękę, chcąc ominąć nieznanego.

Ale młody człowiek zaszedł im drogę.

Sara rozpoznała go dopiero w tym momencie.

- Chip! Co ty tu robisz?!

W mdła wy m świetle latarni jego niebieskie oczy srebrzyście błyszcząły. Zmrużył je, próbując zatrzymać wzrok na niej. Jasne, zmierzwione wiatrem włosy stały dęba. Miał na sobie rozpiętą skórzaną kurtkę i zaplamiony golf.

- Saro... - Rzucił się chwiejnie w jej stronę z przymkniętymi oczami i z dziwnym, zupełnie niepasującym do okoliczności uśmiechem na twarzy. - Saro... - Przystał się uśmiechać.

- Chip, proszę cię!

Chip wskazał Liama.

- Saro, spójrz na niego! - Wyciągnięta ręka wędrowała w górę i w dół, jakby nie mógł nad nią zapanować. On jest dla ciebie za stary!

- Chip...

Liam zeszytniał. Chwycił Sarę za rękaw kurtki.

- Znasz go? - spytał z naganą w głosie.

- Mógłby być twoim ooo... ojcem! - wykrztusił Chip, pokazując palcem w jego stronę.

- Odejdź, Chip. - Wypowiedziała te słowa cicho, lecz stanowczo. - Odejdź.

Chip utkwił spojrzenie w twarzy Liama.

- Twoim ooo... ojcem - powtórzył z nachmurzonym czołem. - Nie szukam kłopotów, Saro. Przyjechałem ci pomóc. Przyjechałem ci ostrzec! Nie wiesz, co robisz. Nie wiesz...

- Odejdź, Chip. Pięś - rzuciła przez zaciśnięte zęby, czując, że sztywnieją jej wszystkie mięśnie. Nie, to nie dzieje się naprawdę, to niemożliwe.

Zauważyła, że Margaret schodzi z alejki. Miała ściągniętą twarz. Ze strachu? Z dezaprobaty?

- Staruch i mmm... młoda dziewczyna - wyjąkał Chip wpatrując się w Liama zażawionymi oczami. Wiatr rozwiewał mu włosy.

- Chip, błagam cię... - Sara usiłowała mówić cicho i spokojnie.

Liam zrobił krok do przodu.

- Sara nie chce teraz z panem rozmawiać. - Położył rękę na jego ramieniu.

Chip szarpnął się gwałtownie, tak gwałtownie, że zachwiał się i omal nie upadł.

- Łapy przy sobie! - Próbując odzyskać równowagę, runął prosto na Liama.

Liam podtrzymał go za klapy kurtki.

- Odprowadzić pana do domu? Musi pan to przespać.

Chip zaprotestował chrapliwym okrzykiem i łypiąc dziko spoode łba, szarpnął się do tyłu. W kąciку ust błyszczała mu ślina.

Nigdy w życiu nie byłam tak zażenowana, pomyślała Sara. Jak ja to wytłumaczę Liamowi?

- Ostrożnie, Liam - ostrzegła Margaret stojąc na trawniku kilka kroków za nimi; ręce skrzyżowała na piersiach, jak w obronnym geście.

- Ostrożnie, Liam - przedrzeźniał Chip, piskliwie chichocząc. Wyprostował się, poprawił kołnierz kurtki i już bez uśmiechu na twarzy spojrzał na Sarę.

- Odejdź, Chip! - krzyknęła.

W jego niebieskich oczach zamigotało światło latarni przy alejce.

- Wiem, dlaczego twój profesorek musiał wyjechać z Chicago.

Liam zmarszczył czoło, zerknął na Sarę. Zaciśnął pięści i zrobił krok w stronę chłopaka.

- Chcesz wiedzieć dlaczego? - szydził Chip głosem cztero-latka. - Chcesz wiedzieć, dlaczego twój mężulek musiał wyjechać z Chhh... Chhicago?

Sara zamknęła oczy. Pragnęła zatkać sobie uszy. Nie, to nie dzieje się naprawdę. Proszę. Proszę, niech on zniknie!

Lecz kiedy rozwarła powieki, Chip wciąż stał przed nią i uśmiechał się oblesnie.

- Chcesz znać prawdziwy powód? - spytał.

Liam skoczył do przodu. Margaret wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. Liam chwycił chłopaka za ramiona. Gwałtownie go obrócił. I poprowadził przed sobą.

Chip głośno protestował. Sara nie słyszała odpowiedzi Liama. Na szczęście Chip nie stawiał oporu, nie usiłował walczyć. Raz się potknął, ale Liam go podtrzymał. Szli w kierunku ulicy - Liam prowadził chłopaka szybko i zdecydowanie.

Margaret podeszła cicho do Sary i ścisnęła jej rękę. Miała lodowato zimną dłoń.

- To twój eks? - spytała szeptem.

Sara kiwnęła głową.

- Przyjechał... przyjechał za mną z Nowego Jorku. Nie mogę uwierzyć, że aż tak ześwirował. Przecież wie, że wyszłam za Liama. Co on tu jeszcze robi?

Liam wrócił, trzymał ręce w kieszeniach palta. Jego twarz miała poważny wyraz.

- Mały dramat z życia wzięty - mruknął patrząc na Sarę. - Ale do Szekspira się nie umywa.

Sara potrząsnęła głową.

- Przepraszam, bardzo przepraszam.

Twarz Liama złagodniała.

- To nie twoja wina. A więc to jest Chip, he? Znakomicie mi go opisałaś. Jest naprawdę czarujący.

Sara westchnęła.

- Tak mi przykro.

Liam zachichotał.

- Kiedy przedstawiś mi resztę swoich przyjaciół? Nie mogę się już doczekać.

- Daj jej spokój - mruknęła Margaret. Zadrżała i szczerliwie owinięła się płaszczem. - Przez ciebie najadłam się strachu. - Skarciła brata wzrokiem. - Bohater.

Liam wzruszył ramionami.

- Kiedy adrenalina mi buzuje...

- Jeszcze raz was przepraszam - powtórzyła Sara, biorąc męża pod rękę. - Nie mam pojęcia, jak nas znalazł. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, dokąd dzisiaj pójdziemy.

Liam poklepał ją po dłoni.

- Nic się nie martw. Był zbyt pijany, żeby zrobić komuś krzywdę. - Posłał jej uśmiech. - Wiesz co? Sam bym się chętnie napił. Kieliszek czegoś mocniejszego dobrze by mi zrobił.

Szli w kierunku Yale Avenue, Sara na drżących nogach. Ciągle miała przed oczami ślinę w kąciku ust Chipa. Nagle przystanęła i spojrzała na Liama.

- O czym on mówił? Dlaczego wyjechałeś z Chicago? Natychmiast się do niej uśmiechnął.

- To oczywiście: żeby spotkać ciebie.

Margaret poszła na górę. Sara usadowiła się na sofie w salonie. Liam rozlał porto. Podając żonie kieliszek, usiadł obok, objął ją wolną ręką i szepnął:

- O mój Boże. Przemarzałaś. Wypij to. Wino cię rozgrzeje.

Upiła łyk, czując, jak czerwony płyn pali ją w gardle. Upiła jeszcze jeden i oparła głowę na ramieniu męża.

Opowiedział jej o „Henryku V”, o swoim pierwszym w życiu „Szekspirze”, którego wystawiano w małym teatrze studenckim, gdy miał szesnaście lat. Mówił, że był zaskoczony tym dziwnym językiem, sfrustrowany tym, co zrozumiał, i tym, czego zrozumieć nie mógł, trawiony chęcią poznania, pragnieniem przetrwania całej sztuki, każdej linijki, każdego słowa, wszystkiego naraz.

Sara słuchała go jednym uchem, kiwając z uśmiechem głową i popijając rozgrzewający trunek. Myślała o Chipie. Nie mogła pozbyć się uczucia zażenowania, nie mogła pozbyć się ciekawości.

Czy Chip naprawdę wiedział coś o Liamie, czy tylko próbował się na niej zemścić?

Liam pochylił się, żeby ją pocałować, ale przytknęła mu dwa palce do ust.

- Dlaczego wyjechałeś z Chicago? - Musiała go o to zapytać, po prostu musiała. - Czy Chip się tylko wygłupiał, czy...

Czule odsunął jej palce.

- Mówiłem ci, że...

- Nie. Bądź ze mną szczery, Liam. Powiedz. Tak mało wiem o tobie. Dlaczego wyjechałeś z Chicago? - Żartobliwie dźgnęła go palcem, uśmiechnęła się z udawaną złośliwością. - Z powodu jakiegoś głośnego i pikantnego skandalu?

Jego ciemne oczy straciły blask. Wykrzywił usta, uciekł wzrokiem w bok.

- Nie chcę cię narażać na wysłuchiwanie wspomnień z tragicznej przeszłości.

Natychmiast pożałowała swych niewinnych żartów.

- Z tragicznej przeszłości?

Zawahał się. Popatrzył na nią w zadumie, próbując przewidzieć jej reakcję, jeśli zdradzi swą tajemnicę.

- Liam, jeśli nie będziemy sobie nawzajem ufać... - Nie dokończyła.

Westchnął.

- Musiałem stamtąd wyjechać. Nie wiem, co odkrył twój przyjaciel. Jeśli w ogóle coś odkrył. I nie wiem, dlaczego o mnie wypytywał.

- Tak mi przykro z powodu Chipa...
- Poznałem tam pewną kobietę. Miała na imię Angela. To przez nią musiałem wyjechać. - Wyrzucił to z siebie jednym tchem, patrząc jej w oczy, sondując ją wzrokiem.
- Dlaczego tak się tym gryzie? Nie wie, że go kocham? Angela z Chicago - co mnie obchodzi jakaś Angela?
- Liam...
- Nie, pozwól mi dokończyć. Angela była moją asystentką, właściwie tylko maszynistką: przepisywała rękopisy moich dwóch ostatnich książek. Była starsza od ciebie, miała prawie tyle samo lat co ja. Romans... Wytarte słowa. Brzmią tak banalnie. Trwało to prawie dwa lata. I skończyło się bardzo źle.
- Sara czule potarła głową o jego ramię. Liam był taki zde nerwowany. Czyżby ciągle mu na tej kobiecie zależało? To dlatego zachowuje się tak dziwnie, tak nienaturalnie?
- Zerwałem z nią - mówił dalej, odwracając głowę. - Uświadomiłem sobie, że to prowadzi donikąd. Sądziłem, że Angela doszła do tego samego wniosku. Ale chyba jej nie doceniałem. To znaczy, nie doceniałem głębi jej uczuć. Przeżyła... przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego.
- Tak mi przykro - szepnęła Sara.
- Wzruszył ramionami.
- Musieli ją zabrać do szpitala. Nie wiedziałem, jak zareagować. Czulem się koszmarnie, miałem wyrzuty sumienia. Ale po jakimś czasie zrozumiałem, że całe to załamanie jest tylko podstępą grą. Nie chciała, żebym odszedł, pragnęła zatrzymać mnie przy sobie. Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że jestem na nią zły. Zły, że próbowała mnie oszukać. Zły, że potrafi posunąć się tak daleko, chcąc udowodnić, że jest bardziej uczuciowa, subtelniejsza ode mnie. To, oczywiście, absurd. Kierowało mną poczucie winy.
- Spojrzał w oczy Sary i odsłonił zęby w dziwnym, smutnym uśmiechu, jakiego dotąd nie znała.
- Poczucie winy jest siłą napędową mojego życia. - Powiedział to zwyczajnie, bez emocji.
- Liam? - Przeszedł ją dreszcz. Ten uśmiech ją niepokoił.

Pragnęła zetrzeć mu go z ust. Nie. Chciała go scałować. - Co to, do licha, znaczy?

Puścił pytanie mimo uszu.

- Nie chciałem jej bardziej ranić, ale nie miałem wyboru. Musiałem wyjechać. Gdy otrzymałem propozycję pracy w Moore State, natychmiast ją przyjąłem. W normalnych okolicznościach grzecznie bym odmówił, ale to była doskonała okazja: mogłem uciec.

Ów dziwny uśmiech wreszcie zniknął z twarzy Liama. Ciemne oczy odzyskały dawną przenikliwość. Sara przytuliła się do niego i potarła policzkiem o jego policzek.

- Angela była w szpitalu. Wyjechałem bez pożegnania. I poczułem się wspaniale, przyznaję. Jakbym zerwał więzienne łańcuchy. - Pokręcił głową. - Nie chciałem ci o tym mówić.

Objęła go.

- Hej, zaraz, chwileczkę. - Odsunęła się. - Myślisz, że to Angela?

Popatrzył na nią.

- Co Angela?

- Myślisz, że to Angela straszyla mnie tymi telefonami? Że to ona przysłała mi zakrwawione królicze łapki?

Mocno potarł skronie. Przechesał ręką włosy.

- Może. Ale nie wyobrażam sobie, żeby... - Zamyślił się patrząc w zadumie na kieliszek z winem. - To możliwe. Powinienem był na to wpaść. Rzecz w tym, że już o niej nie myślę. To znaczy, nie myślałem o niej od chwili przyjazdu do Moore State.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że nie ma na jej punkcie obsesji. I co za ulga, że być może wyjaśniła się tajemnica tych przerażających telefonów.

- Tak, to mogła być Angela - mówił zamyślony. - Biedna kobieta. Musi być straszliwie wzburzona. Ale ona jest zupełnie nieszkodliwa. Wierz mi, Saro, Angela jest zupełnie nieszkodliwa.

Poczuwszy się lepiej, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie.

- A ty? - szepnęła. - Ty też jesteś zupełnie nieszkodliwy?

- Roześmiał się. Błysnął oczyma.  
- Nie przy tobie. - Pocałował ją. Czule. Długo i namiętnie.  
- Przy tobie jestem nader niebezpieczny.

## 36.

Podszedł do umywalki i nachylił się do lustra zbryzgane-  
go wodą. Wyciągnął kołnierzyk jasnoniebieskiej koszuli i wy-  
łożył go na sweter. Zmienił zdanie. Wepchnął kołnierzyk pod  
sweter.

Dobiegł go szum wody w pisuarze na wykładanej kafelka-  
mi ścianie. Do zlewu obok przyczłapał Milton, zapinając po  
drodze rozpiorek.

- Nie musiałeś się tak elegancko ubierać - zażartował. Po-  
prawił przekrzywiony węzeł bordowego krawata i spojrział  
szydlerczo na półgolf Liama.

- Pomyślałem sobie, że strój nieoficjalny będzie odpo-  
wiedniejszy - wyjaśnił Liam.

- Dobrze wiesz, dlaczego wybrałem tę knajpę na wasze  
przedślubne, a raczej poślubne przyjęcie - odrzekł Milton  
spoglądając w lustro. Przeczesał rękami szopę białych wło-  
sów. Natychmiast stanęły dęba, jak na sprężynach. - Tu po-  
znałeś swoją żonę.

Liam wykrzywił usta w lekkim uśmiechku.

- Jesteś sentymentalny, Milton.

- A ty masz kupę szczęścia. - Wypowiedział te słowa z wy-  
rażną zazdrością w głosie, i to nie po raz pierwszy. Stęknął  
głośno. - Tak, szczęściarz z ciebie. Sara to wspaniała dzie-  
wczyna. Szkoda, że to nie ja pierwszy ją dostrzegłem.

Liam milczał, nie chcąc ciągnąć tematu. Spróbował wy-  
obrazić sobie Milтона z Sarą. Na tę myśl stężały mu mięśnie  
karku.

Cohn nachylił się i odkręcił oba krany. Za mocno. Woda



bryznęła na jego marynarkę. Milton głośno krzyknął, niezdarnie przykręcił kurki i zaczął myć swoje olbrzymie ręce. Liam uczesał się, włożył grzebień do kieszeni i ostrożnie odkręcił kran.

- Dasz mi mydło?

Milton podał mu śliską zielonkawą kostkę. Pograżony w zamyśleniu Liam zaczął namydlać dłonie.

- Cholera! - Mydło wpadło do umywalki. Przerażony Liam spojrzął w lustro. - Cholera jasna. Szlag by to...

- Co się stało? - spytał Milton.

Wzburzony Liam pokręcił głową.

- Mydła nie można podawać z ręki do ręki. - Przeniósł wzrok na Cohna. - Trzeba je najpierw położyć, żeby ktoś, kto chce się umyć, mógł wziąć je sam.

Milton wybuchnął śmiechem. Zatrząsł mu się podwójny podbródek opięty białym, ciasnym kołnierzykiem koszuli.

- Ty i te twoje przesady. Przestraszyłeś mnie. Myślałem, że coś się stało.

Liam też się roześmiał.

Cohn wytarł ręce i wyszedł z ubikacji.

Trzasnęły drzwi. Liam spojrzął na zielonkawą kostkę mydła.

Z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie, co przed chwilą zrobił.

Otworzył usta - jak mógł najszerzej - i wydał z siebie bolesny skowyt, długi i przeciągły.

Podniósł ręce, gwałtownie, jak szaleniec, całymi garściami zaczął wrywać sobie włosy z głowy, bił pięściami w skronie, mocno, bezlitośnie, katował czoło, w końcu zaniknął oczy, zadarł głowę i gardłowo zawył.

Z ust wystrzelił mu gruby, szkarłatny jęzor. Z mokrym mlaskiem uderzył w lustro.

Liam błyskawicznie podniósł namydłone ręce, chwycił wiążące się ohydztwo i zaczął wpychać je z powrotem do ust. Mocno. Ze wszystkich sił.

Wpychał je, szarpał, jęzor wyslizgiwał mu się z dłoni, a on walczył z nim, rozpaczliwie z nim walczył.

Wreszcie wepchnął go do gardła i mocno zacisnął zęby.

Kilka minut później ze starannie przyczesanymi włosami, z rękami w kieszeniach spodni, niedbałym krokiem podszedł do stolika. Spojrzał na Sarę. Gdy spotkali się wzrokiem, posłał jej radosny uśmiech.

## 37.

Zaparował oddechem szybę. Przetarł ją rękawiczką i ogarął wzrokiem wnętrze restauracji. Stolik Sary stał po drugiej stronie sali, ale Chip wyraźnie widział jej twarz, jej promienny uśmiech. Widział, jak chwyta profesora za rękę, jak odrzuca do tyłu głowę, jak się śmieje.

Znowu przetarł szybę. Wstrzymał oddech. Powiał silny wiatr. Zimne powietrze wśliznęło się pod rozpiętą kurtkę. Skupiony milcząco na tym, co się działo za szybą, Chip zapomniał o istnieniu guzików.

Zapiekł go kark. Po kilku szklaneczkach Jasia Wędrowniczka wypitych w barze po drugiej stronie ulicy miał niesmak w ustach, ale pił nie dla smaku: chciał się tylko rozgrzać.

Obserwował przez okno, jak wielki, czerwonomordy słoń wstaje z miejsca i wznosi toast kieliszkiem szampana. Czując silny zawrót głowy, Chip napał na szybę obiema rękami. Kieliszki zetknęły się nad stolikiem. Wyobraził sobie cichutki brzęk kruchej szkła. A wokół same uśmiechnięte twarze...

Wysoki kelner z jasnymi, ściągniętymi w kucyk włosami zasłonił mu widok. Chip niecierpliwie machnął ręką, jakby mógł go stamtąd przepędzić. Na jezdni warczały samochody. Mrużąc oczy, wbijając wzrok w zaparowaną szybę, nie zwracał na to uwagi.

Kelner postawił tacę i wreszcie odszedł. Czerwonomordy słoń już siedział. Ustąpił miejsca profesorowi o szczerzej

twarzy, który przemawiał do gości, gestykując z kieliszkiem szampana w dłoni. Uśmiechała się do niego kobieta o krótkich, jasnych włosach. Jego siostra?

Silny podmuch wiatru szarpnął połami kurtki. Patrząc na Sarę, śledząc spojrzenie jej błyszczących oczu, widząc, jak nagradza śmiechem wypowiedź profesora - jej Liama - odczuwał tylko zapiekłą złość, której wypita whisky nie zdołała uśmierzyć.

- Liam... - szepnął z obrzydzeniem w głosie.

Znowu przetarł szybę. Saro, co ja robię na tym zimnie? Dobrze wiesz, że należysz do mnie, nie do niego.

Zachwiał się, omal nie wpadł na szybę. Ale wzroku od Sary nie oderwał. Obserwował, jak jego Sara patrzy na Liama, jak pąsowieją jej policzki, jak się uśmiecha, posyłając mężowi pełne podziwu spojrzenie.

- Nie. Nic z tego.

Nie zostaniesz z nim, Saro. Nie, nie zostaniesz z tym oszustem.

Goście przy stoliku wybuchnęli śmiechem. Jak miło. Jak wesoło.

Już wkrótce przestaniecie się śmiać, prorokował, nie spuszczać oczu z Sary. Przestaniecie. Nadejdzie kres małżeństwa i kres zabawy. Skończą się toasty. I dowcipne samochwalstwo sławnego profesora. Koniec z tym. Koniec.

I to ty zerwiesz ten związek, Saro. To ty od niego odejdiesz.

Tak, gdy powiem ci, co wiem, zostawisz go i wrócisz do mnie. Gdy powiem ci, czego dowiedziałem się o twoim genialnym profesorze.

- Liam. Liam - mamrotał obserwując mgiełkę osiadającą na szybie. - Liam. Liam rymuje się z...

Żaden rym nie przychodził mu do głowy.

Znowu brzęk szkła nad stolikiem. Znowu wesołe okrzyki i radość. I Sara - tak wdzięcznie się czerwieni. Powiedziała coś, a tamci wybuchnęli śmiechem. Liam pocałował ją w policzek.

Nie. Proszę, nie.

Doszedł do wniosku, że musi wypić jeszcze jedną szklaniczkę Jasia Wędrowniczka. Może dwie. Tak, dwie, dla kurażu. Zaszło mu w gardle. A gardło musiał mieć sprawne, gładkie i wilgotne, inaczej nie powie jej tego, co wie. Tak. Otworzy drzwi, swobodnym krokiem podejdzie do stolika i... zrujnuje im życie. Brzdęk-brzdęk - i po wszystkim.

Toast za moje zdrowie.

Za zdrowie moje i Sary.

Uratuję cię, Saro.

Nie możesz z nim zostać, a ja wiem dlaczego. Uratuję cię przed nim. Wiem o nim wszystko. Wszystko.

Powinienem być na ciebie zły. Powinienem ukarać cię za to, że ode mnie uciekłaś, że musiałem cię ścigać, że muszę walczyć o to, co moje. Mam swoją dumę.

Prosiłem cię, pamiętasz? Prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła.

Pamiętasz, musisz pamiętać, prawda?

Zresztą nieważne.

To już przeszłość. Wybaczę ci, będę wspaniałomyślny. Sama się przekonasz. Zapomnę o swojej dumie. Nie będę cię karał. Nie będę żywił do ciebie urazy. Zabiorę cię do Nowego Jorku. A może przeprowadzimy się do Los Angeles, kiedy ruszy moja wytwórnia? I już nigdy nie będziemy do tego wracać. Nigdy. Przyrzekam.

Kto wie, może kiedyś będziemy się z tego śmiali. Z błędu, który popełniłaś.

Zmrużył oczy. Kelner rozstawiał talerze z jedzeniem. Liam odgarnął Sarze włosy na ramiona.

Chip poczuł, że ścisną go w gardle. Ona nie jest twoją własnością, profesorku. Przynajmniej nie na długo.

Czerwonomordy słoń ze strzechą białych włosów na łbie zaczął jeść, jak tylko postawiono przed nim talerz z żarciem. Oprócz niego przy stoliku siedziało jeszcze czterech czy pięciu gości, których Chip nie rozpoznawał. Zresztą nie zwracał na nich uwagi.

Odwrócił się, zdumiony, że oddycha ciężko i chrapliwie. Czekala go wielka chwila i musiał się przedtem rozgrzać, musiał się uspokoić.

Miał mnóstwo czasu. Na pewno zdąży wpaść do baru po

drugiej stronie ulicy. Bar „Pod Kuflem”. Czerwony neon w kształcie kufła z piwem w oknie. Podłużne listwy z imitacji drewna na ścianie od frontu. Kaktusy w wielkich glinianych donicach na chodniku przed wejściem. Wahadłowe drzwi. Chybiona próba urządzenia knajpy na wzór kowbojskiego saloonu ze starych westernów.

Nie pasował mu ten lokal. Bar na Trzeciej Alei w Nowym Jorku był zupełnie inny. Ale sztuczna atmosfera nie mogła przecież zaszkodzić whisky.

Pchnął wahadłowe drzwi, przeszedł przez słabo oświetloną salę - przy małych okrągłych stolikach siedzieli głównie studenci ze szklanymi kufłami spienionego piwa w rękę - i stanął przy barze. Młoda barmanka z długimi rudymi włosami i kryształowym kolczykiem w nosie otaksowała go wzrokiem jak starego znajomego.

- Szklaneczkę czystego Jasia?

Chip zachichotał.

- Umie pani czytać w myślach?

Wykrzywiła usta.

- Wyszedł pan stąd przed kwadransem.

Kiwnął głową.

- Rzeczywiście. - Wydawało mu się, że sterczał przed restauracją znacznie dłużej.

Nalała na dwa palce i z trzaskiem postawiła przed nim szklanekę.

Zmrużył oczy; jeszcze nie przywykły do półmroku.

- Niech mi pani doleje.

Po pierwszej szklaneczce paliło go w gardle. Druga go ogrzała.

Opierając się ciężko o kontuar, obserwował chłopaka i dziewczynę skąpanych w niebieskawej poświacie z grającej szafy, która stała w kącie. Studenci. Dziewczyna, w dzinsach i obszernej flanelowej koszuli, siedziała chłopakowi na kolanach. To chłopak czy mężczyzna? Sprawiał wrażenie starszego. A może to niebieskawe światło tak go postarza? Całowała go. Całowała. Całowała go w policzek. I w czoło. I w oczy. Jakby byli tu sami. Jakby nikt na nich nie patrzył.

Rozzłościło to Chipa.

Koszmarne rozboleła go głowa, zdawało mu się, że za chwilę pęknie. Powoli wstał z wysokiego stołka. Nogi miał jak z gumy. Ścisnęło go w gardle. Zmarnował tyle dobrej whisky. Rzucił na ladę dwudziestaka, potem jeszcze jednego.

Zanurzył się w niebieskawej poświacie, obserwując, jak dziewczyna zasypuje chłopaka krótkimi, lecz słodkimi pocałunkami. Chip poczuł swędzenie twarzy.

Noc. Szokujące zimno. Wiatr. Spłaszczony karton po soku pomarańczowym fruujący po chodniku.

Teraz na drugą stronę ulicy, do okna restauracji. Potknął się o krawężnik, ale utrzymał równowagę. Zimna niebieskawa poświata podążała za nim, muskała go, otaczała. Chip zadrżał.

Ostrożnie! Żeby tylko nie grzmotnąć czołem w szybę. Podniósł oczy prawie nieśmiało. I spojrzął na stolik na końcu sali.

Pusty.

Nikt przy nim nie siedział. Dwóch pomocników kelnera w białych fartuchach zbierało talerze.

Nie!

Jak długo chlał w tym pieprzonym barze? Próbował myśleć, próbował sprawdzić, która godzina, lecz zegarek przesłoniła błękitna mgła.

Nie!

Ile wypił? Jak długo tam siedział? Jak długo? Za długo.

Ale mógł ich jeszcze dogonić. Mógł im jeszcze zepsuć wieczór, zetrzeć z ust te kołtuńskie, te obleśne uśmieški. Trzeba tylko odnaleźć Sarę i powiedzieć jej, co wie.

Odepchnął się od okna i ruszył chwiejnie w stronę skrzyżowania. Ręce miał zimne od dotykania szyby.

Rękawiczki. Gdzie ja wsadziłem rękawiczki?

Myślał jeszcze o rękawiczkach, gdy ból przeszył mu ramię.

Niebieskawa poświata gwałtownie rozbłysła.

Ramię zdrętwiało. Krzyknął.

Dostrzegł ostrze. I rękę w ciemnej rękawicze.

Ostrze zsunęło się z ramienia, powędrowało w dół, w dół, prawie do pasa, bez trudu rozcinając materiał koszuli i skórę.

Zimno. I nagle mokro.

Ciepła krew - jego ciepła krew - zabulgotała, spieniła się na mrozie.

Zachwiał się. Spuścił głowę i zobaczył, że krew tryska mu na buty.

Jeszcze jedno cięcie. Tym razem przez lewą pierś. Rozchlastało koszulę i skórę.

Otworzył usta. Ale był w stanie tylko zagulgotać.

Podniósł oczy. Chciał śledzić wzrokiem ostrze.

Lecz niebieskawe światło już zgasło.

I nie odczuwał już ani zimna, ani bólu.

## 38.

- Tak, wiem. Tak, wiem. - Detektyw Garrett Montgomery przesunął palcami po oprawionej w ramki fotografii synka, Martina, i nachylił się nad biurkiem, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

Siedzący naprzeciwko Walter patrzył na niego w skupieniu i poruszał wargami, jakby on też uczestniczył w rozmowie. Garrett odwrócił się na krześle, żeby nie widzieć jego gęby.

- Tak, wiem - powtórzył spokojnie po raz trzeci - ale niech pan nie zapomina, że... - Ciężko westchnął, gdy przerwał mu piskliwy głos naczelnika policji stanowej z Medford. - Tak, wiem. Wiem, panie naczelniku... - Sfrustrowany, znowu westchnął. - Mamy bardzo mało ludzi. - Nareszcie zdołał coś powiedzieć. - Tylko sześciu. I, przyznaję, brakuje nam sprzętu. A ogólnokrajowe zainteresowanie sprawą, te wszystkie kamery, ci reporterzy i dziennikarze wcale...

Nie pozwolono mu dokończyć. Że też czwarta ofiara musiała być synem ważnego dyrektora sieci telewizyjnej. Dziennikarze i ekipy telewizyjne zjeżdżały do Freewood z ledwie ukrywaną radością. Ściągali tu jak hordy żarłocznych mrówek

do skórki chleba, rozpełzali się po całym kampusie, węszyli w miejscach, gdzie popełniono morderstwo, łazili i gadali, gadali i łazili, zagadywali każdego, trajkotali, pytlowali, poprawiali włosy - i znowu chlapali ozorami. Reporterka jednej ze stacji telewizyjnych specjalizujących się w wiadomościach na gorąco zaproponowała mu nawet dziesięć tysięcy dolarów za występ przed kamerą, podczas którego ujawniłby szczegóły makabrycznych zbrodni.

Garrett odmówił. Może zbyt pochopnie. Gdy wrócił do domu, Angel zaczęła snuć marzenia, co mogliby za te pieniądze zrobić. Twierdziła, że ujawnianie powszechnie znanych szczegółów nie jest postępowaniem nieetycznym.

Rzecz w tym, że nie wszystkie szczegóły były powszechnie znane.

Ani Garrett, ani jego ludzie nie wyjawili dziennikarzom, jak makabryczne, jak potworne, jak bestialskie były to morderstwa.

Bestialskie. Nieludzkie. Tak, to dobre określenie, pomyślał.

Bestialskie. Nieludzkie. Nie powiedzieli im o odciskach palców. O tych dziko zygzakujących spiralach i ostrych skosach, które miały się absolutnie nijak do odcisków palców, jakie ktokolwiek dotychczas widział. Komputer policji stanowej w Medford omal nie eksplodował, gdy próbowali porównać je z tymi, które zgromadzono na twardym dysku.

Oczywiście, natychmiast oskarżono ich o kompletny analfabetyzm, o brak podstawowych umiejętności, o to, że nie potrafili zdjąć zwykłego odcisku palca, co jest czynnością prostą i powszechnie stosowaną począwszy od połowy dziewiętnastego wieku.

Tak, Garrett wiedział, że dziennikarze telewizyjni zapłaciliby kupę pieniędzy za wiadomość o odciskach palców. I o rozerwanych na strzępy ciałach. O ciałach rozprutych, o wnętrznościach wałających się na kampusie niczym parówki, które wypadły z pękniętej torby z zakupami.

A gdyby streścił im zeznania naocznego świadka, tego chłopaka, który widział mordercę przebranego za potwora? Oszaleliby z radości.



Ciekawe, ile zapłaciliby za to?

- Gdybym się sprzedał, gdybym zarobił na tym choć centa, nie mógłbym spokojnie zasnąć - oznajmił żonie.

Ale już i tak prawie wcale nie sypiał. Więc w czym rzecz?

- Dobrze, panie naczelniku, rozumiem - rzucił beznamietnie i odłożył słuchawkę. Nie okazał po sobie żadnych emocji. Jak zwykle.

- O co chodzi tym razem? - Walter pochylił się do przodu. Zaskrzyphiało krzesło.

Głośny, wibrujący dźwięk. Jak wszystkie, które ostatnio słyszał. Potarł skronie.

- Zabierają nam sprawę. Też mi niespodzianka.

Ale Walter zareagował zdziwieniem.

- Odsuwają nas od śledztwa?

Garrett posępnie kiwnął głową.

- Wyraźnie tego nie powiedział, ale federalni nie zechcą się z nami zadawać. Odbiorą nam piłkę i rozegrają to po swojemu.

Dlaczego mówi o tym jak o meczu? Zawalił sprawę, fakt, ale czyżby denerwowało go to bardziej, niż się do tego przyznawał? Czyżby próbował obrócić rzecz całą w coś nierealnego?

Jezu, daj sobie siana, Garrett! Jesteś psychiatrą czy gliniarzem?

A może ani jednym, ani drugim?

- Przecież... Przecież... - jękał Walter chwytając się stalo-woszarego blatu tłustymi, różowitkami rękami. - Przecież to my odwaliliśmy prawie całą robotę.

Garrett zmarszczył czoło.

- Niewiele zrobiliśmy. Najpierw gapiliśmy się na trupy, potem na zdjęcia trupów, i tyle.

Walter potarł policzki.

- Mówisz tak dlatego, że jesteś zdenerwowany z powodu tych wszystkich pismaków i reporterów.

- A żebyś wiedział, cholera! - warknął Garrett i cisnął ołówkiem przez pokój. Ołówek odbił się od ściany i spadł na wykładaną linoleum podłogę.

Zaszokowany Walter rozdziawił usta. Nie pamiętał, by detektyw Garrett Montgomery dał się kiedykolwiek ponieść nerwom.

- Cztery morderstwa - wymamrotał kręcąc swoją okrągłą głową. - Cztery morderstwa, a my nie zdołaliśmy nawet...

- Wcale nie jestem pewien, czy to cztery morderstwa - mruknął Garrett, nie przestając pocierać skroni. Nie, to nie migrena. To tylko nieprzyjemne pulsowanie nad uszami, które nie chciało ustąpić.

Walter wybałuszyl oczy.

- Hę?

- Może to trzy morderstwa i... jedno morderstwo - odrzekł cicho Garrett, próbując zebrać myśli i zastanawiając się, dlaczego nagle postanowił zdradzić podwładnemu swoją teorię.

- Nie rozumiem - wyznał Walter; Garrett słyszał to nie pierwszy raz. - Mamy cztery trupy. Dokładnie cztery. - Rozczapierzył paluchy i zaczął liczyć: - Jeden. Dwa. Trzy. Cztery.

- Nie - poprawił go Garrett. - Mamy trzy ciała rozszarpane i jedno pocięte.

Walter dumal długą chwilę.

- Myślisz, że...

- Myślę, że nie możemy być stuprocentowo pewni, że czwarte morderstwo ma jakiś związek z trzema wcześniejszymi. Tego chłopaka, Chipa Whitneya, zaatakowano nożem. Tak, oczywiście, pochlastano go i okaleczono, ale ciało było pocięte - pocięte, rozumiesz? - a nie rozerwane na strzępy.

Walter pobladł jeszcze bardziej.

- Chcesz powiedzieć, że w mieście grasuje dwóch morderców?

Garrett wstał i przeszedł na drugi koniec pokoju, żeby podnieść ołówek.

- Nie wiem. Wiem tylko jedno: śledztwo w sprawie trzech pierwszych morderstw nie ujawniło narzędzia zbrodni. To była kurewska jatka, nie zabójstwa. Wystarczy, że o tym pomyślę i ciągnie mnie na wymioty. A myślę o tym cały czas. - Schylił się po ołówek. - Zwłoki Whitneya też były poszatowane. Ale ci z laboratorium ustalili, że morderca użył noża o

dziesięciocentymetrowym ostrzu. I właśnie na tym polega różnica.

Walter wybałuszył oczy i powoli otworzył usta.

- Znaczy, że jest ich dwóch? Dwóch morderców we Freewood?

## 39.

- To... to moja wina - wyjąkała Sara. - Mam świadomość, że to moja wina. - Zaczerwienionymi oczyma popatrzyła na dłonie kurczowo splecione na kolanach.

Mary Beth położyła ręce na rękach przyjaciółki.

- Jak możesz tak mówić? - szepnęła. - Dobrze wiesz, że to nieprawda.

- Gdyby nie ja, nie przyjechałby do Freewood - zawodziła Sara. Po jej zapuchniętym policzku spłynęła łza. Niewiele ich zostało, bo przepłakała całą noc.

Przywarła do Liama i łkała. Nie, nie dlatego, że ciągle kochała Chipa. Płakała, bo czuła się winna.

Siedziały obok siebie na otomanie Mary Beth. W dwóch białych kubkach na niskim stoliku parowała nietknięta kawa. Mary Beth, ubrana w czarną spódnicę i czarny półgolf, wyrwała się z pracy zaraz po telefonie przyjaciółki.

Wypłowiałe dzinsy Sary były zmięte, niebieski podkoszulek z długimi rękawami poplamiony z przodu.

- Wracam prosto z posterunku - wymamrotała. Uwolniła dłonie z rąk przyjaciółki i odgarnęła włosy. - Liam nie chciał, żebym tam chodziła. Ale musiałam im powiedzieć, że znalazłam Chipa. Musiałam im powiedzieć, dlaczego przyjechał do Freewood.

Mary Beth sięgnęła po kubek z kawą.

- Liam nie chciał, żebyś poszła na policję?

Sara pokręciła głową.

- Widział, jak bardzo jestem zdenerwowana. W nocy był... był taki cudowny. U tulił mnie, pozwolił mi się wypłakać. I ciągle powtarzał, że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia.

- Bo nie powinnaś - potwierdziła stanowczo Mary Beth. Niechcący przechyliła kubek, po którym spłynęła strużka kawy. Nie zwróciła na to uwagi. Patrzyła na przyjaciółkę. - Nie zapraszałaś Chipa do Freewood. I nie miałaś nic wspólnego z tym... z jego śmiercią.

- Ale to jest upiorne, Mary Beth - odrzekła Sara wycierając ślad łzy na policzku. - Znałam kogoś, kogo zamordowano. Potworne uczucie.

Mary Beth kiwnęła głową. Upiła łyk kawy i odstawiła kubek.

- Jak było na policji? - spytała.

Sara westchnęła.

- Rozmawiałam z detektywem Montgomerym. Tak się chyba nazywa. Murzyn o cichym, łagodnym głosie. Był bardzo miły. I wyrozumiały. Pytał mnie, kiedy widziałam Chipa ostatni raz. I czy znam kogoś, kto mógłby chcieć go zabić. I o kilka innych spraw. - Usiadła wygodniej, wyprostowała się. - Widział, że jestem wykończona. Nie maglował mnie. Odniosłam wrażenie, że i on jest zdenerwowany.

- Był zdenerwowany?

- Tak. Powiedział, że odsuwają ich od śledztwa. Mają ich zastąpić ci z FBI czy ktoś inny. Przyznał, że nie jest w stanie schwytać wielokrotnego mordercy. Nie wiem, dlaczego mi to powiedział. Myślę, że... - Nie dokończyła.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Sara słyszała potrzaskiwanie sufitu. W mieszkaniu nad nimi ktoś chodził. Zza ściany dobiegał stłumiony łomot perkusji. Ktoś puszczał płytę na stereo.

Wszędzie toczyło się życie. Dla większości ludzi był to normalny dzień.

- Kiedy wychodziłam, na posterunek przyjechał ojciec Chipa - szepnęła. - Na parking wjechała biała limuzyna i powoli wysiadł z niej stary Whitney.

- Co mu powiedziałaś?

- Ja... Nic. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w twarz - wyznała Sara, uciekając wzrokiem w bok. - Wysłałam bocznymi drzwiami. Zanim mnie zobaczył. No bo... co mu mogłam powiedzieć?

- Byli z sobą blisko?

Sara kiwnęła głową.

Znowu kroki na górze. Słońce przesłoniła chmura, światło dnia zbladło. Po małym saloniku Mary Beth wędrowały szare cienie.

Sara westchnęła.

- Dlaczego ktoś miałby go zabijać? To znaczy, dlaczego jakiś zupełnie obcy człowiek miałby podejść do niego na ulicy i po prostu go zamordować? To jest koszmarnie, Mary Beth. Potworne.

- Napij się kawy. Musisz przestać o tym myśleć. Musisz zająć czymś umysł. Musisz...

- Ale jak? W jaki sposób? Znałam kogoś, kogo zamordowano. Brutalnie zamordowano i... O mój Boże! - Zasłoniła rękami twarz.

- Co? Co się stało?

- Znałam ich oboje! - wykrzyknęła Sara. - Na kampusie zamordowano cztery osoby, aja znałam dwie z nich! Chipa i tę asystentkę, Devrę Brooks. Poznałyśmy się w restauracji. Na krótko przedtem, nim została zamordowana. O mój Boże, Mary Beth! Mój Boże! Jak to możliwe, że znałam dwie osoby, które zamordowano? Jak to w ogóle możliwe?

## 40.

Stojąc po drugiej stronie stołu, szarpnęła paskiem szlafroka.

- Grrrrr. Warczę na ciebie, Liam, warczę. - Odrzuciła do tyłu nieuczesane włosy.

Jeszcze nie minęło wpół do ósmej, a Liam był już ubrany; miał na sobie luźne spodnie, białą sportową koszulę i brązowy

węlniany sweter. Przyglądził mokre po prysznicu włosy, wzruszył ramionami i posłał Sarze przymilny uśmiech.

- Nie mogę tego zjeść. Naprawdę bardzo mi przykro. - Odsunął od siebie talerz.

- Grrrr. - Rozczapierzyła palce i zaczęła drapać powietrze niczym wściekła tygrysyca.

- Możesz sobie warczeć, ile chcesz. Ostrzegłem cię, żebyś nie kupowała jajek po zapadnięciu zmroku. To bardzo stary przesąd, ale...

- Właśnie! To bardzo stary przesąd! - wykrzyknęła, jakby chciała mu coś udowodnić. - Bardzo stary i bardzo głupi.

- Proszę cię, nie denerwuj się. Usiądź.

Nie miała ochoty mu dzisiaj odpuszczać. Źle sypiała. Chip nie żył już od dwóch tygodni, a ona wciąż widziała nocami jego twarz. Ilekroć zamknęła oczy. Ilekroć próbowała się zrelaksować.

Dwa tygodnie - od dwóch tygodni nie mogła normalnie spać.

Dlaczego ciągle mnie nawiedzasz, Chip? Czy kiedykolwiek przestaniesz?

A dziś rano? Liam wstał - jak zwykle z prawej strony łóżka - trzy razy okrążył sypialnię i starannie odliczył kroki do łazienki. Sara nie wytrzymała, omal nie dostała szału.

- Liam, wiedziałam, że jesteś przesądny, ale nie miałam pojęcia, że aż do tego stopnia - jęknęła zaspanym głosem.

Mąż nie odpowiedział.

Zwlokła się z łóżka, chociaż zajęcia rozpoczynały się dopiero o jedenastej, i zrobiła jajecznicę na grzankach, której Liam nie chciał jeść, dowiedziawszy się, że kupiła jajka poprzedniego wieczora, w drodze powrotnej z biblioteki.

- To, że banda ciemnych Irlandczyków sprzed trzystu lat bała się kupować jajka po zapadnięciu zmroku, jeszcze nie znaczy, że nie możesz zjeść mojej jajecznicy! - wrzasnęła i zaczęła kaszleć. Nalała sobie kawy z dzbanka i upiła łyk, parząc się w język.

Uśmiechnął się do niej uśmiechem małego chłopca. Wiedział, że zwykle to na nią działa.

- Proszę, nie bądź na mnie zła.

Zdecydowała, że tym razem da mu odpór. Odstawiła z trzaskiem czarny kubek.

- W takim razie kiedy mam kupować jajka? - spytała z sarkazmem. - Może podasz mi dokładne godziny, kiedy kupowanie jajek nie przynosi pecha?

Nachmurzył czoło i sięgnął po dzbanek.

- Nie zaprzataj sobie głowy jajkami, kochanie. Lepiej myśl o swojej pracy semestralnej. Kupowaniem jajek zajmie się Margaret.

O wilku mowa. Usłyszeli odgłos kroków na schodach i po chwili do kuchni weszła swobodnie Margaret w beżowym swetrze i czarnych rajstopach.

- Mogę dołączyć?

- Zależy co?

Sara jęknęła. Dowcip z brodą. Liam przeczytał go gdzieś i nie wiadomo dlaczego uznał, że jest znakomity. Powtarzali go z Margaret co rano. I co rano Sara się śmiała. Do dzisiaj. Bo dzisiaj dowcip omal jej nie dobił.

Do diabła, dlaczego Margaret nie może jeść u siebie? Dlaczego choć raz nie zostawi nas z rana samych? Dlaczego choć raz nie możemy pokłócić się bez świadków?

Może to napięcie okołomiesiączkowe? - pomyślała sącząc kawę. Margaret jest taka miła. I tak bardzo się stara nie wchodzić nam w drogę.

Liam... Powinam mieć dla niego więcej cierpliwości. Jest taki cudowny, taki serdeczny, ciepły i kochający. Wydaje się, że jest ze mną bardzo szczęśliwy. I był taki wyrozumiały, kiedy płakałam po śmierci Chipa.

Margaret nalała sobie kawy i podeszła do lodówki, żeby wyjąć mleko. Sara stanęła za Liamem, objęła go za szyję, głęboko odetchnęła i czując zapach jego płynu po goleniu, pocałowała go w kark.

Odwrócił się i odnalazł wargami jej usta.

Margaret uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Jak dwa gołąbeczki - wymamrotała.

- Gruuuchu-gruuuchu - zagruchała Sara. Naśladować gołębia lepiej nie umiała.

Po śniadaniu przeszli do salonu. Margaret rozsunęła zasłony, wpuszczając do środka szare światło wstającego dnia. Sara spojrzała w okno: zimowe niebo, za koronami drzew ciemne burzowe obłoki.

Liam usadowił się na sofie i zajął się przeglądaniem sterty papierów.

- Notatki do wykładu - wyjaśnił w odpowiedzi na nieme pytanie Sary.

Margaret zniknęła w kuchni. Po chwili dobiegł stamtąd szum wody.

Co ona robi!?! - myślała zniecierpliwiona Sara. Przecież powiedziałam jej, że pozmywam. Jeśli nie zabiorę się do tego zaraz po posiłku, zawsze mnie wyręcza. Dlaczego?!

Podeszła do biurka Liama. Zerknęła na pustą klatkę Febe. Po co ją tu trzyma? Dlaczego się jej nie pozbył? Ja to zrobię. Kiedy Liam wyjdzie.

Zaczęła otwierać górną szufladę, ale zmieniła zdanie.

- Liam, gdzie są nożyczki?

- W szufladzie po prawej stronie - odrzekł nie odrywając wzroku od notatek.

- Mieszkam tu od dwóch miesięcy i ciągle czuję się jak gość - narzekała Sara. - Nie wiem, gdzie co jest.

- Musisz mieć swoje biurko - mruknął Liam.

Otworzyła szufladę. Nożyczki, ołówki, linijka, paczka liшек - wszystko pedantycznie poukładane. Pod wpływem chwilowego impulsu miała ochotę wsunąć do szuflady rękę i energicznie nią zamieszać. Tak, muszę wprowadzić do jego życia trochę nieporządku, trochę chaosu...

I natychmiast skarciła siebie w duchu. Przecież to dziecinada. Co mnie dzisiaj napadło? Sięgnęła po nożyczki. Liam położył notatki na kolanach.

- Co robisz? - spytał z uśmiechem.

Zamknęła biodrem szufladę.

- Mam zdjęcia ślubne od Mary Beth, w końcu je wywołałam. No wiesz, wczoraj ci je pokazywałam. Pomyślałam sobie, że wyślę kilka mamie. Kilka zdjęć i zawiadomienie o naszym ślubie, to z gazety. Chcę je wyciąć i...



Upuściła nożyczki na dywan. Schyliła się, żeby je podnieść.  
- Nie! - krzyknął przeraźliwie Liam. Zerwał się na równe  
nogi, zrzucając z kolan notatki. - Nie dotykaj ich!

Wyprostowała się zdumiona.

- Hm? Co...?

Liam już stał przy niej.

- Nigdy nie podnoś nożyczek, które upuściłaś.

- Słucham?

- Jeśli je podniesiesz, skrócisz sobie życie.

- Nie bądź śmieszny! - krzyknęła.

- Musi to zrobić ktoś inny.

- Chyba oszalałaś!

Liam rzucił się po nożyczki, ale Sara stała bliżej. Już wy-  
ciągał po nie rękę, lecz zdołała go uprzeczyć. Jęknął boleśnie.  
W progu kuchni stanęła Margaret.

- Co się tu dzieje?

Liam ciężko dyszał i spode łba patrzył na Sarę. Sara pod-  
niosła nożyczki niczym trofeum wojenne.

- Liam, czasami posuwasz się za daleko z tymi swoimi za-  
bobonami.

Twarz mu złagodniała. Posłał jej swój chłopięcy uśmiech.

- Masz rację. Przepraszam. - Zrobił krok do tyłu. - Posta-  
ram się poprawić. Naprawdę. Przrzekam.

- Co się, do licha, stało? - spytała Margaret.

- Nic takiego - odrzekła Sara patrząc na męża. Już zaczy-  
nała żałować, że zareagowała tak przekornie. Biedak, sprawiał  
wrażenie straszliwie przygnębionego. Dlaczego nie pozwoliła  
mu podnieść tych cholernych nożyczek, skoro tak bardzo mu  
na tym zależało?!

Liam spojrział na siostrę.

- Trochę mnie poniosło. - Chciał coś dodać, lecz w tym  
momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. - Spodziewasz się  
kogoś o tak wczesnej porze, Saro?

Sara pokręciła głową. Odłożyła nożyczki na biurko. Liam  
ruszył do drzwi.

Margaret podbiegła do okna i wyjrzała na ulicę.

- Liam! - wykrzyknęła zaskoczona. - Liam, to policja!

## 41.

Wcisnął guzik jeszcze raz i spojrzał w ciemniejące niebo. Zbierało się na burzę. Sypnie śnieg? Nie jest za ciepło?

Ściągnął czarne skórzane rękawiczki i wepchnął je głęboko do kieszeni palta. Palto miał rozpięte, żeby widać było policyjny mundur. Do podkładki z notatkami, którą trzymał pod pachą, przypiął służbową legitymację ze zdjęciem. Ludzie zawsze o nią pytali. W dzisiejszych czasach sam mundur już nie wystarczał.

Dostrzegł w oknie jakiś ruch. Migotliwą kolorową plamę. Kobietę na wpół ukrytą za odbiciem nieba w szybie. Po chwili usłyszał odgłos kroków w korytarzu.

Dopiero dziewiąta, a on już zdążył odwiedzić dwadzieścia domów. Taką robotę najlepiej zaczynać wczesnym rankiem, zanim ludzie popędzą do pracy.

Początkowo myślał, że tego nie zniesie. Obejść wszystkie domy w okolicy kampusu? Ba! wszystkie mieszkania? Przepylać wszystkich lokatorów? A co to niby miało dać?

Sandusky, szef grupy operacyjnej FBI, powiedział, że wyniki tego rodzaju lustracji bywają nader zaskakujące. Głupi pacan. Garrett go nie cierpiał. Sandusky obejmował człowieka ramieniem, przemawiał do niego jak do sześciolatka, a tak w ogóle był gówniarzowaty. I taki protekcyjnalny. Chłopięca twarz, gładkie, bielutkie policzki, błękitne oczka - cholera, ile on może mieć lat? Czternaście? I od kiedy to FBI zatrudnia takich... takich obmacywalskich?

Może to pedał? Garrett wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. Może lubi wielkich, czarnych gliniarzy?

Nie, to nie pedał. To protekcyjnalny sukisyn, który sam sobie imponuje, bo jest wielkim agentem federalnym, a nie żalonym gliniarzem z kampusu, który nie potrafi zebrać odcisków palców z rozdartych na strzępy zwłok.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przy najmniej nie siedzę na posterunku. Tak, w sumie był szczęśliwy

że federalni kazali mu sprawdzić wszystkie domy i mieszkania w okolicy. Przynajmniej zaczerpnę trochę świeżego powietrza i trochę się poruszam. Nie siedzę w tej dusznej norze, nie muszę patrzeć, jak ten gruby kłown pożera pączek za pączkiem, pudrując cukrem przód służbowej koszuli.

A żebyś wiedział. Dobrze jest tak łązić od domu do domu, bez pośpiechu, bezproduktywnie. Można sobie trochę pomyśleć. O życiu. I o tych morderstwach.

Angel nie wyśmiała go, gdy zdradził jej swoją teorię. Że mordercą jest bestialski potwór. Lecz w jej zielonych oczach dostrzegł wyraz zwątpienia. Zwątpienia i zatroskania. Czyżby podejrzewała, że zwariował?

Czemu nie?

Przestał być sobą, kiedy zobaczył zwłoki pierwszej ofiary. Tej biednej dziewczyny z rozłupaną czaszką: krwawy skalp na trawie, rozerwane żyły sterczące wokół głowy niczym martwe węże.

Tak, był teraz zupełnie innym człowiekiem. Miał inne spojrzenie na ludzi. Patrzył na nich i widział ich czaszki, ich żyły, wyobrażał sobie, jak by wyglądali, gdyby jednym szarpnięciem ich oskalpowano. Inaczej patrzeć nie potrafił.

Chore? Pewnie chore.

A czy coś zdrowego było w tych morderstwach? Czyż zabójca mógł nie być potworem?

Szczęknął klucz w zamku. Drzwi zaczęły się otwierać. Garrett wiedział, że za chwilę zobaczy wystraszoną twarz lokatora, jego zdumione oczy. Ludzie bali się widoku gliniarza w progę - gliniarz w progę to złe wieści.

Patrzył na niego ciemnowłosy mężczyzna trzydziesto-, najwyżej czterdziestoletni w brązowym swetrze i białej koszuli - typowy wykładowca college'u. Garrett dostrzegł zdziwienie w jego oczach. Zdziwienie i... strach? Nie był tego pewien.

- Dzień dobry panu. - Przyjemny, niski głos. I lekko obcy akcent, a raczej zaśpiew.

- Profesor O'Connor?

- Tak. - Zapytany zmrużył oczy, wbił wzrok w Garretta.

- Odwiedziła mnie pańska małżonka. W związku z morderstwem Chipa Whitneya.

- Tak, wiem. Sara była bardzo poruszona. Oczywiście, ja też.

- Znał go pan? - Garrett wyjął spod pachy podkładkę z notatkami.

- Nie. Denerwowałem się, bo Sara się denerwowała. - Odgarnął włosy z czoła. - No i, naturalnie, wszyscy byliśmy poruszeni tymi wcześniejszymi... morderstwami. To naprawdę przerażające.

Garrett obrzucił go spojrzeniem.

- Chodzę od domu do domu i próbuję się czegoś dowiedzieć, profesorze. Zajmę panu tylko minutkę. Znał pan jedną z ofiar, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, przerzucił kilka kartek i znalazł kolorowe zdjęcie ofiary drugiego morderstwa. Uśmiechała się do niego kobieta w cytrynowożółtej sukience na rozległej morskiej plaży, z rozpuszczonymi, rozwianymi przez wiatr włosami.

Profesor spojrział na zdjęcie i kiwnął głową.

- Tak, to pani DeHaven, właścicielka tego domu. Doznałem potwornego szoku.

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Czy kiedykolwiek wspominała panu o kłótniach lub sporach z innymi lokatorami?

- Albo o kimś, kto sprawiał jej jakieś kłopoty? Może mówiła coś o poprzednich lokatorach? Albo o innych lokatorach z tego domu?

Profesor O'Connor odpowiadał na wszystkie pytania bez wahania, cichym, poważnym głosem. Nie, nic nie słyszał o żadnych kłótniach. Nie, nie znał poprzednich lokatorów. Nie, nigdy nie słyszał, żeby pani DeHaven na kogoś narzekała. Twierdził, że utrzymywał z nią „bardzo serdeczne” stosunki.

Znowu nic, pomyślał Garrett. Słyszał kobiece głosy w głębi domu. Żona i siostra, przypomniały mu się zeznania pani O'Connor. Z nimi też będzie musiał porozmawiać.

Zza rogu wybiegło dwóch młodych mężczyzn, pewnie studentów. Gdy dostrzegli na schodach Garretta, natychmiast

zwolnili i mijając dom O'Connorów, odwrócili głowy, żeby sprawdzić, kogo wypytuje.

- Nie sądzę, żebym mógł panu pomóc, panie komendancie  
- rzekł profesor lekko zniecierpliwiony.

Garrett wyjął spomiędzy kartek fotografię ofiary pierwszego morderstwa. Charlotte Wilson. Zdjęcie szkolne. Z ostatniej klasy ogólniaka. Wyglądała na dwanaście lat.

- Panie profesorze, czy znał pan tę dziewczynę? Charlotte Wilson?

O'Connor zerknął na fotografię. Przełknął ślinę.

- Właściwie...

- Tak?

- Znałem ją bardzo krótko. Miała być moją sekretarką, ale... Dopiero co przyjechaliśmy do Freewood. Siostra i ja byliśmy tak bardzo zajęci przeprowadzką i urządzaniem nowego domu, że z trudem znalazłem czas, żeby wpaść do biura. Jeśli dobrze pamiętam, rozmawiałem z tą biedaczką raz, może dwa razy. A potem, kiedy została zamordowana...

Garrett czuł, że napinają mu się mięśnie karku. Spojrzał uważnie na O'Connora. W jego brązowych oczach dostrzegł coś, co wzbudziło jego czujność.

- A więc znał pan Charlotte Wilson? Znał pan wszystkie trzy ofiary?

O'Connor zaczerwienił się.

- No cóż, na to wygląda... Ale żadnej z nich nie znałem dobrze. To była tylko znajomość powierzchowna.

Robiąc notatki u dołu karty osobowej Charlotte Wilson, Garrett zadał profesorowi jeszcze kilka pytań:

- Czy poznał pan kogokolwiek z jej znajomych?

- Czy kiedykolwiek widział ją pan z przyjaciółmi?

- Czy słyszał pan o kimś, kto by ją znał?

- Czy kiedykolwiek wspominała panu o swoich znajomych lub przyjaciółach?

- Czy kiedykolwiek zachowywała się dziwnie albo jak człowiek wystraszony?

Na żadne z tych pytań O'Connor nie dał twierdzącej odpowiedzi.

Mimo to Garrett czuł przyspieszone bicie serca. Coś tu nie

gra. Coś... śmierdzi? Zwykły przypadek? Facet znał wszystkie trzy ofiary! Trzy na trzy.

Czy to możliwe, że nie wie nic więcej? Możliwe?

Nasuwały mu się dziesiątki innych pytań. Nie podniecaj się tak, przestrzegał siebie w duchu. Jeszcze nie rozwiązałeś sprawy. Jeszcze na nic nie wpadłeś.

Ale trzy na trzy?

Sprawdźmy, co z czwartą.

Silny powiew wiatru zaszeleścił kartkami na podkładce. Niebo pociemniało. Spojrzeli na chmury. Obaj. O'Connor zadrzał.

- Powiniennem zaprosić pana do środka, ale musi mi pan wybaczyć. - Zerknął na zegarek. - Mam wykład, już jestem spóźniony. Zajęcia...

- To zdjęcie czwartej ofiary - przerwał mu Garrett, odszukawszy między kartkami zdjęcie Devry Brooks. Z grzywką rudych włosów zasłaniających oko i nieśmiałym uśmiechem na pięknej twarzy wyglądała bardzo seksownie. Widział tę fotografię chyba ze sto razy, mimo to pokręcił głową. Nie mogli zdobyć lepszej?

Profesor popatrzył na zdjęcie. Przyjrzał mu się uważnie.

- Nie. Bardzo mi przykro. Tej kobiety nie znam. Nigdy jej nie spotkałem.

Garrett poczuł zawód.

- Jest pan pewien, profesorze? Nazywała się...

Nim zdążył dokończyć, zza drzwi wysunęła głowę Sara. Spojrzała na Garretta i przeniosła wzrok na fotografię.

- Devra! - wykrzyknęła. - Liam, przecież to Devra!

- Ach, rzeczywiście. - Policzki O'Connora gwałtownie pokraśniały. - Tak, znałem ją.

Bingo! Cztery na cztery!

## 42.

Sara weszła do korytarza za Margaret i westchnęła, szczęśliwa, że nareszcie jest w domu.

- Co za koszmarny dzień.

Usłyszała, jak Liam zamyka za sobą drzwi. Minął Sarę z pośepną, zmęczoną twarzą i podpuchniętymi oczami, rzucił palto na oparcie sofy i przeciągnął się.

- Wyjąłeś mi to z ust..

Margaret wyniosła palto do szafy w przedpokoju.

- Weźmiemy adwokata? Myślisz, że powinien być towarzyszyć nam podczas przesłuchania?

Liam stał przy oknie patrząc na padający śnieg.

- Nie potrzebujemy adwokata. Nie zrobiliśmy nic złego. Ci z FBI macają na oślepie.

Sara przysiadła na brzegu sofy.

- Cały dzień na posterunku. I w kółko te same pytania.

- To przeze mnie - powiedział cicho Liam. - Nie powinienem był kłamać mówiąc, że nie znam Devry. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Chyba dlatego, że ten policjant tak na mnie patrzył. Stał w progu i patrzył. Poczulem się tak, jakbym naprawdę miał coś do ukrycia. - Stanął za Sarą i zaczął czule masować jej kark. - To po prostu straszliwy zbieg okoliczności. I ta policja. Są zdesperowani. Próbują wykorzystać wszystko, co wpadnie im w łapy. Nawet najbardziej absurdalny zbieg okoliczności.

- Mmmmm... Cudowne uczucie - zamruczała Sara. - Jak na mordercę, masz bardzo delikatne dłonie, Liam.

Liam znieruchomiał.

- To wcale nie jest zabawne, Saro.

- Robię herbatę - oznajmiła Margaret idąc do kuchni. - Kto ma na nią ochotę?

- Wolę coś mocniejszego - odrzekł Liam.

- A ja coś zimniejszego - powiedziała Sara. - Na posterunku było straszliwie gorąco, wprost nie do zniesienia. Nawiew grzejnika był tak głośny, myślałam, że zwariuję.

Margaret zniknęła w kuchni. Sara usłyszała szum wody z kranu i brzęk stawianego na kuchence czajnika. Liam przestał masować jej kark.

- Powiedzieliśmy im wszystko, co wiemy. To znaczy bardzo niewiele. Może teraz zwęszą inny trop i dadzą nam święty spokój.

Ściągnął sweter, rzucił go przez ramię, podszedł do barku i do wysokiej szklaneczki nalał sobie whisky.

Sara obserwowała go, intensywnie myśląc. Co za straszliwy zbieg okoliczności.

Zbieg okoliczności?

Oczywiście, że zbieg okoliczności.

A cóż by innego?

Biedny Liam. Nie zdawała sobie sprawy, że znał wszystkie cztery ofiary. Nigdy jej o tym nie wspominał. W gruncie rzeczy tak naprawdę nie rozmawiali o tych morderstwach, stwierdzali tylko, że to potworne, że studenci są przerażeni, to wszystko. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo musiało go to dręczyć. Cztery morderstwa. Cztery osoby, które w taki czy inny sposób znał.

Tak. Świadomość, że je znał, musiała go dręczyć, musiała go denerwować. Dręczyłaby i denerwowała każdego, a cóż dopiero kogoś tak przesądnego jak on.

Biedny Liam. Biedny, przesądny Liam. Mimo to nie okazywał po sobie żadnych emocji. Dlaczego? Ze względu na nią? Tak. Najpewniej dlatego.

Podeszła do męża i objęła go. Zaskoczony, rozlał na dywan trochę szkockiej.

- Och, Liam, ty ich wszystkich znałeś...

- Niezupełnie - mruknął z rozpalonymi policzkami. - Znałem ich tylko powierzchownie. Nie rozmawiajmy o tym, Saro. Naprawdę nie chcę... - Cofnął się o krok z wysoko podniesioną szklaneczką. - Idę się przebrać. Chcesz zjeść kolację w domu czy pójdziemy do restauracji? Spacer w padającym śniegu pozwoliłby nam ochłonąć. Co o tym myślisz? Te wszystkie pytania. Ci mężczyźni w szarych garniturach obserwujący nas swymi ruchliwymi, paciorkowatymi oczami i zadający głupie pytania. Chodźmy na kolację. Będzie miło.



Napijemy się dobrego wina. Może się nawet urzniemy. Żeby ukoić myśli. Co ty na to?

Mówił szybko, nerwowo, głosem, jakiego dotąd nie znała. I wyszedł z salonu, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Z założonymi rękoma stanęła pośrodku pokoju. Biedak. Wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać. Spojrzała w okno, na latarnię po drugiej stronie ulicy, na płatki śniegu wirujące w jej świetle - sypało coraz mocniej. Zapadał mrok. Zerknęła na zegarek. Ledwie kilka minut po piątej, a na dworze było ciemno jak o północy.

W opustoszałym salonie nienaturalnie głośno zadzwonił telefon. Podeszła do stolika przy sofie i podniosła słuchawkę.

- Halo? - Odchrząknęła.

- Czy to pani Sara O'Connor? Żona Liama? - Głos kobiety. Spięty, ledwo słyszalny.

- Tak. Kto mówi? - spytała agresywniej, niż zamierzała.

- Nazywam się Kristen Verret. Pani mnie nie zna, ale byłam kiedyś... byłam kiedyś z Liamem.

- Słucham?!

- Byłam kiedyś z Liamem. Z Liamem i z Margaret. Muszę z panią porozmawiać, Saro, muszę panią ostrzec...

Sara poczuła, że ścisła ją w żołądku. I ukłucie potwornego strachu w piersi.

- Kim pani jest? Czego pani chce?

- Niech pani posłucha, Saro. Dzwonię, żeby ostrzec panią przed Liamem.

- Czy to Angela? To Angela, prawda? - Sara kurczowo ścisnęła słuchawkę, przypominając sobie opowieść Liama o Angeli z Chicago, mającej na jego punkcie obsesję.

- Angela? Nie. Mówiłam już, na imię mi Kristen. Czy ma pani czas? Mogłaby pani do mnie wpaść?

- Słucham? Zwariowała pani? Po co miałabym się z panią spotykać?

- Muszę opowiedzieć pani o Liamie. Proszę. Grozi pani niebezpieczeństwo. Straszliwe niebezpieczeństwo. Niech mnie pani posłucha.

- Angelo, wiem, kim pani jest i o co w tym wszystkim chodzi. Naprawdę bardzo mi przykro, ale...

- Czy może pani przyjechać już teraz? Zatrzymałam się w College Inn, na Fairmount.

- Nie, nigdzie nie pojedę. Niech pani posłucha, Angelo, Kristen czy kimkolwiek pani jest: proszę przestać do mnie wydzwaniać. Mówię poważnie. Jeśli pani nie przestanie, zawiadomię policję. Nie żartuję, zawiadomię policję.

- Saro, ja tylko próbuję pani pomóc.

- Odkładam słuchawkę. Proszę do mnie nie dzwonić. - Głos drżał jej z wściekłości. Z wściekłości i strachu.

- Niech pani przyjdzie jutro po południu. Proszę. Będę w swoim pokoju. Nie zajmę pani dużo czasu. Musimy porozmawiać. Jutro, Saro. Proszę.

Sara nabrała powietrza, żeby odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie usłyszała cichutki trzask, delikatne kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

Już miała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała drugie kliknięcie.

Wbiegła na górę i wpadła do sypialni. Liam, pochylony nad komodą, przeglądał się w lustrze. Jeszcze się nie przebrał. Miał załzawione oczy. Wysoka szklaneczka była pusta.

- Czy to ty odłożyłeś przed chwilą słuchawkę? - Wbiła wzrok w telefon na nocnym stoliku, jakby tam szukała odpowiedzi.

Zdumiony Liam powoli odwrócił głowę.

- Słuchawkę? Nie. Rozmawiałaś z kimś?

- Tak. Znowu miałam dziwny telefon.

Podrapał się w czoło. Zmrużył oczy, próbując zapanować nad nimi.

- Angela?

- Nie... Nie wiem - wyjąkała. - Powiedziała, że ma na imię Kristen. Twierdziła, że kiedyś z tobą... była. Czy znależ kobietę o tym imieniu?

Uśmiechnął się szeroko.

- Kristen? Nie, nic mi to imię nie mówi.

- Liam...

- Tak trudno je wszystkie spamiętać - odrzekł z wesołym błyskiem w oku; Sara zdała sobie sprawę, że się z niej nabija. - Wyznam ci prawdę: jesteś moją jedenastą żoną. - Potarł policzek.

- A może dwunastą? Nie jestem pewien. Chciałem ci o tym powiedzieć w odpowiednim momencie. - Parsknął śmiechem.  
- Uspokój się, Saro, przecież ja tylko żartuję. - Podszedł bliżej, objął ją, przytulił policzek do jej policzka. - Nie przejmuj się innymi kobietami. Liczysz się tylko ty - wyszeptał czule. - Tylko ty. Pocałował ją.

- Liam, proszę cię, bądź poważny - błagała. - Ta kobieta mnie przestraszyła. Chciała się ze mną spotkać, powiedziała, że grozi mi niebezpieczeństwo. - Przywarła do niego całym ciałem. W jego ramionach czuła się bezpiecznie jak dziecko w kołysce.

- Możliwe, że to ona, że to moja szalona Angela - odrzekł cicho, głaszcząc ją po głowie. - Jeśli jest w mieście, zajmę się nią. I wiesz co? Chyba powinniśmy zastrzec numer telefonu.

- Myślisz, że to ona? Znasz kogoś imieniem Kristen?

Wciąż głaskał ją i pieścił czule. Słyszała, jak bije mu serce.

- Nie. Nikogo takiego nie znam. To musi być Angela. Biedna, sfrustrowana Angela. - Zadarł jej głowę i uśmiechnął się. Oczy miał zmęczone i podkrążone. - To był koszmarny dzień. Postarajmy się o wszystkim zapomnieć. Chodźmy na kolację. Tylko we dwoje. I nie martw się, Saro. Naprawdę nie ma czym.

Wykrzesła z siebie słaby uśmiech.

- Wiem - szepnęła. - Wiem.

## 43.

- Martwię się o Liama - powiedziała Sara skubiąc dolną wargę. Wepchnęła ręce do kieszeni, żalując, że zapomniała rękawiczek.

- Dlaczego?

Mary Beth potknęła się na oblodzonym śniegu, ale szybko

odzyskała równowagę. Śnieg miał ledwie kilka centymetrów głębokości, lecz poprzedniego dnia spadł deszcz - woda zamrzła tworząc twardą, śliską warstewkę lodu. Promienie popołudniowego słońca próbowały przebić się przez grubą powłokę mglistych, szarych chmur.

Szły główną alejką prowadzącą do ozdobionej białymi kolumnami biblioteki po drugiej stronie Kręgu. Sara usłyszała krzyki. Odwróciła się i przed wysokim żywopłotem z jałowców zobaczyła grupkę studentów próbujących walczyć na śnieżki. Niestety, pokryty warstwą lodu śnieg był za twardy. Ścieżkami meandrującymi między ośnieżonymi budynkami college'u pochyleni na ostrym wietrze, z plecakami na grzbietach, spieszyli na zajęcia ich koledzy.

Mary Beth naciągnęła na czoło narciarską czapkę z czerwono-żółtej wełny. Spacerowały ledwie kilka minut, a już miała policzki mocno zaczerwienione.

- O mój Boże. Miodowy miesiąc dobiegł końca? Co jest?

Chcesz się zwierzyć z jakiegoś superosobistego problemu seksualnego?

- A skąd! - prychnęła Sara.

Mary Beth zrobiła smutną minę.

- Szkoda.

Pod ich stopami zatrzeszczał lód.

- Dlaczego nie wysypują tych ścieżek solą? - Sara pośliźnęła się i przytrzymała ramienia przyjaciółki.

- Cięża budżetowe - odrzekła Mary Beth obserwując studentów ślizgających się na oblodzonej alejce. Przystanęła. Obłok pary z jej ust okolił jaskrawą czapkę. - Poza tym mamy na głowie te morderstwa. Wysypywanie solą ścieżek niczego nie załatwia. - Spojrzała na Sarę. - Powiesz mi wreszcie, dlaczego wyciągnęłaś mnie z ciepłego biura?

- Chodzi o... o wszystko.

Tak bardzo chciała porozmawiać z Mary Beth. Myślała o tej rozmowie od samego rana, układała w myśli słowa, zdania. Zaraz po seminarium pobiegła do biura i wyciągnęła przyjaciółkę na spacer, żeby nikt im nie przeszkadzał.

Ale teraz, kiedy zostały same, uznała, że jej pretensje są śmieszne i trywialne. Liam był taki cudowny, taki cudowny.

I tak bardzo go kochała. Nagle poczuła się tak, jakby chciała go zdradzić.

- Dzisiaj pracuję - mruknęła zerkając na zieloną kopułę gmachu administracji w śnieżnej czapie. - Ale zadzwoniłam do Milтона i powiedziałam, że źle się czuję. Szczerze mówiąc, naprawdę źle się czuję. Po tej wczorajszej przeprawie...

- Wiem, wiem, opowiadałaś mi - wtrąciła niecierpliwie Mary Beth. - Sześć godzin na posterunku. Fakt, to musiało być straszne. Ale co mi chciałaś powiedzieć dzisiaj? No? Na co czekasz? Mów.

- Te jego zabobony doprowadzają mnie do szału - wypaliła Sara.

Mary Beth przyjrzała się jej uważnie.

- Słucham? Zabobony?

- Początkowo uważałam, że to takie miłe - wyznała Sara, kręcąc głową. Przełamawszy wewnętrzne opory, mówiła coraz szybciej, coraz śmielej, żeby jak najszybciej mieć to za sobą. - Chodzi o to, że Liam poświęca mnóstwo czasu na czytanie i gadanie o folklorze, o legendach, klechdach ludowych i tak dalej. To takie fajne, myślałam: jest dorosły, a wierzy w te stare przesady. Nie traktowałam tego serio. I nie sądziłam, że on traktuje to poważnie.

Przystanęły przed schodami biblioteki. Mary Beth wzięła przyjaciółkę pod rękę, odwróciły się i ruszyły w kierunku, skąd przyszły.

- No i co? Co on takiego robi? - spytała, opatulając szyję wełnianym szalikiem.

- Wszystko - jęknęła Sara. - Zaczyna z samego rana: wstaje z prawej strony łóżka, a potem wynajduje setki dziwnych przesądów i rytuałów, których koniecznie musi przestrzegać. Początkowo myślałam, że to zabawne. Czarujące. Ciekawe. Sama nie wiem jakie.

Mary Beth spojrzała jej w oczy.

- Bardzo ci to dokucza? Myślisz, że facet ma nerwicę natręctw?

Sara poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Może przesadzam. Może zwracam na to uwagę bardziej niż inni, bo jestem podminowana.

Tak strasznie go kocham, Mary Beth. Chcę, żeby było między nami jak najlepiej, ale... ale dzisiaj znowu mieliśmy fatalny ranek.

- Co się stało?

Sara odczuła ulgę, że przyjaciółka patrzy na nią ze szczerym z troskaniem, że nie stroi sobie żartów, nie ironizuje, że podchodzi do sprawy poważnie. Tak, Mary Beth zachowywała się jak prawdziwa przyjaciółka.

- Tylko się nie śmieję: Liam kichnął, a ja zapomniałam powiedzieć: „Na zdrowie”.

Mary Beth nie roześmiała się.

- To przestępstwo?

Sara kiwnęła głową.

- Liam bardzo się zdenerwował. Nie pierwszy raz zapomniałam powiedzieć: „Na zdrowie”, już kiedyś się o to kłóciłyśmy. Przeprosiłam, ale to nie wystarczyło. Zaczął mi tłumaczyć, dlaczego mówimy: „Na zdrowie”, gdy ktoś kichnie.

Kichanie przyciąga złe demony, ale jeśli powiemy: „Na zdrowie”, demony uciekają.

Mary Beth głośno wypuściła powietrze.

- Myślisz, że on wierzy w demony?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła Sara. - To znaczy, chyba nie. Jak mógłby w nie wierzyć? Przecież jest inteligentny, bystry. Nie, ktoś taki nie może wierzyć w demony. - Zagryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi.

- Ale wpadł w gniew, kiedy zapomniałaś powiedzieć: „Na zdrowie”, tak?

Sara westchnęła.

- To był dopiero początek.

Tuż obok przebiegły dwie dziewczyny. Jedna z nich potrąciła Mary Beth i Sarę, tak że omal nie upadły.

- Przepraszam! - krzyknęła przez ramię dziewczyna z dzieki rozwianymi na wietrze włosami.

- Po śniadaniu wniósł do domu wielkie wiadro. Wiadro pełne ziemi.

- Jezu, skąd on wziął ziemię? W ten mróz? Wykopał ją spod lodu?

Sara wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Spytałam go, dlaczego wnosi ziemię do salonu.

- Co on na to?

- Że to stary przesąd z Sussex czy skądś tam. Styczniowa ziemia w domu przynosi szczęście. Nazywa się to „styczniowe maselko”.

- Aha. - Mary Beth wykrzywiła twarz. - Wracam do domu i natychmiast idę po ziemię. Żebym tylko nie zapomniała.

- Proszę cię, to wcale nie jest zabawne.

Mary Beth chwyciła ją za rękaw.

- Przepraszam, już nie będę.

- To jeszcze nie koniec. Wynajęliśmy sprzątaczkę, panią Layton. Miała przychodzić raz w tygodniu. Właściwie to Milton ją dla nas wynajął. Dziś rano ubieram się na górze, nagle słyszę krzyk Liama. Krzyczy, wrzeszczy, awanturuje się o coś, więc zbiegam do salonu i wiesz, czego się dowiaduję? Zdeenerwował się, że pani Layton otworzyła frontowe drzwi i wymiatała kurz na ulicę. - Odetchnęła głęboko. - Stał i wrzeszczał: „Wymiata pani szczęście z domu! Wymiata pani szczęście z domu!”

- No nie, nie wierzę - mruknęła Mary Beth.

- Wyrwał jej szczotkę z rąk i zaczął wmiatać kurz z powrotem. Dostał szału, wyglądał jak... jak obłąkany!

Mary Beth pokręciła głową.

- Niesamowite.

- Biedna pani Layton nic z tego nie rozumiała - ciągnęła jednym tchem Sara. - Wybuchnęła płaczem i natychmiast nam wymówiła. Chwyciła palto i wybiegła z domu. Nawet nie zaczęła na pieniądze.

- O rany. A co na to Liam?

- Po jej wyjściu był bardzo skruszony. Musiał czuć się potwornie. Ciągłe mnie przeproszał, powtarzał, że strasznie mu przykro, błagał o wyrozumiałość, obiecywał, że spróbuje wziąć się w garść, że już nigdy czegoś takiego nie zrobi.

- Uważam, że to klient dla Prozaca - wtrąciła Mary Beth.

- Proszę cię!

- Mówię poważnie, Prozac mógłby go rozluźnić.

- Liam nie jest obłąkany. Jest po prostu... po prostu...

Znowu miała wyrzuty sumienia, że poskarżyła się na męża. Powinna była wiedzieć, że Mary Beth nie potraktuje tego poważnie. Mary Beth żartowała ze wszystkiego.

- Robisz dyplom z psychologii, tak? Może załatwisz mu spotkanie ze specjalistą? Pełno ich u was na wydziale. No wiesz, niechby sobie pogadali, spokojnie, po przyjacielsku, jak kumple. A może namówisz go na wizytę u psychiatry?

Nie, nie powinnam była jej tego mówić, pomyślała zrozpaczona Sara. Nigdy. To cała Mary Beth: najpierw żartuje, potem podchodzi do sprawy zbyt poważnie.

- U psychiatry? Nie sędzę, żebym mogła go do tego namówić. Zresztą nic mu nie jest. On po prostu uwielbia folklor i te swoje zabobony. Poza tym jest zupełnie nieszkodliwy, prawda?

Garrett otworzył drzwi i wsunął głowę do sekretariatu. Za biurkiem nie było nikogo. Z ekranu komputerowego monitora biła niebieskawa poświata.

- Panie dziękuję? Jest pan tu?

Usłyszał kaszlnięcie. Jakiś łoskot. Spojrzał na przepierzenie oddzielające sekretariat od gabinetu.

- Panie dziękuję? To ja, detektyw Montgomery.

Kilka sekund później zza ściany wychynął Milton Cohn. Poprawił granatowy krawat, otarł chustką czerwone czoło pokryte wielkimi kroplami potu i wyciągnął na powitanie gorącą, wilgotną dłoń.

- Ćwiczyłem - mruknął chrapliwym barytonem. - Przepraszam, nie słyszałem, jak pan wszedł. - Chciał ponownie otrzeć czoło, lecz nagle znieruchomiał, a jego wielgachna ręka zastygła w powietrzu. Wytrzeszczył oczy. - Nie, tylko nie to. Kolejne morderstwo?!

Garrett uspokoił go gestem ręki.

- Nie, nie. Dzięki Bogu, nie. Chciałbym zadać panu kilka pytań, to wszystko.

Milton głośno odetchnął.

- Wystraszył mnie pan. Przez chwilę myślałem, że... - Wskazał Garrettowi krzesło, po czym usiadł niezdarnie w



fotelu i pochylił się nad biurkiem, ciężko dysząc po wyczerpujących ćwiczeniach.

- To miło z pańskiej strony, że zechciał pan przyjąć mnie o tak późnej porze - zaczął Garrett wskazując ciemniejące niebo za oknem. - Dziękuję za chęć współpracy. - Wyjął mały notatnik i ołówek.

- Próbuję wam pomóc, jak tylko mogę - odrzekł oschle Milton sondując wzrokiem twarz Garretta. - Te morderstwa nikogo tak nie poruszyły jak mnie. Mówię to w imieniu własnym i w imieniu wszystkich pracowników naszego college'u. - Głośno odchrząknął. - Jak już nadmienilem, znałem jedną z ofiar. Devrę Brooks.

Garrett kiwnął głową i udał, że sprawdza coś w notatniku. Strona, na której go otworzył, była czysta.

- Muszę pana o kogoś spytać. Chodzi o jednego z wykładowców - powiedział spoglądając na Cohna.

Zaciekawiony dziekan szybko zamrugał.

- O jednego z wykładowców? O kogoś, kto u nas uczy? Nie myśli pan chyba, że...

- To tylko kilka rutynowych pytań - przerwał mu Garrett.

Nagle poczuł się głupio. Kilka rutynowych pytań? To strata czasu, nie kilka rutynowych pytań. Dlaczego się tak uparłem? Po cholere idę tym tropem? Ci z FBI postukali się w czoło, gdy ściągnąłem na posterunek O'Connora, jego żonę i siostrę.

Co z tego, że znał wszystkie cztery ofiary? Co z tego? Ten cichy, spokojny facet nie może, po prostu nie może być szaleńcem, który gołymi rękami rozrywa ludzi na strzępy. To wykluczone, absolutnie wykluczone.

Co ja tu w ogóle robię?! Dlaczego się tak na faceta uwzięłem?!

- Co mi pan może powiedzieć o Liamie O'Connorze? Jest profesorem, pracuje u was na kontrakcie, prawda?

Cohn stęknął i wyprostował się.

- Liam? Dlaczego się nim interesujecie?

- Wczoraj odbyliśmy z nim krótką pogawędkę, agenci federalni i ja. - Garrett nie był pewien, czy powinien o tym wspominać.

A co tam. Choć to czysta strata czasu.

- Liam jest bardzo utalentowanym, bardzo znanym i cenionym członkiem społeczności akademickiej - odparł wyniośle Cohn. - Naprawdę nie sądzę, żeby...

- Znał wszystkie cztery ofiary - wypalił Garrett; brakło mu cierpliwości na wysłuchiwanie pompatycznych przemówień.

Usta zdumionego Cohna ułożyły się w kształt litery „O”.

- To jeszcze nic nie znaczy - odrzekł po długiej chwili pełnego zadumy milczenia. - Jakkolwiek by na to patrzeć, Free-wood to bardzo małe miasteczko.

Garrett kiwnął głową.

- Tonący brzytwy się chwyta, panie dziekanie. Proszę się zastanowić. Czy może pan powiedzieć mi o nim coś, co mogłoby...

- Mogę o nim powiedzieć same dobre rzeczy - przerwał mu Cohn. - Wyłącznie dobre rzeczy. To wprost... Nie mogę uwierzyć, że pyta pan akurat o niego.

Sam w to nie wierzę, pomyślał z goryczą Garrett.

- Liam jest światowej sławy naukowcem. Napisał mnóstwo książek, przetłumaczono je na wiele języków. Liam jest... jest nauczycielem! - Twarz mu poczerwieniała, był coraz bardziej podekscytowany. - Nauczycielem, powtarzam, a nie...

Garrett próbował go uspokoić gestem ręki.

- Wiem. Jak już mówiłem, tonący brzytwy się chwyta, panie dziekanie. Po prostu myślałem, że...

- Nic o nim panu nie powiem - warknął Cohn. - Jego kariera, jego referencje i reputacja są nieskazitelne. Administracja uniwersytetu chicagowskiego z wielkim żalem pozwoliła mu odejść. Wymogli na nim przyrzeczenie, że...

- Uniwersytetu chicagowskiego? - Garrett zapisał coś w notatniku. - Profesor O'Connor pracował przedtem w Chicago? Dlaczego porzucił pracę na uniwersytecie?

- Nie wiem, nie jestem pewien - prychnął Cohn. - Pewnie potrzebował odpoczynku. Mówił mi, że brakowało mu spokoju, że w Chicago nie mógł skoncentrować się na pisaniu kolejnej książki. Zapewniam pana, panie Montgomery, że...

Garrett wstał, z trzaskiem zamykając notatnik.

- Ma pan rację, panie dziekanie. Przepraszam, zabrałem panu tyle cennego czasu. To bardzo miło z pańskiej strony, że zechciał się pan ze mną zobaczyć. Mam nadzieję, że...

- A ja mam nadzieję - przerwał mu Cohn - że zamiast zadreżać profesora O'Connora, szybko znajdziecie właściwy trop.

- Ja też - mruknął do siebie Garrett. - Ja też.

Podziękował dziekanowi jeszcze raz i spieszenie wyszedł.

Głęboko zamyślony Milton pochylił się nad biurkiem i objął głowę rękami. Policja, FBI - to oczywiście, że ani jedni, ani drudzy nie wpadli dotąd na żaden ślad.

Cztery morderstwa. Cztery brutalne morderstwa. A oni biegają w kółko, pytając o człowieka, który całe dni spędza na lekturze bajeczek o krasnoludkach i elfach.

Tak, Montgomery czuł się idiotycznie i nie potrafił tego ukryć.

Czego się po mnie spodziewał? Niby co mu miałem powiedzieć? Że od dłuższego czasu podejrzewam, że Liam jest obłąkanym mordercą, w dodatku mordercą wielokrotnym?

Cztery morderstwa. Cztery...

Liam jest tu od niedawna. Przyjechał mniej więcej cztery miesiące temu. Cztery...

Cztery...

To w sumie krótko, mimo to zdążył poznać wszystkie ofiary. Wszystkie cztery...

Spojrzał na zegar na biurku. Minęła piąta trzydzieści. Co znaczy, że w Chicago jest dopiero czwarta trzydzieści.

Ciekawe, czy Jimmy Pinckney jest jeszcze w biurze?

Pewnie uśmiełby się wiedząc, że nasi gliniarze podejrzewają Liama o morderstwo. Liam pracował u niego cztery lata. Co najmniej cztery lata...

Cztery... Cztery...

Zresztą i tak miałem do niego dzwonić. Syn Jimmy'ego przeszedł ciężką operację, muszę zapytać, czy wszystko w porządku...

Przerzucił kilka fiszek, znalazł służbowy numer telefonu

Jimmy'ego i postukując obcasem o podłogę, sięgnął po słuchawkę.

Odebrała sekretarka.

- Bardzo mi przykro, ale dziekan Pinckney już wyszedł. Nie przypuszczam, żeby pojechał do domu, ale... Chwileczkę, proszę poczekać. Nie, jeszcze jest. Łączę.

Kilka sekund później Cohn usłyszał zdziwiony głos starego przyjaciela.

- Milton? To ty jeszcze żyjesz?!

- Wiem, wiem. Zbierałem się, żeby zatelefonować, od miesiący.

Kilka minut pogawędki. Tak, syn czuje się znakomicie, w Chicago bezlitosna zima. Co poza tym?

- Jimmy, muszę powiedzieć ci coś o Liamie.

- O Liamie? Co u niego? Jak przeżył ten kulturowy szok?

Milton zawahał się.

- No cóż... Nie wiem, nie jestem pewien. Ostatnio przeżywamy tu paskudne chwile. Na pewno o tym słyszałeś.

- O synu szefa sieci telewizyjnej zamordowanym na kampusie? I o trzech poprzednich ofiarach? Tak, słyszałem. Wiadomości z Pensylwanii do nas docierają. Zwłaszcza złe wiadomości.

- To prawdziwy koszmar, Jim.

- Wygląda na to, że podobny do tego, jaki przeżywaliliśmy tutaj.

- Co?

- Mówię o tych morderstwach, Milt, o morderstwach na naszym kampusie. To było straszne. Trzy morderstwa. Jedno potworniejsze od drugiego. Sprawcy nie schwytano. Nie do wiary, co? Trzy trupy, a facetowi wszystko uszło na sucho. - Zamilkł na chwilę. Słyszać było tylko trzaski na linii. - Wiesz, skoro już wspomniałeś o Liamie... Zabawna rzecz, ale zeszłej wiosny odwiedziło mnie dwóch agentów FBI. Pytali o niego. Akurat o niego, o Liama. Okazało się, że znał wszystkie ofiary. Wszystkie trzy.

Milton ścisnął słuchawkę tak mocno, że rozboleła go ręka. W głowie kotłowało mu się od cyfr. Trzy?

Trzy? Cztery?  
Trzy plus cztery?  
Kotłowały się, ryczały, a w ich ryku powoli ginął głos Pinckneya.  
- Więc co mi chciałeś powiedzieć o Liamie? Milton? Milton? Jesteś tam, Milton? Janet, chyba nam przerwało.

Milton chodził nerwowo po małym gabinecie. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.  
Tak, to jedyne określenie.  
Ale siedem na siedem?  
Niemożliwe.  
Nieprawdopodobny zbieg okoliczności.  
Dostał gęsiej skórki na karku. Pot ściekał mu z czoła do oczu.  
Niemożliwe.  
Ale on je znał. Liam znał wszystkie ofiary.  
Jedno muszę zrobić na pewno, zdecydował sięgając po słuchawkę telefonu.  
Muszę ostrzec Sarę.

## 44.

Zamknęła drzwi i pobiegła odebrać telefon.  
- Co się dzieje? Nie ma nikogo w domu? - Dlaczego nie podnoszą słuchawki? Telefon dzwonił i dzwonił, dzwonił już wtedy, gdy stała na dworze i zmagala się z kluczami.  
Oddychając jak po ciężkim biegu, sięgnęła po słuchawkę.  
- Halo?  
Usłyszała cichutkie kliknięcie, potem monotonne buczenie.  
Ktokolwiek do nich dzwonił, w końcu zrezygnował.  
Zostawiła na podłodze mokre ślady. Schyliła się, żeby zdjąć buty. Zimno przeniknęło przez kurtkę do ciała. Drżała stawiając na podłodze torbę z książkami.

Weszła do salonu.

- Gdzie jesteście?

W salonie panowała ciemność. Spojrzała w górę schodów. Tam też było ciemno. Margaret musiała gdzieś wyjść.

Ściągnęła kurtkę i wrzuciła ją do szafy w przedpokoju. Pociągając rękawy swetra, wróciła do salonu, pstryknęła przełącznikiem lampy i szybko ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Gazety rozłożone na sofie. Odkurzaczy przy ścianie. Żółta puszka aerozolu do czyszczenia tapicerki na stoliku do kawy przy zaplamionym dywanie.

Pani Layton. Wybiegła z domu jak burza, nie dokończywszy sprzątanego. Sarze przypomniał się poranny dramat.

I znowu poczuła wyrzuty sumienia. Dlaczego zwierzyła się Mary Beth ze swoich kłopotów? Dlaczego tak bezgranicznie jej zaufała? Po tylu latach znajomości powinna wiedzieć, że przed Mary Beth nie można się do końca otwierać.

Mary Beth jest przyjaciółką, serdeczną przyjaciółką, ale nie powinnam prosić jej o pomoc. Jestem mężatką, a nie infantylną sztabaczką. Powinnam zwierzać się ze swoich uczuć Liamowi, powinnam się wreszcie tego nauczyć. Co mnie napadło? Jeden nieprzyjemny epizod i już pędzę na skargę do Mary Beth, jak sześciolatka.

Otwartą dłoń klepnęła się w czoło. O czym ja wtedy myślałam?! Żałowała, że nie może cofnąć czasu, że nie może przeżyć dnia na nowo.

Wciąż było jej zimno, znowu zadrzała. Sprawdziła termostat na ścianie w korytarzu, weszła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę.

Jej uwagę przykuła karteczka na drzwiach lodówki. Wiadomość od Margaret. Ozdobnym, pełnym zawijasów pismem informowała Sarę i Liama, że wróci do domu późnym wieczorem. Umówiła się na kolację z klientką, którą poznała w swoim sklepie, a później zamierzała pójść na koncert studenckiego kwartetu smyczkowego.

A więc dzisiaj będziemy tylko we dwoje, Liam i ja, pomyślała Sara. Choć raz. Spojrzała na zegarek. Już po szóstej, a ona nawet nie wie, co przygotować na kolację.

Dzwonek telefonu. Poczuli, że ściska ją w żołądku. Mam

nadzieję, że to nie Liam z wiadomością, że coś go zatrzymało. Naprawdę nie mam ochoty być dzisiaj sama. Tak bardzo chcę go zobaczyć.

Podniosła słuchawkę ściennego telefonu. Może to Mary Beth. Jeśli to ona, powiem jej, żeby zapomniała o wszystkim, co dzisiaj powiedziałam.

- Halo?

- Czy to pani O'Connor?

- Tak? - Tak, pani O'Connor to ja. Pani O'Connor. Brzmienie nowego nazwiska wciąż ją ekscytowało. Raptem poczuła na karku muśnięcie zimnych macek strachu. Czy to znowu ta kobieta? Czy to znowu Angela?

- Przepraszam, że zawracam pani głowę. Mówi Cathy, sekretarka profesora O'Connora.

Sara wydała ciche westchnienie ulgi.

- Jak się masz, Cathy. Co się stało? Czy mój mąż jest jeszcze u siebie?

- Nie, już wyszedł, ale prosił, żebym potwierdziła rezerwację biletu lotniczego do Dallas. Na śmierć o tym zapomniałam. Chciałabym zadzwonić na lotnisko przed wyjściem z pracy, ale nie znam numeru lotu. Czy mogłaby pani poszukać biletu? Oczywiście, jeśli nie sprawi to pani zbyt wielkiego kłopotu...

Lot do Dallas. Sara przypomniała sobie, że w przyszłym tygodniu Liam ma w Dallas wykład. Proszono go o to jeszcze w Chicago, zanim zdecydował się na wyjazd do Freewood. Powiedział, że niezbyt mu się to widzi, ale cóż, dał słowo.

- Nie ma sprawy, Cathy. Bilet leży pewnie gdzieś na biurku, muszę go poszukać. Chwileczkę.

Słuchawka zawisła na sznurze, a Sara podreptała do salonu. Podeszła do biurka i zapaliła lampkę. Sterty papierów. Plik specjalistycznych czasopism i magazynów. Książka o celtyckich mitach i folklorze. Dokumenty. Szklany przycisk do papieru. Wszystko starannie ułożone i uporządkowane.

Wyglądało na to, że biletu na biurku nie było. Szybko przejrzała pierwszą stertę papierów. Potem następną. Później czasopisma i magazyny.

Może schował bilet do szuflady?

Wyciągnęła górną. Notatniki. Kilka długopisów. Thesaurus w miękkiej oprawie. Nie. Tu by go nie schował. Jest taki zorganizowany, metodyczny - założę się, że ma gdzieś teczkę z napisem PODRÓŻE.

Otworzyła drugą szufladę po prawej stronie. Znowu papier? Nie, to rachunki do zapłacenia. To był dział rachunkowości.

Jeszcze bardziej wysunęła szufladę i wówczas zauważyła białe, prostokątne pudełko od papeterii. Czyżby trzymał w nim dokumenty podróże?

Wyjęła pudełko, otworzyła je i ustawiła w kwadratowej płamie jaskrawego światła lampki.

Fotografie. Zdjęcia. Stare zdjęcia szkolne.

Nie wiedziałam, że Liam trzyma tu zdjęcia. I kto to w ogóle jest?

Liam. Młody, dziewiętnastoletni, może dwudziestoletni Liam z dwoma palcami za głową jasnowłosego chłopaka - "przyprawia mu rogi", obaj się uśmiechają. Znowu Liam. Trochę starszy, w źle dopasowanej sportowej marynarce albo wełnianej kurtce, wielkiej, zbyt obszernej, z koszmarnie szerokimi ramionami - stoi zażenowany obok uśmiechniętej dziewczyny.

Nie mam czasu ich przeglądać. Nawet nie powinnam, skarciła siebie w duchu.

W tym samym momencie jej uwagę przykuło inne zdjęcie. Plaża. Młoda, nieśmiało uśmiechnięta kobieta w skąpym, czarnym bikini.

A to kto? Nie umiała powściągnąć ciekawości. Kobieta z fotografii była bardzo podobna do Sary. Do kogo się tak kusząco uśmiecha? Do Liama?

Zerknęła na drugą stronę zdjęcia. Napis zatarty przez czas. Zmrużyła oczy i odczytała trzy wyblakłe wyrazy: „Całuję najgoręcej. Kristen”.

W kuchni przenikliwie zagwizdał czajnik.



## 45.

- Liam!

Wszedł do salonu w rozpiętym palcie z uśmiechem na ustach. W jednej ręce trzymał bukiet czerwonych róż owiniętych w miękki papier, w drugiej żółtą torbę z zakupami.

Sara przed chwilą odłożyła słuchawkę - Cathy będzie musiała zaczekać, aż Liam znajdzie bilet - i patrzyła na niego ściskając w rękę zdjęcie Kristen.

Liam wcisnął kwiaty w jej ramiona.

- Przepraszam za poranną awanturę, kochanie.

- Liam...

- Tak, wiem. Zachowałem się jak idiota. Coś mi odbiło. Zaświrowałem, jak powiadają moi studenci. - Uśmiechnął się szerzej. - Ale wieczorem to naprawię. Przrzekam. - Pocałował ją napierając piersią na różę. Miał zimną twarz. Twarz, ale nie usta.

Wyśliznęła się z jego objęć.

- Liam, muszę cię o coś zapytać.

Podniósł plastikową torbę z zakupami.

- Kupiłem coś na kolację. Wyszedłem wcześniej i wstąpiłem do tej chińskiej knajpki. - Pociągnął nosem. - Mmmmm... Czyż to nie cudowny zapach? Wziąłem dwie porcje pierożków z jarzynami. Twoich ulubionych. - Podszedł bliżej, żeby znowu ją pocałować. - Urządzmy sobie romantyczny wieczór, Saro. Chciałbym, żebyś zapomniała o tym nieszczęsnym poranku.

Serce zabiło jej żywiej. Uśmiech Liama zawsze tak na nią działał. I te jego brązowe oczy, te głębokie, łagodne oczy przepełnione miłością i uwielbieniem. Miłością i uwielbieniem dla niej.

Ale wciąż trzymała w ręku zdjęcie Kristen.

Odłożyła kwiaty. Uniosła fotografię.

- Liam, spójrz... spójrz, co znalazłam. - Głos jej drżał, mimo że próbowała nad nim zapanować.

Popatrzył na zdjęcie. Postawił torbę na podłogę.

- Co to jest?

- Zdjęcie. Znalazłam je w pudełku. W twoim biurku. Szukałam biletu do Dallas. Pomyślałam sobie, że może jest w pudełku. Zamiast biletu znalazłam tę fotografię.

Zmarszczył brwi. Wziął zdjęcie, podniósł je do twarzy i wodząc po nim oczami, jakby coś czytał, uważnie mu się przyjrzał.

- Kto to jest?

- Kristen - wykrztusiła. - Przeczytaj napis na odwrocie. To Kristen. Kobieta, która wczoraj do mnie dzwoniła. Mówiłeś, że nie znasz żadnej Kristen. A tu proszę. Jest Kristen.

Nie odrywał oczu od zdjęcia. Odwrócił je. Przeczytał napis. Znowu je odwrócił. W końcu spojrzął na Sarę.

- Nigdy w życiu jej nie widziałem.

- Liam...

- Gdzie to znalazłaś? W pudełku? W jakim pudełku?

Poprowadziła go do biurka. Zatrzeszczała podłoga. Sara nigdy dotąd tego nie słyszała, lecz teraz każdy dźwięk, każde stąpienie, każdy oddech, każde przełknięcie śliny, każdy odgłos docierał do niej ze wzmożoną intensywnością.

Lampka na biurku świeciła jaskrawo niczym reflektor. Pudełko stało pośrodku, tam gdzie je zostawiła. Obok pudełka leżało kartonowe wieczko. Szuflada była wciąż otwarta.

Sara wyciągnęła rękę.

- W tym.

Zmarszczone brwi, zdumiony wyraz twarzy - Liam podniósł pudełko i szybko przejrzał fotografię.

Po kilku sekundach odstawił pudełko i spojrzął na żonę.

- To nie są moje zdjęcia.

- Jak to?

- To nie moje pudełko. To pudełko Margaret. To są stare fotografie Margaret.

- Fotografie... Margaret? - powtórzyła piskliwym głosem. Położyła rękę na piersi, jakby chciała uspokoić rozkołatane serce.

To prawda? Mówi prawdę?

Jeszcze raz zerknął na zdjęcie Kristen, po czym wrzucił je do otwartego pudełka.

- Ci od przeprowadzki musieli pomylić biurka. Nie znam tej Kristen. Z niczym mi się nie kojarzy. To pewnie przyjaciółka Margaret. Możemy ją o to zapytać.

Sara przełknęła ślinę.

- Och, Liam... Przepraszam. Kiedy zobaczyłam to zdjęcie, pomyślałam sobie, że...

Zakrył jej usta swoimi ustami. Najpierw pocałował ją lekko, potem namiętnie, głęboko. Później uśmiechnął się i szepnął:

- Proszę, proszę, mam zazdrosną żonę.

- Nie, to... to nie tak - wyjąkała. - Nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków.

- To cudowne mieć żonę, która odczuwa zazdrość przeglądając wyblakłe fotografie - mówił tuląc ją do siebie. - Szczęściarzem z mnie, Saro. Wielki z mnie szczęściarzem.

- Nie, to ja mam szczęście - wyszeptwała.

Gdy opuścił głowę, żeby znowu ją pocałować, jej wzrok padł na zdjęcie nieśmiało uśmiechniętej kobiety w bikini. Mówił prawdę?

Oczywiście, że tak.

Po kolacji zaprowadził ją na górę do sypialni.

- To będzie szczególna noc, Saro - szepnął cicho. Jego ciepły oddech załaskotał ją w ucho. Dostała gęsiej skórki.

Chciała zapalić światło, lecz łagodnie ją powstrzymał.

- Nie dzisiaj, kochanie.

Musnął wargami policzek Sary, wędrując rękami po jej plecach. Wsunął je pod sweter i pocałował ją delikatnie, tak delikatnie... Miał ciepłe dłonie, ciepłe i czułe.

Ściągnął z niej sweter. Znowu ją pocałował, leciutko napięrając językiem na jej język. I pieścił ją, pieścił ją swymi ciepłymi dłońmi. Wydała z siebie stłumiony okrzyk rozkoszy.

- Rozbierz się. Zaraz wracam.

Zniknął w ciemności. Błękitnawa poświata sącząca się przez okno, skąpany w poświacie dywan - miała wrażenie, że stoi w powietrzu, że stoi w niebie.

Że płynie. Czując dotyk jego rąk, jego ust, jego smak, zerwała z siebie resztę ubrania i wśliznęła się pod koc.

Pragnę cię, Liam. Dokąd poszedłeś, Liam? Tak bardzo cię pragnę.

Wrócił kilka sekund później w pomarańczowym świetle migotliwego płomienia świecy. Dostrzegła jego uśmiechniętą twarz, dostrzegła błysk w jego ciemnych, podnieconych oczach.

Świeca była długa i biała. Postawił ją na komodzie i wtedy zobaczyła, że w drugiej ręce trzyma małe pudełko. Ostrożnie postawił je obok świecy.

I spojrzął na Sarę. Głębokie cienie na twarzy, ciemne oczy - był taki przystojny w tym przyćmionym świetle. Taki przystojny. Pragnę cię, Liam. Proszę, chodź tu, połóż się koło mnie.

- Obiecałem ci szczególną noc - szepnął ledwo słyszalnym szeptem. Był podniecony, mówił szybko, w jego oczach igrał płomień świecy. - I będzie to szczególna noc, moja piękna Saro. - Sięgnął po pudełko na komodzie. - Wiem, że świat magii i zabobonów nie jest twoim światem, kochanie, lecz to... To jest prastara irlandzka ceremonia, którą przez wiele, bardzo wiele pokoleń odprawiali wszyscy nowożeńcy.

Sara usiadła, oparła się o wezglowie i podciągnęła koc pod brodę. Nagle bardzo ją to zaciekało. Co on zamierza? - myślała. Chciała powiedzieć: „Liam, zostaw to pudełko i chodź do łóżka”. Ciekawe, jak by zareagował.

Ale miał taką poważną minę, był taki skupiony, że na pewno by go tymi słowami uraziła. Tak, Liam jest o całe niebo romantyczniejszy ode mnie.

Wezmę w tym udział, bo jest taki cudowny, bo tak bardzo go kocham. Kocham go i te wszystkie zwariowane zabobony, te wszystkie ceremonie.

- Co jest w tym pudełku, Liam? - spytała cicho.

Może to prezent? Jakiś specjalny prezent. Klejnot, który należał do jego matki, pierścień przekazywany z pokolenia na pokolenie?

Przyłożył palec do ust, dając jej znak, żeby umilkła. Przeciwnie, stanął przed półką z książkami

przy szafie. Włączył odtwarzacz płyt kompaktowych i po chwili sypialnię wypełniły delikatne dźwięki muzyki. Bach. Koncert na flet.

Jakie to urocze, pomyślała. Jakie romantyczne.

Liam zaczął nucić, podśpiewywać. Cichutko, monotownie. Cóż to za dziwny język? Celtycki? Nucił tak cicho, że ledwo go słyszała.

Znowu przytknął palec do ust. Znowu się do niej uśmiechnął.

I otworzył pudełko.

Naszyjnik? - myślała. Stary wisiołek? Szmaragd?

Wyjął z pudełka jakiś przedmiot i w pomarańczowym blasku płonącej świecy podniósł go do góry.

Ludzka dłoń.

Sara zdławiła okrzyk przerażenia.

- To tylko ręka manekina - uspokoił ją szeptem ledwo słyszalnym na tle płacznego zawodzenia fletu. Podniósł przedmiot wyżej, żeby lepiej widziała. - Dłoń manekina, ale wygląda jak żywa, prawda?

- Tak, rzeczywiście - wymamrotała, kurczowo ściskając koc.

- Musi być jak żywa, kochanie, inaczej czary nie podziała ją.

Czary? Co on chce zrobić?

Nie ma szmaragdu? Nie ma wysadzanego klejnotami wisiora matki?

Po co mu ludzka ręka? I co on tam mantruje?

Pochyliła się do przodu, uspokojona jego ciepłym uśmiechem, podnieceniem bijącym z ciemnych oczu, ukojona monotonią miękkich, lirycznych i dziwnych słów.

Liam stanął przed komodą. Wyjął świecę z lichtarza. We tknął ją w dłoń manekina. Ręka ścisnęła świecę drewnianym uchwytem. Liam podniósł ją wysoko, skąpany w ciepłej, pomarańczowej poświacie.

Po chwili opuścił rękę, tak że ogień zamigotał na wprost jego twarzy. Zaczął mówić. Tchnął słowa w płomień, przygiął go nimi i przyduśił.

- Niech śpiący śpią, a czuwający czuwają.

Chwilę później dłoń manekina i zaciśnięta w dłoni świeca spoczęły na komodzie. Liam położył się obok Sary i czule ją przytulił.

Wszedł w nią szybko, niemal gwałtownie. Głośno nabrała powietrza, zamknęła oczy, uniosła biodra wychodząc mu na spotkanie.

Nigdy dotąd nie kochali się tak namiętnie, tak żarliwie.

Zanim eksplodował w niej z cichym okrzykiem radości, długa świeca zdążyła się w połowie wypalić. Na drewnianą dłoń manekina spływały potoki białego wosku.

## 46.

Obudziła się z pulsującymi skroniami, obolała i zeszywniała. Zmrużyła oczy w jaskrawożółtych promieniach słońca wpadających przez okno i poszukała ręką Liama.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że w łóżku go nie ma.

Usiadła, zamknęła oczy i zaczęła masować skronie. Nogi miała jak z waty. Skutek miłosnej nocy?

Wezmę długi, gorący prysznic i od razu poczuję się lepiej, pomyślała. Nachyliła się, żeby poklepać lekkie wgniecenie na poduszce Liama. Słodki Liam. Tak bardzo chciała, żeby ją teraz przytulił. Znowu pomyślała o minionej nocy, o długiej miłosnej nocy, tak gwałtownej i czulej zarazem.

- Gdzie jesteś, Liam? - mruknęła schrypniętym od snu głosem.

I wtedy zerknęła na budzik. Prawie dziesiąta! Zaspała! Dlaczego pozwolił jej zaspać? Przecież o jedenastej miała seminarium, a przed seminarium zamierzała wpaść do biblioteki, żeby trochę popracować i uporządkować notatki.

Z bolącą głową zerwała się z łóżka i popędziła do łazienki, wlokąc za sobą prześcieradło, o które się omal nie potknęła.

Gorący prysznic. Gorący prysznic i kilka tabletek aspiryny. I już mnie nie ma. Niezbyt przyjemny poranek...

Milton zaczekał do szóstego sygnału. Do siódmego. Do ósmego.

- Odbierz, Saro, odbierz, odbierz... - Zabębnił palcami w biurko i, sfrustrowany, odłożył z trzaskiem słuchawkę.

Próbował się do niej dodzwonić cały wieczór, ale musieli zdjąć słuchawkę z widełek. Boże, żeby tak choć na chwilę wpadła do biura...

Dobra, założmy, że zaczniemy rozmowę. I co? Co ja jej powiem?

Pytanie powracało, lecz wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

- Saro, grozi ci niebezpieczeństwo. Niewykluczone, że twój mąż jest obłąkanym mordercą, w dodatku wielokrotnym.

Liam?

Sara roześmieje mi się w twarz.

Jak ja mogę nawet o tym myśleć? Liam to taki łagodny, taki cywilizowany człowiek. Nie, to niemożliwe. A jednak możliwe.

Siedem na siedem - znał wszystkie siedem ofiar.

I właśnie to powiem Sarze.

- W Chicago też doszło do morderstw. Do potwornych, bestialskich morderstw. A Liam znał wszystkie siedem ofiar.

Muszę ją ostrzec. Tak, po prostu muszę, nie mam wyboru. Muszę ją przekonać, że grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Kiedy zobaczy, że mówię poważnie, na pewno mnie nie wyśmieje. Nie wybuchnie śmiechem, gdy jej powiem, że Liam znał wszystkich zamordowanych, i tu, i w Chicago.

A potem?

Potem spakuje trochę rzeczy i zamieszka u mnie do chwili, aż coś postanowimy.

Zatelefonował na posterunek i spytał o policjanta, z którym rozmawiał na kampusie. Powiedzieli mu, że detektyw Montgomery jest w terenie, ale jak tylko wróci, natychmiast oddzwoni.

Wyszarpnął z szafy palto i owinąwszy się nim, wypadł z

biura. Muszę zaczerpnąć trochę zimnego powietrza. Gorąco mi, jakbym płonął. Jakbym się spalał.

Dzień był szary, burzowy, niebo zaciągnięte czarnymi, opadającymi coraz niżej chmurami - zdawało się, że odzwierciedla to nastrój Milтона.

Wetknął ręce do kieszeni. Nie zawracał sobie głowy zapięciem palta. Pochylił się na zimnym wietrze, czując, że na rozpalone czoło spadł mu mokry płatek śniegu. Potem następny.

Długimi krokami ruszył przez Krąg, nie widząc studentów na krzyżujących się alejkach, nie wiedząc, dokąd idzie - mroźne, rześkie powietrze koło go i uspokajało.

W połowie drogi do biblioteki wpadła na niego Sara.

Zaskoczeni, oboje wykrzyknęli.

Płatki śniegu w jej czarnych włosach. Wystraszone, podkrążone oczy. Chwyił ją za ramiona.

- Saro...!

- Przepraszam, Milton, spieszyłam się. Już jestem spóźniona, kiepsko się czuję i...

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Wiem. Wiem. Przepraszam, że wczoraj nie przyszedłam do pracy. Chyba złapałam grypę albo inne choróbko. Dzisiaj pewnie też nie przyjdę.

Wyminęła go. W szarawym świetle dnia miała bladą twarz.

- Muszę z tobą porozmawiać. I to natychmiast.

- Nie, nie teraz. Jestem bardzo spóźniona.

- Ale, Saro... To naprawdę ważne. Muszę...

- Mam seminarium! - Zaczęła biec. Plecak objął się jej o ramiona. - Przepraszam, Milton. Mogę zadzwonić do ciebie później?

- Nie! - Ruszył za nią, mrużąc oczy w padającym śniegu. - Posłuchaj mnie, Saro! - Jego głos rozmywał się na wietrze. - Zaczekaj!

Nie mógł jej dogonić. Wyglądał jak słoń ścigający gazelę.

- Saro, muszę z tobą porozmawiać!

Krzyki studentów nawołujących się na Kręgu.

Zagłuszyły jego błagania? Może go jednak usłyszała?

Dlaczego nie chciała poświęcić mu chociaż sekundy?



Serce waliło mu jak młotem. Sfrustrowany, wydał z siebie groźny pomruk, schował ręce do kieszeni palta, zawrócił i pochyliwszy się, w padającym śniegu ruszył w stronę gmachu administracji.

Może dzwonił już ten detektyw.

Może go przekonam, może aresztują Liama, zanim...

Nie, nawet nie chciał o tym myśleć.

Garrett wcisnął guzik dzwonka. Wytężył słuch. Za drzwiami panowała cisza. W domu nie było nikogo. Pewnie jeszcze nie wrócili z pracy. Zerknął na zegarek. Prawie wpół do szóstej, już ciemno. I prawie koniec roboty. Do następnej przeczniczy zostało mu tylko kilka domów, a potem fajrant.

Zszedł na chodnik i przeciągnął się. Bolał go krzyż. Przywykłem do całodzienniej roboty za biurkiem, to dlatego, pomyślał. Nie ma to jak ruch na świeżym powietrzu. Kilka dni łażenia od domu do domu dobrze mi robi.

Albo mnie dobije.

Może skończę trochę wcześniej, żeby zdążyć na karmienie Martina.

Stanął pod latarnią, podniósł do twarzy podkładkę z notatkami i przebiegł oczyma listę domów i mieszkań. Obszedł dzisiaj spory kawał miasta.

I nic. Nie wykrył absolutnie nic.

Jeszcze jeden zmarnowany dzień.

Nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział, nikt się niczego nie domyślał.

Kopnął bryłkę lodu u podstawy słupa latarni. Pękła od uderzenia ciężkiego, czarnego buta. Kawałki lodu bryzgnęły na jezdnię.

Tak, swój dzień miałem w zeszłym tygodniu, pomyślał przynębiony. Kiedy odkryłem, że profesor znał wszystkie cztery ofiary. To była moja wielka chwila.

I znowu zaczął fantazjować: oto wiezie profesora na posturunek, żeby przekazać go agentom FBI. Profesora, jego żonę i siostrę. Garrett Montgomery, miejscowy bohater.

Wyobraził sobie, jak występuje w lokalnym dzienniku telewizyjnym o jedenastej wieczorem... Nie, nie, w dzienniku

ogólnokrajowym. Oczywiście, że w ogólnokrajowym. Pytają go, jak wykrył i schwytał mordercę, a on na to: „W sumie to było bardzo łatwe, nie miałem z tym żadnych kłopotów. Dwa i dwa to cztery, prawda? To chyba nietrudne? Jestem gliniarzem nie od dziś i wiem, kiedy zaufać przeczcuciu. Nie jestem bohaterem. Robiłem swoje. Za to mi płacą”.

Co za bzdury.

No i musieli tego profesora wypuścić. Pewnie, że musieli.

Dlaczego jakiś pieprzony profesor college'u - w dodatku profesor sławny, prawdziwa osobowość na rocznym kontrakcie - dlaczego taki ktoś miałby mordować ludzi na kampusie?

Im dłużej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że wyszedł na kompletnego idiotę. To facet o przeciętnej budowie ciała, żaden z niego atleta. Jakim cudem mógłby rozerwać na strzępy te nieszczęsne kobiety?

Nie, to wykluczone.

Wszyscy stracili przez niego tyle czasu. „Za to mi płacą”. Chryste. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, po wielu tygodniach poszukiwań natrafił tylko na ten jeden ślad. Gość miał powiązania ze wszystkimi czterema ofiarami. I sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Ale nie, to mi nie wystarczyło, musiałem poleźć na kampus i pogadać z dziekanem. Czego się, do cholery, spodziewałem? Co mi mógł powiedzieć? „Tak, to prawda. Wiemy, że profesor O'Connor lubi mordować ludzi. Ale morduje ich tylko od czasu do czasu i taki z niego dobry nauczyciel, ma tak znakomitą reputację, że postanowiliśmy przymknąć na to oko”.

Pewnie pomyślał, że zwariowałem.

Bo chyba naprawdę zwariowałem. Zwariowałem albo do reszty zgłupiałem. Albo i to, i to.

Powinienem wpaść do tego O'Connora i go przeprosić.

Ale prawdziwi gliniarze nie przepraszają. Przepraszają?

Za rogiem skręcił, wracając do samochodu. Zaraz, gdzie ja go zaparkowałem? Na Jackson?

Padła gęsty śnieg. Okna prawie wszystkich domów były jeszcze ciemne. Ulicą przejechała z warkotem furgonetka z

nartami wystającymi przez uchyloną szybę. Z oddali doszedł go pisk opon. Pewnie jakiś palant wpadł w poślizg na oblodzonej jezdni. Walter i kilku innych mają dzisiaj służbę. Dzisiaj? Tak, chyba dzisiaj. Jeżdżą po mieście i zajmują się stłuczkami.

Przyłapał się na tym, że myśli o Walterze. Chryste, to niemożliwe. Czyżbym tęsknił za tym grubym niechlujem? Wykluczone!

Jutro wpadnę na posterunek i może się z nim zobaczę. Chyba że wysłali go w teren, jak mnie.

Zachichotał rozgoryczony. Wiedział, że łażenie po domach nic nie da, że to tylko pretekst: federalni nie chcieli, żeby miejscowa policja wchodziła im w drogę.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, ślizgając się na jezdni. W półmroku połyskiwały konary nagich drzew. Lód otulał je niczym ubranie.

Stwór spadł na niego z góry, z drzewa.

Garrett stęknął. Chwycił zwierzę obiema rękami. Początkowo myślał, że to wielki szympans. Bestia owinęła go rękami i nogami.

Spojrzał w jej żółte, okrągłe ślepia. Była porośnięta gęstą, cuchnącą sierścią. Z pyska buchał potworny smród, obrzydliwy smród zgnilizny.

To nie małpa?

Zwierzę zbliżyło pysk do jego twarzy. Chce mnie pocałować, pomyślał.

I raptem poczuł ból, ból tak intensywny, że przeraźliwie krzyknął.

Krzycząc usłyszał głośny trzask, jakby coś się pruło. W tym samym momencie zalała go druga fala upiornego bólu. I zobaczył swoje ucho w pysku bestii.

Moje ucho. Odgryzł mi ucho!

Stwór błysnął żółtymi ślepiami. Wypluł małżowinę i podrzucił ją do góry jak prażynkę. Potem chwycił ucho włochatą łapą, wepchnął je do pyska i podwinąwszy czarne, grube wargi, obnażył kły w radosnym uśmiechu. I zaczął poruszać szczęką, zaczął żuć.

- Niiieeee! - zawył Garrett skręcając się z bólu. Lewą stronę twarzy zalała mu gorąca krew.

Wziął zamach - zrobił to w przypiływie szaleństwa, odruchowo, bynajmniej tego nie planował - i grzmotnął pięścią w uśmiechniętą mordę bestii.

W tej samej chwili zwierzę rozdziawiło pysk.

Pięść Garretta trafiła prosto w paszczę. I utkwiała głęboko w szerokim gardle potwora.

Było tam gorąco i mokro.

Zaskoczona bestia wybałuszyła ślepią. Wydała z siebie zdławiony charkot. Zamachała nad głową śmierdzącymi łapami. Odrzuciła do tyłu łeb, próbując się uwolnić.

Garrett wpychał rękę coraz głębiej i głębiej. Raptem natrafił dłonią na coś miękkiego. Miękkiego i gąbczastego. Głęboko w gardle potwora.

Zwierzę obrzydliwie zachrypiało, zacharczało, jakby dostało mdłości. Znowu odrzuciło do tyłu łeb i bulgotliwie zacharczało.

Garrett zacisnął palce na gorącym, gąbczastym organie w brzuchu kosmatego monstrum. Po czym szarpnął, szarpnął ze wszystkich sił.

I wyrwał z jego trzewi różowawy flak pokryty gęstym, połyskliwym śluzem. Bestia przeraźliwie zaskowyczała. Rozwścieczony Garrett krzyknął i cisnął obrzydlistwo na środek jezdni.

Zwierzę płaczliwie zaskomlało. Runęło na śnieg, przypominało czarne, grube futro. Na chwiejnych nogach, skowycząc, świszcząc i jęcząc, pokuśtykało w stronę gęstego żywopłotu, pokonane i zrezygnowane. Garrett słyszał, jak bydlę rzyga. Jak jęczy, stęka i rzyga.

Nagi żywopłot zatrząsł się, gdy ranny potwór precyzyjnie się przezeń i zniknął.

Garrett spuścił głowę i spojrzął na śnieg czerwony od jego krwi. Czuł spływającą po twarzy gorącą strugę, czuł pulsujący ból w miejscu, gdzie jeszcze niedawno było jego ucho.

Ból. Straszliwy, gorętszy niż krew.

Podniósł rękę, żeby zasłonić ranę. Nie mógł, za bardzo go bolało.

Opadł na kolana zdumiony, że z rozharatanej głowy może wypłynąć tyle krwi, zatrwożony, że tak nagle osłabł, osłabł do tego stopnia, że nie może oderwać rąk od uwalanego krwią śniegu, i zaskoczony, straszliwie zaskoczony, że tak dobrze słyszy swój pełen przerażenia krzyk.

- Liam? Margaret? Jesteście?

Cisza.

Przeszła przez ciemny dom, zapalając po drodze wszystkie światła. Później podkręciła termostat i rozcierając przemarznięte ręce, zajrzała do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę.

W kuchenne okno bębnił śnieg z deszczem. Szyby pobrzękiwały na wietrze. Siedziała w bibliotece dłużej, niż zamierzała. Kiedy postanowiła wracać do domu, niebo już poczerniało, padał śnieg z deszczem, a chodniki były oblodzone i zdradliwe.

Napełniła wodą czajnik i postawiła go na kuchence. Później pobiegła do sypialni, żeby przebrać się w coś cieplejszego i wygodniejszego. Zapaliwszy górne światło, stwierdziła, że w pokoju nic się nie zmieniło - wciąż panował w nim poranny rozgardiasz: niezasałone łóżko, skotłowane koce, rozwleczone prześcieradło, koszula nocna na krześle, szczotka do włosów na podłodze.

Dlaczego się dziwię? Czego się spodziewałam? Że elfy za mnie posprzątają?

Podeszła do komody, schyliła się po szczotkę i potrąciła ręką coś miękkiego. Podniosła głowę i zobaczyła dłoń manekina. Kciuk i zakrzywione palce były pokryte grubą warstwą białej stearyny.

Uśmiechnęła się na wspomnienie minionej nocy, na wspomnienie upojnych chwil przy blasku świecy płonącej w lichtarzu z drewnianej ręki.

Przeciągnęła palcami po białej, śliskiej warstwie. Pod wpływem dotyku stearyna pękła i odstała od drewna.

Sara podniosła sztuczną dłoń. Nie, to nie drewno. Dłoń była twarda, ale jakby... skórzasta.

Odwróciła rękę i odgięła sztywne palce, żeby obejrzeć wnętrze dłoni. Potem obejrzała jej wierzch.

Cieniutki płatek stearyny odpadł i wtedy zobaczyła tatuaż.  
Czarny sztylecik z kropelką niebieskiej krwi na czubku  
ostrza.

- Boże...

Dłoń upadła na komodę. Palce zaczęły się powoli rozpro-  
stowywać.

To była ręka Chipa.

Ręka Chipa.

Ręka Chipa.

# CZEŚĆ SZÓSTA

## 47.

Jak długo na to patrzyła? Na skórzaste palce rozczapierzone na blacie komody. Na maleńki sztylet ginący w brązowej skórze. Na równo ucięty nadgarstek, nadgarstek starannie zaszyty grubą, czarną nicią.

Jak długo? Jak długo?

Dopóki sztylet nie ściemniał za zasłoną łez. Dopóki dłoń się nie rozmyła. Dopóki nie zacisnęła powiek, dopóki nie poczuła, że cała sypialnia gwałtownie zawirowała, że podłoga zachybotała niczym pokład miotanego sztormem okrętu.

Panika.

Ogarnęła ją panika. Boże, nie mogę oddychać, mam mdłości, zesztyniały mi mięśnie, wszystkie mięśnie boleśnie stężyły, jakby lada chwila miały pęknąć, jakby pęknąć miała skóra i ciało. Moje nogi... Są takie ciężkie, takie ciężkie, że nie mogę się ruszyć, nie mogę stąd odejść, żeby już dłużej nie patrzeć na tę... na tę rzecz, którą tyle razy trzymałam, która mnie tyle razy dotykała, która mnie pieściła. Na tę dłoń.

Na dłoń Chipa.

Dłoń Chipa.

Dłoń Chipa.

Na mojej komodzie. Ta dłoń... ścisnęła świecę, tak kurczowo ścisnęła świecę, gdy kochałam się z Liamem.

Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego, Liam?

- Muszę stąd wyjść - wychrypiała niskim, spiętym głosem.

Spięty głos. Napięte mięśnie. Mocno zaciśnięte szczęki i zęby.

Odrzuciła się na pięcie. Z trudem złapała oddech. Zmusiła nogi do posłuszeństwa i zrobiła krok do przodu. Potem drugi.

Mary Beth. Do Mary Beth.

Potrzebuję pomocy, Mary Beth.

Muszę pomyśleć. Muszę zacząć trzeźwo myśleć. Muszę



dopatrzeć się w tym jakiegoś sensu. Przecież to musi mieć jakiś sens.

Liam. Słodki Liam.

Taki dobry. Taki błyskotliwy. Taki cudowny.

Liam ją kochał.

Ale...

Dłoń Chipa. Dłoń Chipa. Dłoń Chipa.

Bez sensu. Zupełnie bez sensu. Może Mary Beth mi pomoże.

Musisz mi pomóc, Mary Beth.

Ocknęła się w salonie. Wierzchem dłoni otarła lzy. Otworzyła szufladę biurka. Ręce. Nie mogła opanować straszliwego drżenia rąk.

To nie ma sensu. To nie ma żadnego sensu.

Nabazgrała krótką wiadomość. Nie chciała bazgrać. Przecież miała wprawna rękę, miała taki ładny charakter pisma. Nauczyciele zawsze ją chwalili.

Ładny charakter pisma, wprawna ręka. Ręka. Jej ręka.

Ręka Chipa. Ręka Chipa.

Ile razy ją trzymała? Ile razy ją całowała?

ZJEDZ KOLACJĘ BEZE MNIE. WRÓCĘ PÓŹNO.

Wiadomość dla Liama. Chciała zostawić ją w kuchni, ale w połowie drogi zawróciła i dopisała: KOCHAM, SARA.

Bo naprawdę cię kocham, Liam. I wiem, że ty kochasz mnie.

Wiem, że i tym razem wszystko będzie dobrze. Że i tym razem...

Ale skąd ta... dłoń?

Dłoń Chipa.

Mary Beth. Ona będzie wiedziała.

Zostawiła wiadomość na drzwiach lodówki. Chwyciła kurtkę. Z kieszeni wypadły rękawiczki. Nie przystanęła, żeby je podnieść.

Co by było, gdyby wrócił Liam? Teraz. W tej chwili. Gdyby stanął w progu i spytał, dokąd idę?

Odnalazłaby w sobie wystarczająco dużo siły, żeby zapytać go o tę dłoń? Czy potrafiłaby spytać: „Liam, skąd się wzięła dłoń Chipa na naszej komodzie?”

Nie. Bo jeszcze nie otrząsnęła się z paniki. Bo jeszcze nie mogła normalnie oddychać. Bo gdy tylko zamrugnęła, gdy tylko zamknęła oczy, choćby na sekundę, natychmiast widziała odciętą dłoń ze starannie zaszytym nadgarstkiem i ciemnym tatuażem, widziała skórzaste palce, które zaciskały się kurczowo, które się kurczowo zwierzały...

Dlaczego, Liam? Dlaczego?

Podmuchał mroźnego powietrza. Śnieg już nie padał, padał tylko zimny deszcz. Na chodnikach połyskiwała matowo-srebrzysta warstwa miękkiego, na pół stającego śniegu i lodu.

Zaczęła biec, chociaż było ślisko. Wiedziała, że ucieka, ale wmawiała sobie, że biegnie po pomoc.

Ja wrócę, Liam. Późno, ale wrócę.

Postawiła kołnierz, schowała ręce do kieszeni, pochyliła mokrą głowę i biegła, biegła całą drogę, przez cały kampus. Przez lód, przez topniejący śnieg, potykając się i ślizgając na zdradliwych alejkach. Gdy stanęła przed drzwiami mieszkania przyjaciółki, nie mogła złapać tchu. Bolało ją w boku, ścisnęło w brzuchu, w skroniach pulsowała krew, z ust buchały kłęby pary.

Mary Beth otworzyła drzwi i zdumiona obrzuciła ją spojrzeniem zielonych oczu. Zmierzwione włosy, wypłowiałe dżinsy z dziurami na kolanach, czerwono-szary sweter z podwiniętymi rękawami.

- Sara?

- Musimy... musimy porozmawiać.

- Spokojnie, najpierw trochę odetchnij. Przemokłaś do suchej nitki. Co się stało? Sara, co się stało?

Sara przyłożyła rękę do serca, z trudem łapała oddech. Mary Beth wprowadziła ją do mieszkania. Otwarte pudełko z pizzerii na stole, w pudełku połówka pizzy. Bruce Springsteen z kompaktu. Mary Beth wyłączyła odtwarzacz.

Odwróciła się do Sary i powtórzyła:

- Co się stało?

Sara powoli uspokajała się. Spojrzała w stronę sypialni i przez uchylone drzwi zobaczyła otwartą walizkę na łóżku.

- Wy... wyjeżdżasz? - sapnęła.

Mary Beth wykrzywiła usta i podrapała się w ramię.

- Muszę jechać do domu. Tato upadł i złamał nogę. Mama wpadła w histerię. Skąd ja to znam. Lecę w taką noc, wyobrażasz sobie? Mam nadzieję, że nie zamkną lotniska. - Położyła przemoczoną kurtkę przyjaciółki na ławie koło drzwi. - Zrobić ci coś do picia? Może czegoś gorącego?

Sara zamknęła oczy. I znowu zobaczyła odciętą dłoń.

- Masz wino?

Mary Beth zastanawiała się przez chwilę.

- Tylko czerwone. Może być?

- Wspaniale.

Mary Beth rozlała wino do dwóch szklaneczek do soku. Sara upiła długi łyk. Trunek palił w gardle, lecz był ciepły i kojący. Upiła drugi łyk.

- No więc? Co się stało? - Mary Beth przysiadła na brzegu miękkiej poduszki obok przyjaciółki. Odgarnęła włosy. - Co się stało, Saro?

Sara głęboko westchnęła. Przełknęła ślinę. Upiła jeszcze jeden łyk wina. Szklaneczka była prawie pusta.

- To trudno wytłumaczyć. Chodzi o Liama.

- Znowu te przesady?

- Tak. Nie. To znaczy, tak.

Z wielkim trudem opowiedziała jej o wydarzeniach ostatniej nocy. O tym, że Liam był taki romantyczny. Taki czuły i troskliwy. Opowiedziała o pudełku, o świecy, o koncercie na flet, o celtyckich pieśniach ludowych, które Liam nucił cicho i monotonna.

I o ręce.

- Że co? Wetknął świecę do ręki?! - Mary Beth ścisnęła ją za ramię. Miała ciepłe palce, Sara czuła to nawet przez sweter.

Kiwnęła głową i jednym tchem wyrzuciła z siebie najpotworniejszą część opowieści, najpotworniejszą prawdę:

- To była ręka Chipa.

Oczywiście, Mary Beth początkowo jej nie uwierzyła.

- Musi być na to jakieś logiczne wytłumaczenie, Saro.

Przecież Liam nie jest wampirem!

Wampirem?

Sara powtarzała to słowo, jakby słyszała je po raz pierwszy.

Wampirem?

- Posłuchaj, Saro. To, że był na niej taki sam tatuaż, nie jeszcze nie znaczy. Sztylet jest bardzo popularnym wzorem. Ktoś mógł namalować go na rękę manekina dla żartu.

Sara zdławiła szloch.

- To nie była dłoń manekina. Dotknęłam jej. Podniosłam. To nie było drewno. To była ludzka skóra.

Mary Beth położyła jej rękę na ramionach.

- Cała się trzęsiesz. Moje biedactwo. Niepotrzebnie histeryzujesz. Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni. Chcesz, to zadzwonimy do Liama i...

Sara zeszywniała. Usiadła prosto.

- Ta kobieta... Ta kobieta próbowała mnie ostrzec.

- Co? Jaka kobieta?

- Angela. Albo Kristen. Nieważne. Dzwoniła do mnie. Powiedziała, że byli kiedyś razem, ona i Liam.

- O rany! - Mary Beth wytrzeszczyła oczy. Otworzyła usta i westchnęła głośno.

- Twierdziła, że grozi mi niebezpieczeństwo. Naturalnie, nie uwierzyłam jej. Liam twierdził, że nikogo takiego nie zna. Dlatego się z nią nie zobaczyłam. Ale... ale jeśli mówiła prawdę? Jeśli naprawdę chciała mnie ostrzec?

Mary Beth opadła na otomanę i okręcając palec kosmykiem jasnych włosów, spytała:

- Ktoś do ciebie dzwonił? Żeby ostrzec cię przed Liamem?

Sara kiwnęła głową. Spojrzała na prawie pustą szklanke, którą obejmowała obiema rękami.

- Tak, jeszcze przed ślubem. Liam skwitował to stwierdzeniem, że to pewnie jego eks-przyjaciółka, która miała załamanie nerwowe. Radził, żebym się nie przejmowała.

Mary Beth pokręciła głową.

- Dziwne.

- Potem zadzwoniła jeszcze raz. Niedawno, dwa dni temu. Przedstawiła się jako Kristen. Powiedziała, że zna Liama, że z sobą żyli. Wystraszyła mnie. To znaczy, nie wiedziałam, czy wierzyć jej czy nie. I nie uwierzyłam, nie miałam powodów, ale dlaczego do mnie dzwoniła? Dlaczego?

Mary Beth dołała przyjaciółce wina.

- Napij się. Wykończmy tę butelkę. Odetchnij, Saro. Na pewno sobie z tym poradzimy. To nie może być nic straszno-  
go. Spróbuj wziąć się w garść. Trzęsiesz się jak osika. Zaczyna-  
sz mnie przerażać.

- Bo i ja jestem przerażona! - krzyknęła Sara nie zauważa-  
jąc, że przechyliła kieliszek i rozlała wino na kolana. - Jestem  
śmiertelnie przerażona. Nie rozumiem...

- Może ta kobieta jeszcze tu jest - przerwała jej Mary Beth,  
stojąc przed otomaną z kieliszkiem w jednej i z butelką w  
drugiej ręce. - Zostawiła swój numer telefonu albo jakieś inne  
namiary? Może gdybyś z nią porozmawiała, sprawa by się  
wyjaśniła?

Sara głęboko odetchnęła. Potarła pulsującą bólem skroń.

- Porozmawiać? To znaczy co? Mam do niej zadzwonić?  
Sama nie wiem...

- Mogłybyśmy podskoczyć do niej razem - zaproponowała  
Mary Beth.

Sara nie potrafiła trzeźwo myśleć. Ani podjąć żadnej decy-  
zji.

- Powiedziała, że zatrzymała się w College Inn. Wiesz, w  
tym dużym, starym hotelu na Fairmount.

Mary Beth odstawiła butelkę.

- W College Inn? Jesteś tego pewna?

- Tak. Tak powiedziała. Dlaczego pytasz?

- No wiesz, jest tam teraz takie zamieszanie, że... - Pode-  
szła do telefonu. - Zadzwonimy. Może ją jeszcze złapiemy. -  
Podniosła słuchawkę. - Jak jej na imię? Angela?

Sara pokręciła głową.

- Nie. Kristen. - Wyteżyła pamięć, próbując przypomnieć  
sobie nazwisko. - Verret. Kristen Verret.

Myślała, że Mary Beth zadzwoni do informacji, żeby spy-  
tać o numer College Inn, tymczasem przyjaciółka spojrzała na  
nią zszokowana.

- Mary Beth...?

- Powtórz, Saro. Nie mogę w to uwierzyć.

- Kristen Verret - powtórzyła posłusznie Sara. Szybko  
wstała i poczuła lekki zawrót głowy. Przytrzymała się zagłówek-  
ka otomany, dochodząc do wniosku, że nie powinna była tak

gwałtownie się zrywać. - Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- To niemożliwe - jęknęła Mary Beth ledwo słyszalnym szeptem. - To po prostu niemożliwe.

- Ale co? O czym ty mówisz?

- Kristen Verret? Jesteś tego pewna? Kristen Verret?

- Tak, Kristen Verret - potwierdziła niecierpliwie Sara. - Możesz mi wreszcie powiedzieć, co się stało?

- Nie słuchałaś radia? To ta kobieta, którą zamordowano dziś rano. W College Inn. Kristen Verret? Pocięto ją na kawałki. Nie słuchałaś wiadomości?

## 48.

Sara chwyciła się za brzuch. Zamknęła oczy, czując ostre ukłucie bólu. Przełknęła ślinę, walcząc z gwałtowną falą nudności.

- Mary Beth... Jesteś tego pewna?

Mary Beth przysiadła na brzeжку otomany.

- Naprawdę nic nie wiesz? W radiu o niczym innym nie mówią. Nie słuchałaś wiadomości?

Pytała ją o coś jeszcze, ale Sara jej nie słyszała. Zamiast głosu Mary Beth słyszała głos Liama zapewniającego, że nie zna żadnej kobiety imieniem Kristen. Głos Liama tłumaczącego, że młoda kobieta w bikini na zdjęciu z pudełka to przyjaciółka Margaret.

Nie kłamałeś, Liam, prawda?

Nie kłamałeś. To wszystko łągarstwa? Nie.

Nie.

Ale jeśli Kristen Verret mówiła prawdę? Dlaczego Kristen do niej zadzwoniła? Kristen Verret dzwoni do Sary O'Connor, a później ginie zamordowana w pokoju hotelowym - dlaczego? Dlaczego?

I dlaczego Liam znalazł wszystkie ofiary tych straszliwych zbrodni?

Nie. Proszę, nie. Zbyt wiele tych „dlaczego”, myślała przyciskając ręce do policzków. Znowu zamknęła oczy i spróbowała odpędzić od siebie natrętne pytania. Pytania, które napływały jedno po drugim niczym ciemne, zimne fale.

Kłamałeś, Liam. A ja wierzyłam w każde kłamstwo.

Bo chciałam wierzyć. Bo rozpaczliwie chciałam wierzyć.

Jestem chora. Jest mi niedobrze.

Liam, tak bardzo cię teraz potrzebuję.

Kiedy otworzyła oczy, Mary Beth stała nad nią i z ożywieniem perorowała. Sara widziała, jak przyjaciółka porusza ustami, lecz jej nie słyszała.

Kristen Verret. Imię i nazwisko zamordowanej kobiety dzwoniło jej w uszach tak głośno, że zagłuszało opis makabrycznej zbrodni, jaki przedstawiała jej Mary Beth.

Kristen Verret.

Zadzwoiła do mnie i ktoś pociął ją na kawałki. Ot, tak.

- O Boże... - jęknęła.

Mary Beth pochyliła się i łagodnie położyła rękę na drżącym ramieniu przyjaciółki.

- Musimy zadzwonić na policję. Musimy powiedzieć im o tym telefonie.

- Nie... Źle się czuję. - Sara zerwała się z otomany. Odepchnęła Mary Beth...

- Saro?

... wpadła do łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi. Targana bolesnymi skurczami, zgięła się wpół nad muszlą klozetową i próbowała zwymiotować.

- Saro? Dobrze się czujesz, Saro? - Zatroskany głos Mary Beth zza drzwi.

Sara zakaszłała. Ścisnęła ją w gardle. Jestem taka schorowana. Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem.

Oczyma duszy widziała twarz Liama, jego uśmiech, jego piękny uśmiech i ciepłe, brązowe oczy, takie kochające, pełne uwielbienia...

O Boże. Nie rozumiem. Liam, możesz mi to wytłumaczyć? Może wtedy pocuję się lepiej?

Ból stępsiał. Mdłości ustąpiły. Wstała. Na drżących nogach odwróciła się do drzwi. Wytarła palcem zimny pot z górnej wargi.

Kiedy wyszła z łazienki, wiedziała już, co musi zrobić. Spięta Mary Beth stała w korytarzu, sondując wzrokiem twarz przyjaciółki.

- Wyglądasz strasznie. Chcesz, to odwołam lot. - Zerknęła na zegarek. - To chyba ostatni samolot do Cleveland, ale mogę polecieć jutro.

Sara ścisnęła ją za rękę. Miała lodowatą dłoń - dłoń przyjaciółki była ciepła i sucha.

- Nie, nie trzeba. Leć. Już mi lepiej. Idę... Wracam do domu.

- Do domu? Nie, Saro. Zadzwoń na policję. Musisz im powiedzieć o tym telefonie, o tej kobiecie, która do ciebie dzwoniła. Zanim wrócisz do domu, do Liama. Musisz.

Sara stanowczo pokręciła głową. Jeden gwałtowny ruch wystarczył, żeby skronie dały o sobie znać pulsującym bólem.

- Nie. Muszę do domu. Muszę porozmawiać z Liamem.

- Ale jeśli Liam...? - Mary Beth nie dokończyła myśli.

- Muszę dać mu szansę. - Prawie krzyknęła, piskliwie i histerycznie. Zapanowawszy nad głosem, nieco ciszej dodała: - Musi się wytłumaczyć.

Weszła do saloniku. Mary Beth potruchtała za nią.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym została? Kiepsko wyglądasz, odprowadzę cię do domu. Nie, wezmę samochód, pojedziemy samochodem. Zaczekam na ciebie na wypadek, gdyby... - Urwała. Spuściła oczy.

- Nic mi nie będzie - odrzekła Sara trzęsącym się głosem. Próbowała mówić cicho i spokojnie, lecz przychodziło jej to z wielkim trudem. - Naprawdę. Nic mi nie będzie. Muszę odechnąć świeżym powietrzem. To był dla mnie szok. Ale nie przypuszczam, żeby Liam... To znaczy... Sama nie wiem. Wiem jedno: muszę dać mu szansę, Liam musi się wytłumaczyć. Musi mi opowiedzieć o tej ręce. O Kristen Verret. O... o wszystkim.



Chciała podnieść kurtkę, ale Mary Beth zastąpiła jej drogę. Ku zdziwieniu Sary, objęła ją i mocno przytuliła, przyciskając rozpalony policzek do policzka przyjaciółki.

Nigdy dotąd nie była taka wylewna. Wino ją tak rozkleiło? A może jest spięta? Może martwi się o ojca albo o to, że leci dzisiaj do domu? Czyżby... Nie, mną się chyba nie przejmuję, to niemożliwe.

- Zadzwoń... zadzwonię do ciebie z Ohio. - Uwolniła Sarę z objęć, cofnęła się i spojrzała jej w oczy. - Będzie już późno. Samolot ma międzylądowanie w Pittsburghu. Dlaczego wszystkie samoloty mają międzylądowanie w Pittsburghu?

Sara roześmiała się.

- Nie wiem. Ale to fakt, zawsze tam lądują. - Nałożyła kurtkę.

Mary Beth podeszła do szafy w korytarzu.

- Przynajmniej weź parasolkę. Spójrz na swoją kurtkę. Jeszcze nie wyszła.

Sara popatrzyła w okno.

- Nie, nie trzeba. Znowu pada śnieg. Lubię śnieg. Spacer w taką pogodę mnie uspokoi. - Ruszyła do drzwi.

Mary Beth nerwowo zagryzła wargę.

- Odwołają lot. Wiem, że odwołają lot. Przecież to prawdziwa zamieć! - Otworzyła drzwi. - Muszę zaraz wyjść. Jak już, to już. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Zadzwońię do ciebie. Zaraz po wylądowaniu.

- Nie martw się, nic mi nie będzie. Szczęśliwego lotu. Pozdrowów ode mnie ojca.

Obciągnęła kurtkę i wyszła. Jej buty zadudniły w długim korytarzu. Błotniste ślady wiodące do drzwi naprzeciwko, kałuże brudnej wody na podłodze. Postawiła kołnierz.

Parszywa noc, skonstatowała. Pod każdym względem.

Próg. Przystanąła pod długą płócienną markizą łopoczącą na ostrym wietrze - tu było jeszcze w miarę zaciszenie, tu jeszcze tak mocno nie wiało - po czym wyszła w śnieżną noc.

Zwykle lubiła spacerować po świeżym śniegu, lecz tego wieczoru to nie poprawiło jej humoru. Ostry, wirujący wiatr

ciskał jej w twarz mokrymi płatkami. Pod cienką warstwą puchu czyhał zdradziecki lód.

Podniosła wzrok i zobaczyła samochód na skrzyżowaniu. Wpadł w poślizg, obrócił się wokół własnej osi, grzotnął w krawężnik i znieruchomiał kilkanaście centymetrów przed słupem latarni.

Mam nadzieję, że Mary Beth bez przygód dojedzie na lotnisko, pomyślała, atakując głową porywisty wiatr, próbując iść szybciej. Jazda samochodem jest dzisiaj niebezpieczniejsza niż chodzenie.

Zanim ujrzała swój dom, nie czuła policzków, a nos i uszy prawie zupełnie zdrętwiały. W świetle lampy nad drzwiami płatki padającego śniegu skrzyły się niczym brylanty. Innych świateł w domu nie dostrzegła.

Dziwne, pomyślała. Dochodzi dziewiąta. Liam powinien był już wrócić. Osłoniwszy ręką oczy, zadarła głowę. Okna mieszkania Margaret też były ciemne.

Wyszli gdzieś? W taką noc?

Mało prawdopodobne.

Pośliznęła się na pierwszym stopniu schodów. Żeby nie upaść, przytrzymała się żelaznej poręczy. Zaczęła grzebać w torebce poszukując klucza, przebierała zgrabiętymi palcami wśród dziesiątków niepotrzebnych drobiazgów.

W końcu zdołała przekręcić klucz w zamku, pchnęła drzwi ramieniem i tupiąc w gumową wycieraczkę, weszła do ciepłego domu.

Ciemność.

- Hej, jest tam kto?

Wydawało się, że światło pali się tylko w korytarzu na górze. Rozcierając zeszywniałe z zimna palce, weszła na schody.

Czyby Liam tam był? Położył się tak wcześniej? Poszedł spać, pogasiwszy światła w kuchni i w salonie?

A może to ona zapaliła światło w korytarzu i, wychodząc, zapomniała je zgasić?

- Hej, jesteście tam? - Gardło miała na wpół sparaliżowane zimnem i zabrzmiało to jak szept.

Cisza.

Proszę cię, Liam, bądź tam, bądź w sypialni. Muszę cię zobaczyć, muszę z tobą porozmawiać. Musisz mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Ciągle jeszcze miała na sobie kurtkę, do mokrego kołnierza ciągle jeszcze przywierały płatki śniegu, łaskocząc ją w szyję. Przytrzymała się drewnianej poręczy i ruszyła na górę.

Stała na szczycie schodów z mocno bijącym sercem. Nabrała powietrza, wstrzymała oddech i poszła w stronę sypialni.

Liam, proszę cię, bądź tam, proszę cię...

Drzwi były zamknięte.

Przekręciła szklaną klamkę i otworzyła je na oścież.

Do ciemnego pokoju wpadła smuga światła z korytarza.

W sypialni było duszno. Pachniało potem.

Sara stała w progu. Zobaczyła Liama w łóżku. Leżał na plecach.

Obejmował kogoś ramieniem.

Tak, ktoś leżał obok niego. Z twarzą ukrytą w poduszce.

Liam szybko usiadł. Zaskoczony, zamrugał gwałtownie. I unióś rękę, którą obejmował kobietę.

Kobieta drgnęła i też usiadła.

Liam w łóżku z kobietą.

Kobieta poruszyła się. Światło padło na jej twarz.

Margaret!

Liam w łóżku z Margaret! Z własną siostrą!

Margaret nachyliła się ku niemu, odsłaniając nagie piersi. Zmrużyła oczy, odchrząknęła i cicho powiedziała:

- Och, Saro! Przepraszam.

## 49.

- Niiieee!

Zawyla w proteście.

Liam w łóżku z Margaret! Liam w łóżku z własną siostrą!

Patrzyła na jej piersi przyciśnięte do nagiej piersi Liama.

Wbiła w nie wzrok, nie mogła oderwać od nich oczu. Dlaczego Margaret jest naga? Dlaczego leży w łóżku z Liamem?

Liam szybko się odwrócił, spuścił nogi na podłogę.

On też był nagi.

Oboje byli kompletnie nady. W łóżku. Brat i siostra. Mój mąż i jego siostra.

Poczuła mdłości, ogarnęła ją fala obrzydzenia.

Niedobrze mi. Niedobrze mi. Chciałam tylko wrócić do domu. Chciałam tylko usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

On, Liam. Chciałam, żeby się wytłumaczył, to wszystko.

Ale teraz...

Wiedziała, że musi stąd odejść. Że musi od nich uciec.

Więc dlaczego wciąż stała, jakby nogi wrosły jej w podłogę?

- Saro, posłuchaj...

Liam wyciągnął do niej rękę. Margaret zasłoniła piersi prześcieradłem. Ale nawet nie próbowała wstać. Ani wyjść. Wyjść stąd. Wyjść. Wyjść.

- Liam, jak mogłeś?! - Krzyknęła histerycznie. To było obrzydliwe. Takie obrzydliwe!

Liam wstał. W żółtym świetle z korytarza jego ciało lśniło od potu.

Kochali się. Margaret i Liam. Liam ze swoją siostrą. Pieprzyli się!

Sara zamrugła, pragnąc, żeby upiorna scena zniknęła jej z oczu, żeby zniknęli jej z oczu oboje. Potem rzuciła się na przód. Żeby tylko nie stać. Żeby zmusić nogi do ruchu.

Wpadła do sypialni. Potknęła się o coś. Straciła równowagę. Straciła głowę.

Liam z siostrą. Liam z własną siostrą. Liam, mój mąż.

- Saro, zaczekaj! - krzyknął. - Zaczekaj! Usłyszała tupot bosych stóp. Biegł do niej.

- Neeeeee! - Chrapliwy jęk, ni to wycie, ni zawodzenie. Chwyliła z komody dłoń Chipa. Dłoń Chipa. Dłoń Chipa. Twardą i kościstą.

Chwyliła ją i z dzikim okrzykiem - przerażenia, niedowierzania i wstydu - cisnęła ją w lustro. Ze złości, z wściekłości.

Dłoń z zakrzywionymi palcami grzmotnęła w lustro niczym pięść.

I roztrzaskała je.

Na lustrze wykwitła pajęczyna pęknięć. Sara wytrzeszczyła oczy.

I wtedy usłyszała krzyk. Przeróżliwy krzyk Liama.

- Nie! Tylko nie lustro! Nie!

Przestraszona Margaret usiadła, objęła dłońmi swoją głowę i też przeraźliwie krzyknęła.

Liam rzucił się na Sarę. Uderzyła go w pierś. Mocno, obiema rękami.

Jęknął boleśnie. Znowu próbował ją pochwycić.

- Saro, zaczekaj! Saro, ty nic nie rozumiesz!

Żaloszny banał, pomyślała zdumiona, że jeszcze potrafi odczuwać rozgoryczenie.

Schody. Na dół. Po dwa stopnie naraz. Dyszała ciężko. Charczała przy każdym oddechu. Bolało ją w boku. To nic. Ból rozsadał skronie.

- Nic nie rozumiesz! - krzyknął ze szczytu schodów.

Nie, nic nie rozumiała! Nie rozumiała z tego nic a nic!

Jak mógł się pieprzyć z własną siostrą?!

I dlaczego? Dlaczego pieprzył się z Margaret?

Nawet nie odwróciła głowy. Nie chciała widzieć, jak stoi nago na szczycie schodów, nie chciała widzieć jego zmierzwionych włosów, jego lśniącego od potu ciała. Ciała lśniącego od jej potu. Od potu jego siostry.

Liam! O Boże, Liam!

Dlaczego pieprzyłeś się z siostrą? Czy to jeden z tych twoich przeklętych zabobonów?!

- Znajdę cię, Saro! - To były ostatnie słowa, jakie usłyszała, zanim wypadła na dwór.

Drzwi zostawiła otwarte na oścież, po oblodzonych schodkach zbiegła na chodnik i nie zwalnając kroku, popędziła przed siebie.

Przez śnieg. Mijając samochody ślizgające się po srebrzysto-matowej jezdni. Pod oblepionymi śniegiem oknami, pod okapami domów, z których zwisały ostre sztylety sopli.

Zimno. Cały świat był taki zimny.

Biegła przez kampus, pusty i ciemny, między nagimi drzewami drżącymi na mrozie w śnieżnobiałych paltach. Mroczne gmachy wokół Kręgu przycupnęły pod różowoszarymi obłokami, jakby im też było zimno.

Zimno. Za zimno.

Nie czuła ani smagania wiatru, ani chlaszczących uderzeń płatków śniegu w twarz. Wszędzie widziała biel chłodu, lecz go nie czuła.

Jestem odrętwiała. Jestem kompletnie odrętwiała. Mam odrętwiały umysł. I odrętwiałe ciało. Odrętwiałe, martwe.

„Znajdę cię”. Zimne słowa Liama. Przeszedł ją dreszcz. Odwróciła się, jakby spodziewając się, że będzie ją ścigać, że pobiegnie nago przez kampus, przez śnieg, że ją zawoła, że krzyknie: „Nic nie rozumiesz!”

Co za frazes. Jak na kogoś tak błyskotliwego, to bardzo oklepany frazes.

„Nic nie rozumiesz!” Jak bohater kiepskiej komedii telewizyjnej. A nie jak światowej sławy pisarz i naukowiec.

Jak światowej sławy pisarz i naukowiec, który rżnie własną siostrę, a potem krzyczy: „Nic nie rozumiesz!”

- Nie, nie rozumiem - szepnęła. - Nie rozumiem, Liam.

Sypał coraz gęściejszy śnieg. Miotany wirującymi podmuchami wiatru atakował ją ze wszystkich stron. Odgarnęła mokre płatki z oczu i brwi.

Po drugiej stronie ulicy wychynął z mroku dom Mary Beth. Długa markiza nad wejściem była pokryta śniegiem. Tyłem do jezdni stał mężczyzna w szarym uniformie i czapce; solą z kubelka posypywał chodnik.

Sara ominęła go niezauważona. Pod butami zatrzeszczały twarde kryształki soli. Wpadła do korytarza, ślizgając się po mokrej podłodze, z trudem chwytając oddech. Zimno towarzyszyło jej przez cały czas. Wniosła je z sobą do budynku.

Lecz ona nie czuła zimna.

Nie czuła zupełnie nic.

Nacisnęła guzik dzwonka sześć razy. Potem zdrętwiałymi z zimna rękami zaczęła walić w drzwi. Waliła w drzwi mocno i krzyczała. Waliła i krzyczała, dopóki nie przypomniała sobie,

że Mary Beth pojechała na lotnisko, że Mary Beth nie ma.  
Nie ma jej. Nie ma jej. Nie ma.  
Oczywiście, że jej nie ma. Co się ze mną dzieje?  
Odwróciła się tyłem do drzwi. Oparła się o nie bezwładnie,  
z pełnym znużenia westchnieniem.  
Co mam teraz robić?  
Dokąd iść?

## 50.

Z powrotem w śnieżną noc. Jak sierota. Jak bezdomna sierota.

Muszę pomyśleć. Muszę spokojnie się zastanowić. Obmyśleć jakiś plan.

Dam sobie radę. Na pewno dam sobie radę. Tylko muszę przestać się trząść.

Jest mi tak zimno, przemarzłam do szpiku kości.

Śnieżyca nieco zelżała, wielkie płatki śniegu osiadały na włosach i ramionach Sary. Wiatr już nie wył, lecz szeptał cichutko. Przed nią, niczym mroczna fotografia, rozpościł się kampus. Był zimny i pusty. I zastygły bez ruchu.

Wetknęła ręce do kieszeni kurtki i skuliła ramiona - próbowała się ogrzać. Skręciła w Dale Street. Przy końcu przecznicy zauważyła małą restaurację - jej różowo-zielony neon był jedynym światłem, jakie płonęło w rzędzie ciemnych, zamkniętych sklepów.

Otwarta?

Tak. Wyteżyła wzrok i przez padający śnieg za zaparowaną szybą okienną dostrzegła światło.

Muszę się ogrzać. Muszę przestać dygotać.

Muszę wziąć się w garść.

Dam sobie radę. Na pewno. Poradzę sobie ze wszystkim.

O Boże! O Boże, Liam. Dlaczego?

Weszła do środka i otrząsnęła się jak mokry pies. Na czarnej gumowej matę pod stopami spadły grudki rozmiękłego śniegu. Poczowała tchnienie ciepła na twarzy, a gdy głęboko odetchnęła, doszedł ją zapach mocnej kawy i stęchłej frytury.

Ocierając twarz, spojrzała na rząd stolików i boksów z czerwonego winylu. O dziwo, w restauracji panował tłok. Pewnie dlatego, że był to jeden z nielicznych lokali otwartych o tej porze.

W boksie przy drzwiach siedzieli studenci college'u. Dwóch ponurych starców z białymi kubkami kawy w rękę zajmowało następny. Ładna dziewczyna i elegancki chłopak przy stoliku. Też studenci: kurtki zarzucone na oparcie krzesła, ręce splecione na wykładanym białymi kafelkami blacie, nietknięte frytki i szklanki z colą, rozmarzone spojrzenia.

Pierwsza miłość.

Uciekła wzrokiem w bok. Było jej gorzko. I zimno. Straszliwie przemarzła.

Drżąc na całym ciele, ruszyła w stronę małego boksu pod emblematem Budweisera na czarnej ścianie. Idąc z ręką kurczowo zaciśniętą na kołnierzu kurtki, miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, że rozmowy ucichły, że ustał wszelki ruch. Tak, wszyscy patrzyli, gapili się na nią, obserwowali ją, jak obserwuje się laboratoryjny okaz.

Bo wiedzieli.

Wiedzieli, że jej mąż przerznął własną siostrę. Że wykorzystał odciętą dłoń eks-chłopaka Sary do dziwacznej ceremonii przy blasku świecy.

Skąd o tym wiedzą? Dlaczego mnie obserwują? Czego chcą ode mnie?

Doszła do boksu i zerknęła za siebie. Nikt na nią nie patrzył. Nikt nie wytrzeszczał oczu. Nikt się nią nie interesował.

Usiadła, nie umiejąc poradzić sobie z lodowatymi dreszczami. Uświadomiła sobie, że nie zdjęła kurtki. Wstała, ściągnęła ją i upchnęła na siedzeniu naprzeciwko.

Zanim zdążyła ponownie usiąść, wyrosła przed nią kelnerka, młoda kobieta o krótkich, gładko przyczesanych blond włosach i zielonych oczach.



- Podać kartę?

Sara przytrzymała się zagłówka boksu, żeby nie stracić równowagi. Dlaczego ciągle ma dreszcze? Dlaczego nie może się rozgrzać?

- Poproszę o kawę. Czarną.

- Dobrze się pani czuje? - Kelnerka spojrzała na nią z wyraźnym z troskaniem w oczach.

Sara głośno wciągnęła powietrze. Zauważyła, że drzę? Dziwnie wyglądam czy co?

- Nie... Czuję się kiepsko. Jest tak zimno...

- Już podaję kawę. Coś jeszcze?

- Nie... A może...

Powinna coś zjeść, wiedziała, że powinna coś zjeść, żeby uspokoić żołądek. Żeby znowu poczuć się normalnie. Jestem normalna. Wiem, że jestem normalna.

- Poproszę grzanekę. Tak. Grzanekę z masłem.

Kelnerka kiwnęła głową i spiesznie odeszła. Sara usłyszała skwierczenie tłuszczu na ruszcie. Studenci stłoczeni w boksie przy drzwiach wybuchnęli gromkim śmiechem.

Opadła na siedzenie i przytuliła się do ciepłej ściany. Potarła rękawy swetra, nabrała powietrza i wstrzymała oddech, próbując zapanować nad rozdygotanym ciałem.

Jestem chora. Pewnie mam grypę albo coś takiego. Jestem chora i nie mam dokąd pójść.

Objęła się rękami, zamknęła oczy i skoncentrowała się na dźwiękach dochodzących z sali. Brzmiały normalnie. Jestem normalna. Całkowicie normalna. Przytłumiony szmer głosów przerywany śmiechem, pobrzękiwaniem sztućców o talerze i szuraniem krzeseł na wykładanej linoleum podłodze - to ją uspokajało.

- Pani kawa. Miała być z mlekiem?

Otworzyła oczy.

- Tak. Zaraz... Moja portmonetka!

Nie mam portmonetki. Ani portfela. Zostawiłam je w domu.

Ścisnęło ją w gardle. Powróciły silne dreszcze. Włożyła rękę do kieszeni dzinsów. Wymacała ćwierćdolarówkę i dwa centy.

Nie mogę zapłacić za kawę!

Szybko wstała. Chwyliła kurtkę i pobiegła ku drzwiom. Obok zdumionej kelnerki, wąskim przejściem między stolikami, zostawiając za sobą długą ladę, ponurolicych starców w boksie przy drzwiach, dwoje zakochanych przy stoliku. A oni na nią patrzyli, tak, teraz wszyscy patrzyli tylko na nią, zaciekawieni, kto tak biegnie, kto tak pędzi powiewając połami rozpiętej kurtki.

- Proszę pani! Pani kawa!

Chrapliwy głos kelnerki zagłuszony trzaśnięciem drzwi, które zamknęły się za Sarą. Za sierotą Sarą. Za bezdomną sierotą Sarą na nocnym chłodzie.

Za Sarą bez centa przy duszy.

Co teraz?

Pośliznęła się na grubej warstwie brei z na pół staj ałego śniegu. Żeby nie upaść, przytrzymała się obudowy telefonu na słupie.

Nie, nie będę płakać. Wykluczone. Nie będę płakać, dopóki nie znajdę bezpiecznego schronienia i się nie ogrzeję. Będę silna, to solenne przyrzeczenie. Którego nie tak łatwo dotrzymać.

Przytrzymując się obudowy telefonu, spojrzała na wygrawerowany w metalu dzwonek. I już wiedziała, że musi do niego zatelefonować.

Muszę zabrać swoje rzeczy, skonstatowała, i raptem zobaczyła świat wokół tak wyraźnie jak nigdy dotąd, mimo że widok zasłaniały jej ciężkie płatki mokrego śniegu i niska mgła różowo-szarych chmur. Tak, nagle otrzeźwiała.

Muszę odzyskać portmonetkę. I pieniądze. Muszę spakować do torby trochę ubrań. Tak, Liam musi pozwolić mi wrócić do domu i zabrać rzeczy. Nie może zostawić mnie na całą noc na tej zimnicy i śniegu.

O Boże, Liam.

Znajdę siły, by z nim porozmawiać?

Tak.

Potrafię mówić konkretnie, tonem oschłym i rzeczowym.

Zaczęła sobie przepowiadać, co mu powie. Wszystko wydawało się bardzo proste. Żadnych dyskusji. Żadnych wyjaśnień.

Spakować się i natychmiast wyjść. A potem? Do hotelu. Do College Inn. College Inn jest duży i zawsze na wpół pusty.

Nie. Nie do College Inn.

Tam zamordowano Kristen.

Kristen. Kristen. Kim jest Kristen, Liam?

Liam?

Wyobraziła sobie jego skupioną twarz, wyobraziła go sobie ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha, ze zmierzwionymi włosami, ze zdumionymi oczami, z których biła tęsknota i gwałtowna chęć wyjaśnień. Wyobraziła to sobie i nagle zrozumiała, że twarz męża napęła ją obrzydzeniem.

Słowa, dziesiątki słów - ćwiczyła swoją kwestię: „Liam, wracam do domu, żeby zabrać trochę rzeczy osobistych. Ale nie chcę cię widzieć, nie chcę z tobą rozmawiać”. Tak. To było dobre. Potrafi to powiedzieć.

„Zostaw drzwi otwarte i nie wychodź mi na spotkanie. W ogóle się do mnie nie odzywaj. Nie zabawię długo”.

Tak. Powie to. Na pewno.

I nie będzie płakać. Żeby tylko nie zapłakać. Nie może się rozplakać.

Kurczowo ścisnęła ćwierćdolarówkę. Jedyłą ćwierćdolarówkę, jaką miała przy sobie. Bała się, że ją upuści, nie chciała zgubić jej w śniegu. Drżącą ręką wetknęła monetę do otworu i przycisnęła zimną słuchawkę do ucha. Czekając na metaliczny brzęk i monotony sygnał, powtarzała w myśli przeciwione słowa.

O Boże, Liam. O Boże. Co się dzieje?

Nie, nie powiem tego. Wiem, co powiem. Tylko jaki jest mój numer telefonu?

Boże. Jak mogłam zapomnieć numer swojego telefonu? To obłąd. Czysty obłąd.

Zapanowała nad paniką, przypomniała sobie numer i starannie wcisnęła odpowiednie guziczki. Powoli, nie mogą się pomylić, mam tylko jedną monetę. Ćwierć dolara przy duszy.

Jest sygnał. Jeden. Drugi.

Próbowała przełknąć ślinę, lecz jakby ktoś zawiązał jej supeł w gardle. Zaschło jej w ustach. Słuchawka ziębiła ucho. Po karku spływał topniejący śnieg.

Trzeci sygnał. Czwarty.

Odbierz, Liam. Nie chcę z tobą rozmawiać, ale odbierz.

Piąty sygnał. Szósty. Siódmy.

Przećwiczone słowa natrętnie powracały. Za bardzo się trzęsę, żeby je wypowiedzieć? Jestem zbyt przemarznięta?

Zamarznę tu na śmierć. Znajdą mnie sztywną przy telefonie ze słuchawką przy uchu.

Ósmy sygnał. Dziewiąty.

Nie ma go w domu.

Wsluchiwała się w monotonne buczenie, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. Jakby zamarzł jej mózg. A wraz z mózgiem wszystkie odczucia.

Nie ma go w domu. Margaret też nie ma w domu.

Niskie, rytmiczne sygnały. Jeszcze jeden. Jeszcze jeden. I jego słowa, groźba wykrzyczana ze szczytu schodów, gdy wypadła na dwór: „Znajdę cię, Saro!”

Tak. Szukają mnie, on i Margaret. Ścigają mnie. Mogę wśliznąć się do domu i spokojnie zabrać swoje rzeczy.

Jeśli mam klucz.

Zanurzyła rękę w kieszeni dzinsów. Kluczy do domu nigdy nie nosiła w torebce. Bała się je zgubić i prawie nigdy się z nimi nie rozstawiała.

I teraz miała je przy sobie.

- Są!

Odwiesiła słuchawkę. Wciąż słysząc monotonne buczenie sygnału, odepchnęła się od metalowej obudowy telefonu. Ile miała czasu? Ile czasu upłynie, zanim Liam zrezygnuje z poszukiwań i wróci do domu?

Nabrała powietrza w płuca i zaczęła biec. W panice zapomniała zapiąć kurtkę i jej poły powiewały niczym peleryna, gdy pędziła po chodniku, ślizgając się i potykając, głośno dysząc w smagającym twarz śniegu, gdy biegła w noc z wyciągniętymi przed siebie rękami jak banitka do bezpiecznego schronienia.

Jezdnią powoli przetoczył się samochód z oknami oblepionymi śniegiem. Pod kołami zatrzeszczał lód. Chlusnął na nią potok jaskrawego światła reflektorów - nie zwalniając kroku, uciekła w mrok.

Ile mam czasu? Ile zostało mi czasu?

Gwałtownie skręciła za róg. Dom był już niedaleko, za następnym skrzyżowaniem. Śnieg zawirował. Dochodziło ją tylko mlaskanie butów w brei na chodniku. Poza tym nie słyszała nic.

Wokoło panowała cisza.

„Cicha noc”.

Wchodząc na ośnieżone schody, sięgnęła do kieszeni po klucz. Naprawdę tu mieszkam? Czy to naprawdę mój dom? Mój i Liama?

Już nie.

Z oczu puściły się łzy, gorące na zimnym policzku.

Dlaczego akurat teraz? Dlaczego płacze? I po co?

Zaczęła siebie błagać, prosić, zaczęła siebie przeklinać. I powstrzymała łzy, powstrzymała gwałtowny szloch.

Otarła twarz dłońmi. Łzy były słone, piekące. Gorzkie.

Wsunęła klucz do zamka. I zmieniła zdanie. Najpierw wcisnęła guzik dzwonka.

Co będzie, jeśli już wrócili? Co będzie, jeśli Liam i Margaret wrócili po moim telefonie? Tak, lepiej się upewnić.

Trzymała palec na guziku. Słyszała jazgotliwe dzwonienie w głębi domu. Była zadowolona, że potrafi tak logicznie myśleć.

Uczucie zadowolenia nie trwało długo. Opuściła rękę. Wy tężyła słuch. Odgłos zbliżających się kroków?

Nie. Proszę, nie!

- Hej! - Głośny krzyk.

Przeżrana odwróciła się błyskawicznie i omal nie spadła ze schodów.

Dwóch chłopców. Pewnie studentów college'u. Jeden w długiej, czarnej kurtce, drugi w czerwonym kapturze na głowie - ścigali się po jezdni. Ten z tyłu rzucił śnieżką, ten z przodu wybuchnął śmiechem. Chwycili się za kłapy. Chwilę się mocowali. I pobiegli dalej.

Sara westchnęła. Niektórzy się dzisiaj bawią. Znowu wcisnęła guzik dzwonka i przytrzymała go prawie minutę.

W porządku.

Właż do środka, zabierz rzeczy i uciekaj jak najszybciej.

Przeszedł ją dreszcz. Zadygotała, jakby skręcały ją konwulsje. Zadrżała tak mocno, że musiała przytrzymać klucz obiema rękami, obiema rękami włożyć go do dziurki.

Szczęknął zamek. Wzięła głęboki oddech. Pchnęła drzwi. I zanurzyła się w gęstej, gorącej ciemności domu.

## 51.

Podłogowe deski jęknęły pod jej ciężarem.

- Jest tu kto? - szepnęła patrząc w górę schodów.

Wyteżyła słuch. Dobiegł ją cichy odgłos włączającej się lodówki. I własnego oddechu, płytkiego i szybkiego.

Zamierzała zapalić światło, ale się rozmyśliła. Nie. Żadnych świateł. Jeżeli wróca, po co mają wiedzieć, że jestem w sypialni?

Przytrzymując się poręczy, ze wzrokiem wbitym w ciemne półpiętro ruszyła na górę.

„Niech śpiący śpią” - nagle powróciły do niej słowa, które monotonicznie wyśpiewywał Liam. Słowa wypowiedziane jego głosem, głosem Liama spływającym ze szczytu schodów.

Kurczowo uchwyciła się poręczy i znieruchomiała z jedną stopą na stopniu wyższym, drugą na niższym. Miała wrażenie, jakby Liam wciąż tam stał, jakby stał przed drzwiami sypialni i znowu recytował te słowa.

„Niech śpiący śpią, a czuwający czuwają”.

Tej nocy było tak romantycznie.

Tak romantycznie i pięknie. Błady, roztańczony płomień świecy, rozkołysane cienie, rozkołysany nad nią Liam, Liam kołyszący się leciutko i nad nią, i w niej - byli razem, złączeni ciałem i duchem melodyjnych słów, które szeptał jej do ucha.

- Aaaagh! - Z jej ust wymknął się jęk obrzydzenia.

Dudniąc butami po schodach, spiesznie wbiegła na górę.

Nie, to nie było romantyczne. To było ohydne.

Poza tym co te słowa oznaczały? Była taka podniecona, taka szczęśliwa, tak obrzydliwie rozanielona - tak bardzo chciała mu wierzyć, tak bardzo chciała uwierzyć, że tym razem wszystko jest jak trzeba, że tym razem wszystko będzie dobrze - że ani przez chwilę nie zastanawiała się nad ich znaczeniem.

„Niech śpiący śpią”.

O kim on mówił? Kto powinien spać? I kto powinien czuć?

Czy to w ogóle ma jakiś sens?

Nie, nie chcę teraz o tym myśleć, zdecydowała, przystając na półpiętrze z ręką na poręczu, której twardość i solidność dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Nie chcę o tym myśleć. Ani o tym, ani o Liamie. Pomyślę, gdy stąd wyjdę, nie wcześniej.

Gdy w końcu puściła drewnianą poręcz, zaatakowała ją fala silnych mdłości. Nie chcę myśleć. Liam i Margaret... Muszę wrócić do sypialni. Liam i Margaret...

Cały czas się ze mnie naśmiewali?

Pieprzyli się, ilekroć wychodziłam z domu?

Margaret była taka dobra, taka wyrozumiała. Taka... serdeczna.

Wydawało się, że jest miła, przyjemna i pod każdym względem całkowicie normalna. I taka tolerancyjna, jeśli chodzi o dziwactwa i przesady brata. Tak chętnie usunęła się w cień, gdy z nimi zamieszkałam. Tak bardzo chciała mi pomóc, tak bardzo pragnęła zdobyć moje zaufanie.

Tymczasem...

Tymczasem...

Co znaczy „tymczasem”? Jak długo to trwa? Sara przełknęła ślinę i zrobiła krok w stronę sypialni. Kiedy się zaczęło? Drugi krok. Trzeci. Już w dzieciństwie?

„Niech śpiący śpią”.

Zupełnie bez sensu. Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić od siebie natrętnie słowa. Słów już nie potrzebowała. Nie potrzebowała wyjaśnień.

Bo jak by się wytłumaczył z tej ohydnej zdrady?

A dłoń Chipa? Jak by to wyjaśnił? Jak by wyjaśnił znajomość z Kristen zamordowaną w College Inn?

A pozostałe morderstwa? A pozostałe ofiary? Znał wszystkie. Właśnie, co z pozostałymi morderstwami: w nich też maczał palce?

Nie.

Był na to zbyt wrażliwy, zbyt słaby. Nie wyglądał na zwyrodniałego sadystę. Według żądnych sensacji dziennikarzy i reporterów telewizyjnych ciała ofiar były rozdarte, rozszarpane na strzępy, niczym kurczak z rusztu na piknikowym talerzyku. Rozdarte i rozszarpane. Albo rozplatanie, pocięte nożem do tego stopnia, że prawie nie przypominały ludzkiego ciała.

Nie. Liam nie mógłby tego zrobić.

Był na to zbyt delikatny. Zbyt wrażliwy. Zbyt... sejentystryczny.

A może wcale taki nie był?

Czy w ogóle go znała? Czy cokolwiek o nim wiedziała?

Te wszystkie historyjki, które z taką przyjemnością jej opowiadał, te wszystkie klechdy i legendy - to były tylko bajki. Piękne stare bajki.

o samym Liamie nie mówiły absolutnie nic.

- Nie znam cię - wymamrotała.

Była do tego stopnia oczarowana, do tego stopnia zahipnotyzowana romanssem, że niczego się o Liamie nie dowiedziała. Dlaczego te stare baśnie, bajki i krasnoludki tak bardzo go fascynowały i rozpały?

I dlaczego był taki zabobonny?

Właśnie. Dlaczego miał obsesję na punkcie wszelkich możliwych przesądów? Przesądów powszechnie znanych i takich, o których nigdy w życiu nie słyszała, dziwnych i skomplikowanych?

Dlaczego, Liam?

Teraz za późno na pytania. Pewnie już nigdy nie pozna odpowiedzi.

Zresztą nie chciała ich znać.

Stała przed drzwiami sypialni. Były leciutko uchylone.



Przez szparę sączyło się blade światło. Wyteżyła słuch. Są tam czy nie?

Coś cicho zaskrzypiało. Odwróciła się na pięcie i spojrzała w dół schodów. Wrócili?

Serce biło tak głośno, że prawie nic nie słyszała.

Nie. W salonie panowała cisza.

Pchnęła drzwi. Nabrała w usta powietrza i wstrzymała oddech. W sypialni paliła się tylko nocna lampka. Jej światło padało na łóżko, na wełniany koc w kolorze burgunda ciśnięty w nogi łóżka, na wierzchnie prześcieradło, zmiętoszone i ściągnięte na lewą stronę, gdzie zawsze sypiał Liam, na prześcieradło zaścielające materac, sfałdowane, pomarszczone w miejscach, gdzie leżeli. Liam i Margaret. Poduszka na poduszce. Sprasowane i wgniecione. Liam na Margaret. Liam i Margaret kotłujący się w prześcieradłach.

Kalający je.

Podeszła do łóżka i głośno sapnęła. Czowała ich zapach. Zapach jego potu, zapach jej perfum.

Bił z prześcieradeł, unosił się w dusznym, gorącym pokoju, otaczał ją i atakował ze wszystkich stron. Czowała ich zapach. Tak, ciągle czowała ich zapach.

- O Chryste... - Czy kiedykolwiek w życiu odczuwała takie obrzydzenie?

Mój mąż z własną siostrą. Mój mąż.

Nieświadoma tego, co robi, ściągnęła prześcieradło z materaca. Zaczęła je zwijać, wierzchnie prześcieradło też, jakby chciała je wrzucić do kosza z brudną bielizną, zwijała je, rolowała i miętoszyła wdychając zapach Liama i Margaret, zbijała prześcieradła w wielką kulę, czując, że w żołądku narasta podobna jej gula, że ta ohydna gula pnie się do góry, do gardła, do ust...

- Co ja robię?!

Zdała sobie sprawę, że przestała nad sobą panować. Że ręce robią, co chcą. Że żołądek żyje własnym życiem.

I raptem cisnęła prześcieradła na podłogę. Nogi poniosły ją przez pokój do łazienki. Do ich wspólnej łazienki.

Zasłoniła ręką usta, żeby powstrzymać wymioty. Trzasnęła włącznikiem. Zapłonęło górne światło.

Dopała muszli klozetowej. Otworzyła pokrywę, nachyliła się i...

Usłyszała za plecami cichutkie, rytmiczne kap, kap, kap.

Co to za odgłos?

Spojrzała na wannę. Na rozchylonej zasłonie prysznicowej zobaczyła ciemną, rozmazaną smugę.

Kap, kap, kap.

Zapomniawszy o mdłościach, przeraźliwie krzyknęła. Krótko, chrapliwie, by po chwili zawyc jak śmiertelnie przerażone zwierzę.

## 52.

Kap, kap, kap.

Z nosa i ust Margaret rytmicznie kapiała jasnoczerwona krew.

Margaret. Naga Margaret.

Naga Margaret, z przekrzywioną na bok głową, patrząca z góry na Sarę szeroko rozwartymi oczami z wyrazem zdziwienia na twarzy. Patrzyła na Sarę z góry. Patrzyła z góry, ponieważ wisiała na wykładanej białymi kafelkami ścianie.

Na ścianie uwalanej rozmazaną krwią.

A to co? Co sterczało z jej piersi?

Sara wyteżyła wzrok, nie była w stanie ani krzyknąć, ani wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku, ani się poruszyć. Z rękami przyciśniętymi do twarzy, próbowała rozszyfrować ten koszmar, próbowała go zrozumieć, wyłowić z niego jakiś sens, a jednocześnie ze wszystkich sił pragnęła, by okazał się jedynie koszmarną złudą.

Co to jest? Co sterczało z zakrwawionej piersi Margaret?

Tak. Nie. Tak.

Metalowa końcówka prysznicowa.

Z piersi siostry Liama sterczała końcówka prysznicowa pokryta

gęstą krwią. Płaty rozerwanej skóry. Krew ściekająca po obwysłych piersiach i brzuchu.

Ktoś ją tam powiesił. Ktoś przebił ją chromowaną dyszą prysznicą. Nie. Ktoś ją na tę dyszę nadział.

Ktoś powiesił Margaret na dyszy prysznicą. Jak poleć boczką na rzeźnickim haku. Jak obraz. Jak krwawy obraz.

Jedno ramię wyrwane ze stawu. Dyndało na pojedynczym, cieniutkim ścięgnięciu.

Krew ściekała po ścianie do wanny. Zatykała odpływ, tworzyła kałużę na dnie.

Margaret. Margaret. Liam zabił Margaret.

Zabił własną siostrę.

Szarpiąc rękami włosy, z trudem oderwała wzrok od wanny, zamknęła oczy i wypadła z łazienki. Drżały jej nogi, nogi miała jak z gumy. Kap, kap, kap - skronie pulsowały bólem w rytm mlaśnieć kropli krwi skapujących do czarnej kałuży. Zabił własną siostrę.

Dlaczego, Liam? Dlaczego?

Nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Żadnej logicznej odpowiedzi, którą mógłby zaakceptować zdrowy umysłowo człowiek.

Liam jest obłąkany. Liam jest psychopatą. Tak, jest psychopatą, ma potworne zaburzenia psychiczne.

Zabił Margaret. Zaszlachtował ją.

Zabił własną siostrę.

A teraz poluje na mnie.

Policja. Muszę zadzwonić na policję.

Ale nie stąd. Nie ma na to czasu. Na nic nie ma czasu. Spakuj trochę rzeczy. Tak, spakuj trochę rzeczy.

I uciekaj, Saro. Uciekaj!

Przekręciła szklaną klamkę i szarpnęła drzwi szafy z taką siłą, że omal nie upadła. Sięgnęła z jękiem do górnej półki, próbując wymacać uchwyt walizki.

- Nie. - Opuściła ręce i szybko się odwróciła.

Na to też nie ma czasu. Uciekaj, Saro. Bierz torebkę i uciekaj.

Uciekaj z tego domu.

On cię szuka. Zabił własną siostrę. Teraz poluje na ciebie.

On tu wróci. Może tu wrócić. Lada chwila może tu wrócić.  
Musisz uciekać. Natychmiast.

Zatrzasnęła drzwi szafy. Zrobiła krok do tyłu. Odwróciła się.

Tak. Trzeba uciekać. Uciekaj, Saro. Weź torebkę i uciekaj z tego domu.

Była pośrodku sypialni, gdy usłyszała jakby ciężkie tąpnięcie. I już wiedziała, że nie zdąży - wrócił Liam.

## 53.

Odwróciła się ze zdławionym okrzykiem. Nie chciała, żeby zaszedł ją od tyłu. Pragnęła spojrzeć mu w twarz, w twarz mordercy.

Ale nie dostrzegła nikogo.

Nogi się pod nią ugięły. Przytrzymała się łóżka, żeby nie upaść.

Gdzie on jest?

Liam? Jesteś tam?

Co to za odgłos? Kto go wydał?

Rzuciła okiem w głąb łazienki. Dostrzegła ramię, nagie ramię Margaret na brzegu wanny.

Opadło od ciała.

To stąd ten odgłos.

Zwisła zakrwawiona, z rozwartą dłonią, jakby próbowało dosięgnąć podłogi.

Ścisnęło ją w gardle. Nie mogła oddychać.

Rusz się, Saro. Nie stój tak.

Niemy głos, ostry i stanowczy - posłuchała go. Odwróciła się i wypadła z sypialni na korytarz. Na dół, aby szybciej, dudniąc butami po schodach, przytrzymując się poręczy, próbując nie myśleć o ręce na brzegu zakrwawionej wanny, o dłoni próbującej dosięgnąć podłogi.

To nie były koszmarne zwidy. To była rzeczywistość. To była prawdziwa Margaret.

Liam i Margaret.

Zabił ją. Teraz chce zabić mnie.

Chwyliła czarną skórzaną torebkę ze stolika w korytarzu. Omal jej nie upuściła. Ścisnęła pasek. Mocno, kurczowo. I sięgnęła do klamki.

Zobaczy go na schodkach przed domem? Będzie tam na nią czekał? Żeby wyrwać jej ramię? Żeby powiesić ją na frontowych drzwiach?

Nie.

Wyrzała. Bładożółte światło lampy nad drzwiami. Nikogo. Tylko płatki śniegu dryfujące w powietrzu, miękko i cicho.

- Żadnego kap, kap, kap.

Dryfujące miękko i cicho jak puch, jak biała chmura na niebie.

Ruszaj, Saro. Nie możesz tu zostać - znowu ten sam głos. Dzięki ci, Panie, za ten surowy, rozkazujący głos, za tę wewnętrzną siłę. Skąd się brała? Tego Sara nie była pewna. Dzięki ci, Boże, dzięki. Gdyby nie ten głos, już dawno by się załamała, już dawno załapały się łzami i zanosła szlochem.

Załamaby się i czekała na śmierć.

Dlaczego, Liam?

Dlaczego muszę umrzeć? Dlaczego musiała umrzeć Margaret? Dlaczego?

Ruszaj !

Ale dokąd? Dokąd mogę pójść?

Zeszła chwiejnie ze schodków i po coraz głębszym śniegu puściła się biegiem przez ciche, puste ulice.

Kto mnie uratuje? Kto mnie przed tobą uratuje, Liam?

Policja?

Dopadła zaśniewzonego telefonu na rogu ulicy. Tak. Policja. Wezwę policję. Przyjadą, obronią mnie. I powstrzymają cię, Liam.

Oczyściła słuchawkę z mokrego śniegu i przytknęła ją do ucha.

Cisza.

Martwa cisza.

Postukała widelkami, kilkakrotnie wcisnęła „o”.

I nic. Telefon był głuchy.

Nie. Muszę iść dalej. Muszę od ciebie uciec. Jak najdalej.

Uważnie obserwowała każde mijane po drodze drzwi. Każdy cień na śniegu, nawet swój własny, nawet swój własny cień, który wyprzedzał ją pod ulicznymi latarniami, by po chwili - ku jej przerażeniu - panicznie zrejterować, jakby i on się bał.

Widziała Liama ze sto razy. Czyhał za ośnieżonym żywopłotem. Czaił się za słupem latarni. W powiewającym na wietrze palcie, z włosami na czole, patrzył na nią z... nienawiścią?

Nienawidzisz mnie, Liam?

Dlaczego chcesz mnie zabić? Przecież tylko cię kochałam, nic więcej.

Kochałam cię - czas przeszły. Kochałam cię. Jej miłość była teraz zimna jak śnieg pod stopami.

Jak okaleczone ciało Margaret nabite na chromowaną dyszę prysznica.

Zimno. Cały świat był zimny. Zimny i mroczny.

Posliznęła się na oblodzonym chodniku. Wyrzuciła przed siebie ręce, żeby się czegoś przytrzymać, lecz nie znalazła żadnego oparcia.

Upadła ciężko na kolana, twarzą w mokry śnieg. Poderwała głowę, prychnąwszy i plując. W prawej nodze poczuła przeszywający ból. Odgarnęła śnieg z oczu i z policzków.

Cicho szlochowała. Próbowwała zdławić płacz, nim popłyną łzy. Nim zaczną płynąć i płynąć, i płynąć.

- Szlag by to trafił!

Wstając, zobaczyła w śniegu torebkę. Torebka była otwarta. Wypadł z niej portfel. Leżał obok sterczącej w śniegu szminki. Obok kluczy.

Zdusiwszy szloch, nachyliła się, żeby pozbierać rozsypane rzeczy. Wrzuciła je do torebki. Łącznie z kluczami.

Klucze.

Klucze do biura Miliona.

I do jego domu.

Do domu Milтона.

Przypomniała sobie, że widziała go rano. Zatrzymał ją. Sprawiał wrażenie strapionego, zgnębionego. Chciał z nią porozmawiać.

O mój Boże!

Chciał mnie ostrzec? Dowiedział się prawdy o Liamie?

Próbował mi pomóc? Dlaczego się nie zatrzymałam? Cemu go nie wysłuchałam?

Zacisnęła palce na kółku z kluczami.

Pojadę do Milтона. Pojadę do jego domu.

To idealne miejsce na kryjówkę. Las, daleko od kampusu.

Patrzyła na klucze przez wzbierające w oczach łzy. Patrzyła na nie jak na srebrny skarb. Jak na migotliwe światło gwiazdki z nieba. Gwiazdki, która ją poprowadzi.

Milton pomoże mi trzeźwo ocenić sytuację. Milton pomoże mi opanować dreszcze. Milton obroni mnie przed Liamem. Z domu Milтона można wezwać policję.

Milton. Taki wielki, taki silny. Zawsze chciał jej pomóc. Zawsze chciał, żeby go odwiedziła.

Cóż, nadeszła pora. Potrzebuję cię, Milton.

Tak.

Do domu Milтона.

Tam będę bezpieczna.

## 54.

Przecierając oczy, popędziła w stronę telefonu na następnym rogu. Proszę cię, Milton, bądź w domu, modliła się chwytając gołą ręką zimną i moką słuchawkę.

Odbierz, bądź w domu. Potrzebuję cię.

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

Cisza.

Nie. Tylko nie to. Ten też?

Zdławiła gniewny okrzyk. Grzmotnęła pięścią w tarczę, trzasnęła widelkami, chwilę nadśluchiwała.

Cisza. Brak sygnału.

Co jest?! Zepsuty? Wszystkie są zepsute?!

Cisnęła słuchawką. Słuchawka zadyndała na sznurze. Sara odwróciła się z roztrzepotanym sercem. Nie czuła już zimna, nie czuła, jak na jej czole i brwiach osiadają płatki śniegu, jak topią się w mokrych włosach - odrętwiała, nie odczuwała już nic poza strachem.

Zza rogu wyjechał samochód buksując kołami. Omiotła ją pojedyncza smuga światła. Gdy światło uciekło w bok, zobaczyła, że jeden reflektor samochodu jest zgaszony.

Taksówka?

Tak, taksówka. Mogła odczytać podświetlony napis na dachu: Campus Taxi.

Podniosła ręce wysoko nad głowę i gwałtownie zamachała.

- Hej! Taks! Tutaj! Niech pan stanie! Proszę!

Samochód powoli przystanął. Kasztanowo-biały plymouth w śnieżnej czapie na dachu.

Sara wsunęła się na tylne siedzenie. Na podłodze stała kałuża brudnej wody, ślad butów poprzedniego pasażera. Choć na oparciu przedniego fotela widniała tabliczka z napisem: PALENIE ZABRONIONE, w taksówce śmierdziało stęchłym papierosowym dymem.

Skrzyżowała ramiona, drżąc na całym ciele.

- Czy mógłby pan podkreślić ogrzewanie?

Kierowca, posępny mężczyzna w kraciastej czapce, zerknął we wsteczne lustro.

- Więcej nie da rady. I tak miała pani szczęście. Wracalem do domu.

- Tak. Prawdziwa szczęściara ze mnie - wymamrotała z goryczą Sara.

- Dokąd? - rzucił niecierpliwie kierowca.

Wycieraczki zaskrobały po szybie, zostawiając na niej białawe ślady. Taksiarz położył ręce na kierownicy i mocno pochylony, zmrużył ciemne oczy.

Gdy buksując kołami wjechali na środek jezdni, Sara



odwróciła się i spojrzała przez okno. Jesteś tam, Liam? Jedziesz za mną?

Zobaczyła gęstą ciemność, nic więcej. Szybę pokrywała gruba warstwa śniegu. Podniosło ją to na duchu.

Nie widzisz mnie. Nie widzisz mnie, Liam.

Samochód tańczył na oblodzonej jezdni niczym łyżwiarz na lodowisku: kilka metrów w lewo, potem długi ślizg w prawo. Sara przetarła zaparowaną szybę i obserwowała przesu-  
wające się za oknem ciemne domy na ośnieżonych trawni-  
kach połyskujących niebieskawo w mdłym świetle nocy.

Szyba znowu zaparowała. Wraz z szybą zaparował świat.

Sara pragnęła, by pozostało tak już na zawsze. By świat już na zawsze pozostał za szkłem, ciemny, milczący i odległy.

Liam... Liam...

Wyobraziła sobie zdziwienie Milтона, gdy stanie w progu jego domu. „Sara? Co się stało? Proszę cię, powiedz, co się stało?” Słyszała jego chrapliwy głos, widziała jego zaczerwienioną z podekscytowania twarz. Z podekscytowania i zatroskania.

Zastanawiała się, czy uwierzy w jej opowieść. Zastanawiała się, czy w ogóle zdoła mu cokolwiek opowiedzieć. Zastanawiała się, w którym momencie opowieści załame się i wybuchnie płaczem.

Jak dotąd całkiem nieźle sobie radzę. Ale jak długo wytrzymam? Jak długo?

Usłyszała głośny warkot. Serce w niej zamarło. Kierowca zaklął i szarpnął kierownicą. Taksówka skręciła, unikając zderzenia z wielkim pługiem śnieżnym, który wyjeżdżał tyłem na jezdnię.

Proszę, nie odśnieżajcie tej drogi, pomyślała Sara obserwując poczynania taksjarza. Nie ułatwiajcie Liamowi pościgu.

Wszystko będzie dobrze. Na pewno wszystko będzie dobrze. Uciekłam. Przed przyjazdem policji Liam mnie nie znajdzie. A jak przyjadą, to mnie obronią. Nie oddadzą Liamowi. Znajdą go, schwytają i...

Samochód gwałtownie zahamował. Sara grzmotnęła ramieniem w drzwi.

- Co się stało?

Kierowca spojrzął bez słowa na licznik.

- Co się stało? - powtórzyła. - Dlaczego stanęliśmy?

Odwrócił się powoli i spojrzął na Sarę spod daszka wełnianej czapki, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Pstryknął włącznikiem i zapalił światło.

- Sześć osiemdziesiąt poproszę.

Pochyliła się i wyjrzała przez okno. Czy to już? Czy to dom Milтона? Tak szybko?

Zerknęła na swoje ręce i zdała sobie sprawę, że cały czas ścisnęła klucze na kółku. Rzuciła je na kolana, żeby poszukać pieniędzy w torebce.

- Pani tu mieszka?

Gdzie mój portfel? Mój portfel. Mój portfel...

- Pani mieszka w tym domu? Ciemno tam choć oko wykol.

Na dnie torebki znalazła zmięty banknot: dziesięć dolarów.

- Proszę. - Rzuciła go na przednie siedzenie. - Reszty nie trzeba.

Gdy otwierała drzwi samochodu, serce waliło jej jak młotem. Klucze zaczęły zsuwać się z kolan, ale zdążyła je schwytać.

Wiatr dmuchnął w twarz mialkim śniegiem. Wysiadła i ruszyła w stronę domu. Wszystkie okna były ciemne. Na ganku nie paliło się światło.

Taksówka odjechała, jak tylko Sara zatrzasnęła drzwi. Pod kołami zaskrzypiał śnieg. Smuga światła z pojedynczego reflektora musnęła fronton domu. Sara dostrzegła śnieżną czapę na szczycie rynny i lodowe kwiaty na szybie okna.

Wsunęła torebkę pod pachę i zacisnęła palce na kółku z kluczami. Szła powoli, ostrożnie, krok za krokiem, wyczuwając warstwę lodu pod mokrym śniegiem.

Utkwiła wzrok w ciemnych oknach. Potem w drzwiach.

Proszę cię, Milton, bądź w domu. Musisz być w domu. Musisz mi pomóc, musisz mnie obronić. Przed nim.

Zadrżały poruszone wiatrem drzewa, otrząsając się ze śnieżnego pyłu.

Sara przystanąła. Popatrzyła na wysokie świerki przypominające białe, strzeliste pomniki.

I cichutko załkała.

Tu brałam ślub. Między tymi drzewami brałam ślub z Liamem. To była taka radosna chwila. Taki radosny dzień.

Nie tak dawno temu.

Wtedy przyjechałam tu, żeby wyjść za mężczyznę, którego kochałam.

Dzisiaj przyjeżdżam, żeby się przed nim ukryć.

Znowu powiał wiatr i drzewa zadygotały jakby w odruchu współczucia. Sara skuliła ramiona i kurczowo ściskając klucze, podeszła do frontowych drzwi.

Bądź w domu, Milton, proszę.

Proszę, pomóż mi.

Drżącą ręką odgarnęła śnieg z oprawy dzwonka. Wcisnęła guzik i przytrzymała go, słysząc głośnie brzęczenie w głębi domu, czekając, aż Milton wstanie z łóżka i otworzy drzwi.

## 55.

Wiatr ciskał śniegiem w drzwi. Było jej zimno w głowę i w kark. Opuściła rękę. Wytężyła słuch. Szum drzew. Chrapliwy szept wiatru. Odgłos kroków? Nie. Cisza. Ani śladu życia.

- Milton! - wybuchnęła. Czują, że zaczyna się rozklejać, że klej powoli puszcza, że delikatne części zaczynają pękać, jak porcelana, jak szkło. - Milton! - Cichy, przerażony głos.

Naparła palcem na guzik dzwonka. Słyszała monotonne buczenie za drzwiami. Wcisnęła guzik jeszcze raz. I jeszcze raz. Trzy długie dzwonki. Potem dzwonek jeszcze dłuższy.

- Milton! Proszę cię, Milton!

Grzmotnęła pięściami w drzwi. I znowu nacisnęła guzik.

W domu panowała martwa cisza. Nie zaskrzyiała podłoga. Nie zapaliło się światło.

Może go nie ma.

Zamknęła oczy, próbowała skupić się, przypomnieć sobie. Mówił, że wyjeżdża?

- Milton, jesteś tam? Tak mocno śpisz? Nie obudzisz się? Nie wpuścisz mnie?

Śnieżna zaspą pod domem zadymiała na wietrze. Sara podniosła klucz do zamka. Dopiero po trzeciej próbie uświadomiła sobie, że trzyma go do góry nogami.

Wreszcie cichy szczełk - pchnęła drewniane drzwi i spojrziała w ciemność. Poczowała ciepłe tchnienie domu na policzkach.

- Milton?

Pochyliła głowę. Cisza.

Otrzeptała śnieg z butów i weszła do środka. Smagnięte podmuchem wiatru drzwi uderzyły ją w plecy. Przestraszona, szybko je zamknęła. Gwałtownie zamrugała czekając, aż oczy przywykną do gęstego mroku.

- Milton? To ja, Sara! Jesteś w domu?

Pomacała ścianę przy futrynie w poszukiwaniu włącznika światła. Nie mogła go znaleźć. Weszła do salonu pełnego zamazanych kształtów. Matowy błysk noży na przeciwległej ścianie. Cenna kolekcja Milтона.

- Milton! Obudź się! To ja, Sara!

Cisza.

Sprawdź w sypialni, nakazała sobie, idąc powoli przez granatowoczną ciemność. Pamiętała, że dokładnie na wprost jest długi lustrzany korytarz. Sypialnia Milтона znajdowała się na końcu korytarza, po lewej stronie.

- Milton?

Tak tu cicho. Tak tu ciepło.

Wstrzymała oddech. Po chwili ruszyła przez salon ze wzrokiem utkwionym w czarny prostokąt, który musiał być wejściem do korytarza.

W połowie drogi o coś się potknęła. O coś masywnego i miękkiego.

Upadła na podłogę, dławiąc jęk przerażenia. Wielki przedmiot ugiął się pod jej ciężarem.

Nie, to nie otomana. Za miękki na otomanę.

Przedmiot poruszył się pod nią. Miała uwalane ręce. Uwalane czymś płynnym, ciepłym i lepkiem.

- O Boże.

Z trudem uklęka.

- O Boże.

Nie musiała patrzeć, żeby sprawdzić, co to jest.

Nie musiała patrzeć, żeby upewnić się, kogo znalazła.

Zabłysło górne światło.

Sara zamrugwała. Popatrzyła na swoje ręce. Na czarną, zgęstniałą krew na swoich rękach.

Potem spojrziała na ciało Milтона. Rozszarpane. Rozprute.

Milton?

Tak, rozprute niczym paczka. Brzuch rozharatany tuż nad paskiem spodni od piżamy. Wyrwany z ciała żołądek. Różowe jelita wypełzające na podłogę, gdzie stała kałuża czarnej krwi.

Głowa Milтона wsparta o spód sofy. Szeroko rozwarte usta, wytrzeszczone z przerażenia oczy.

- O Boże. O Boże.

Ręce miała lepkie od krwi, od jeszcze cieplej krwi.

Spojrziała na kolekcję noży na ścianie. Potem odwróciła się, uświadomiwszy sobie, że ktoś - bo przecież nie ona - zapalił światło.

I zobaczyła Liama.

U wejścia do korytarza. Był w szarym rozpiętym palcie i w swetrze. Miał potargane włosy. Stał z założonymi rękami.

Liam. Patrzył na nią. Patrzył na nią z okrucieństwem w oczach. Na twarzy, którą - jak się jej dotąd zdawało - tak dobrze znała, stężała nieludzka maska.

Na twarzy, którą jeszcze niedawno tak bardzo kochała.

Nie znam go.

Nic o nim nie wiem.

Zaraz mnie zabije.

Wciąż na kolanach, próbowała wytrzymać jego spojrzenie.

Ale nie chciała go widzieć.

Nie mogła na niego patrzeć.

Widok jego twarzy przyprawiał ją o mdłości. Jego oczy napępniały ją przerażeniem.

Tyle morderstw, Liam. Tyle bestialskich morderstw.

- Liam, zabiłeś Milтона. - Jakimś cudem odzyskała głos.

Zakrwawionymi rękami wskazała zwłoki. - Zabiłeś go, Liam. I zabiłeś własną siostrę.

Liam zamrugał. Ale wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Był zimny. Zimniejszy niż śnieg muskający szybę w oknie.

- Zabiłeś własną siostrę! - krzyknęła piskliwie.

W końcu się odezwał.

- To nie ja, Saro - powiedział przez zaciśnięte zęby. - To ty ich zabiłaś.

## 56.

Patrzyła na niego, próbując zebrać myśli.

To słowa szaleńca. Słowa człowieka obłąkanego. Zdała sobie sprawę, że Liam jest ciężko chory.

Powinam była się tego domyślić. Tyle rzeczy za tym przemawiało. Choćby te jego zwariowane zabobony.

Ale jak mogłam się domyślić, że jest mordercą?

Jak?

Jak mogłam się domyślić, że rozrywa ludzi na strzępy?

Stał z założonymi rękami, z tym samym wyrazem twarzy. Obserwował ją. Mierzył ją wzrokiem.

Uniosła się z kolan. Wytarła w kurtkę lepkie od krwi ręce. Myśl, Saro. Wymyśl coś. I to szybko.

Usłyszała swój wewnętrzny głos. Wewnętrzny głos nakażywał jej ucieczkę. Żeby mogła przeżyć.

Tylko jak? Jak uciec? Jak przeżyć?

Rzuciła okiem na frontowe drzwi. Zdaży dopaść ich przed Liamem?

Chyba nie.

Korytarzem? Też nie. Liam blokował wejście, odcinał drogę ucieczki.

Utknęłam w ślepych zaułku, pomyślała, czując, że ogarnia ją panika, słysząc swój płytki, przyspieszony oddech.

Broń. Potrzebuję jakiejś broni.

Zdąży podbiec do ściany, otworzyć szklaną gablotę i wyjąć jeden z noży Milтона, zanim Liam ją powstrzyma?

Nie. Nie ma szans.

Zatrzymała wzrok na kominku. Przy koszu z polanami stał pogrzebacz.

Tak. Pogrzebacz. Może zdołam go chwycić.

Dławiło ją przerażenie. Ściany salonu zaczęły na nią napięrać, zaczęły ją przytłaczać. Salon. Tu nawiązaliśmy naszą pierwszą prawdziwą rozmowę.

Na przyjęciu u Milтона. Przegadaliśmy całe przyjęcie, Liam i ja. Tam, naprzeciwko kominka.

A teraz Liam mnie tu zabije.

Chyba że chwycę pogrzebacz i...

- To ty ich zabiłaś, Saro - powtórzył powoli i dobitnie, wyrwijając ją z zamyślenia. - Ty. Nie wierzysz mi, prawda?

Wydawało się, że stracił całą żywotność. Jakby wyciekła zeń energia, jakby wyciekło zeń wszystko, co przypominało dawnego Liama.

- Wierzę ci, Liam - wykrztusiła. Tak, tak, bardzo dobrze. Żeby go tylko nie rozdrażnić, żeby tylko nie ruszył się z miejsca. - Naprawdę. Wierzę ci.

- Saro! - Głośny, gniewny krzyk.

Aż podskoczyła. Jak spięta ostrogą, rzuciła się przez pokój. Zdążyła, dopadła kominka, porwała pogrzebacz - był cięższy, niż myślała - dźwignęła go obiema rękami...

W tej samej chwili Liam chwycił go za drugi koniec.

- Nieeee! Puszczaj! - Zawyla jak zwierzę.

Zaczęli się mocować, ciągnąc pogrzebacz każde w swoją stronę, jęcząc przy tym i stękając.

- Saro! Wysłuchaj mnie, Saro! Pozwól mi wytłumaczyć! Musisz pozwolić mi to wyjaśnić!

- Nie! Puść! Puszczaj!

Nagle zmienił taktykę i pchnął pogrzebacz obiema rękami. Sara straciła równowagę.

Zatoczyła się do tyłu, a wtedy wyrwał jej pogrzebacz, przycisnął go do jej piersi i zaczął ją pchać, zaczął popychać ją w stronę sofę, aż na nią upadła.

- Nie! Puść mnie, Liam! Proszę!

Stał nad nią z gorejącymi oczyma, z wściekle wykrzywioną twarzą, dysząc jak po długim biegu.

- Nie rób tego, Liam!

Nie mogła się poruszyć. Nie mogła się spod niego wyśliznąć. Ściskając pogrzebacz obiema rękami, przygwoździł ją do sofy.

Tkwiała w potrzasku.

Zaraz ją zabije. Zaraz rozerwie ją na strzępy jak tamtych. Rozszarpie ją i powiesi na ścianie.

- Proszę cię! Proszę! - Mogła tylko błagać. Czyżby nie znalazł żadnych ludzkich uczuć? Czyżby kompletnie zwariował?

Czyżby nie zostało w nim ani śladu uczuć dla niej, dla Sary?

Najmniejszego śladu miłości? Czy kiedykolwiek ją kochał?

Pochylił się nad nią groźnie. Wciąż ciężko dyszał, jego zazwyczaj błada twarz mocno poczerwieniała.

- Muszę ci to wytłumaczyć. Musisz pozwolić mi to wytłumaczyć.

Tak, pomyślała. Tłumacz się, wyjaśniaj. Obyś tylko mówił. Mów, Liam, gadaj choćby całą noc, jeśli masz ochotę.

I nagle nerwy puściły.

Wytrzymała tak długo, ale teraz, przygnieciona ciężarem jego ciała, przygwożdżona do sofy, przerażona i spanikowana, zaczęła mówić. Mówiła szybko, bez tchu - słowa popłynęły same, zanim zdążyła ugryźć się w język, zanim zdążyła je zdławić, wstrzymać oddech albo zrobić cokolwiek, żeby ich wypowiedzieć.

- Liam, spałeś z własną siostrą! Jak zdołasz się z tego wytłumaczyć? Spałeś z własną siostrą, a potem... potem... potem ją zabiłeś!

- Nie, nie, nie - zniżył głos do szeptu. - Margaret nie była moją siostrą. Margaret była moją żoną.



## 57.

Co on mówi?

Wpiła się wzrokiem w jego twarz, w jego brązowe oczy, które kiedyś tak bardzo kochała. Teraz nie potrafiła nic z nich wyczytać. Nie potrafiła wyczytać prawdy z ich mrocznego spojrzenia.

Kompletnie zwariował?

A może to ja zwariowałam?

Dlaczego powiedział, że Margaret była jego żoną? To ja jestem jego żoną! Dlaczego próbuje wcisnąć mi obłąkane łągastwo?!

Sufit zatańczył. Oszołomiona, zamknęła oczy. Lecz wirowanie nie ustało. Cały ten zamęt, wszystkie pytania, wszystkie obawy i strach wirowały w jej głowie coraz szybciej i szybciej.

Nie, nie mogła tego zrozumieć, teraz już nie. Nie było w tym absolutnie żadnego sensu.

Gdy otworzyła oczy, zabrał pogrzebacz i z dzikimi oczyma, ze spiętą twarzą cofnął się o krok. Z trudem usiadła. Salon znowu się zakolysał, zatańczył i zawirował. Spojrzała na Liama.

- Pozwolisz mi wyjaśnić? - spytał cicho. - Czy znowu się mnie rzucisz?

- Nie chciałam się na ciebie rzucać. Chciałam tylko wyjść - wyjąkała.

- Pozwolisz mi się wytłumaczyć?

- Tak. Daleś mi jakiś wybór?

Upuścił pogrzebacz na podłogę. Pogrzebacz podskoczył na dywanie i poturlał się pod stolik za sofą. Liam stał sztywno, z rękami po bokach, przesywając Sarę wzrokiem. Miał skupioną twarz: zdawał się odpływać we wspomnienia, zastanawiając się, jak zacząć.

Albo próbując wymyślić kolejną bajeczkę, pomyślała z goryczą.

Ostatecznie bajarz z niego. Jego życie to same bajki i legendy.

No i co, Liam? Znowu opowiesz mi jakąś bajeczkę? Skrzyżował ręce.

- Margaret była moją żoną - powtórzył.

Nie potrafiła zapanować nad sobą. Przerwała mu, choć nie miała takiego zamiaru. Ból był zbyt wielki.

- Myślałam... myślałam, że to ja jestem twoją żoną.

Zdała sobie sprawę, że na nią nie patrzy, że spogląda w dal, w pustkę. Wyglądało na to, że nawet jej nie słyszał.

- Margaret była moją miłością, moim życiem - powiedział drżącym głosem. - Zawsze byliśmy razem, ona i ja. Zawsze, odkąd skończyłem cztery lata. Margaret i ja.

- Liam...

Uciszył ją gestem ręki.

Co to? Co dostrzegła w jego oczach? Smutek?

- Byliśmy sąsiadami. Nie bratem i siostrą, tylko sąsiadami. Mieszkała z rodzicami na sąsiedniej farmie, na farmie równie wyjałowionej i spustoszonej przez rozpacz jak farma mego ojca. Byliśmy... zawsze razem. Zawsze. Często myślałem, że utrzymujemy siebie nawzajem przy życiu. - Cicho zaszlochał. - Z Irlandii też wyjechaliśmy razem. Uciekliśmy od mego ojca. Uciekliśmy od pecha. Od pecha. Od pecha...

Tak przynajmniej myśleliśmy. Po uzyskaniu pełnoletności natychmiast się pobraliśmy.

Zamilkł, bo zabrakło mu tchu. Miał lśniące od potu włosy, pot ściekał mu na czoło.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Sara chciała zaprotestować, chciała krzyknąć, zasypać go gradem pytań: Chcesz powiedzieć, że jesteś bigamistą?! Skoro była twoją żoną, dlaczego się ze mną ożeniłeś? Wziąłeś mnie za żonę i dalej z nią żyłeś?

Nie, to niemożliwe, myślała. To nie może być prawda. On ma urojenia. To paranoik.

Spojrzał jej w oczy.

- Pamiętasz tę starą legendę, którą opowiadałem ci w noc oświadczyń? O żonie z bajki? Otóż Margaret była moją żoną z bajki, żoną-czarodziejką. Przez te wszystkie lata byłem w stosunku do niej tak lojalny, jak to tylko możliwe. Ale tak jak w

legendzie, musiałem poślubić drugą żonę, Saro. Tą żoną byłaś ty.

- Liam, proszę cię... - zaprotestowała.

- Wysłuchaj mnie!

Krzyknął tak głośno i agresywnie, że zamilkła.

- Wysłuchaj mnie, Saro - dodał ciszej. - Musieliśmy mieć dziecko. Pragnąłem oszczędzić Margaret. Chciałem spłodzić dziecko z inną kobietą. Dziecko musiało być z prawego łóża. Dlatego potrzebowaliśmy ciebie, Saro. Miałaś urodzić nam dziecko.

- Nie! - krzyknęła. - Nie wierzę ci, Liam! Po co wymyśliłeś tę koszmarną historię? Spodziewasz się, że uwierzę w to... w tę obłąkaną bajeczkę?!

- To prawda. - W jego głosie było więcej smutku niż złości.

- Gorzka prawda. Tak się to mówi?

- Liam, proszę cię...

- Tak bardzo ją kochałem, Saro. Kochałem ją tak bardzo, że zrobiłbym dla niej wszystko. Była moim życiem, moją żoną, moją czarodziejką. Potrzebowaliśmy dziecka. Ja, ja potrzebowałem dziecka. Żeby uwolnić się od demonów. - Boleśnie załkał. - Nie wiesz, jakie było moje życie, Saro. Demony... demony... Ojciec mi je przekazał. Całe życie... całe życie... - Z trudem przełknął ślinę. Jego oczy zrobiły się szkliste. Patrzył na nią, ale jakby jej nie widział. - Mój ojciec... Zanim uciekliśmy z Margaret, ojciec mnie nauczył. Nauczył mnie, jak je okiełznać. Nauczył czujności. I powiedział mi, jak się od nich uwolnić. Musiałem mieć dziecko z prawego łóża, Saro, to był jedyny sposób. Ale przecież nie mogłem zrobić tego Margaret, prawda? Moja matka umarła, kiedy miałem dwanaście lat. Jestem przekonany, że chciała umrzeć. Jestem pewien, że się do tego zmusiła, znając prawdę. Wiedząc, co mnie czeka, gdy dorosnę. Dlatego nie mogłem tego zrobić Margaret, nie mogłem...

- Liam...

Wskazała mu miejsce obok siebie. Widziała, że przeżywa tortury. Czyżby opowiadanie tak go męczyło? Sam akt tworzenia? Zdawał sobie sprawę, że ta paranoiczna improwizacja nie ma najmniejszego sensu, że przypomina bełkot człowieka

chorego umysłowo? Wiedział o tym i dlatego opowiadanie wiązało się z tak wielkim bólem?

Zignorował zaproszenie. Głośno odchrząknął.

- Próbuję ci to wytłumaczyć, Saro. Musiałem pozbyć się demonów. Musiałem się ich pozbyć, żeby rozpocząć z Margaret nowe życie. Ale demony...

- Liam, jakie demony? O czym ty mówisz?

Znowu przełknął ślinę. Głęboko odetchnął.

- O demonach przesądu, Saro. Nigdy nie zastanawiało cię, dlaczego jestem taki przesądny? Nie zastanawiało cię, dlaczego zawsze jestem taki czujny, taki uważny, taki wymagający względem siebie? To przez demony, Saro. Nie miałem żadnego wyboru.

- Liam, proszę cię, usiądź. Mogę ci pomóc. Mogę...

- Przesady wymyślono po to, żeby odstraszać złe demony. Mówiłem ci, Saro, pamiętasz? Dlaczego mówimy: „Na zdrowie”, kiedy ktoś kichnie? Żeby odpędzić złe demony. Pamiętasz? Pukamy w drewno, rzucamy solą przez ramię, wszystko po to, żeby odpędzić złe demony. Ale ja tego zrobić nie mogę! Nie mogę ich odpędzić! - Krzyczał, wył, walił pięściami w pierś. - Nie mogę odpędzić demonów, bo wszystkie, bo te wszystkie demony żyją we mnie!

## 58.

On potrzebuje pomocy.

Nie miałam pojęcia.

Powinnam była się tego domyślić.

Tak, ma obsesję, coś w rodzaju nerwicy natręctw. Zawsze był taki czujny, tak skrupulatnie dopełniał tych wszystkich zabobonnych obrządków. Gdzie ja miałam oczy?

Poczucie winy walczyło ze strachem. Patrzyła na wzburzonego męża i myślała: mogłam mu pomóc. Powinnam była spostrzec, jak bardzo jest przerażony. Wmawiałam sobie, że

te jego przesady to tylko taki żart. Wmawiałam sobie, że są milutki i oryginalne. Nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy. Mogłam mu pomóc, zanim... zanim... Potem było już za późno. Co teraz?

Co teraz?!

Przemknęły jej przez głowę inne myśli: A Margaret? Czy zdawała sobie sprawę, że Liam uważa ją za swoją żonę? Wiedziała o tym i posłusznie odgrywała swoją rolę? To dlatego poszła z nim do łóżka?

Właśnie. Co z Margaret? Nie, przecież to nie ma sensu.

Musiała wiedzieć, że Liam jest ciężko chory. Dlaczego nie próbowała mu pomóc? Ostatecznie była jego siostrą.

Siostrą?

Patrząc na chodzącego nerwowo Liama - cztery, pięć kroków w stronę drzwi i z powrotem - usiłowała przypomnieć sobie wiadomości ze specjalistycznych podręczników i książek. Ludzie, którzy wierzyli, że mieszkają w nich demony - takich przypadków znała mnóstwo. Zwykle wynikało to z poczucia winy, z mrocznych tajemnic, jakie ukrywali, z czynu, którego się wstydzili.

Niewiele mi to pomoże, skonstatowała obserwując jego gwałtowne, niezborne ruchy. Nie, nie pomoże mi to wcale.

Stał przed nią, obrzucił ją spojrzeniem i drżącym głosem kontynuował swoją opowieść:

- Musisz to zrozumieć, Saro. Musisz zrozumieć, dlaczego usiłowałem zachować tak daleko posuniętą ostrożność. Ilekroć powinieneś mi się noga, ilekroć zlekceważę jakiś przesąd, ilekroć pogwałci go ktoś w mojej obecności, demon ma okazję. - Odetchnął z głębi piersi.

- Okazję? Okazję do czego? - spytała cicho.

- Do ucieczki. Może się wtedy wysliznąć - odrzekł unikając jej wzroku. - Ze mnie. Z mojego ciała. Może uciec. Ilekroć... ilekroć... - Zamknął oczy, jakby przeszył go silny ból. - One ze mnie wypełzają. Wypełzają i... zabijają ludzi, których znam. One... one żyją w mojej świadomości. Wiedzą, kogo znam. Ilekroć któryś ze mnie wypełźnie, tylekroć ktoś ginie. Przyjaciel. Znajomy. Ktoś, kogo poznałem tylko przelotnie. One mordują. Mordują. A potem znikają na zawsze.

Sara powoli zaczynała rozumieć. A więc to jest mroczna tajemnica Liama: Liam mordował ludzi. Mordował i...

Zadrżała.

Zamordował ich? Zamordował tych wszystkich ludzi?

Tak, zamordował ich i nie mógł znieść prawdy o sobie. Dlatego wymyślił demony, żeby usprawiedliwić swoje czyny. On je stworzył, on je wyśnił. Wyśnił je, żeby zwalić na kogoś winę, żeby zdjąć z siebie odium bestialskiego mordercy.

Demony.

Naturalnie. Ktoś, kto studiuje folklor, kto żyje w świecie magii, w świecie dobrych wrózek i krasnoludków, zwaliłby winę na złe demony. Tak, znalazłszy się w poważnych opalach, wymyśliłby demony.

One naprawdę istnieją, myślała wpatrując się uważnie w twarz męża. Jestem przekonana, że dla niego istnieją naprawdę.

- Tylko czekają, żeby uciec - mówił dalej Liam. - Tylko czekają. Zawsze tam są, tam, na granicy świadomości. Czekają. Czyhają. Czyhają na okazję. Żyję z nimi tak długo, Saro. Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego chciałem się ich pozbyć, dlaczego pragnąłem się od nich uwolnić. - Podszedł bliżej. W oczach miał łzy. Trząśł się mu podbródek. - Próbowałem... próbowałem cię ostrzec. Naprawdę próbowałem.

One czasami popadają w swego rodzaju apatię czy letarg.

Może zasypiają, nie wiem. Niezbyt często, ale to się zdarza.

Potrafię wyczuć, kiedy śpią, kiedy przestają czuć. Właśnie wtedy do ciebie dzwoniłem. Właśnie wtedy próbowałem cię ostrzec, żebyś trzymała się ode mnie z daleka.

Sara wytrzeszczyła oczy.

- To ty mnie straszylesz tymi telefonami?

Kiwnął głową.

- Tak, dzwoniłem do ciebie, chciałem cię ostrzec. I to ja przysłałem ci królicze łapki. Biedna Febe. Przysłałem ci królicze łapki, Saro. Chciałem cię odstraszyć. Ostrzec cię, zanim będzie za późno. Za późno dla ciebie.

Przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków.

- O mój Boże.

Jest bardziej obłąkany, niż myślałam.

Nie spuszczać go z oczu, powoli wstała.

- Liam, idę do telefonu - powiedziała łagodnie, starannie wymawiając każde słowo. - Sprowadzę pomoc, kochanie.

Wszystko będzie dobrze.

- Nie. - Błyskawicznie zastąpił jej drogę. Sparaliżował ją strach. Próbowwała to ukryć.

- Wszystko będzie dobrze, Liam. Naprawdę. Chcę ci pomóc.

- Usiądź, Saro.

Spojrzała mu w oczy i nie odnalazła w nich znajomego ciepła. Zrezygnowana westchnęła, usiadła na brzeжку sofy i... spostrzegła u swych stóp żelazny pogrzebacz.

- Przestań traktować mnie protekcyjnie, Saro. Próbuję ci wytłumaczyć. Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę ci. Liam. Tylko...

- Nie! Nie wierzysz mi!

Drgnęła przerażona kolejnym wybuchem wściekłości.

- Chcę, żebyś wiedziała, z czym muszę żyć, jak wygląda moje życie! - Twarz mu poczerwieniała, trząsł mu się podbródek. - To koszmar. Nie ma na to innego określenia. Margaret i ja... nie mieliśmy innego wyboru. Musieliśmy znaleźć jakieś wyjście. Musiałem się od nich uwolnić. Żebyśmy mogli normalnie żyć. Chcę, żebyś to zrozumiała, Saro.

- Liam, proszę cię...

- Margaret i ja robiliśmy wszystko, żebyś była szczęśliwa, Saro. Tak się staraliśmy. Prawda, że się staraliśmy? Prawda?

Wstała, znowu zerknęła na pogrzebacz.

- Liam, pozwól mi zatelefonować. Pozwól mi sprowadzić pomoc. Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Znowu zastąpił jej drogę.

- Tak bardzo się staraliśmy, żeby utrzymać cię w nieświadomości. Żebyś się niczego nie domyśliła. Nie chcieliśmy cię denerwować. Kochaliśmy cię, ponieważ miałaś nas uwolnić. Miałaś urodzić moje dziecko, Saro, dziecko, które odziedziczyłoby demony, uwolniło mnie spod ich władzy. Dziecko by je przejęło. Kochaliśmy cię za to, Margaret i ja. Szczerze cię kochaliśmy. Tworzyliśmy rodzinę. Prawdziwą rodzinę. I nie chcieliśmy, żeby ktoś nam ją zniszczył. Byłaś dla nas zbyt ważna. Więc kiedy przyjechał tu twój chłopak...

- Chip?  
- ...kiedy przyjechała Kristen...  
- Kristen?  
- Kristen była moją drugą żoną. Pobraliśmy się dwa lata temu w Chicago. Margaret i ja mieliśmy nadzieję, że urodzi nam dziecko. Ale Kristen nas zawiodła. Zawiodła nas, dlatego musieliśmy spróbować jeszcze raz.  
- O mój Boże - wymamrotała Sara przyciskając dłonie do policzków.  
- Kiedy Chip i Kristen pojawili się w mieście, żeby zepsuć nasz plan, Margaret postanowiła się nimi zająć.  
- I... zabiła ich? - wykrztusiła Sara.  
Liam ponuro kiwnął głową.  
- Margaret nie lubiła zabijać. Była łagodną kobietą. Tak samo jak ja. Ale wiedziała, że nie mamy wyboru. Nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby dwoje intruzów pokrzyżowało nam plany. Nie mogłaś się o niczym dowiedzieć.  
- Oni uuu...umarli przeze mnie?  
Znowu kiwnął głową.  
Przeniosła wzrok na rozharatane ciało Milтона w kałuży czarnej krwi, na wypęczające z brzucha wnętrzności.  
Tyle krwi.  
Tyle śmierci.  
Jak mogłeś, Liam? Jak mogłeś?  
Nie wytrzymała. Zerwała się z sofy i sięgnęła po pogrzebacz. Chwyliła go drżącą, śliską ręką i upuściła. Chwyliła go ponownie i zamierzyła się na Liama.  
- Dłoń Chipa. Uciąłeś mu dłoń! Ty...  
- Musiałem uspokoić demony. Musiałem je uspić. - Podniósł ręce, jakby chciał się poddać. - To jedyny sposób, jaki znam.  
Wydała z siebie przeciągły, gardłowy jęk.  
- Nie, Liam. Nie. Nie. Nie. Dość. Zamilcz. Jesteś ciężko chory. Potrzebujesz pomocy. - Dźwignęła pogrzebacz jeszcze wyżej, żeby na pewno go zobaczył.  
Liam opuścił ręce i zrobił krok do przodu. Krople potu ściekały mu ze skroni na policzki.  
- Próbowaliśmy utrzymać cię w nieświadomości, Saro. To



było dla nas bardzo ważne. Ale dziś wieczorem wróciłaś do domu wcześniej. I zobaczyłaś nas. Zobaczyłaś Margaret i mnie. A potem... potem ją zabiłaś.

- Nie!- wrzasnęła wywijając pogrzebaczem, żeby go postrzycić. - Nie! Przestań to powtarzać!

- Zbiłaś lustro, Saro. Zbiłaś lustro na komodzie i uwolniłaś demony. Wypełzyły ze mnie. Zamordowały Margaret. Nie mogłem... nie mogłem jej ocalić - wyjąkał spiętym, zdławionym głosem. - Słyszałem, jak umierała, słyszałem jej krzyk. Nie byłem w stanie na to patrzeć. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak ją maltretowały. Wybiegłem z domu. Jechałem jak szalony, modląc się, żeby nie dopadły Milтона. Przyjechałem za późno. Za późno. - Głos mu się załamał. - Milton już... - Zamilkł. Zakrył ręką oczy i głośno zaszczołał.

- Liam, posłuchaj mnie. Demonów nie ma! Nie ma żadnych demonów!

- To ty je uwolniłaś, Saro! - ryknął. - Zbiłaś lustro i uwolniłaś je! Ty! Ty!

Rzucił się na nią. Chwiejnie, niezręcznie - i chybił. Upadł na sofę, wstał i odwrócił się do niej, ciężko dysząc.

Cofnęła się, trzymając pogrzebacz w wyciągniętych przed siebie rękach.

- To obłąd, Liam! - krzyknęła głosem drżącym i piskliwym. - Obłąd! Demony nie istnieją! Nie istnieją! Spójrz, zaraz ci to udowodnię!

- Nie! Zaczekaj! - Rozpaczliwy krzyk. Liam ruszył na nią, potykając się i chwiejąc.

Ale ona była już w korytarzu, już zamachnęła się pogrzebaczem, dzierżąc go jak kij baseballowy.

- Patrz, Liam, patrz! Nie ma żadnych demonów! Nigdzie!

- Saro, błagam cię!

Nie zwracając uwagi na jego zwierzęce wycie, uderzyła pogrzebaczem w lustro.

Ze wszystkich sił.

Trrrach! Lustrzana ściana pękła z głośnym trzaskiem. Tarrach! - odpowiedziało szklane echo.

## 59.

- Nie ma żadnych demonów! - wrzasnęła. - Widzisz, Liam? Nie ma!

Znowu wzięła zamach. Roztrzaskała sąsiednią taflę lustra. I następną.

Szła długim korytarzem i wywijiała ciężkim pogrzebaczem, roztrzaskując lustro za lustrem.

- Nie ma! Nie ma! Widzisz?

Świst pogrzebacza, trzask pękającego szkła, brzęk ciężkich, wystrzępionych odłamków spadających na podłogę - wszystkie odgłosy były tak namacalne, tak satysfakcjonujące, tak ostateczne, że stanowiły wspaniały akompaniament do jej przeraźliwych wrzasków.

- Widzisz, Liam? Nie ma żadnych demonów! Nie ma!

Nagle usłyszała upiorny krzyk przypominający zawrodoenie śmiertelnie przerażonego zwierzęcia albo przenikliwe wycie syreny. Krzyk narastał, by w końcu zagłuszyć trzask pękających lusterek, brzęk tłuczonego szkła i rozpaczliwe wrzaski Sary.

Było w nim tyle bólu, tyle trwogi, tyle zgrozy, że odwróciła się i znieruchomiła. To Liam. Przykucnął u wejścia do korytarza, zadarł głowę, wybałuszył oczy, rozdziawił usta i wył, i nie przestawał wyć.

- Widzisz? Nie ma żadnych demonów! - Upuściła pogrzebacz. Upadł z trzaskiem na podłogę i poturlał się do ściany. - Nie ma. Wszystko w porządku, Liam. Demony nie istnieją.

Opadł na kolana, złożył ręce jak do modlitwy. Sara ruszyła w jego stronę przez oszpecony korytarz, miażdżąc butami odłamki lustrzanego szkła.

- Niiieeee! - Zadarł głowę i znowu zawył.

- Liam...

Przystanąła, bo wycie nagle ucichło. Liam się dławził. Chwyił się rękami za szyję, a z jego ust wystrzelił język.

Nie. To nie był jego język.

To było coś purpurowego i szerszego niż zwykły język. Z szeroko otwartych ust Liama wysuwało się coś sinawo-szkarłatnego.

Dwa. Dwa języki.

Wypełzały mu z gardła, coraz dłuższe i dłuższe, wypełzały na korytarz, gnąc się, wyginając i falując, jakby chciały dosięgnąć Sary.

- O mój Boże! O mój Boże! Liam?

Liam upadł na bok, ściskając szyję obiema rękami i wydając z siebie ohydne, gulgoczące odgłosy.

Szarpiąc rękami włosy na skroniach, Sara patrzyła z niedowierzaniem na giętkie, oplatające się wzajemnie jężory, które sunęły coraz dalej i dalej.

- O mój Boże. O mój Boże. Co ja zrobiłam?

Liam jęknął. Za jężorami wychynęła z jego ust żółtawa piana. Nie. Nie piana. Głowa. Żółta, gąbczasta głowa.

Sara oparła się o strzaskaną taflę lustra.

Tak, jężory wypełzały z tej głowy, z tego spurchlonego łba z czerwonymi ślepiami, które się przed chwilą otworzyły. Liam zaczął się dławić, dusić, zaczął dziko wymachiwać rękami, by wreszcie wypluć z siebie miękki, pokryty bąblami czerep.

Kiszkowaty korytarz wypełnił się ciężkim, kwaśnym odorem. Nagle pochłodziło. Na twarzy Sary osiadła kwaskowata rosa, laskocząc ją w policzki.

Z ust Liama wychynęły żółtawe ramiona, gąbczaste i lśniące od wilgoci.

Jężory uderzały o siebie z głośnym mlaskiem. Czerwone ślepia szybko zamrugwały, spojrzały na Sarę. Żółta skóra głowy była miękka, nierówna i spurchlona. Jak jajecznicą, jak luźną jajecznicą spływająca śluzowato na falujące ramiona.

Liam leżał na wznak z odrzuconą do tyłu głową. Młócił powietrze rękami, wierzał nogami, tymczasem czerwonoooki potwór z dwoma strzelającymi wokoło jężorami wywlókł z jego ust resztę cielska i z mlaskiem żółtych, uzbrojonych w szpony łap stanął na podłodze.

Staął i jednym silnym szarpnięciem wyrwał z gardła Liama

jaszczurczy ogon. Potem wyprostował się i strzelając wokoło oplatającymi się wzajemnie jęzorami, zrobił ciężki, mokry krok w stronę Sary.

- Neeee! - Chciała krzyknąć, lecz zdołała wydobyć z siebie tylko zdławiony szept.

Ten smród. Nie do wytrzymania.

Próbowała wstrzymać oddech, lecz przenikliwy odór zalewał ją, wnikając we wszystkie pory.

Potwór stąpał po drewnianej podłodze, cmokając szponiastymi stopami. Szedł wyprostowany, dorównywał Sarze wzrostem. Zostawiając za sobą grubą warstwę żółtawego śluzu, kroczył ku niej z podniesionymi rękami.

Jeden krok. Drugi. Trzeci. Splątane jęzory. Coraz jaskrawiej gorejące ślepia.

On jest prawdziwy, pomyślała.

O mój Boże. On jest prawdziwy.

Patrzyła na niego przerażona, bezgranicznie zdumiona i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że potwór chce ją zaatakować.

## 60.

Zaląła ją fala kwaśnego smrodu.

Sara zatoczyła się do tyłu. Chciała uciec w drugą stronę, do sypialni. Aby dalej.

Aby dalej.

Za późno.

Poczuła, jak szkarłatne jęzory, gorące i lepkie, oplatają jej szyję. Jak ją ciągną. Jak się zaciskają. Niczym dwa boadusiciele.

Ten odór... ten smród.

Z jękiem obrzydzenia chwyciła je obiema rękami i mocno szarpnęła, lecz mokre, spurchlone węzowidła były zbyt śliskie - walczyła na próżno.

Poczuła, jak gorąca, gąbczasta pierś demona przywiera do jej pleców.

Nie mogę... Nie mogę oddychać.

Nie mogę... oddychać.

Dobiegł ją cichy jęk. Usłyszała odgłos szurania butami, trzask miażdżonego szkła na podłodze.

Mokre jęzory rozluźniły uchwyt. Odwróciła głowę.

I zobaczyła, że ramiona Liama oplatają demona w pasie. Jęzory chlastały powietrze niczym dwa szkarłatne bicze. Pazury rozczapierzonych rąk przecięły ubranie i skórę, orały mu ciało jak sztylety.

Lecz Liam bestii nie puścił.

Objął ją wpół, pomyślała Sara.

Szarpnął i oderwał, odciągnął ją ode mnie.

- Uciekaj, Saro! - krzyknął błagalnym głosem.

Zawahała się patrząc, jak rozpaczliwie walczy z gąbczastym stworem.

- Uciekaj! Biegnij! Uciekaj!

Posłuchała go. Przecisnęła się między nimi, wpadła do salonu i zerknęła przez ramię.

Zobaczyła, jak potwór dzwiga Liama do góry i zgina nogę w kolanie.

Wszystko zdarzyło się tak szybko: monstrum podniosło Liama jeszcze wyżej, po czym cisnęło go w dół, wbijając mu kolano w kręgosłup.

Rozległ się suchy trzask. Trzask, jaki wydaje pękający pancerz kraba. Ohydny odgłos zabrzmiał echem w całym korytarzu, zawibrował w uszach Sary.

Liam jęknął i zwiśł w ramionach potwora. Odrzucił do tyłu głowę, musnął włosami podłogę, a spojrzenie jego oczu, teraz już zmętniałych, szklistych i prawie bez życia, spoczęło na Sarze.

- Wybacz, Liam! - krzyknęła. - Mówiłeś prawdę. Nie mogę uwierzyć... Nie mogę uwierzyć, że... musiałeś z tym żyć.

- Zrobiłem jeden dobry uczynek - wyszeptał niczym wiatr szeleszczący suchymi liśćmi. - Uratowałem cię.

Głowa mu zwiśła. Ręce bezwładnie opadły.

Potwór rzucił go na podłogę i zniknął w głębi korytarza, zostawiając za sobą żółte, śluzowate ślady.

Liam leżał na wznak ze złamanym kręgosłupem. Sara widziała jego oczy, brązowe oczy, które kiedyś tak bardzo kochała, a które teraz spoglądały martwo w sufit.

Liam nie żyje.

Liam oddał za mnie życie.

o Boże. On nie żyje, a ja... a ja...

Liam drgnął.

Poruszył głową.

Sara głośno nabrała powietrza. Zrobiła krok do przodu.

- Liam? Żyjesz, Liam? Liam?

Nie.

Z jego otwartych ust wychynęła kępka ciemnej sierści. Potem koszmarny łeb, łeb małpi, z zielonymi ślepiami, z długim pyskiem, z rzędem nierównych kłów broczących gęstym, białym śluzem. Łeb i porośnięte sierścią ramiona.

- Nie! O Chryste, nie!

Przytrzymała się ściany. Pulsowało jej w skroniach, ciałem wstrząsnęły konwulsje, które pozbawiły ją tchu.

Monstrum łykało zielonymi ślepiami, żarłocznie kłapało długą szczęką, wyciągało i wyginało grubą szyję.

Po chwili wydobyło rękę pokrytą lśniąca skórą. Obłe, połyskujące mokrawo ramię, jedno i drugie. I ohydną jaszczurczą głowę, mdławosrebrzystą, upstrzoną brązowymi parchami. Zamknęło ślepią, rozciągnęło szerokie usta w lubieżnym uśmiechu.

I z plaśnięciem wypadło na podłogę. Wstało na szczudłowatych, owadzych nogach i węzowatym, rozwidlonym na końcu językiem oblizalo połyskujące wargi.

Z ust Liama wychynęła następna głowa. Wychynęła i wystrzeliła w górę z cichym chrobotem. Początkowo szczupła i obła, błyskawicznie się rozszerzyła, rozwinęła się w błoniaste skrzydła i zatrzepotała nimi szelestliwie. Bestia wygięła łabędzią szyję, zadarła łeb i zachichotała jak hiena, odsłaniając rzędy ostrych kłów.

Wszystkie demony przesądu.

Tak mówił Liam. Mieszkały w nim. A teraz uciekają. Wyślizgując się, przeciągając, postępując...

Tłocząc się, wpadając na siebie, trzepocząc skrzydłami, kłapiąc potężnymi szczękami, cmokając szkarłatnymi wargami, mlaszcząc grubymi jęzorami, wypełniając wąski korytarz pomrukami, westchnieniami i odurzającym smrodem.

Wszystkie patrzyły na Sarę.

Zdała sobie sprawę, że szykują się do ataku, że teraz kolej na nią.

Dlaczego nie mogła się od nich odwrócić? Odwracając się od nich, odwracała się od Liama - czy właśnie to ją przerażało? Że już nigdy go nie zobaczy?

Wiedziała, że musi uciekać.

Ale jak zdoła uciec?

Dokąd zdąży dobiec, nim ją pochwyca, dźwigną do góry, złamią wpół i rozedrą na strzępy?

- Żegnaj, Liam. - Odwróciła się od śmierdzących, postępujących bestii w wygłodniałymi pyskami.

Każdy krok kosztował ją wiele wysiłku. Buty były ciężkie, ciężkie jak z łożu, wciąż wirowało jej w głowie, wciąż stał jej przed oczyma widok zdeformowanych ciał, koszmarnie wykrzywionych pysków. Nogi miała jak z gumy, jak z waty.

Zdołała jednak dopaść frontowych drzwi.

Otworzyła je i wybiegła na śnieg. Na zimny biały śnieg. Cudownie pachnący i świeży.

Była w połowie drogi na ulicę, pośrodku podjazdu wysadzanego drżącymi na wietrze drzewami w puchowych czapach, gdy w progu ujrzała pierwszego potwora.

Zadarł porośnięty sierścią łeb, spojrział w szkarłatne niebo, rozdziawił grube usta i przeciągle zawył, jak zwierzę. Potem opadł na cztery łapy i ruszył galopem przez śnieg. Za nią.

Za nią.

Ha, ha, ha - jakby dyszał, ale to był śmiech, to był okrutny śmiech.

W progu stanęło następne monstrum. Gotowe do ataku, zaszeleściło błoniastymi skrzydłami, rozczapierzyło pazury.

Ha, ha, ha, ha.

Sara odwróciła oczy, zmusiła się do ucieczki. Tylko te buty - buty ciągle grzęzły w śniegu.

Jezdnia była tuż-tuż.

A one pędziły za nią, a one wciąż za nią gnały i leciały, wyjąc, jazgocząc i zawodząc.

Ha, ha, ha, ha.

Koszmarna parada.

Sunęły tak ochoczo. Były takie wygłodniałe. Takie rozradowane. Takie pewne, że ją pochwycą.

Pochwycą i zabiją.

„Te wszystkie demony żyją we mnie”.

Zabiły Liama, teraz zabiją mnie.

Ha, ha, ha.

Biegła wzdłuż zaśnieżonej drogi pod wiatr, który rozwiewał jej włosy. Pędziła, mocno pracując rękami, dysząc kłębamii białej pary i nagle... upadła.

Potknęła się o coś i upadła w śnieg. Wyciągnęła przed siebie ręce, mimo to upadła ciężko na lewy łokieć i poczuła ostry ból w boku.

Wtedy ją dopadły. Tłumnie, chmarnie, brzęcząc jak stado much, kwicząc i postękując - ha, ha, ha - tocząc gorącą ślinę, która skwierczała na śniegu.

Wszystkie demony przesądu.

Otoczyły Sarę, wirując coraz szybciej i szybciej, zamykając ją w cuchnącym kręgu, czerniąc się na śniegu, zaciemniając cały świat, jej świat, zaciskając krąg, tańcząc, tańcząc przed nią i dla niej, podchodząc coraz bliżej, coraz bliżej i bliżej, niosąc z sobą mrok, pogrążając ją w kompletnej czerni - one, wszystkie demony przesądu na białym, białym śniegu.



## 61.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła biel. Zamrugwała.

Mrugnęła jeszcze raz.

Czysta biel, białe światło, miękkie jak śnieżny puch. Umarłam, pomyślała. Wkroczyłam w białą poświatę śmierci. Zakaszła. Zaraz, chwileczkę. Umarli nie kaszlą.

Spróbowała podnieść głowę, ale głowa ważyła co najmniej tonę.

Zobaczyła białe ściany. Białe drzwi.

- Ocknęła się pani? - Głos mężczyzny. Cichy i łagodny.

Twarz nad jej głową. Twarz Murzyna. Z zabandażowaną głową.

Zmrużyła oczy. I rozpoznała go. To ten detektyw.

- Budzi się - zawołał do kogoś. - Lepiej niech pani tu pojdzie. Proszę mnie zawiadomić, kiedy będę mógł ją przesłuchać.

Murzyn zniknął, ustępując miejsca przyjemnie wyglądającej kobiecie: okrągła, pulchna twarz, krótkie, jasne włosy pod białym czepkiem pielęgniarki, sztywny od krochmalu kitel, identyfikator na piersi - Sara wciąż widziała podwójnie i nie mogła nic odczytać.

- Jestem... w szpitalu? - Zdumiał ją własny głos. Był taki prawdziwy.

Taki żywy.

Kobieta skinęła głową.

- Ale...

Silne ręce delikatnie pchnęły ją z powrotem na poduszki.

- Proszę leżeć. Spokojnie.

- Ale... jak się tu znalazłam?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ten policjant panią znalazł. Kiedy zaczynałam poranny dyżur, już tu pani była.

Sara znowu zakaszłała. Bolało ją gardło. Jakby czytając z jej myślach, pielęgniarka podała jej szklanekę z wodą.

- Biedactwo. Musiała pani przeżyć straszny szok. Kiedy obejmowałam dyżur, sprawdziłam pani kartę. Nikt nie wie, co się pani przytrafiło, nawet lekarze. „Szok pourazowy o nieustalonej przyczynie”. - Spojrzała na nią znad karty. - Miała pani jakiś wypadek?

- Ja... Nie wiem. - Chciała usiąść. - Muszę wstać. Muszę... Pielęgniarka znowu pchnęła ją na poduszki.

- Pij powoli, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Tylko jeszcze nie wstawaj. Musisz zaczekać przynajmniej do obchodu.

- Ale...

- Jesteś w znacznie lepszym stanie, niż początkowo myśleliśmy. Naprawdę. Szybko wrócisz do formy. Widzę, że bardzo się martwisz, ale wszystko będzie dobrze, zobaczysz. A teraz dobra wiadomość. - Uśmiechnęła się ciepło.

- Dobra wiadomość?

- Tak, bardzo dobra. Nic wam nie grozi. Ani tobie, ani twojemu dziecku.

- Mojemu dziecku?

Pielęgniarka kiwnęła głową i rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

Sara zanosła się przeraźliwym krzykiem.